

FRANÇOIS RABELAIS

# *Gargantua i Pantagruel*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Chateaubriand w swoich *Memoires d'outré-tombe* nazywa Rabelais'go „twórcą literatury francuskiej”: i określenie to nie jest bynajmniej retorycznym superlatywem, ale istotną prawdą. Zamiast zapuszczać się w wywody, że tak jest i dlaczego, wolę odwołać się do „metody pogładowej”; niech czytelnik najpierw przeczyta *Kroniki Gargantui* zamieszczone jako przyczynek na końcu polskiego wydania, a następnie samo dzieło Rabelais'go. Oto dokument, jaką literaturę Rabelais zastał, a jaką zostawił. Zastał gawędę, jaką dziś można by usypiać do snu pięcioletnie dzieci, a która wówczas znajdowała rzesze łakomych czytelników; zostawił dzieło, w które zaklął całą duszę swoją i pełny obraz epoki, dzieło, z którego czerpał soki szereg pokoleń i które po dziś dzień pociąga nas i niepokoi swym zagadkowym uśmiechem. Zastał język będący również językiem dziecka, które niedołącznym pismem kreśli swą ubogą fabułę, operując szczupłą ilością dostępnych mu wyrazów lub, co gorsze jeszcze, język „szkolarza limuzyńskiego” pełen napuszonych scholastycznych barbaryzmów; zostawił wspaniałe narzędzie muzyczne o olbrzymiej skali tonów, sprawne i posłuszne ręce mistrza, niezawodzące nigdy, w wielu rejestrach niemające po dziś dzień sobie równego. Rabelais jest ojcem literatury francuskiej — sam natomiast nie zawdzięcza życia nikomu: chyba tej glebie Turenii, która go wykarmiła, chyba krwi tego ludu, którego jest dzieckiem.

Franciszek Rabelais urodził się około r. 1490 w miasteczku Chinon w południowej Francji, z ojca oberżysty, czy — jak chcą inni — aptekarza, w każdym razie w sferze drobnego mieszczaństwa. Był najmłodszym z rodzeństwa, od młodości rodzice przeznaczili go do stanu duchownego. Pierwsze nauki pobierał w klasztorze, w sąsiedniej wiosce Seuillé, po czym oddano go na nowicjat do klasztoru de la Baumette koło Angers. Pobyt w Baumette bardzo szczęśliwie zaważył na szali dalszych kolei pisarza: tutaj zapoznał się i zawarł przyjaźń z osobistościami, które później, zajmując wpływowe i potężne stanowiska, niemało zdołały mu użyczyć pomocy i poparcia w jego burzliwym i niespokojnym życiu. Przede wszystkim wspomnieć tu należy Gotfryda d' Estissac, niebawem, w 23 roku życia, wyniesionego do godności biskupa Maillezais, oraz Wilhelma i Jana du Bellay. Na razie jednak młody Rabelais, ulegając, niewątpliwie wbrew powołaniu, woli rodziców, z goryczą w sercu, jak można wnosić z ustępu w *Pantagruelu* (V, 4), decyduje się zostać mnichem i to zakonu św. Franciszka, zakonu żebrzącego, w którym wedle współczesnego świadectwa „składano śluby nieuctwa bardziej jeszcze niż religii”. Wstępuje do klasztoru w Fontenay le Comte w dwudziestym roku życia, po ukończeniu nowicjatu; w ciągu piętnastu lat

pobytu w klasztorze przechodzi wszystkie stopnie zakonne, aż do godności kapłana, na którego wyświęcono go w. r. 1519.

Pomimo atmosfery najmniej sprzyjającej rozwojowi kultury naukowej i humanistycznej, żywość umysłu i niepohamowana żądza wiedzy młodego Rabelais'go zwyciężyła wszystkie zapory i trudności. Wraz z przyjacielem swoim, również mnichem, Piotrem Amy, udało mu się stworzyć małe kółko humanistów studiujących żarliwie starożytności łacińskie i greckie. Lata spędzone w klasztorze potrafił wyzyskać Rabelais dla zbudowania gmachu wszechstronnego wykształcenia; im zawdzięcza podwaliny tej erudycji, którą później zdumiewać będzie współczesnych. Sam, bez pomocy, bez dostatecznych książek posiadał język grecki — znajomość na owe czasy rzadka, a nawet niebezpieczna — prawo, astronomię, nauki przyrodnicze i w ogóle tę encyklopedyczną wiedzę, przedmiot ambicji i dążeń uczonych Odrodzenia. Za pośrednictwem towarzysza studiów, Piotra Amy, wchodzi w korespondencję z luminarzem humanizmu, Wilhelmem Budée, osobistością zażywającą współcześnie olbrzymiego znaczenia. Rozgłos uczonego mnicha rozchodzi się w coraz szerszych kręgach, a połączony z jego pogodnym i jowialnym humorem, jedna mu wielu przyjaciół, z którymi ojciec Franciszek prowadzi pismem uczone polemiki i dysputy. Wśród przyjaciół i korespondentów Rabelais'go spotykamy najpoważniejsze imiona magistratury francuskiej.

Inaczej jednak zapatrywano się na działalność ojca Franciszka w klasztorze. Mimo że skądinąd nie wiadomo nam nic o jakichś innych wykroczeniach Rabelais'go przeciw regule klasztornej (owszem, miał nawet pewien rozgłos jako dobry kaznodzieja), już sama chęć wiedzy, erudycja, niezależność umysłu i świeckie koneksje dwóch przyjaciół wystarczyły, aby zaniepokoić dobrych braci franciszkanów. Wszakże sam święty założyciel zakonu powiedział im: „Którzy nie znają sztuki pisania ani czytania, niech trwają w swej nieświadomości”. Język grecki zwłaszcza podejrzany był w oczach mnichów i silnie trącił herezją. Zarządzono rewizję w celi Rabelais'go i Amy'ego. Znalaziono wiele ksiąg greckich, także pisma Erazma i inne dzieła nie lepszej opinii. Książki i papiery skonfiskowano, dwaj delikwenci uważali na razie za bezpieczniejsze wymknąć się chyłkiem z klasztoru.

Jednakże w czasie odradzającego się humanizmu uczeni bracia, prześladowani za klasyczną wiedzę, nietrudno znaleźli gorliwych a potężnych protektorów. Mistrz Budée, powiadomiony o zajściu, wybucha oburzeniem na ciemnotę mnichów, zachęca do wytrwania i obiecuje poparcie; nie było jednak i tego trzeba, gdyż inni protektorowie, zwłaszcza wspomniany już młodociany biskup z Maillezais, Godfryd d'Estissac, uśmierzyli zatarg z klasztorną władzą. Biskup, który mógł się uważać trochę za współwinnego, gdyż pożyczał dwóm przyjaciołom greckich książek, nie poprzestał na tym, ale wyjednał u papieża Klemensa VII indult upoważniający Rabelais'go do przejścia do zakonu św. Benedykta z tytułem i insygniami regularnego kanonika w opactwie w Maillezais, i z prawem korzystania, mimo ślubów ubóstwa, z beneficjów, jakie by z czasem mógł uzyskać. Opuszcza tedy Rabelais zakon braci mniejszych św. Franciszka, strawiwszy w nim piętnaście lat młodości: obecnie liczy ich trzydzieści cztery. Oprócz rozległych studiów, które co prawda sobie jedynie zawdzięczał, wyniósł Rabelais z długiego pobytu w klasztorze dwie cechy, na pozór sprzeczne: jedna to głęboka, choć pobłażliwa i uśmiechnięta, wzgarda dla mnichów i stanu zakonnego; druga to mimo wszystko niezatarte tego stanu piętno, które sprawia, iż w psychice pisarza na całe życie zostanie coś z mnicha, a wymarzony przezeń ideał, opactwo Telemy, będzie, mimo wszelkie różnice, wielkim klasztorem.

Z chwilą opuszczenia klasztoru franciszkanów zaczyna się dla Rabelais'go nowe życie. Staje się częstym gościem i ulubionym towarzyszem stołu biskupa z Mailleza-

is, w którego rezydencji zbiera się śmietanka wykwiutnego i uczonego towarzystwa. Wśród tych rozkosznych wczasów nie opuszcza go jednak głód wiedzy: w szczególności pochłaniają go wówczas medycyna i botanika. Mimo tak pomyślnie układających się warunków, Rabelais niedługo wytrzymał na nowym stanowisku. Być może raz strząśnięta z grzbietu sukienka zakonna teraz nawet w tak zlągodzonej formie zanadto mu ciążyła; może pełna i żywotna natura pchała go w świat i jego burze, nie dając się uspić w uczonym i wykwiutnym kwietyzmie. Dość, że bez zezwolenia przełożonych Rabelais zrzuca habit benedyktyna, zmieniając go na sukienkę świeckiego księdza, a i ta z czasem znika. Przez kilka lat wałęsa się po świecie, dziś tu, jutro tam, zmieniając równie łatwo miejsce pobytu jak strój i zawód, to praktykując medycynę, to znów pełniąc funkcje i obrzędy kapłańskie, popadając przez to w jawny grzech apostazji i złamania ślubów, jak to sam przyznaje w późniejszej *supplicatio pro apostasia*, złożonej u tronu papieża Pawła III. Zauważyć należy, iż mimo tej dwuznacznej pozycji Rabelais nie przestał się cieszyć względami biskupa z Maillezais, w którego rezydencji był zawsze mile witany gościem. Bliższych szczegółów o tych latach wędrówki nie znamy; sądząc ze śladów znaczących się w *Pantagrelu*, musiały one obejmować niemal cały obszar Francji i wybiegać raz po raz daleko poza jej granice. Wielce jest prawdopodobne, iż na te lata przypada dłuższy pobyt w Paryżu.

Okolo roku 1530 (Rabelais ma wówczas lat blisko czterdzieści) zawija na czas dłuższy do Montpellier, gdzie wpisuje się w poczet uczniów fakultetu medycyny. Przygotowany był do studiów gruntownie: rejestry fakultetu wykazują, iż w miesiąc i dni trzynaście dopuszczono go do stopnia bakałarza, gdy zazwyczaj wymagano na to trzy lata. W rok później wobec licznie zgromadzonych słuchaczy komentuje dzieła Hipokrata i Galena, krytykując na podstawie greckich tekstów ich ówczesną naukową interpretację. Wśród tych studiów nie gardził Rabelais i rozrywką: z jego własnych ust wiemy, iż w towarzystwie innych uczonych kolegów odegrał w Montpellier *Komedię o człowieku, który pojął żonę niemowę*<sup>1</sup>

W roku 1532 Rabelais przenosi się do Lyonu, gdzie wykonuje praktykę w szpitalu powszechnym, z pensją 40 funtów rocznie. Przypuszczać można, iż do Lyonu pociągnęła Rabelais'go chęć rozszerzenia widnokręgów swej działalności naukowej. Lyon był wówczas głównym centrum księgarskim i wydawniczym we Francji, tym samym punktem zbornym uczonych i pisarzy. Tutaj Rabelais poznał Stefana Doleta, Klemensa Marot, Karola Fontaine i innych koryfeuszów współczesnego ruchu piśmienniczego. Tu znalazł bez trudu, w osobie słynnego Sebastiana Gryphe, wydawcę dla swoich komentarzy do dzieł Hipokrata i Galena, dedykowanych dawnemu protektorowi, biskupowi z Maillezais. Działalność Rabelais'go na polu piśmiennictwa naukowego, jakkolwiek w części nam tylko znana, musiała być wydatna, gdyż przywilej Henryka II z r. 1650 wspomina o „licznych dziełach, ułożonych w języku łacińskim, greckim, francuskim i tokańskim”.

Można jednak mniemać, iż podobnie jak dzisiaj, tak i w szesnastym wieku ta czysta działalność naukowa nie musiała się opłacać zbyt suto. Skąpo dotowaną posadę szpitalnego lekarza Rabelais traci niebawem, ponieważ parę razy zdarzyło mu się opuścić swój posterunek bez upoważnienia władzy. W pogoni za środkami do życia wielostronny jego talent chwyta się rozmaitej roboty. Jednym z takich źródeł pobocznego zarobku było układanie almanachów czyli kalendarzy: praca zazwyczaj powierzana ludziom o rozległej encyklopedycznej wiedzy, zwłaszcza biegłym w naukach przyrody. Z tych almanachów, które Rabelais wydaje nieprzerwanie przez lat kilkanaście, doszły nas tylko fragmenty: jedyny, który posiadamy w całości, jest

<sup>1</sup>*Komedia o człowieku, który pojął żonę niemowę* — Komedia ta, wedle kanwy zostawionej przez Rabelais'go, napisana została przed kilkunastu laty na nowo przez Anatola France [1908; Red. WL].

żartobliwą parodią wiedzy kalendarzowej pióra również Rabelais'go pt. *Przepowiednie Pantagrueliczne*. Tytuł ten, zawierający aluzję do romansu pt. *Pantagruel*, dowodzi, iż romans ów musiał powstać już wcześniej. I oto doszliśmy do zagadnienia, jak i kiedy powstało dzieło, które zasunęło w cień imię Rabelais'go jako poważnego męża nauki, aby je uczynić nieśmiertelnym w innej zgoła dziedzinie.

Pośród dzieł mniejszej wagi, około których wydawnictwa Rabelais dla kawałka chleba krzątał się na zlecenie księgarzy, znalazła się mała książeczka niewiadomego autora pt. *Wielkie i nieoszacowane kroniki wielkiego i straszliwego olbrzyma Gargantui*. Treść książki, zaczerpnięta prawdopodobnie z baśni ludowej, wypełniona jest łatwymi i niewybrednymi fantazjami na temat olbrzymów. Księgarz, znający swoją publiczność, polecił Rabelais'mu przejrzanie i przygotowanie nowego wydania tej baśni; i rzeczywiście uczony wydawca<sup>2</sup> tych dziecinnych bredni mógł stwierdzić, nie bez pewnego zdziwienia zapewne, iż „w ciągu dwóch miesięcy drukarze sprzedali więcej egzemplarzy tej *Kroniki*, niż się rozchodzi *Biblii* w ciągu dziewięciu lat”.

Przygodna praca około tego błahego wydawnictwa stała się momentem, który zapłodnił wielkiego pisarza jego dziełem. Z jednej strony zapewne powodzenie finansowe mogło zachęcić niegardzącego żadną robotą uczonego włóczęgę do dalszego prowadzenia tego zyskowego pomysłu; z drugiej, nieświadomy dotąd siebie geniusz pisarski Rabelais'go musiał snadź ujrzeć w nagłym objawieniu w tej grubej i naiwnej baśni podatną kanwę, którą pióro jego będzie mogło swobodnie zahaftowywać arabeskami wyobraźni i erudycji, humoru i poważnej myśli. Tak powstała I. księga *Pantagruela* pt. *Okropne i przeraźliwe czyny przestawnego Pantagruela, króla Dipsodów, syna wielkiego olbrzyma Gargantui, spisane na nowo przez mistrza Alkofrybasa Nazjera*; księga, która dzisiaj w dziele Rabelais'go porządkowana jest jako druga. Widocznie jednak różnica poziomu i wartości pomiędzy tą oryginalnie napisaną księgą a naiwnymi *Kronikami Gargantui* musiała być zbyt rażąca dla pisarza, gdyż niebawem (prawdopodobnie w r. 1534) przerabia, a raczej pisze na nowo ową pierwszą część romansu i ogłasza ją pod tytułem: *Żywot wielce przeraźliwy wielkiego Gargantui, ojca Pantagruelowego, niegdyś ułożony przez Abstraktora Piątej Essencji. Księga pełna pantagruelizmu*. Ten porządek chronologiczny, który ustala powstanie I. księgi *Pantagruela* jako wcześniejsze od oryginalnie napisanego *Gargantui*, jest dziś przez krytykę naukową uznany — można powiedzieć — bezspornie.

Zaledwie Rabelais ujął pióro do ręki, już rozpętał przeciw sobie tych, którzy przez cały czas jego życia i działalności mieli być jego nieubłaganymi wrogami. Swoboda myśli, z jaką dzieło to dotyka mimochodem wielu tematów aż nadto na owe czasy drażliwych, jak również bezceremonialne wycieczki w stronę Sorbony i jej luminarzy, ściągęły na Rabelais'go czujność i pomstę tej potężnej jeszcze fortecy scholastycyzmu. Cenzura Sorbony potępiła „bezwstydne” *Pantagruela*, stawiając go w jednym rzędzie z innymi płodami współczesnej wyuzdanej literatury; dopiero edykt króla Franciszka uwolnił go od tych zarzutów i zapewnił mu swobodny obieg księgarski.

---

<sup>2</sup>Księgarz (...) polecił Rabelais'mu przejrzanie i przygotowanie (...) wydania — Co do tego punktu, istnieją trzy hipotezy. Pierwsza, dziś już powszechnie zarzucona, jest ta, że Rabelais był nie tylko przygodnym wydawcą i korektorem, ale wprost autorem owych *Kronik Gargantui*, i że późniejszy jego *Gargantua* jest ponownym opracowaniem tego samego tematu. Nie mogąc wchodzić tu w bliższą argumentację, zaznaczymy tylko, iż hipoteza ta nie wytrzymuje krytyki. Drugą, do obecnych czasów niemal obowiązującą, była hipoteza, iż Rabelais na zlecenie księgarza zatrudniony był przy ponownym wydaniu owych starych kronik. W ostatnim czasie znakomity znawca Rabelais'go, Abel Lefranc, w przedmowie swej do pomnikowego wydawnictwa dzieł tego pisarza (1912) podaje i to przypuszczenie w wątpliwość. Wedle niego tyle jedynie możemy twierdzić, iż Rabelais, bawiąc podówczas w Lyonie, był świadkiem niezwyklego powodzenia owych *Kronik* i że to pobudziło go do kontynuowania ich jako I. części *Pantagruela*. Różnica tych dwóch ostatnich hipotez nie zmienia zasadniczego momentu kwestii, tj. wpływu, jaki miały *Kroniki Gargantui* na powstanie dzieła Rabelais'go.

Z początkiem r. 1534 Rabelais odbywa pierwszą swą podróż do Rzymu. Odbywa ją w warunkach nader pomyślnych: jako przyboczny lekarz Jana du Bellay, dawnego towarzysza nauk, dziś biskupa paryskiego, wysłanego do Rzymu w charakterze ambasadora w ważnej misji politycznej. Chodziło o załagodzenie zatargu między Stolicą Apostolską a Henrykiem VIII angielskim z okazji jego zaślubin z Anną Boleyn: zatargu, który miał się skończyć odszczepieństwem Anglii. Opóźnienie kuriera wysłanego na dwór angielski oraz zabiegi ambasadorów Karola V udaremniły te pojednawcze starania. Mimo niepowodzenia misji, pobyt biskupa i jego przybocznego lekarza w Rzymie przeciągnął się dość długo, aby Rabelais mógł z zadowoleniem stwierdzić, iż poznał Rzym aż do najmniejszych zaułków, tak dobrze jak własny dom.

Po krótkim pobycie we Francji, Rabelais powtórnie znajduje się w Rzymie. W r. 1534 umiera papież Klemens VII, a następcą jego zostaje Paweł III; Jan du Bellay, biskup paryski, mianowany przez nowego papieża kardynałem, pośpiesza do Rzymu, znów zabierając z sobą przybocznego lekarza. Ten drugi pobyt trwa przeszło pół roku. Przez ten czas, mimo wielce burzliwych horyzontów politycznych, Rabelais oddaje się z zapalem ulubionym studiom. Poznaje język arabski, przykłada się do archeologii, filologii, nauk przyrodniczych. Równocześnie z wielką roztropnością korzysta z pobytu w Stolicy Apostolskiej i z wpływów protektora, aby uregulować swą nieco dwuznaczną pozycję mnicha i kapłana, który sprzeniewierzył się świętym obowiązkom. Wnosi do tronu papieskiego podanie, tzw. *supplicatio pro apostasia*. Wyznaje w nim z pokorą, iż porzucił samowolnie życie zakonne i hołdował błędom świata. Prosi papieża o pełną absolicję, o pozwolenie przywdziania sukni zakonu św. Benedykta, a zarazem o pozwolenie, za zgodą przełożonego klasztoru, uprawiania sztuki lekarskiej, w granicach reguł kanonicznych dla zakonników, tj. z wyłączeniem stosowania ognia i żelaza i bez czerpania z niej zysków. Jakoż przyznaje mu to wszystko *breve* papieskie z r. 1536 wystylizowane w najpochlebniejszych dla nauki, zasług i obyczajów Rabelais'go wyrazach.

W r. 1536 powraca Rabelais do Paryża. Był to dla Francji rok ciężkiej próby: rok straszliwego najazdu Karola V na czele 50 000 ludzi, który zresztą skończył się klęską i upokorzeniem napastników. Aluzje do tych wydarzeń znajdujemy w przedmowie do III. księgi *Pantagruela*.

Uzyskawszy u papieża tak ojcowskie i dobrotliwe zezwolenie na powrót do życia zakonnego, Rabelais nie kwapił się z niego korzystać. Snadź bardziej leżało mu na sercu uregulowanie innej nieprawidłowości zawodowej: mianowicie zdobycie tytułu doktora medycyny, którym to tytułem posługiwał się dotąd nie posiadając go istotnie. Dopiero teraz, w r. 1537, doktoryzuje się w Montpellier i ogłasza wykłady anatomii, cieszące się ogromnym rozgłosem i ściągające liczne audytorium. Rabelais jest jednym z pionierów sekcjonowania zwłok ludzkich, na których też demonstruje anatomię w swoich wykładach. Zachował się wiersz, napisany przez jednego ze współczesnych po wykładzie, na którym Rabelais sekcjonował zwłoki powieszzonego złoczyńcy: autor wiersza rozwodzi się nad uczuciem dumy, jaka przepelniać umiała serce owego szczęśliwego wisielca, iż mógł służyć za przedmiot demonstracji w tak pouczającej lekcji znamienitego uczonego i doktora. Kilka lat, które następują po pobycie w Montpellier, mało nam dostarczają wiadomości z życia pisarza prócz tego, że znajdował się w nieustannych wędrówkach. Jak powiada jego biograf, nawet dziś, przy tak ułatwionych środkach komunikacji, egzystencja Rabelais'go musiałaby być uważana za wyjątkowo ruchliwą, zwłaszcza dla lekarza!

Do tych lat, lub może do wcześniejszego pobytu w Lyonie, należy odnieść fakt ustalony przez nowszych badaczy życia Rabelais'go, a mianowicie urodzenie jego synka Teodula, który zmarł jako dwuletnie dziecko. O matce dziecka nic nam nie wiado-

mo; w ogóle w życiorysie Rabelais'go kobieta tak dalece nie odgrywa roli, iż można poniekąd dosłownie brać jego zwięzłe odezwanie się z powodu śmierci Gargameli: „Powiadają, iż Gargamela pomarła przy tym z radości; co do mnie, nic o tym nie wiem i niewiele się troszczę o nią i o jaką bądź inszą” (ks. I, rozdz. XXXVII).

W r. 1589, Rabelais wstępuje, znów jako lekarz przyboczny, na dwór Wilhelma du Bellay, pana de Langey, brata kardynałowego. Była to jedna z najwybitniejszych osobistości za panowania Franciszka I. Rabelais towarzyszy mu w licznych podróżach po Francji, obecny jest przy jego śmierci w r. 1543 i poświęca mu wspaniałe wspomnienie w IV księdze swego dzieła.

Rabelais wchodzi w tej epoce w schyłek lat męskich. Mimo niespokojnego charakteru, mimo zmiennych kolei życia, stanu i zawodu, musimy uznać, iż sterował on swoją łodzią z wielką roztropnością. Czytając dziś jego pisma i pamiętając o epoce, w której tworzył, zdumiewać się musimy swobodzie, zuchwalstwem nawet, z jakim porusza najdrażliwsze na owe czasy kwestie, miesząc *sacra profanis* w sposób wprost wyzywający.

Tajemnicą bezkarności Rabelais'go było raz to, iż przymiotami osobistego obcowania jak również nieprzepartym urokiem wesołości pism swoich potrafił zawsze zjednać sobie i pozyskać protektorów i obrońców pośród najwyższych dygnitarzy kościelnych, z którymi wspólność kultury humanistycznej łączyła go duchowym pobratymstwem. Drugą okolicznością sprzyjającą jego bezpieczeństwu jest to, iż w pisarzu nie było nic z fanatyka gotowego polec za swoje idee; przeciwnie, jak sam nieraz się zastrzega, każde twierdzenie swoje podtrzymuje jedynie „aż do kary ognia *exclusive*” i pozwalając sobie na bardzo wiele swobód języka, w kwestiach zasadniczych pilnuje się bacznie, aby nie dać nieprzyjaciółom bronii przeciw sobie. A właśnie w tych latach, zawzięci i nieublagani wrogowie Rabelais'go i swobody myśli srożą się bardziej niż kiedykolwiek. Stefan Dolet, przyjaciel i wydawca Rabelais'go, ginie na stosie; Bonaventura Desperiers odbiera sobie życie ze strachu przed prześladowaniem; Klemens Marot umiera na wygnaniu. Rabelais nie tylko tworzy spokojnie, ale uzyskuje patent królewski na nowe wydanie dwóch pierwszych ksiąg, które wyraźnym zabarwieniem herezją Kalwina i osobistymi brutalnymi wycieczkami rozpetęły przeciwko niemu nienawiść Sorbony. Rabelais łagodzi niektóre ustępy, to i owo drażliwsze słówko czy epitet zwala bez zająknięcia na niedbałość lub samowolę drukarzy; król Franciszek każe sobie odczytać jego pisma i ubawiony nie znajduje w nich nic karygodnego ani przeciwnego duchowi religii. Rabelais tryumfuje. Zrzucając przeźroczyستی pseudonim, ogłasza trzecią księgę pod własnym nazwiskiem, w przedmowie do niej rzucając jawnie rękawicę przeciwnikom:

„Precz kundle! precz mi z drogi! precz z mego słońca, kanalio diabelska! Przychodźcie tu, kuśtykając, obwąchiwać moje wino i obsikiwać beczkę? Widzicie ten kij, który Diogenes testamentem kazał ułożyć przy sobie po śmierci, aby miał czym odpędzać i grzmocić owe maskary i psy piekielne! Zatem precz, świętoszki! Do owieczek, kundle! Precz stąd obłudniki, do stu par diabłów, huź! huź! Jeszczeście tutaj? Gotowym ustąpić mojej cząstki w kraju Papimanii, jeśli was dopadnę! Ks, Ksss, Kssss! Precz! Precz! Pójdźcie raz? Bodajeście nie mogli nie wybejać, jeno pod chłostą rzemienną! oddać urynę jeno na szubienicy! a rozgrzać w sobie przyrodę jeno pod razami drąga!”

Tymczasem król Franciszek, od dawna trawiony chorobą, zbliża się do schyłku. Rabelais, ostrożny jak zwykle, nie czeka zmiany panowania i prawdopodobnego przesilenia, w którym jego protektorowie łatwo mogą postradać wpływy i władzę, ale

uprzedzając wypadki, chroni się do Metz i tam przez rok przeszło pełni obowiązki lekarza miejskiego z płacą 120 funtów rocznie. Przejorność okazała się zbawienna. Z wstąpieniem na tron Henryka II, kardynał du Bellay upada politycznie i chroni się do Rzymu; do rządów dochodzą Gizowie, reprezentujący skrajny katolicyzm i zastrzeżenie fanatyzmu. Pojawia się pamflet tureńskiego mnicha, w którym Rabelais atakowany jest z najwyższą gwałtownością. I ta jednak burza wisząca nad głową pisarza rozpogadza się szczęśliwie. Niebawem, zabezpieczywszy sobie poparcie kardynała de Guize i kardynała Odet de Chatillon, wraca do Francji, zyskuje łaskę nowego króla i co więcej, ku oburzeniu przeciwników, autor *Pantagruela* otrzymuje probostwo w Meudon! Wątpliwym jest, czy Rabelais wykonywał istotnie obowiązki proboszcza, czy też, jak tyłu innych, korzystał jedynie z dochodów probostwa, troskę o owieczki zostawiając wikariuszom; w każdym razie niedługo piastował to stanowisko: po niespełna dwóch latach, być może w związku z ogłoszeniem IV księgi *Pantagruela*, składa swój duchowny urząd.

W roku 1552 ukazuje się IV księga, o wiele zaczepniejsza niż poprzednie i przepełniona najostrzejszymi wycieczkami w stronę przeciwników. Cenzura Sorbony potępiła natychmiast tę księgę, a wyrok parlamentu, mimo przywileju królewskiego, zawiesił jej sprzedaż, aż do osobistego wyrażenia przez króla jego woli. I tym razem zwyciężył Rabelais i jego poplecznicy. Król, wróciwszy właśnie do Paryża ze zwycięskiej wyprawy na Metz, skasował wyrok parlamentu i zezwolił na sprzedawanie książki. Niedługo potem, w roku 1553, Rabelais, przekroczywszy sześćdziesiątkę, umiera. Piąta, ostatnia księga *Pantagruela*, której autentyczność, przynajmniej w części, jest silnie zakwestionowana, ukazała się dopiero w parę lat po jego śmierci.

Oto garść faktów, dość suchych, jaka pozostała nam z życia pisarza. Odtworzyć sobie na ich podstawie, w zestawieniu z dziełem, wizerunek duchowy autora *Pantagruela* nie jest zadaniem łatwym. Z autentycznych świadectw wiemy, iż Rabelais za życia był dla współczesnych przede wszystkim człowiekiem olbrzymiej wiedzy, jednajęcej mu ogólną cześć i rozgłos, przyjacielem najznamienitszych osobistości, wybornym lekarzem. Dla potomności został jedynie autorem *Gargantui* i *Pantagruela*, dlatego też rychło po jego śmierci zgodnie z wrodzoną ludzką potrzebą stopienia w jedno dzieła i twórcy, legenda wyposażyła jego postać w mnóstwo rysów i anegdot godnych brata Jana i Panurga, czyni zeń przede wszystkim wesołego kompana, bibosza, buffona niewyczerpanego w conceptach i nieszanującego nic w świecie. Ile w tych legendach jest pospolitego błędu, wiążącego dosłownie z osobą i charakterem to, co jest raczej grą fantazji i talentu, a ile istotnych dokumentów bujności i różnorodności natury genialnego mnicha-lekarza-humanisty-poety, nie sposób dziś rozstrzygnąć. Już w roku 1587 Piotr Boulanger, lekarz poitweński, w nagrobku, w którym stara się obalić legendy przynoszące ujmę pamięci pisarza, mówi o nim: *Będzie zagadką dla potomności*. Słowa te, podjęte przez La Bruyere'a w jego słynnej charakterystyce, po dziś dzień sprawdzają się najzupełniej.

Tak samo jak zagadkowym i trudnym do ujęcia jest wizerunek Rabelais'go jako człowieka, tak samo i dzieło jego rozsada wszelkie ramy, w jakich chcielibyśmy je zamknąć, oraz uporczywie się wymyka z przegródek wszelkiej klasyfikacji i definicji. Satyra, zapewne; ale jakże odmienna od akademickiego pojęcia tego słowa! Na jakie bezdroża zeszedłby ten, kto by ją chciał rozciągać na wszystkie szczegóły, kto by się w niej chciał dopatrywać konsekwentnej tendencji i planu! Prób w tym kierunku i wysiłków nie brakło, było ich raczej aż za wiele: legion uczonych komentatorów wytłumaczył prawdziwe historyczne miano każdej z osób tego romansu, doszukiwał się głębokiej politycznej aluzji w każdej pustocie, w każdym wybryku nieokielzanego

humoru pisarza. Istnieje komentarz wykładający na 27 stronach wiersze znalezione w starym grobowcu (ks. I, rozdz. II).

Kłopoty Panurga, którego obawy przed stanem rogatym wypełniają całą niemal trzecią część romansu przemiłymi arabskimi fantazji i humoru, wyklada głęboki komentator jako „troski kardynała de Lorraine pożądanego władzy dla swej rodziny”; „pocziwa babuła, która wyszła na targ z jajami w obszernym wywodzie imć pana Pocałuj w procesie z panem Powąchaj, to ma być Ludwika Sabaudzka, itd. Dziś śmiejemy się szczerze z tych wielce poważnych i głębokich dociekań; o ileż mocniej jeszcze śmiałby się wielki humorysta, widząc te mozolne wysiłki, aby rozlewne morze jego fantazji ująć w ramy pseudonaukowego pedantyzmu!

Aby uniknąć tych niebezpieczeństw i dociekaniem rzeczy, których dociekać nie warto i nie ma potrzeby, nie mącić sobie rozkoszy bezpośredniego czerpania w dziele tego, co w nim pozostało żywe i nieśmiertelne, trzeba ciągle mieć na pamięci genezę i sposób tworzenia tej przedziwnej historii. Poczęta została jako dalszy ciąg baśni o olbrzymach, spisanej przez nieznanego autora jedynie w celu zabawienia niewybrednych czytelników; baśń ta pod piórem Rabelais'go pęcznieje, rozrasta się w najrozmaitszych kierunkach: blaha jej treść staje się kanwą, na której pisarz haftuje do woli, bez planu, niczym nieskrępowany, dając upust swemu życiowemu doświadczeniu, erudycji, satyrze, ideałom, sympatiom i antypatiom. Obok szerokich i nieśmiertelnych koncepcji, mieszcza się aluzje do osób i wypadków sąsiedniego miasteczka, dziś niezrozumiałe i obojętne; obok świeżych i głębokich myśli, łatwe efekty wesołości, jaką współcześni musieli czerpać z tyłu a tyłu tysięcy łokci aksamitu zużytych na pludry młodego olbrzymka, tyłu a tyłu na czapkę etc. Nie zapominajmy, że sama część owej dziecinnej niemal fantazji, dla nas dziś najmniej interesująca, musiała stanowić dla współczesnego czytelnika wcale nie najmniejszy urok dzieła, a takie ustępy jak na przykład walka Pantagruela z olbrzymami mogły samą opisowością czarować tak, jak nas przejmował np. pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim. Rabelais nie gardzi tymi uciesznymi zabawkami, jednak bez śladu konsekwencji; co chwila zapomina o tym, że jego olbrzymi są olbrzymami i każe im w różnych okolicznościach działać jak zwyczajnym ludziom. Uprzytomnijmy sobie również, że dzieło to powstawało przez przeciąg lat dwudziestu, w dużych odstępach, jako zabawa i wytchnienie wśród poważnych i uczonych zatrudnień; że mogło się ciągnąć w nieskończoność, wedle tego, co sam autor żartobliwie powiada czytelnikom, aby wstrzymali się ze śmiechem aż do 78 części dzieła. Zarówno zabarwienie dzieła, jak i charakterystyka osób ulegają w miarę rozwoju pewnym, naturalnym w tych warunkach, przeobrażeniom. Już samo pojęcie pantagruelizmu inne jest w księdze I, a inne w następnych. Zrazu jest ono synonimem wesołości rozlewającej się szeroko przy pełnej misie i kielichu; z czasem — z latami autora — przechodzi w definicję pogodnego stoicyzmu, niejakiej wesołej filozofii, polegającej na wzgardzeniu rzeczy przygodnych. Tak samo osobistość Pantagruela i jego rasy olbrzymów, zrazu brana po prostu jako źródło efektów taniej wesołości, zmienia się później w obraz ideału monarchy, godności, statku i mądrej dobroci. Na każdym kroku spotykamy — niby geologiczne formacje — ślady powolnego, swobodnego narastania dzieła.

Te uwagi wydawały mi się niezbędne, raz aby zapobiec nieporozumieniu czytelników, którzy znęceni sławą wielkiego satyryka doszukiwaliby się i spodziewali znaleźć w jego dziele jednolitą, konsekwentną i przejrzystą satyrę w typie np. *Don Kiszota*; po wtóre aby uwolnić ich od próżnego i jałowego frasunku o wszystko, co w tym romansie dziś nam jest ciemne i niezrozumiałe. „Dzieci — powiada do swoich czytelników Rabelais — pijcie pełnym haustem. Jeśli wam nie smakuje, zostawcie... Wszelkie godne pijaki, przyszedłszy ku tej mojej beczce, jeżeli nie chcą, nie piją:



jeżeli chcą i wino przypada do smaku Wielmożnym gardzielom Ich Wielmożności, piją szczerze, swobodnie, śmiało, nic nie płacąc i nie oszczędzając trunku... Beczka pozostanie zasię niewyczerpana. Ma żywe źródło i żyłą wiekuiastą... choćby wam kiedykolwiek zdała się wyczerpana aż do fuzu, mimo to nigdy nie wyschnie. Dobra otucha mieszka w niej na spodku..." A gdzie indziej znowu: „więcej jest owocu i soku w tych błazeństwach niż o tym mniema gromada zapleśniałych nudziarzy, którzy twardszą mają mózgownicę na takie figielki niżli sam imć Rakiet z Instytutu”.

Istotnie, obfitą i niewyczerpaną jest ta dobroczynna beczka, z której czerpie już tyle wieków i pokoleń, a mocny i orzeźwiający jest jej trunek. Z jednym Szekspirem da się porównać szerokość i rozlewność Rabelaisowskiej fantazji; mimo wszystkich cech rdzennie galijskiego geniuszu jest w niej zarazem coś niefrancuskiego, zarówno w niedbałości o formę i o kompozycję, jak w niepohamowanym, nieskrępowanym niczym kipieniu bujności twórczej. W zwierciadle, jakie Rabelais stawia przed oblicze swojej epoki, odbija się krąg świata tak szeroki, jak mało u którego twórcy; odbija się cała epoka tak wspaniała i ciekawa, epoka narodzin nowożytnego świata, a raczej dwie epoki: jedna zamierająca, przepadająca w ciemnościach średniowiecza, druga radośnie i z nadzieją przęca się w przyszłość. Na cześć tej drugiej, na cześć rodzącego się wieku oświaty, wolności ducha, rozkwitu nauk, spotykamy w dziele Rabelais'go entuzjastyczne dytyramby, jak np. list Gargantui do syna lub pochwała „Pantagruelionu” kończąca księgę III.

Daleki jestem od manii szukania „symboli” we wszystkich wybrykach fantazji i pustoty Rabelais'go, ale mimo woli mieni się w symbol Odrodzenia ten opis, kiedy mały Pantagruel, przywiązany łańcuchami do kołyski, podnosi się wraz z nią i wkracza do biesiadnej sali, aby zająć miejsce przy uczcie:

„Tak go rozpętawszy, posadzono przy stole i podkarmiono należycie, on zaś, wyrznuwszy w złości pięścią w kołyskę, rozwalil ją jednym uderzeniem na więcej niż pięćset tysięcy kawałków, jakoby dając jawny znak, że nigdy do niej nie wróci” (ks. II, rozdz. IV).

Czytając Rabelais'go, niepodobna oprzeć się nieraz uczuciu zdumienia, do jakiego stopnia ten wesolek widział jasno przyszłą linię rozwoju świata, o ileż jaśniej i trafniej od myśliciela Montaigne'a! O ideały pedagogii, jakie on nakreślił, walczą do dziś dnia programy najpostępowszych uczelni. Błazeńska na pozór apologia długów (ks. III, rozdz. III i IV) zawiera głębokie zrozumienie przyszłego ustroju świata opartego na wzajemnym kredycie, organizacji i solidarności. A ten ustęp, czyż nie dość jasno domaga się procedury ustnej w sprawach cywilnych, którą dopiero po czterystu blisko latach, za naszej pamięci, wprowadzono:

„Ale Pantagruel rzekł: »Przeświatni sędziowie, żali ci, którzy wiodą ów proces ze sobą, są jeszcze przy życiu?« Na co odpowiedziano mu, że tak. »Po kiegoż tedy diabła, rzekł, zdadzą się te sterty papierów i szpargałów, które mi tu wtykacie? Czyż nie lepiej usłyszeć żywym głosem przedmiot ich sporu, niżli czytać te bazgroty, w których jest jeno samo tumanienie ludzi, diabelskie kruczki Cepoli i obchodzenie prawa?«” (ks. III, rozdz. X).

Rabelais jak nikt inny mógł być zwierciadłem swojej epoki. Był dzieckiem ludu, był mnichem, był lekarzem; w wędrówkach swoich zdeptał całą Francję i znaczną część ościennych krajów; poznał najzawilsze subtelnosci scholastyki i jej sztuki dialektycznej, zgłębił wiedzę humanistyczną i przyrodniczą. Obcował w towarzystwie najwykwintniejszych umysłów, najświetniejszych dworów; poznał arkana światowej

polityki i tajemnice Stolicy Apostolskiej; wchłonął w siebie ducha Reformy, otarł się o naukę Kalwina, którą jednak rychło z siebie otrząsnął; kazał, wykladał, tworzył; był sławny, igrał z niebezpieczeństwem Etośu. W istocie, z takiego życia wyciśnięty nektar „pogodnej filozofii, opierającej się na wzgardzeniu rzeczy przygodnych” inny ma smak i tęgość, niż kiedy go ostrożnie a skąpo destyluje ze swego kałamarza zawodowa literatura!

Filozofia Rabelais'go streszcza się w jednym słowie: kult życia, kult fanatyczny, radosny, taki, jak może być u człowieka, który po latach — jak jego epoka po wiekach — niewoli strząsnął z siebie dławiące jarzmo; kult życia rozkoszujący się pełnią rozwoju wszystkich ludzkich sił i instynktów: od najwyższych potrzeb ducha do najpospolitszych potrzeb ciała. Dzieło Rabelais'go to wyraz epoki całej, całej rodzącej się nowej kultury: bunt ciała przeciw poniżeniu i wzgardzie, w jakie wtrąciła je asceza średniowieczna, prowadząc w swoich najwarowniejszych fortecach tj. klasztorach do wprost przeciwnych ich uduchowionemu założeniu rezultatów; bunt ducha przeciw pętającym go więzom, bunt zdrowego chłopskiego rozumu przeciw alembikom jałowych subtelności i pustych kontrowersji scholastycznych, jakimi karmiono go od wieków. Dawnej pedagogii, dławiącej okrutnie umysły i ciała młodzieży, przeciwstawia Rabelais — uprzedzając w tym o kilka wieków dzisiejsze prądy wychowawcze — równowagę pracy umysłowej z hodowlą fizyczną; formalnej i pergaminowej wiedzy scholastycznej przeciwstawia — również w tym będąc zwiastunem późniejszych dążeń — badania żywego życia i przyrody.

Ta fanatyczna miłość życia ogarnia jednakim ojcowskim okiem wszystkie jego przejawy: dobry i szlachetny Pantagruel jednakowo miłuje i ceni towarzystwo Panurga, skończonego obwiesia, jak brata Jana, wcielenie rzeźkiego czynu i męskiej lojalności; ten sam szeroki śmiech ma dla bezecnej psoty wypłatanej przez Panurga damie paryskiej, co dla rozplątanych czaszek i brzuchów podziurawionych straszliwym drzewcem mnicha. Bo Rabelais, jak cała jego epoka, ma pewien rys okrucieństwa; a szeroka sympatia, jaką ogarnia całą żywą ludzkość, nie wznosi się aż do przywiązywania wagi do całości gnatów u jednostki. I nie mogło być inaczej; ten czas, który dziś, z oddalenia zdaje się nam idyllą rozkwitu sztuk i nauk, był w rzeczywistości przede wszystkim czasem nieustannych wojen, hord żołdackich przeciągających wśród mordu i łupieństwa, epoką ścierania się nieokiełzanych namiętności.

Naturalnym dopełnieniem tego umiłowania życia jest u Rabelais'go nienawiść do wszystkiego, co je dławi. Więc przede wszystkim do Sorbony, tej potężnej jeszcze twierdzy średniowiecza, kuźnicy teologii i scholastyki, do tej armii inkwizytorów szperającej w duszach i sumieniach. Tych nienawidzi Rabelais „gorzej morowej zaraży”, a nienawiść ta wzrasta z biegiem lat stokrotnie; i nic dziwnego: wobec widma zapalonego stosu kończy się już wszelki „pantagruelizm” i jego „wzgardzenie rzeczy przygodnych”, Rabelais nie był fanatykiem idei i nie miał najmniejszej ochoty wstąpić na stos jako męczennik swej wesołej filozofii; chciał jedynie móc pisać swobodnie i wedle ochoty, i to mu się dzięki jego niepospolitej zręczności, ostrożności i szczęściu udało.

Jak wspomnieliśmy, błędem byłoby omawiać jako jednolitą całość dzieło, które tworzyło się swobodnie i w długich odstępach czasu w ciągu lat dwudziestu. Zarówno w duchu, tendencji, zabarwieniu ideowym, jak i w wartości artystycznej poszczególnych ksiąg zachodzą znaczne różnice. W księdze I. *Pantagruela* znać jeszcze rodowód, jaki wie dzie z popularnej baśni o olbrzymach: obok ustępów przepysznej satyry współczesnego sądownictwa, dysput scholastycznych, obok rysującej się już świetnej figury Panurga, duże miejsce zajmuje pierwiastek baśni, długa historia wojny Pantagruela z olbrzymami etc. W drugiej chronologicznie części (*Gargantua*), widzimy

jakby zmęczenie, spotęgowanie się napięcia bardziej świadomej siebie twórczości. Opis wojny, który w *Pantagruele* był jedynie cczą zabawką dziecinnej fantazji, tutaj staje się wzorem niedoścignionej satyry.

Ileż razy w ciągu ubiegłych lat wojny światowej bawiłem się analogiami wydarzeń i charakterów; aktualności humoru Rabelais'go dowodzi, iż opozycyjne pisma niemieckie, dworując sobie chyłkiem ze zwycięskiego pochodzącego swego *Kaisera*, zamieszczały całe rozdziały kampanii króla Żółcika (I, 28 i n.). Wychowanie młodego Gargantui ogarnia kwestie pierwszorzędnej wagi; w całej pełni staje przed nami przepyszna postać bohaterskiego mnicha, brata Jana. W tych dwóch księgach, powstałych bezpośrednio jedna po drugiej, pełno jest ustępów wyraźnie zabarwionych sympatiami dla Reformy, a nawet wprost nauką Kalwina. Trzeba tu jednakże zauważyć, iż w owych latach (przed rokiem 1534) rozłam pomiędzy zwolennikami ortodoksji a wolnej myśli nie był jeszcze zarysowany tak stanowczo, jak to w najbliższym czasie miało nastąpić. Jest raczej chaos, są próby przeróżnych paktów, jest potężna tęsknota wszystkich oświeconych duchów do znalezienia jakiegoś punktu, w którym by dało się pogodzić uczucia religijne ze zdobyciami wiedzy i swobodą myślenia.

Król sam jest niezdecydowany: mówią o jego porozumieniu z protestantami niemieckimi. Na to przychodzą wypadki, które gwałtownie zaostrzają owe kontrowersje i zmieniają sytuację w sposób dla nowatorów wielce niekorzystny. Mowa tu o gwałtownych plakatach przeciwko mszy, rozlepionych w nocy z 17 na 18 października 1534 r. Walka wybuchła na całej linii: Sorbona odnosi smutne zwycięstwo, znaczące się szeregiem płonących stosów. Franciszek I zmuszony jest opowiedzieć się po stronie wojującego, prześladowczego katolicyzmu; następuje wyraźny rozłam: trzeba stanąć albo jako katolik przy królu, albo jako protestant przy Kalwinie. Do tego ostatniego Rabelais nie czuł najmniejszego powołania. Mógł on sympatyzować z ogólnym duchem Reformy, o ile ona niosła z sobą elementy wyzwalające, z tego jednak nie wynikało, aby miał się zamykać w nowym dogmatyzmie; zwłaszcza pogodna jego filozofia nie mogła się pomieścić w ponurym kościele Kalwina. Wolał zatem wykreślić z pierwszych dwóch ksiąg to, co w nich było najbardziej drażniące, a co do reszty uciec się pod opiekę króla. Zauważyć należy, iż największym zgorzaniem dla obozu katolików było nie to, co dziś nas może najbardziej w nich razić: przeciwnie, największe rozpasania języka przechodziły bez wrażenia, do tego tonu przyzwyczała literatura średniowiecza: natomiast proste np. wzmianki o czytaniu Biblii, gęste cytaty ze św. Pawła, mogły ściągnąć na pisarza poważne niebezpieczeństwo. Bardzo być może, iż w epoce owej, szczególnie niesprzyjającej śmielszemu poruszeniu tematów o szerszym zakroju, należy szukać wytłumaczenia okoliczności, iż w trzeciej księdze swego dzieła Rabelais zasklepia się niemal wyłącznie w żartobliwej gawędzie — co prawda iskrzącej się najprzedniejszym i niewyczerpanym humorem — na temat małżeńskich aspiracji Panurga i dręczących go wątpliwości, dla których na próżno szuka rozwiązania.

I tutaj zresztą, jak gdzie indziej, znajdujemy w dziele Rabelais'go wyraz i odbicie potężnych prądów nurtujących jego epokę: spór o kobiety i małżeństwo, to kwestia, która w przededniu wojen religijnych (od r. 1540–1555 mniej więcej) rozpała umysły w całej Francji i jest przedmiotem obszernej literatury. Rabelais ze swym temperamentem urodzonego polemisty nie mógł nie wmieszać się w wir tych utarczek myślowych. Tematem tym wypełnił większą część rozdziałów trzeciej księgi: niektóre prawdopodobnie wprost stanowią parodię współczesnych pism przystępujących z całym aparatem uczości do tego śliskiego tematu. Rabelais opracował go na swój sposób, ale zarazem na sposób godny kwestii, tj. nieśmiertelny. Z tej części jego dzieła obficie w półtora wieku później będzie czerpał Molière; w trzy wieki

później Balzac, którego *Fizjologia małżeństwa* jest jakby świetną wariacją na temat starego mistrza. Mówiąc o księdze trzeciej, niepodobna nie wspomnieć tu nieoszacowanej historii sędziego Pletewki rozstrzygającego procesy wedle rzutu kości: jako — arcydzieło delikatnej i dobrotliwie uśmiechniętej satyry, ustęp ten nie ma sobie równego w literaturze. W trzeciej też księdze — może pod wpływem wdzięczności dla króla — postać Pantagruela z konwencjonalnego poniekąd olbrzymia urasta do ideału mądrej i ojcowskiej władzy monarszej.

Odmienny zupełnie charakter posiada księga IV. Przede wszystkim stwierdzić w niej należy obniżenie wartości artystycznego wyrazu. Trudno się dziwić zresztą, iż pióro sześćdziesięcioletniego starca nie zdołało wydobyć z siebie tej samej pełni, tej samej kipiącej i żywiołowej werwy. I czasy zmieniły się zresztą. Lata, w których Rabelais tworzył pierwsze swoje księgi, były we Francji epoką jakiegoś cudownego wprost powszechnego upojenia, radosnego oczekiwania i nadziei, najwyższego spotęgowania żywotności fizycznej i duchowej. W ich miejsce przychodzą lata posępnych i nieubłaganych walk i nienawiści, okrutnych prześladowań i obustronnego fanatyzmu. Trudno o dawną bez troskę i pogodę duszy. O ile w stosunku do swoich dawnych przeciwników Rabelais bawił się wprzód raczej i jeśli w nich godził, to ostrzem niezatrutym, o tyle teraz walczy: odważnie, choć z rozważą szermierza, którego nieostrożność może kosztować życie. Z naszego punktu widzenia cierpi na tym niewątpliwie artystyczna wartość utworu; z żalem widzimy, iż miejsce satyry tryskającej swobodnie i rozlewającej się szeroko zajmują zimne i formalistyczne alegorie. Ale współcześni patrzyli na te rzeczy zapewne inaczej i to, co dziś obniża wartość tej księgi jako dzieła sztuki, może czyniło z niej tym sprawniejsze narzędzie w ukropie walki. Słusznie powiada w tym przedmiocie jeden z biografów pisarza: „Wiele z tych żartów postradało swoją sól: a to iż nikt dziś nie zagraża wolności naszego myślenia. Zażywamy w spokoju dziedzin, zdobytych przez naszych ojców. Oręż, którymi oni się posługiwali, leżą obecnie na ziemi i drzemią pokryte rdzą wieków. Potrącamy je nogą z lekceważeniem: zdają się nam ciężkie, i przestarzałe. Ale trzeba było widzieć ich błysk w walce, wówczas kiedy głupota zatruwała świat i kiedy owi pogromcy potworów czyścili rolę, na której my dziś siejemy<sup>3</sup>...”.

W księdze IV Rabelais ostrzej niż kiedykolwiek występuje przeciw Sorbonie, *Papimanom* etc, już nie w mimochodem zadawanych sztychach i cięciach, ale w otwartej potyczce. To, że w tym momencie odważa się na to, dowodzi, iż bardzo snadź czuje się pewnym poparcia nowych protektorów, a przede wszystkim samego króla, którego polityce w tej chwili mogły być po myśli wycieczki Rabelais'go w stronę papieżstwa, a zwłaszcza ustęp o złocie tak subtelnie wyciąganym z Francji magiczną siłą *Dekretaliów*. Rozliczne wędrówki Pantagruela i jego towarzyszków opisane w tej księdze są echem współczesnego pędu i zapału podróżniczego, raz po raz przynoszącego wieści o nowych nieznanach krajach otwierających szerokie horyzonty śmiałym żeglarzom. Wiele szczegółów, które dziś wydają nam się bezbarwne i blahe, dla ówczesnego czytelnika były wysoce interesujące przez swoje wiadomości przyrodnicze: tak np. walka z physeterem jest ścisłym opisem polowania na wieloryby. Niektóre znowuż rozdziały, zwłaszcza w księdze V, stanowią dobrotliwą satyrę na łgarstwa podróżnicze, dla których współczesna łatwowierność i brak kontroli naukowej szerokie otwierały pole. Dla dzisiejszego czytelnika księga ta przedstawia oczywiście znacznie mniejszą wartość niż poprzednie.

Pozostaje księga V. Ukazała się ona w roku 1564, w dwa lata blisko po śmierci pisarza. Nie jest rozstrzygnięta ani podobna do rozstrzygnięcia, o ile i w jakim stopniu jest ona autentycznym dziełem ręki Rabelais'go. Można przypuszczać, iż zostawił on

<sup>3</sup>Wiele z tych żartów (...) siejemy — [cyt. za:] Millet, *Rabelais*.

do niej przynajmniej materiały, które z ową bezceremonialnością, z jaką obchodzono się w owych czasach z dziełem literackim, obca jakaś ręka obrobiła, uporządkowała i zaokrągliła w całość. W tej księdze tym bardziej znaczy się zachód twórczości i wewrwy pisarza; pośród nieskończonych opisów, nużących alegorii, ledwie ten lub ów szczególnie pozwala rozpoznać lwi pazur. Czy samo zakończenie ostatniej księgi wraz z wyrocznią „boskiej Flaszy” jest pióra Rabelais'go, nie wiadomo; raczej należałoby o tym powątpiewać.

Swoistą cechą i zasadniczą odrębnością satyry Rabelais'go — biorąc pod uwagę okres pełni jego siły twórczej — jest to, iż podłożem jej jest wesołość. Nie ma w nim nic pesymizmu, jaki tkwi tak często na dnie wszelkiej satyry; nic z żółci, nic z niezycziwego ostrowidztwa upośledzonych i niezdatnych do życia. W dziele jego rozbrzmiewa głośny, zdrowy śmiech, będący sam dla siebie celem i sam dla siebie sztuką, wesołość jego płynie szerokim, rozlewnym korytem, unosząc na swej fali z jednaką beztroską tani kalambur, niedorzeczne spiętrzenie epitetów, sprośne wyzwiska, jak głębokie satyryczne błyski i — subtelną grę intelektu. Satyra Rabelais'go jest dobrotliwa, bezosobista, bezkrwawa; z wyjątkiem znieawidzonej zmory zakutanych świętoszków, kretów, „ludzi zagląających przez szparki” nie skaleczy ona nikogo: raczej obejmuje wszystko, niby wspólnym płaszczem, swą dobrotliwą filozofią, streszczającą się w wywodzie Panurga: „Cały świat jest szalony...” Uroczą i mądra pustota Rabelais'go nabiera jeszcze przedniejszego smaku przez to, iż pisarz zaprawia ją nieustannie swą bezprzykładną erudycją: zdawać by się mogło istotnie, iż po to jedynie potknął i strawił całą wiedzę swego czasu, aby strawiwszy... ale nie dajmy się unosić obrazom i porównaniom nazbyt Rabelais'owskim. Bardzo zabawny jest stosunek Rabelais'go do tejże erudycji: z jednej strony drwi sobie z niej, rzucając zazwyczaj olbrzymi ciężar cytatów i komentarzy po to jedynie, aby tym niżej przechylić szalę ludzkiej głupoty — z drugiej strony lubuje się nią, nie umie się oprzeć pokusie roztaczania jej w swoim dziele przy każdej sposobności:

„Co się tyczy pludrów, to moja cioteczna babka Laurencja mówiła mi niegdyś, iż istnieją jedynie dla saczka z rozporkiem. Wierzę temu dla podobnej racji, z jaką dowodzi nam ów wdzięczny figlarz Galen, lib. IX. *O pożytku naszych członków*, iż głowa stworzona jest dla oczu. Natura bowiem byłaby mogła umieścić je na kolanach albo na łokciach; ale przeznaczając oczy do dalekiego widzenia, umieściła je na głowie niby na tyczce, na samym szczycie ciała: jako widzimy latarnie morskie i wysokie wieże wzniesione w portach morskich, iżby latarnia mogła być widziana z daleka”.

Takich dwoistości spotykamy u Rabelais'go więcej: tak np. drwi sobie nielitościwie ze scholastyki, a mimo to wycisnęła ona na kształtowaniu się jego umysłowości silne piętno; ściga szyderstwem swoim mnichów, wszelako — jak słusznie zauważa w doskonałej swej książce Stapfer — szyderstwo to nie jest pozbawione pewnej dobrotliwej dla pulchnych ojcaszków czułości.

Jednym z nieodpartych środków Rabelais'go dla wywołania wesołości jest wyolbrzymianie wrażenia przez natłoczenie szczegółów. Kiedy wylicza gry, w jakie bawił się Gargantua, wymienia ich 215; kiedy nam opowiada, jak piekarze zelżyli czeladź zbierającą wino, nie poprzestaje na zakomunikowaniu faktu, lecz przytacza dwadzieścia dziewięć obelżywych epitetów. Toż samo mówiąc o Diogenesie i jego becze, wylicza 64 ćwiczenia, jakim się oddawał itd., bez końca. Natłoczenie to, czasem dziecinne, czasem posiada nieporównaną siłę obrazową: czyż w niezliczonej ilości gier młodego Gargantui lub zabaw kwitnących w domu pana Busia nie odbija się

cudownie owo gigantyczne szlacheckie walkonienie się w słodyczach wiejskiej egzystencji bez troski i bez myśli? Czasem znów to nagromadzenie, natłoczenie słów, określeń, przymiotników, zrazu mdłe i nudne, potem, siłą swego rozpędu, zaczyna działać upajająco, musuje jak wino: tak, bo to język francuski, tworzący się na nowo w tej kipiącej lawie, upija się własnym świeżym bogactwem, pręży się niby atleta, próbujący sprawności swych mięśni. Do kształtowania się języka Rabelais przyczynił się jak mało kto inny: Całą swą olbrzymią erudycję filologiczną oddaje na jego usługi; wtlacza weń legiony słów greckich i łacińskich; wzbogaca go wszystkimi dialektami, narzeczami, jakie poznał dokładnie w ciągu lat swojej włóczęgi. Ciekawym niezmiernie jest słowniczek załączony do IV księgi Pantagruela pt.: *Briefve declaration d'aucunes dictiones plus obscures contenues on quatriesme livre des faits et dicts heroiques de Pantagruel*<sup>4</sup>. Słowniczek ten zawiera objaśnienie niezrozumiałych słów, z których wiele zostało w niedługi czas potem najzupełniej przez język strawionych, jak: *mitologia, katastrofa, mizantrop, sarkazm, kategoriyczny, symbol* etc., etc. Ta różnorodność elementów, z jakich Rabelais stapał swój język, czyni go bezwarunkowo najtrudniejszym z pisarzy francuskich tej epoki, a słownik do jego dzieła pisany dla Francuzów, dochodzi rozmiarów sporej książki<sup>5</sup>.

Na zakończenie kilka słów o polskim wydaniu dzieła. Jest ono zupełne; czasem tu i ówdzie tłumacz pozwolił sobie skreślić jakąś zwietrzałą aluzję, wymagającą nieproporcjonalnie do swej błahości obszernego komentarza, poza tym jednak oddajemy dzieło do rąk polskiego czytelnika w całości. Wszelkie skróty, wszelkie przykrawania odebrałyby Rabelais'mu to, co jest jednym z jego uroków, tj. szeroki oddech i wdzięk swobodnej gawędy, która, jak to bywa w kompanii przezacnych opilców, czasem różnym, iskrzącym się, to znów mdłym i ospałym idzie tempem. Czytelnik, który za przyjaźni się z tym przemądrym, choć tak dobrodusznym gawędziarzem, sam podejmie ten trud, aby oddzielić stronicę, do których chętnie od czasu do czasu powróci, od tych, które straciły już swój smak i życie. Również — mimo szczerzej przykrości, jakiej tłumacz doznawał nieraz przekładając na nasz język potworne często wybryki Rabelais'owskiej muzy — wydało mu się niemożliwym wszelkie „oczyszczanie” Rabelais'go i ubieranie w figowy listek jego dziecięcej nagości. Ta orgia sprośności, grubych słów, wyszukanych kłąt, soczystych opowiastek, nie jest na dziele pisarza przygodną narością; przeciwnie, jest jego integralną częścią, jest potężnym ulżeniem sobie renesansowego człowieka znużonego zbyt długim wiekowym przebywaniem w pałacach pani Kwintesencji. Można się gorszyć, krzywić, rumienić; ale nie można tu nic naruszyć, nie pozbawiając samego dzieła rozmachu i jędrności wyrazu. Jak dalece są one zrośnięte z sobą, może posłużyć za przykład odpowiedź poety Villona królowi angielskiemu (IV, 67), jeden z wspanialszych w literaturze świata wyrazów poczucia dumy narodowej.

Tajemnicą czytania dzieł Rabelais'go jest, aby je czytać z tą samą beztróską, z jaką były pisane. Nie za wiele dociekać, nie trapić się o to, czego się nie rozumie, i wysysać ze smakiem ten „szpik”, o którym pisarz powiada, iż mieści się w jego dziele. Nie jest to zresztą, niewątpliwie, lektura dla wszystkich. W całej pełni smakować w niej mogą bodaj tylko mężczyźni i to, o ile mogłem się przekonać, jedynie *najkulturalniejsi*. Wobec wspomnianych już a potwornych nieraz swobód językowych Rabelais'go,

<sup>4</sup>*Briefve (...) Pantagruel* — Krótkie wytłumaczenie niektórych ciemniejszych wyrażeń zawartych w czwartej księdze bohaterских czynów i rzeczeń Pantagruelowych.

<sup>5</sup>*Język czyni go (...) najtrudniejszym z pisarzy francuskich tej epoki (...) słownik do jego dzieła pisany dla Francuzów (...) rozmiarów sporej książki* — Istnieje przekład Rabelais'go na nowoczesny język francuski pt. *Rabelais moderne*, ale wydawnictwo to, niedbałe i pełne dowolnej interpretacji, nie przynosi zaszczytu pietyzmowi wydawców, nie mówiąc już, ile na tym zmodernizowaniu traci samo dzieło smaku i wyrazu.

brzmi to cokolwiek paradoksalnie; cóż robić, taki jest już kaprys prawdy, że z równym uporem gnieździ się w paradoksach, co stroni od utartych pojęć. To pewna, iż trzeba wysokiej kultury umysłowej i literackiej, aby pod tą rubaszną powłoką wpół średniowiecznego mnicha, umieć wyczuć cały wykwint najprzedniejszego humanizmu.

Słowo jeszcze co do komentarza. Względy praktyczne nie pozwoliły zbyt rozszerzać tej części wydawnictwa; trzeba było ograniczyć się do tego, co konieczne. W układzie komentarza wytyczną linią był wzgląd nie tyle na erudycję, ile na czytelnika, któremu należało dostarczyć tego, co niezbędne dla swobodnego obracania się w trudnościach tekstu. Zresztą jak słusznie zauważono, te właśnie ustępy dzieła Rabelais'go, które najbardziej pozostały do dziś żywe i zajmujące, najmniej wymagają komentarzy i najlepiej się bez nich obchodzą.

W pracy niniejszej tłumacz posługiwał się następującymi wydaniem pism Rabelais'go:

Pomnikowe wydanie krytyczne pod redakcją Abła Lefranc (Paris 1913), którego to wydania w chwili dokonywania przekładu ukazały się dopiero dwa tomy (księga I).

Wydanie Marty-Laveaux (Paris 1870) tomów 6.

Wydanie z r. 1835 (Paris, Ledentu) z doskonałym i wielostronnym słownikiem.

Wydanie Louis Moland (Paris, Garnier frères).

W układzie komentarza, obok innych prac, znaczne usługi oddało doskonale niemieckie wydanie dzieł Rabelais'go w przekładzie Gottloba Regis, nowo opracowane przez Wilhelma Weigand (München und Leipzig, bei Georg Müller 1911).

Kraków, marzec 1914.

## KSIĘGA PIERWSZA

ŻYWOT WIELCE PRZERAŻLIWY WIELKIEGO GARGANTUI,  
OJCA PANTAGRUELOWEGO, NIEGDY SKOMPONOWANY PRZEZ  
MISTRZA ALKOFRYBASA<sup>6</sup>, ABSTRAKTORA PIĄTEJ ESEN-  
CJI.

## KSIĘGA PEŁNA PANTAGRUELIZMU<sup>7</sup>

Do czytelnika

*Przyjacielu, coś jął się tej Księgi,  
Wszelki smutek chciej rozpędzić z czoła,  
I czytając, nie gorszyć się zgoła:  
Zła tu nie masz ni szpetnej mitregi.  
Choć nauczyć niewiele was zdoła,  
Jeno śmiechu da nieco czasami;  
To lekarstwo najlepszym się zda mi  
Na zgryzotę, co sercu dopieka:  
Lepiej śmiechem jest pisać niż łzami,  
Śmiech to szczere królestwo człowieka.*

Żyćcie w weselu!

## PRZEDMOWA AUTORA

Opilce bardzo dostojne i wy, wielce znamienite przymiotniki<sup>8</sup> (wam bowiem, a nie inszym poświęcone są pisma moje), słuchajcie! Owóż w dialogu Platona zamianowanym *Uczta*, Alcybiades, sławiąc swego nauczyciela Sokratesa, bez sprzeczek książęcia filozofów, wśród innych słów powiada o nim, iż był podobny sylenom. Syleny były to niegdy małe puzderka, takie jak widzimy dzisiaj w kramach aptekarzy, pomalowane z wierzchu w ucieszne a trefne figurki, jako to harpie, satyry, gąski, zające rogate, osiodłane kaczkę, kozły latające, jelenie srokate i inne takie malowidła przedstawione uciesznie, aby ludzisków pobudzić do śmiechu, jako był zwykł Sylen, nauczyciel dobrego Bachusa: zasię we wnętrzu zamykano tam zmyślne lekarstwa, jako to balsamy, ambry, amomon, muszkat, zywety, szlachetne kamienie i insze kosztowne rzeczy. Takim ów Alcybiades mienił być Sokrata; ile że patrząc nań z wierzchu i sądząc z zewnątrz kształtu, nie dalibyście zań ani łupiny z cebuli, tak był szpetny z członków i pocieszny z postawy: nos szpiczasty, spojrzenie jakoby u byka, oblicze, rzekłbyś, głupka, grubaśny w obyczajach, niechlujny w odzieży, ubogi w dostatki, niefortunny u płci białej, niezdatny do publicznych urzędów; zawsze pośmiechujący się, zawsze przepijający do każdego pełną miarką, zawsze wykręcający się sianem, zawsze tający swoje boskie rozumienie. Ale otwarłszy one puzdro, naleźlibyście wewnątrz niebiański i nieopłacony specyfik, pojęcie więcej niż ludzkie, przedziwną cnotę, nieomylną

<sup>6</sup>*Alkofrybas Nasier* — pseudonim używany przez Rabelais'go, jest ścisłym anagramem jego imienia i nazwiska.

<sup>7</sup>*Księga pełna pantagruelizmu* — Obecność słowa „pantagruelizm” w tytule *Gargantui* jest jednym z poważnych dowodów na poparcie zapatrywania, przyjętego niemal ogólnie, że księga *Gargantui* chronologicznie późniejsza jest od księgi I *Pantagruela*. Samo pojęcie „pantagruelizmu” — zrazu oznacza w ustach autora szeroką wesołość i grube używanie, później stopniowo oczyszcza się, szlachetnieje i staje się synonimem pewnego pogodnego stoicyzmu. Sterne, który w swoim *Tristramie Shandy* nieustannie czerpie z Rabelais'go, tworzy pojęcie *shandeizmu*, będące jedynie wtórnym odbiciem pantagruelizmu.

<sup>8</sup>*przymiot* — syfilis, fr. *verole*; [*przymiotnik*: syfilityk; Red. WL].



pewność, niepojętą wzdargę wszystkiego tego, dla czego ludzie tyle czuwają, biegają, pracują, żeglują a borykają się.

Ku czemu, wedle waszego mniemania, mierzy owa przegrywka i ono wymacywanie? Ku temu, iż wy, moi mili uczniowie i niektóre inne pomyleńce, czytając ucieszne nadpisy niektórych ksiąg naszego wymysłu, jako to *Gargantua*, *Pantagruel*, *Trąbiflaska*, *Dostojęństwo rozporka*, *O grochu ze słoniną cum commento*, sądźcie nazbyt łącno, iż wewnątrz rzecz stoi jeno o błaznowaniach, figielkach i łgarstwach uciesznych: ile że zewnętrzne godło (to jest tytuł), bez inszego pogłębiania wyklada się zazwyczaj ku śmiechowi a trefności. Wszelako nie przystoi z taką letkością oceniać dzieło człowieka: toć sami powiadacie, że *habit nie czyni jeszcze mnicha*, i ten lub ów, chocia odziany mniszym kapturem, może być wewnątrz bardzo daleki od mnichostwa; toż inny może mieć na grzbiecie hiszpański płaszczyk, zasię co do swego męstwa, zgoła nie z Hiszpanii się wiedzie. Owo dlaczego trzeba otworzyć tę księgę i pilnie zważyć, co w niej jest wywiedzione. Wówczas poznacie, że kordiał zawarty wewnątrz cale in-szej jest wartości niż to, co zwiastowało puzdro: to znaczy, iż roztrząsane materie nie są tak bardzo płocze, ile to sam nadpis obiecywał.

A przypuściwszy nawet, iż w dosłownym rozumieniu, najdziecie tu dość materii cale uciesznych i dobrze wiernych swojemu nadpisowi, to i wówczas nie należy dać się temu omamić, jakoby śpiewom syrenim; jeno w wyższym rozumieniu wykladać sobie to, co zrazu zdawałoby się rzeczone z pustej jeno wesołości. Zdarzyło się wam kiedy odkorkowywać jaką butelczynę? *Prosit!* Owo przywieźcie sobie na pamięć zachowanie wasze przy tej czynności. A widzieliście kiedy psa, gdy mu popadnie na drodze w łapy kość ze szpikiem? Oto, jak powiada Platon w księdze II *de Rep.*, zwierzę najbardziej filozoficzne pod słońcem. Jeśliście widzieli, mogliście zauważyć, z jakim nabożeństwem on ją obchodzi, jak czujnie jej strzeże, jak chciwie dzierży, jak baczenie ją napoczyna, jak chytrze kruszy i jak pilnie wysysa. Co każe mu tak czynić? Jaką nadzieję żywi w tej pilnej pracy? Co mniema osiągnąć? Nic, jeno trochę szpiku: prawda, że ta *trocha* rozkoszniejsza tu jest niż *wiele* w innych rzeczach, jako że szpik jest to pożywienie najdoskonalej ze wszystkich wypracowane przez naturę, o czym powiada Galenus, III, *Facult. nat. i XI, de Usu partium*.

Za przykładem tego zwierza przystoi wam owa roztropność, abyście umieli węszyć, czuć i oceniać owe piękne księgi, suto kraszone omastą, niewinne a zwinne, celne a strzelne. Później zasię przez pilne wgłębianie się a baczne rozmyślanie uda się wam skruszyć kość a wyssać posilny szpik, czyli to, co rozumiem przez one pitagorejskie symbole, w nadziei iż jesteście dość bystrzy a sposobni do takiego czytania: wówczas cale inny smak w nim najdziecie i bardziej wysoką wiedzę, która wam objawi co nieco o bardzo wysokich sakramentach i przeraźliwych misteriach, tak co się tyczy naszej religii, jak również polityki i życia społecznego.

Czy wy naprawdę sumiennie mniemacie, iż kiedykolwiek Homer, pisząc Iliadę i Odyseję, miał na myśli owe alegorie, w jakie go ustroili Plutarch, Heraklides poncki, Eustatius, Phornutus, i to co z nich ukradł Policjan? Jeżeli tak mniemacie, nie zbliżacie się ani rękami ani nogami do mego mniemania; ja bowiem sądzę, iż tak samo nie śniło się o nich Homerowi, jak Owidiuszowi w jego *Metamorfozach* nie śniło się o tajemnicach Ewangelii, co niejaki brat Obzora<sup>9</sup>, szczery liżypólmisek, wysilał się dowieść, skoro zdarzyło mu się spotkać tak głupich jak on sam, niby (powiada przysłowie) pokrywę godną garnka.

Jeżeli w to nie wierzycie, dla jakiej przyczyny nie mielibyście uczynić tak samo z tymi ucieszными i nowymi kroniczkami, mimo iż, dyktując je, nie więcej myśla-

<sup>9</sup>brat Obzora — Dominikanin, Tomasz Walleys, który komentował Metamorfozy Owidiusza, wyciągając z nich rzekome głębokie nauki moralne i zestawiając je z historiami z Pisma św.

lem o tym niż wy, którzy oto popijacie nie gorzej ode mnie. Na układanie bowiem tej wspaniałej książki nie więcej obróciłem czasu, ani też nie inny, jak tylko ten, który był przeznaczony ku pokrzepieniu ciała, to znaczy kreśliłem je, pijąc a jedząc. Owo też jest to właściwa pora do spisywania owych wysokich materii a głębokich nauk, jako to dobrze umiał czynić Homer, zwierciadło wszystkich uczonych w piśmnie, i Eneasz, ojciec poetów łacińskich, o czym zaświadcza i Horacy, mimo iż jakiś ciemnięga powiedział, że pieśni jego więcej trącą winem niż oliwą.

Toż samo powiada pewien mądrała o moich księgach; wszelako us...ać się na niego. Ha! o ileż zapach wina więcej jest luby, śmiejący, kuszący, o ileż bardziej niebiański a rozkoszny niż zapach oliwy! I tyleż będę szukał w tym chluby, aby mówiono o mnie, iż więcej wydaję na wino niż na oliwę, ile jej doznawał Demostenes, kiedy mówiono o nim, iż więcej wydaje na oliwę niż na wino. Co do mnie, znajduję w tym jeno cześć i chlubę, kiedy o mnie powiadają, iż jestem tęgim bibułą i dobrym kompanem: z tego też tytułu jestem mile widziany w zacnej kompanii Pantagruelistów. Demostenowi zarzucał jakiś zrzęda, iż jego mowy trąca jakoby zgrzebnym płótnem plugawego a brudnego wózka na oliwki. Dlatego wykładajcie wszystkie moje słowa i uczynki jak najdoskonalej, miejcie w estymie ową serowatą mózgownicę która was pasie tymi pięknymi kosałkami-opalkami i ile tylko sił starczy, dzierzcie mnie i siebie w nieustannej pogodzie a wesołości.

Owo tedy radujcie się, mili barankowie, i wesoło czytajcie resztę, z uciechą dla ciała, a pożytkiem dla lędźwi. Hoc, hoc, mili kmoterkwowie, a żeby wam w gardle nie zaschło. Kto z brzegu, niech przepije do mnie, a ja puszcze dzbanuszek w kolej jak przystało.

## I. O GENEALOGII I STAROŻYTNOŚCI RODU GARGANTUI.

Ku poznaniu genealogii i starożytności rodu, który wydał nam Gargantuę, odsyłam was do wielkiej kroniki pantagrueliańskiej<sup>10</sup>. Z niej dowiecie się obszerniej, w jaki sposób olbrzymy zrodziły się na tej ziemi i jako z tych w linii prostej począł się Gargantua, ojciec Pantagruela. Owo niechaj was nie mierzi, iż na razie pominę te sprawy, mimo iż rzecz jest taka, że im szerzej by ją rozprowadzić, tym więcej udalaby się Waszym Wielmożnościom, jako zaświadcza autorytet Platona, *in Philebo et Gorgias*, i Flakka<sup>11</sup>, który powiada, iż niektóre gawędy (a ta jest niewątpliwie w ich rzędzie) tym bardziej są ucieznie, im częściej się je powtarza.

Dałby Bóg, aby każdy znał tak pewnie swą genealogię od arki Noego aż do naszych czasów! Tak rozumiem, iż wielu jest dziś na ziemi cesarzów, królów, diuków, książąt i papieży, którzy wiodą się od niejakich bosiaków i chamów. Jako znów na odwrót wielu jest dziś dziadami w przytułkach, w nędzy i plugastwie, którzy poczęli się ze krwi i z rodu wielkich królów i cesarzów; zważywszy zadziwiające przeobrażenie królestw i mocarstw:

Asyryjskiego w Medyjskie, Medyjskiego w Perskie, Perskiego w Macedońskie, Macedońskie w Rzymskie, Rzymskiego w Greckie, Greckiego we Francuskie.

Aby zaś wam dać wyobrażenie o mnie, który tu mówię, to mniemam, iż pochodzę od jakiego bogatego króla albo księcia dawnych czasów. Nie zdarzyło się wam pewnie spotkać człowieka, który by większą ode mnie miał ochotę zostać królem albo bogaczem: żyć sobie suto, nie pracować, nie kłopotać się i dobrze opatrywać swoje

<sup>10</sup>*kronika pantagrueliańska* — Satyra na współczesnych fabrykantów kronik, którzy genealogię królów francuskich doprowadzali dokładnie do Adama i Ewy. Autor odsyła czytelnika do genealogii olbrzymów, zamieszczonej w I księdze Pantagruela, jako do rzeczy już znanej.

<sup>11</sup>*Flakkus* — Horacy; *Ars poet.*, 362: *Haec placuit semel: haec decies repetita placebit.*

przyjacioły i wszelkie godne a uczone ludzie. Ale tym się pocieszam, że na tamtym świecie otrzymam to wszystko, ba nawet więcej niżbym obecnie śmiało pragnąć. Zaczem i wy taką albo i lepszą nadzieją krzepcie się w niedoli i pijcie smacznie, jeżeli macie co.

Wracając do materii, powiadam wam, iż, dzięki szczególnej łasce niebios, zachowała się nam genealogia starożytnego rodu Gargantui, bardziej zupełna niż jakakolwiek inna, z wyjątkiem Mesjaszowej, o której nie mówię, jako iż mi to nie przystoi; toteż diabły (to jest świętoszki i okapturzone lby) sprzeciwiają się temu. A znalazł ją niejaki Jan Odo<sup>12</sup>, na swej łące w podległości Galeńskiego wzgórza, poniżej Oliwy, idąc ku Narsaj. Tam, gdy kazał kopać rowy, trafił rydel kopiących na wielki sarkofag z brązu, długi bez miary: tak, iż nie znaleźli jego końca, szedł bowiem daleko aż poza słuzy Wienen. Skoro go otworzyli, wówczas, w pewnym miejscu, w którym był wyryty i wyobrażony kubek, dokoła zaś niego wypisane było etruskimi głoskami: *Hic bibitur*, znaleźli dziewięć faszerek w takim porządku, w jakim ustawia się kręgle w Gaskonii. Ta, która była w środku, mieściła dużą, tłustą, pękatą, omszoną, zmurszałą książeczkę, silniej, ale nie wdzięczniej woniejącą niż róże.

W tej znaleziono rzeczony rodowód, wypisany kursywą, kaligraficznym pismem, nie na papierze, nie na pergaminie, nie na wosku, ale na korze wiąz. Tak wszelako litery były zużyte od starości, iż ledwie można było rozpoznać trzy obok siebie w rzędku.

Zaczem przywołano tam i mnie (choć tak niegodnego); i zużywszy wielki zapas szkiele, posługując się sztuką, za pomocą której da się czytać niewidoczne litery, o czym poucza Arystoteles, wyłożyłem je, jak to ujrzyte, pantagruelizując po trosze, to znaczy przepijając do smaku i czytając o niesłychanych czynach Pantagruela. Na końcu książeczki znajdował się traktacik, zaintytułowany *Fidrygałki faszzerowane*. Szczury i mole albo (abym zaś nie skłamał) inne złośliwe bestie, nadżarły sam początek: resztę zamieściłem poniżej, przez cześć dla starożytności.

## II. FIDRYGAŁKI FASZEROWANE, ZNALEZIONE W STAROŻYTNEJ BUDOWLI<sup>13</sup>

= się gdy Cymbrów pogromca<sup>14</sup> na leże  
: : był powietrzem (przed rosą z obawy)  
= : ! go przybyciem napełniono dzieże<sup>15</sup>  
Świeżutkim masłem kapiącym do stawy;  
= órem gdy macierz jego się zmasała,  
Zakrzykła głośno: «Przez litość, chwytajcie,  
Bo broda jego spaćkana już cała,  
Albo przynajmniej drabinkę mu dajcie».

<sup>12</sup>Jan Odo — Jean Audeau, prawdopodobnie jakiś sąsiad albo dobry znajomy Rabelais'go.

<sup>13</sup>*Fidrygałki faszzerowane, znalezione w starożytnej budowlu* — Żaden z pewnością ustęp dzieła Rabelais'go nie był obficie komentowany niż owe sławne *Fanfreluches antidotées*. Dawne wydanie Rabelais'go zwane *Edition variorum*, które stanowi istną orgię komentatorstwa, poświęca mu nie mniej niż 27 stron druku, przy czym każdy najdrobniejszy szczegół ma swoje wytłumaczenie. Tymczasem zdaje się niewątpliwą rzeczą, iż Rabelais, wydrwiwając w tym rozdziale ciemne proroctwa i alegorie, ulubione średniowiecznej literaturze, rozmyślnie dał swoim „Fidrygałkom” jedynie pozory jakiegoś głębokiego sensu, którego w istocie nie mają. Przytoczymy tu choć główne punkty rzekomej interpretacji tego poematu z przyczyny interesu historyczno-literackiego, jaki mogą one mieć dla ciekawych czytelników.

<sup>14</sup>*Cymbrów pogromca* — papież Juliusz II, który upokorzył Wenecjan. Aby Anglików skłonić do wojny przeciw Francji, wysłał im galereę naładowaną greckimi winami, szynkami i serem.

<sup>15</sup>*się gdy Cymbrów (...) dzieże* — Uzupełnienie szkody wyrządzonej przez szczury jest bardzo łatwe: „Zasię gdy Cymbrów (...)/ Przybył powietrzem (...)/ Z jego przybyciem napełniono dzieże”.

Jedni mówili, że pantofel jego  
Lizać to lepsze niż odpusty wszelkie;  
Wszelako przyszedł srogie nicdobrego<sup>16</sup>,  
Z jamy, gdzie łowi się płotki niewielkie<sup>17</sup>,  
I rzekł: «Panowie, to nie figle płochę:  
Węgorz tu siedzi, ot, ukryty na dnie,  
Tam my, w tej jamie pogrzebawszy trochę,  
Wielką tyjarę odnajdziemy snadnie<sup>18</sup>».

Kiedy chciał zwołać kapitułę godną,  
Rogi zjawiły się jeno cielęce.  
«Pod mitrą (prawił) tak mi w głowę chłodno,  
Że mózg mi cierpnie w nieustannej męce».  
Tedy go rzepy wonią okadzano  
I rad się trzymał blisko przy kominie,  
Byleby rychło nową szkapę dano  
Tylu biedakom, co dręczą się ninie<sup>19</sup>.

Dziurą straszili świętego Patryka  
I Gibraltarem, i innymi dziury:  
Gdybyż im mogła zabliznić się grdyka  
I kaszlu wiecznej popuścić tortury;  
Wszystkim to bowiem szpetnym się wydało  
Patrząc, jak ciągle jeden z drugim ziewa:  
Zamknąć im gębę, by na chwilę małą,  
Bodaj na przemian, to z prawa, to z lewa<sup>20</sup>!

Pod koniec zgody skubnął dobrze kruka<sup>21</sup>  
Herkules, który z Libii przybył w gości.  
«Co? rzecze Minos<sup>22</sup>, beze mnie ta sztuka?  
Wszystkich wzywają, oprócz mojej Mości:  
A potem życzą, abym własnym znojem  
Znosił im ostryg i żabek na strawę!  
Niechże mnie diabli, jeśli w życiu swoim  
Wmieszam się w oną jarmarczną zabawę».

Aby ich zgasić, kuternoga<sup>23</sup> pewny  
Przybył z pieniaczem przenajświętszym w łapie,  
Przesiewacz, rodu Cyklopiego krewny,  
W pył ich obrócił. Każdy w nos się drapie:

---

<sup>16</sup>srogie nicdobrego — Kalwin.

<sup>17</sup>jama — Jezioro Genewskie.

<sup>18</sup>snadnie (starop.) — łatwo.

<sup>19</sup>chciał zwołać kapitułę (...) dręczą się ninie — Kapituła ma oznaczać zwołany przez Juliusza II Sobór w Pizie (1510), z którego zdaniem wojowniczy papież niewiele się liczył; rogi cielęce symbolizują słabość owego soboru. Wszelako papież zaniemógł i musiał zostać „przy kominie”; nowa szkapa ma oznaczać Franciszka I, który wstąpił na tron Francji po Ludwiku XII.

<sup>20</sup>Dziurą straszili (...) to z prawa, to z lewa — Papież obłożył klątwą króla Franciszka i jego sprzymierzeńców.

<sup>21</sup>kruk — Maksymilian Sforza, syn Ludwika Moro, zwyciężony przez Franciszka I.

<sup>22</sup>Minos — parlament.

<sup>23</sup>kuternoga — kanclerz Duprat, który zdusił parlament, zmuszając go do przyjęcia konkordatu.

Mało to półko daje heretyków,  
Których nie zmęłyby młyńskie kamienie;  
Biegnijcie wszyscy wśród gromkich okrzyków,  
Z wojenną wrzawą zetrzeć to nasienie.

Niedługo potem ptak Jowisza<sup>24</sup> możny  
Myślał z obozem Złego wejść w przymierze;  
Lecz widząc groźne oblicza, ostrożny,  
Zląkł się, że z władztwa naród go obierze,  
I wołał raczej empirejskie płomień  
Usunąć z kramu, gdzie sprzedają śledzie,  
Niżli dozwolić, by w nieszczęść ogromie,  
Przez Massoretów<sup>25</sup> znalazło się w biedzie.

Układ zawarto w świetle błysków miecza,  
Wbrew woli Ate<sup>26</sup> z jej piszczelą suchą,  
Pentezylei<sup>27</sup> wbrew, dolo człowiecza!  
Na stare lata kupczącej rzeżuchą.  
Každy jej krzyczał: «Ty czerepie stary,  
Tobie przystało skomleć, więdźmo podła,  
Samaś je zdarła, te rzymskie sztandary,  
Co pergaminy stroiły w swe godła».

Gdyby nie Juno, co pod niebios kręgiem  
Ze swoim księciem<sup>28</sup> pykała fajczkę,  
Wyszlaby z próby tej z niejednym ciągiem  
I oplakałaby gorzko tę sprzeczkę.  
Stanęło na tym, że przy owej chrapce  
Dwa Prozerpiny jajka<sup>29</sup> jej przypadną,  
Jeśli zaś znowu znajdzie się w pułapce,  
Do góry cierpień przywiążą ją snadno<sup>30</sup>.

W siedmiu miesiącach mniej dwadzieścia dwoje,  
Ten, który niegdyś zniszczył Kartaginę<sup>31</sup>,  
Wmieszał się, czyniąc znaczne niepokoje,  
Dopominając się o swą dziedzinę;  
Lub też by działały słuszne uczyniono  
Wedle praw, które Bóg szanować każe,  
Tym zaś co *breve* uzyskali ono  
Niecio polewki w gęby nalać wraże<sup>32</sup>.

<sup>24</sup>ptak Jowisza — papież, który miał zamiar stanąć po stronie przeciwników króla Franciszka.

<sup>25</sup>Massoreci — żydowscy uczeni w piśmie.

<sup>26</sup>Ate — parlament.

<sup>27</sup>Pentezylea — uniwersytet, wbrew woli którego stanął układ między papieżem i królem.

<sup>28</sup>Juno ze swoim księciem — Kościół i papież.

<sup>29</sup>jajka Prozerpiny — owoce piekielne; są to świeckie posiadłości i dochody, które król Franciszek w konkordacie przyznał papieżowi.

<sup>30</sup>snadno a. snadnie (starop.) — łatwo.

<sup>31</sup>pogromca Kartaginy — parlament.

<sup>32</sup>wraży (daw.) — obcy, wrogi.

Ale rok<sup>33</sup> przyjdzie jako łuk turecki<sup>34</sup>,  
Co ma pięć wrzecion i trzy dna od faski<sup>35</sup>,  
Rok, iż grzbiet króla w sposób zbyt zdradziecki  
Dozna zapłaty za niewczesne łaski.  
O hańbo! zali słodki uśmiech zdrady  
Gronostajowych ogonów dosięże?<sup>36</sup>  
Stójcie! nikt niechaj nie idzie w te ślady;  
Raczej się schronić między śliskie węże.

Gdy ten rok minie, ów który jest, będzie  
Władał spokojnie z druhami pospołu:  
Kłótni i swarów stępią się krawędzie.  
Dobra chęć zbożnie zagości u stołu;  
Pomoc, co niegdyś była przyrzeczona  
Przez wróżby niebios, wnet ciałem się stanie,  
I cna stadniny królewskiej korona<sup>37</sup>  
Z tryumfem ruszy w monarszym rydwanie.

I będzie czas ten trwać wszelakiej próby,  
Póki Mars raczy kroczyć w swoim torze;  
A potem przyjdzie On, nad insze luby,  
Rozkoszny, piękny, w śmiejącym humorze.  
Hej, krzepcie serca! na biesiadę oto,  
Wierne me druhy! niejeden nieżywy  
Na ziem nie wróciłby za wszystko złoto,  
Tak kląć czas przeszły będziem nieszczęśliwy<sup>38</sup>.

Na koniec, dzieła woskowe odlanie  
Damy pomieścić w samym sercu dzwona;  
Nie będzie więcej krzyków: Panie! Panie!  
Ni kotłów buchać para rozpalona.  
Hej, gdzie jest ręka, co do miecza skora!  
Do diaska wszystkie mózgowcze majaki!  
Ach, gdybyż można w głąb wielkiego wora  
Związać kram cały szalbierstw lada jaki!<sup>39</sup>

### III. JAKO GARGANTUA JEDENAŚCIE MIESIĘCY POZOSTAWAŁ W ŻY- WOCIE MATKI.

Tęgospust<sup>40</sup> był to w swoim czasie zdrowy kpiarz, zaglądnący do dzbana tak chętnie  
jak mało kto na świecie, bo też i jadał rad słono i korzennie. K'czemu miał zazwyczaj

<sup>33</sup>rok — wiek.

<sup>34</sup>łuk turecki — litera M, która w celtyberyckim alfabecie ma formę łuku.

<sup>35</sup>pięć wrzecion i trzy dna od faski — wrzeciona: jedyunki; dna od faski: zera.

<sup>36</sup>grzbiet króla (...) ogonów dosięże — aluzja do chorób wenerycznych króla Franciszka I.

<sup>37</sup>korona królewskiej stadniny — kochanka króla, Diana de Poitiers.

<sup>38</sup>Gdy rok ten minie (...) kląć czas przeszły będziem nieszczęśliwy — Strofa 12 i 13: Przepowiednia panowania Henryka II.

<sup>39</sup>na koniec (...) lada jaki — Proroctwo zniesienia Inkwizycji i pomyślniejszych widoków przyszłości.

<sup>40</sup>Tęgospust — Wedle tradycji komentatorów Tęgospust ma przedstawiać króla Ludwika XII: w ten sposób Gargantua byłby Franciszkiem I, a Pantagruel Henrykiem II. Jak już w przedmowie zaznaczono,

dobry zapasik magenckich i bajańskich szynek, siła wędzonych ozorów, obfitość kiszek (gdy była na nie pora) i solonej wołowiny z musztardą; także zapas ikry rybiej, pokazną ilość kielbasy, nie bolońskiej (lękał się bowiem trutek lombardzkich<sup>41</sup>), ale z Bigory, z Lankony i z Breny. W męskich latach pojął Gargamelę<sup>42</sup>, córkę króla Parpajlosów, tęgą dziewczuchę rumianą na gębie. I często we dwoje przestawali ze sobą, czyniąc kształt jakoby zwierza o dwóch grzbietach, radośnie pocierając wzajem swoje sadła, aż poczęła stąd Gargamela pięknego synalka i nosiła go w żywocie aż do jedenastu miesięcy.

Tak długo bowiem, a nawet dłużej, może niewiasta nosić dziecię w żywocie, zwłaszcza jeżeli to jest jakieś arcydzieło i osoba mająca w swoim czasie dokazać nie lada rzeczy. Jakoż powiada Homer, iż dziecię, które Neptun zaszczerpił Nimfie, urodziło się w pełny rok później, to znaczy w dwunastu miesiącach. Bowiem (jako powiada Aulus Gellius, lib. III) majestat Neptuna wymagał tak długiego czasu, iżby dziecię mogło być wykończone w całej doskonałości. Dla podobnej przyczyny, Jowisz kazał trwać czterdzieści ośm godzin nocy, którą przespał z Alkmeną. W krótszym bowiem czasie nie byłby zdołał ukuć Herkulesa, który oczyścił świat z potworów i tyranów.

Starożytni panowie Pantagrueliści potwierdzili to, co powiadam i oświadczyli, że nie tylko możebne jest, aby dziecię urodziło się z niewiasty w jedenastym miesiącu po śmierci męża, ale że dziecię takie ma być uważane za prawowite: Hipokrates, lib. *de Alimento*; Pliniusz, lib. VII, cap. V; Plautus, *in Cistellaria*; Markus Varro, w satyrze zatytułowanej *Testament*, powołując się na powagę Arystotelesa w tym względzie; Cenzorinus, lib. *de Die natali*; Arystoteles, lib. VII, cap. III i IV, *de Natura animalium*; Gellius, lib. III, cap. XVI; Servius, *in Ecl.*, wykładając ten wiersz Wergilego:

*Matri longa decem etc.*

i siła innych mózgowców, których liczba pomnożyła się ciżbą uczonych w prawie, *ff. de Suis, et legit. I. intestato. § fin.* I także *in anthent. de Restitut, et ea quae parit in undecimo mense.*

Ba, nawet nagryzmolili k' temu swoje trzęsionkowate prawa Gallus, *ff. de Lib. et posthum. et l. septimo, ff. de Stat. homin.*, i paru innych, których na razie nie śmiem wymienić.

Dzięki tym prawom, mogą owdowiałe białe głowy śmiało zadzierać podogonia, ile zapragną i więcej, a to całe dwa miesiące po śmierci mężów. Proszę was, jeśli laska, moje pocziwe kmotry, jeżeli najdziecie wśród takich którą godną poszturczenia, dosiadajcież jej żywo i przywieźcie mi ją co rychlej. Jeśli bowiem w trzecim miesiącu zastąpi, owoc jej będzie dziedzicem nieboszczyka. A gdy już rozpozna się ciężę, dopieroż folgują sobie śmiało i jazda na całego, skoro już bandzioch nabyty! Jako przykładem Julia, córka cesarza Oktawiana, która wówczas dopiero oddawała się swoim rypałom, kiedy uczuła się brzemienną, tym obyczajem jak sternik nie wprzód siada na okręt, aż gdy jest dobrze obciążony balastem i sumiennie naładowany.

A jeśli im kto przygani, że tak dają sobie wybijać hołubce po swoim brzemienu, ile że zwierzęta ciężarne nie dopuszczają nigdy do się jurnego samczyka, odpowiedzą, że to są zwierzęta, zasię one są białe głowy dobrze rozumiejące niektóre piękne i lube

---

trzeba się bardzo mieć na ostrożności przeciwko takiej mechanicznej symplifikacji bujnej, kapryśnej i wielostronnej satyry Rabelais'go.

<sup>41</sup>trutki lombardzkie — Aluzja do trucicielstwa rozpowszechnionego we Włoszech.

<sup>42</sup>Gargamela — W myśl tego samego wytrwałego komentatorstwa Gargamela byłaby w takim razie Anną, córką Franciszka II, księcia Bretanii, obłożonego klątwą i dlatego nazwanego tu królem kacerzy (parpaillos). Nazbyt obfite raczenie się flakami ma, zdaniem uczonych komentatorów, wyrazić wybujały apetyt miłosny królowej.

prawa o zapładnianiu, jako niegdyś odpowiedział Populiusz, wedle podania Makroba, lib. II, *Saturnal*.

Jeśli diabeł nie życzy, aby zaszły w ciążę, tedy nie ma jak skrócić szpunt ze ścierki i cicho sza.

#### IV. JAKO GARGAMELA, NOSZĄC W ŻYWOCIE GARGANTUĘ, SPOŻYŁA WIELKĄ DZIEŻĘ FLAKÓW.

Sposób i okoliczności, w jakich poczęła Gargamela były takie: a kto nie wierzy, niech mu się stolec wypśnie! Owo i jej się wypsnął jednego poobiedzia, trzeciego dnia lutego, iż zjadła zbyt wiele godbilów. *Godbile* są to tłuste flaki z wołów tuczonych przy żłobie i na łące bliźniaczej. Łąki bliźniacze to takie, które dają trawę dwa razy do roku. Z onych spaśnych wołów dano zabić trzysta sześćdziesiąt siedm tysięcy i czternaście, iżby były na tłusty wtorek posolone tak, aby z początkiem wiosny było pod dostatkiem wołowiny, jako iż na początek uczyt godzi się uczcić solone mięsiwo, a to dla lepszego smaku na wino.

Flaków była obfitość, jak łatwo pojmiecie, a były tak smakowite, iż wszystko oblizywało palce. Ale największy kłopot był z tym, iż nie można było ich długo przechować, byłyby się bowiem zepsuły, co znów się nie godziło: zaczęto postanowiono zećpać je do szczętu, niczemu nie przepuszczając. K'temu zaproszono wszystkich mieszkańców Senny, Swili, Skały Klermonckiej, Wogodry, nie przepominając także Kondreju, Manpesiru i innych sąsiadów, wszystkich srogich bibułów, dobrych kompanów i statecznych rypałów. Pocziwina Tęgospust wielką miał w tym uciechę i rozkazał, by szafowano jeno miskami. Upomniał wszelako połowicę, aby się nieco powściągała w jedzeniu, ile że zbliża się do kresu ciąży, te zaś bebechy to nie była nazbyt chwalebna potrawa. „Wielką ma snadź lubość w żuciu łajna, powiadał, kto ich zje całą dzieżkę”. Nie bacząc na te przedkładania, zjadła ich szesnaście wiader, dwa garnce i sześć kwart. O cóż za wspaniała moc materii łajnotwórczej musiała się po niej przewalać we wnętrzu!

Po obiedzie wszyscy poszli gromadą do lasku i tam na gęstej murawie, tańczyli przy dźwiękach wesołych piszczałek i słodkich gęśli, tak ucieszenie, iż radość to była niebiańska widzieć ich tak figlujących.

#### V. POGWARKI PIJACKIE.

Następnie jęli się krzątać około podwieczorku<sup>43</sup>. Dalejże zaczęły krążyć butelki, szynki obiegać wkóło, kubki fruwać, pucharki dzwonić. — Otwórz no, podawaj, zamieszaj, doprawiaj! — Dawaj no bez wody, o, tak, mój przyjacielu. — Nalej mi ten pucharek jak się patrzy. — Sam tu<sup>44</sup> z tym gąsiorkiem, lej, ale z czubem. Na pohybel pragnieniu! — Ha, frybro zdradziecka, nigdyż mi nie sfolgujesz? — Jak mi Bóg miły, kumo, nie mogę najść na swoje. — Niedobrze ci, duszko? — Juści. — Juści? Pijmy, a kto nie może, niech pasa popuści. — Pić? Hm, ja nie od tego, ale tylko w swoim czasie, jako muł ojca świętego. — Ja piję tylko z mojego brewiarza<sup>45</sup>, jak nasz świętobliwy ojciec gwardian. — Co było pierwej, pragnienie czy pijaństwo? — Pragnienie, bo któż by pił bez pragnienia w onym wieku niewinności? — Pijaństwo, *privatio bowiem*

<sup>43</sup>jęli się krzątać około podwieczorku — Wedle starego francuskiego obyczaju, który za czasów Montaigne'a już zanikał, ulubioną porą pijacką była godzina podwieczorku. Ludwik XII, sam wielki bibosz, lubował się w tych podwieczornych posiedzeniach.

<sup>44</sup>sam tu (starop.) — chodź tu; podejdz.

<sup>45</sup>piję tylko z (...) brewiarza — Mnichy z zakonów żebraczych, łącząc obłudę cnoty z zamilowaniem do kielicha, wymyślili flaszkę na wino w formie brewiarza.



*praesupponit habitum*<sup>46</sup>. — Ja znam pismo: *Fecundi calices quem non fecere disertum*<sup>47</sup>? My biedne niebożątka aż nadto pijemy bez pragnienia<sup>48</sup>. — Ja tam nie, biedny grzesznik, ja nie piję bez pragnienia: obecnego lub co najmniej przyszłego, aby je uprzedzić jak przystało. Piję na przyszłe pragnienie. Piję ciągle. Wieczność w pijaństwie, pijaństwo w wieczności. Śpiewajmy, pijmy, piejmy, lejmy. Gdzie mój lejek? He? ja piję jeno *per procuram*<sup>49</sup>. — Czy wilży się, aby suszyć, czy też suszy się, aby wilżyć? — Nie kapuję zgoła teorii; na praktyce poznaję się jako tako. — Alt! Maczam usta, piję, łykam: a wszystko ze strachu przed śmiercią. — Pij ciągle, nie umrzesz nigdy. — Jeśli nie piję, wysycham, a to śmierć. Dusza mi ucieknie do jakiej kałuży. Dusza nigdy nie mieszka w suchym<sup>50</sup>. Podczaszowie, o wy, twórcy nowych form, uczynicie mnie z niepijącego pijącym. Puśćcie ożywczy strumień przez one wyschłe nerwy a jelita. Na diaska pije, kto nie czuje, że pije. Ha, to wino całe wchodzi w żyły, urywał nic z niego nie skorzysta. — Przeplukałbym chętnie flaki tego wołu, którego dziś rano wsuwałem. — Ha, dobrzem sobie wymaścił żołądek. Gdyby papier moich cedulek pił tak sumiennie jak ja, wierzycielom moim nie brakłoby winka, kiedy przyjdzie do likwidacji. — Prosię, podłub sobie w nosie. — Ha, ileż kubeczków dostanie się jeszcze do wnętrza, zanim ten je opuści! Pić tak pomału, to niezdrowo na płuca. Cy cy cy cuscusia! — Jaka jest różnica między flaszką a rzycią? — Wielka: jedną przykładasz do ust, a w drugą możesz nos wsadzić. — Huż, huż! Nasze ojczaszki znali, co to suszyć flaszki. Wielkie słowo, us...aj się a zdrowo, pijmy! — Nie macie nic do zlecenia tej rzeczce? ot, ten tam idzie przeplukać sobie flaki. — Nie piję już więcej, jeno jedną gąbeczkę. — Piję jak brat templariusz<sup>51</sup>. A ja *tamquam sponsus*<sup>52</sup>. — A ja *sicut terra sine aqua*<sup>53</sup>. — Synonim szynki kto zgadnie? — *Compulsorium* pijaństwa, lewar. Za pomocą lewara spuszcza się wino do flaszki, za pomocą szynki do żołądka. — Hu, hu, pić, pić, pić! — Nie ma miary. *Respice personam, pone pro duo*. — Gdybym tak prędko wyłaził w górę jak spuszczałem, byłbym już het het w powietrzu.

Tak się Kuba stał bogaty,  
Tak urasta dąb sękaty,  
Tak podbił Bachus Indyje<sup>54</sup>,  
Niechaj więc pije, kto żyje.

— Z wielkiej chmury mały deszcz: z cienkiego picia grzmoty. — Ha, gdyby z mojej kusiuni płynęła taka urynka, possalibyście ją radzi? — Trzymaj, nie puszczej. Kto powiada uszczaj? — Sam tu, paziku, dolej: mianuję cię moją mózgownicą z herbem Doliwa.

...Stachu, nieboże,

<sup>46</sup>*privatio (...)* *praesupponit habitum* (łac.) — Uczucie braku każe przypuszczać przyzwyczajenie; pewnik scholastyczny.

<sup>47</sup>*Fecundi (...)* *disertum* (łac.) — Kogóż by pełne kielichy nie uczyniły wymownym (Horacy).

<sup>48</sup>*aż nadto pijemy bez pragnienia* — Aluzja do niewinnych, których poddawano indagacji za pomocą tortury wodnej.

<sup>49</sup>*per procuram* (łac.) — przez pełnomocnika; za pośrednictwem.

<sup>50</sup>*Dusza nigdy nie mieszka w suchym* — Słowa św. Augustyna: *Anima certe, quia spiritus est, in sicco habitare non potest*.

<sup>51</sup>*piję jak brat templariusz* — Bracia templariusze mieli u współczesnych opinię pierwszorzędných pijaków.

<sup>52</sup>*tamquam sponsus* (łac.) — niby oblubieniec.

<sup>53</sup>*sicut terra sine aqua* (łac.) — jak ziemia bez wody.

<sup>54</sup>*podbił Bachus Indyje* — Aluzja do podboju Indii przez Portugalczyków przy pomocy napojów wysokokowych.

Masz tam co jeszcze w gąsiorze?

— Staję jako strona skarżąca i apelująca przeciw pragnieniu. Paziu, ułóż mi apelację po wszelkiej formie. — Ha, coś mnie swędzi! Dawniej zwykłem był wypijać wszystko, teraz mam obyczaj nic nie zostawiać. — Nie spieszmy się tylko, a ułatwimy się ze wszystkim.

— Oto mi były flaczusie, paluszki lizać. To z tego byczka z czarną strzałką. Jak mi Bóg miły, weźmy go na postronek: wstyd wracać z próżnymi rękami do domu. — Pij, albo cię... Nie, nie, pij, proszę cię, zrób to dla mnie. — Wróble nie jedzą aż wtedy, gdy je kto głaszcze po ogonie. Ja piję jeno wtedy, gdy mnie kto grzecznie prosi. — *Lagona edatera*<sup>55</sup>! Pijcież kumie! Nie ma zakątka w moim ciele, gdzie by to winko nie wytropiło pragnienia. — Hu, jak mi je chłosta przyjemnie. — Całkiem je ze mnie przepędzi. — Otrąbmy tutaj, przy dźwięku butli i flaszek, że ktokolwiek zgubił pragnienie, gdzie indziej ma go szukać, nie tutaj. Za pomocą wytrwałych lewatyw wypędziliśmy pragnienie z naszego domku.

— Ja mam w ustach słowo boże: *Sitio*<sup>56</sup>. Kamień zwany azbestem nie jest tak niezniszczalny, jak pragnienie mojej wielbności. — Apetyt przychodzi w miarę jedzenia, powiadał Angeston<sup>57</sup>; ale pragnienie ulatnia się z piciem. Jakie jest lekarstwo na pragnienie? — Przeciwnie co na ukąszenie psa: leć zawsze za psem, nigdy cię nie ukąsi; pij zawsze przed pragnieniem, a nigdy ci nie dokuczy. — Hej, hop! nie drzemcie sąsiedzie. Hej tam, mości Dolewaj, nie daj nam usypiać. Argus miał sto oczu do patrzenia: sto rąk trzeba by podczaszemu, jako miał Briareus, aby mógł dolewać niezmęczenie. — Hej, zwilźmy gardło, milej będzie je suszyć. Hej tam, białego, lej no, lej do dna, do krocset diabłów, nuże, po brzegi, pełno. Język mnie piecze. — Trąćmy się, panie landsman: w twoje, miły towarzyszu, hoc, hoc. — La, la, la, to się nazywa gładko spuścić. *O lacrima Christi*<sup>58</sup> to mi winko, sam smak. — O jakież gładkie winko, szczerzy aksamit! — Dajcież i tu aksamitu! Hej, chłopcy! to mi gra: gąsior w puli, ty dajesz, ja na rękę! *Ex hoc in hoc*. Moja lewa. Nie ma cygaństwa, każdy widział. Łyk łyku, po krzyku. — O pijaki! o biedne spragnione! hej, paziu, sam tu, lej pełno, czerwonego. Kardynalsko. *Natura abhorret vacuum*<sup>59</sup>. Mucha by się nie upiła. — Hoc, hoc, nie masz w świecie ino wino. W kółko, w kółko, pić to ziółko.

## VI. JAKO GARGANTUA PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT W SPOSÓB BARDZO OSOBLIWY.

Gdy owi tak sobie przepijali i gwarzyli po trosze, Gargamela poczęła doznawać niejakich dolegliwości w żywocie. Zaczem Tęgospust uniósł się z lekka na trawie i jął pocieszać ją pocziwie, mniemając iż to się poczynają boleści i powiadając, iż za chłodno jej tam jest na murawie i że niebawem pozbędzie się brzemia; dlatego też trzeba się jej uzbroić w odwagę; ból wprawdzie jest nieco dotkliwy, ale za to nie będzie trwał długo, radość zaś, jaka stąd urośnie, pocieszy ją po całej mitrędze, tak iż nawet pamięci nie zachowa.

<sup>55</sup>*Lagona edatera* — po baskijsku: w twoje ręce, towarzyszu.

<sup>56</sup>*sitio* (łac.) — pragnę; jestem spragniony.

<sup>57</sup>*Angeston* — Hieronim z Hangestu, scholastyk, przeciwnik Lutra.

<sup>58</sup>*lacrima Christi* (łac.) — dosł. łza Chrystusa; także: nazwa wina z winorośli hodowanych u podnóża Wezuwiusza.

<sup>59</sup>*natura abhorret vacuum* (łac.) — Natura nie znosi próżni; aksjomat dawnej fizyki.

— Wraz tego dowiodę — rzecze — oto nasz Zbawiciel powiada w Ewangelii *Joannis*, XVI: „Niewiasta, która jest w godzinie rodzenia, czuje żalność; wszelako gdy już porodziła, żadnej pamięci nie chowa swego cierpienia”.

— Ha — rzekła — dobrze mówisz i wiele radsza słucham takowych rzeczy Ewangelii i wiele lepiej mi to płuży, niż gdybym słuchała żywota świętej Małgorzaty<sup>60</sup> albo innych jakich kleszych baśni.

— Odwagi, moje jagniątko — rzekł — załatw się prędko z tym, a wnet postaramy się o nowe.

— Ha — odparła — jak wam się lekko o tym mówi, wam, mężczyznom! Dobrze więc, na Boga, przemogę się, skoro taka wasza wola. Ale dałby Bóg, byś go był sobie obciął!

— Co takiego? spytał Tęgospust.

— Ha! — rzekła — udawaj niewiniątko: już ty mnie dobrze rozumiesz.

— Maluśkiego? — rzekł. — Tam do kroćset! jeśli taka twoja wola, każże tu przynieść noża.

— Ach — rzekła — niechże Bóg broni; ja tego nie mówiłam z serca, nie zważaj na babskie gadanie. Ale jeśli Bóg mi nie pomoże, ciężki dzień będę miała dzisiaj, a wszystko przez twego figlarza!

— Odwagi, odwagi — rzekł — nie zaprzataj sobie głowy resztą i daj jeno pracować tym czterem wołom od przodka<sup>61</sup>. Ja idę tymczasem pociągnąć jeszcze jaki kusztyczek. Gdyby ci się tymczasem przygodziło co złego, będę tu w pobliżu: klaśnij jeno, a już jestem przy tobie.

W niedługi czas potem zaczęła stękać, lamentować a krzyżeć. Wraz zbiegły się gromadą ze wszystkich stron położne niewiasty. Zaczem macając ją od spodku, trafiły na jakies bebechy dosyć omierzonego smaku i mniemały, iż to było dziecko; wszelako to był stolec, który się jej wypisał pod siebie z przyczyny pofolgowania jelita prostego, które nazywacie kiszka stolcową: jak to bowiem oznajmiliśmy wyżej, zjadła była nadmierną ilość flaków.

Widząc to jedna szpetna starucha będąca przy niej, zażywająca sławy bardzo kutej lekarki, zawiązała jej przepaskę tak ciasną, od której wszystkie bebechy tak były zduszone a ścieśnione, iż ledwie z trudem zębami zdołalibyście je rozluźnić, co jest rzecz straszna do pomyślenia: jak niegdyś diabeł w czasie mszy św. Marcina, spisując gawędy dwóch kumoszek, zębami musiał rozciągać swój pergamin<sup>62</sup>.

Od tej dolegliwości rozluźniły się ku górze kosmki maciczne, między którymi przemknęło się dziecko i dostało się do żyły zwanej *czczq*; stamtąd, przeciskając się przez przepoń aż powyżej łopatek gdzie ta żyła dzieli się na dwoje, obróciło się na lewo i wyszło lewym uchem<sup>63</sup>. Skoro tylko się urodziło, nie krzychało jak inne dzieci: *Au, au, au*, ale donośnym głosem zakrzyknęło: „Pić, pić, pić!”, jakoby zachęcając wszystkich wkoło do picia, tak iż posłyszano je w całej okolicy.

---

<sup>60</sup>*gdybym słuchała żywota świętej Małgorzaty* — Żywot Św. Małgorzaty odczytywano niewiastom w bólach rodzenia, aby ułatwić poród.

<sup>61</sup>*nie zaprzataj sobie głowy resztą i daj jeno pracować tym czterem wołom od przodka* — Przysłowie poiteweńskie.

<sup>62</sup>*diabeł w czasie mszy św. Marcina (...) zębami musiał rozciągać swój pergamin* — Wedle legendy dwie stare baby gadały z sobą bez przerwy, podczas gdy św. Marcin odprawiał mszę. Diabeł, który stał za nimi i spisywał ich rozmowę, nie znalazł w końcu miejsca na swoim pergaminie i musiał go zębami rozciągać, przy czym potknął się i potłukł o filar kościelny.

<sup>63</sup>*rozluźniły się ku górze kosmki maciczne (...) wyszło lewym uchem* — Zuchwałe drwiny z współczesnych teologów, którzy wykładali dosłownie przenośnię, iż Matka Boska poczęła przez ucho. Stara pieśń kościelna brzmi: *Gaude, virgo, mater Christi. Quae per aurem concepisti.*

Podejrzewam was, iż pewno nie dajecie wiary owemu szczególnemu sposobowi urodzenia. Jeżeli nie wierzycie, gwizdźcie na to, ale człowiek stateczny, człowiek roztrotny, zawsze wierzy temu, co mu powiadają i co widzi napisane. Nie powiadaż Salomon, *Proverbiorum XIV: Innocens credit omni verbo* etc.? A św. Paweł, *prim. Corinth. XIII: Charitas omnia credit*? Czemuż byście nie mieli wierzyć? Dlatego, powiadacie, iż nie ma w tym żadnego podobieństwa do prawdy. Powiadam wam, iż dla tej właśnie przyczyny powinniście wierzyć, wedle zasad doskonałej wiary. Sorboniści<sup>64</sup> bowiem powiadają, iż wiara jest to argument rzeczy niepodobnych do prawdy.

Jestże w tym co przeciw naszym prawom, naszej wierze, przeciw rozumowi, przeciw *Pismu św.*? Co do mnie, nie znajduję w księgach św. nic, co by świadczyło przeciw temu. Wždy, jeśli taka była wola Boga, żali powiecie, iż nie mógł być tego dokonać? Ha, przez litość, nie dopuszczajcież do swego mózgu takich bredni: powiadam wam, iż nie masz Bogu nic niepodobnego. I gdyby mu się tak spodobało, niewiasty rodziłyby odtąd dzieci przez ucho<sup>65</sup>.

Zali Bachus nie począł się z uda Jowiszowego?

Zali Waligóra nie urodził się z pięty swojej matki?

Łapimuszka z pantofla swej żywicielki?

Minerwa nie urodziłaż się przez ucho z mózgownicy Jowisza?

Adonis z kory drzewa mirtowego?

Kastor i Polluks ze skorupy jajka zniesionego i wysiedzianego przez Ledę?

Ale więcej jeszcze zdumiałoby was i zaskoczyło, gdybym wam tu przytoczył cały rozdział z Pliniusza, w którym rozprawia o narodzinach szczególnych a przeciwnych naturze. Czytajcie siódmą księgę jego *Historii naturalnej*, rozdz. III i nie zavraccacie mi już głowy.

## VII. JAKIM SPOSOBEM GARGANTUA OTRZYMAŁ IMIĘ I JAK ZWĄCHAŁ SIĘ Z WINKIEM.

Pocziwina Tęgospust, pijąc i zabawiając się z innymi, usłyszał straszliwy krzyk, jaki syn jego wydał wychodząc na światło dzienne, kiedy to zaczął ryczeć swoje: „pić, pić, pić!”. Zaczem ozwał się:

— Ależ *galgan tchu ma*<sup>66</sup>!

Co słyszac obecni orzekli, iż sprawiedliwie powinien mieć za imię *Gargantua*, skoro takie było pierwsze ojcowskie słowo przy jego urodzenia; w czym szli za wzorem i przykładem starożytnych Hebrajczyków. I ojciec, i matka chętnie przychyliłi się do tego zdania. Aby zaś uspokoić dziecko, dano mu się napić po same dziurki w nosie, po czym zaniesiono je do zakrystii i ochrzczono, jako jest obyczaj u dobrych chrześcijan.

Potem wyznaczono dlań siedemnaście tysięcy dziewięćset i trzysta krów potelskich i bremondzkich<sup>67</sup>, aby mu dostarczały codziennego pożywienia: nie sposób

<sup>64</sup>*sorboniści* — Sorbona starożytny uniwersytet paryski, mający imię od Roberta de la Sorbonne, spowiednika Ludwika Świętego. Za czasu Rabelais'go Sorbona była warowną twierdzą średniowiecznej teologii i filozofii scholastycznej i prowadziła walkę na śmierć i życie z budzącym się nowożytnym duchem, a w walce tej płonący stos był ostatecznym i nierzadko używanym argumentem. To tłumaczy zajadłość, z jaką Rabelais, pod osłoną protekcji możnych kardynałów i samego króla, szturmuje sztyderstwem i inwektywą do jej murów. Cały ten rozdział jest żartem na owe czasy bardzo ryzykownym i który autor mógł drogo przypłacić.

<sup>65</sup>*Podejrzewam was (...) rodziłyby odtąd dzieci przez ucho* — Cały ten ustęp Rabelais uważał za bezpieczniejsze skreślić w drugim wydaniu tej księgi.

<sup>66</sup>*Ależ galgan tchu ma* — w oryginale: *Que grand tu as te gousier*.

<sup>67</sup>*krów potelskich i bremondzkich* — Wioski w rodzinnych stronach Rabelais'go.

bowiem było znaleźć dlań mamkę, która by go mogła zaspokoić, zważywszy niezmierną ilość mleka, które spotrzebowywał; mimo iż niektórzy subtelni doktorowie skotyści<sup>68</sup> twierdzili, iż karmiła go własna matka i że zdolna była wydać z piersi tysiąc czterysta i dwa wiadra i dziewięć garncy mleka na jeden raz. Co nie jest do prawdy podobne. Jakoż twierdzenie to zostało potępione przez Sorbonę, jako cystacko naganne, obrażające uszy i na milę cuchnące herezją.

W taki sposób spędził rok i dziesięć miesięcy życia; w którym to czasie z polecenia lekarzy, zaczęto go nosić i wykonano dlań zgrabny wózek zaprzężony wołami. W nim wożono go to tu, to tam w wielkim weselu; jakoż radość była nań patrzeć, gębę miał bowiem sprawiedliwie pyzată, pod nią zaś jak obszył osiemnaście podbródków. Krzykiwał bardzo mało, jeno popuszczał pod się co chwila: osobliwie bowiem był niemrawy w poślakach, tak z naturalnej kompleksji, jak i z przygodnego usposobienia, które przyszło nań stąd, iż nazbyt chętnie wachał soczek winny. Wszelako nie lyknał nigdy ani kropli bez przyczyny: jeno gdy się zdarzyło, iż był strapiony, zgniewany, zmartwiony lub skwaszony, gdy przebierał nóżkami, płakał albo krzyczał, skoro tylko przyniesiono mu pić, zaraz nabierał ducha i stawał się w jednej chwili spokojny i wesoły.

Jedna z piastunek kłęła mi się i upewniała, iż tak był zwyczajony do tego, że na sam brzęk dzbanów a flaszek popadał w zachwycenie, jakoby smakował niebiańskich słodocy. Tak iż przejęte podziwem dla tej boskiej kompleksji skoro tylko zbudził się rano, dzwoniły przy nim dla zabawy nożem po szklenicach, albo po fiaskach zatyczką, albo po dzbanach pokrywą. Na który to dźwięk rozweselał się, trząsł i sam się kołysał, machając głową, przebierając palcami a przyśpiewując sobie zadkiem.

#### VIII. JAK ODZIEWANO GARGANTUĘ<sup>69</sup>.

Skoro doszedł do tego wieku, ojciec kazał, aby mu zrobiono ubranie wedle jego barwy, która była niebieska z białym<sup>70</sup>. Jakoż wzięto się do dzieła i zrobiono je, skrojono i uszyto wedle podówczasj mody.

Z dawnych szpargałów zachowanych w kancelarii w Monsorze doszedłem, iż ubrany był w następujący sposób:

Na koszulę zużyto dziewięćset łokci szatelrodzkiego płótna, prócz tego dwieście na same paszki. I nie była marszczona, marszczone bowiem koszule wynaleziono dopiero później, wówczas kiedy szwaczki, gdy im się ułamał koniec igły, zaczęły się posługiwać uszkiem.

Na kaftan spotrzebowano osiemset trzynaście łokci białego atlasu; na zapinki piętnaście set dziewięć skórek psich i jeszcze pół. W tej to epoce zaczęto przypinać pludry do kaftana, a nie kaftan do pludrów: jest to bowiem rzecz przeciwna naturze, jak to szeroko wywiódł imć Okam<sup>71</sup> w *Exponiblach* pana Gómo-pluderskiego.

Na owe pludry zużyto jedenaście set pięć i jedna trzecia łokci białego aksamitu i skrojono je w postaci fałdów prążkowanych i marszczonych z tyłu, aby nie rozgrzewać lędźwi. Wewnątrz były podszyte niebieskim atlasem bardzo dostatnio. A zważcie, iż miał bardzo godne pedały i w dobrej proporcji z postawą.

<sup>68</sup>subtelni doktorowie skotyści — Duns Skot, teolog lubujący się w subtelnych rozróżnieniach.

<sup>69</sup>Jak odziewano Gargantuę — Niewybredne efekty komiczne zawarte w tych przesadnych wyliczeniach zaczerpnięte są z dawnej *Kroniki Gargantuińskiej*.

<sup>70</sup>barwy (...) niebieska z białym — francuskie barwy koronne.

<sup>71</sup>Okam — Ockam, teolog scholastyczny, uczeń Skota. Znowuż Rabelais drwi z subtelności i łami-główek scholastycznych.

Na saczek<sup>72</sup> u pludrów zużyto siedemnaście i ćwierć łokci tejże materii; i dano mu formę jakoby kabłąka, umocowanego bardzo uciesznie dwiema pięknymi haftkami ze złota, które zaczęły się o dwa haczyki z emalii, w każdy zaś wprawiony był ogromny szmaragd wielkości pomarańczy; bowiem (jak to podaje Orfeusz, *Libro de Lapidibus*, i Pliniusz, *libro ultimo*) kamień ten posiada własności pobudzające i krzepiące naturalny członek. Rozporek w saczku był na półtora łokcia długi, ząbkowany jak i pludry, z sutą podszewką z niebieskiego atlasu. Jakoż widząc piękny haft dziany złotem i srebrem i ucieszne figlasy ze złota przybrane pięknymi diamentami, szlachetnymi rubinami, turkusami, szmaragdami i perskimi perłami, przyrównali byście go do pięknego rogu obfitości, takiego jaki spotykacie na antykach i jakim obdarowała Rea dwie nimfy, Adrastę i Idę, żywicielki Jowisza. Zawsze luby, soczysty, jędrny, zawsze zieleniący się, kwitnący, zawsze pączkujący, pełen soków, kwiatów, owoców, pełen wszelkich rozkoszy; Bóg mi świadkiem, że lubo nań było poglądać! Ale wyłożę wam wiele szerszej tę rzecz w księdze, którą napisałem *O dostojęństwie rozporka*. Upewniam was wszelako, iż chociaż ów saczek był długi i obszerny, owo był też godnie zaopatrzony i wniesiony we wnętrzu i w niczym nie był podobny do owych zwodnych rozporków przeróżnych fircyków, które jeno wiatrem są podszyte, ku wielkiej szkodzie płci niewieściej.

Na trzewiki skrajano czterysta sześć łokci ciemnoniebieskiego aksamitu, pociętego wdzięcznie w równoległe paski, które zasię poszyto w jednostajne cylindry. Na podeszwy zużyto jedenaście set skór rudych krów, wycięto je zaś w szpic kształtem ogona sztokfiszowego.

Na suknię zużyto osiemnaście set łokci aksamitu niebieskiego, nakrapianego w groszki zahaftowane dokoła w piękne desenie winnego krzewu, w środku zaś w srebrne dzbanuszki, otoczone złotymi różdżkami z mnogością pereł; co pozwalało mniemać, iż wyrośnie w swoim czasie na tęgiego moczymordę.

Pasek sporządzono z trzystu i pół łokci jedwabnej szerszy, półbiałej, półniebieskiej, o ile się przypadkiem nie myłę.

Szpada nie była walencjanka, ani też puginał z Saragossy: ojciec bowiem nienawdził tych wszystkich zakazanych umurzynionych hidalgów niby diablów; ale miał piękny pałasik drewniany i puginał z parzonej skóry, malowane i wyzłocone aż miło.

Sakiewkę miał z moszny słonia, którego przysłał mu i imć Prakontal, prokonsul Libii.

Na płaszczyk zużyto dziewięć tysięcy sześćset łokci mniej dwie trzecie aksamitu niebieskiego, jak wyżej, przetykanego złotymi nitkami w poprzeczny deseń, co z odległości dawało kolor niepodobny do nazwania, a bardzo ucieszny dla wzroku, jaki widzicie na gardziolkach turkawczych.

Na czapczkę wzięto trzysta dwa i ćwierć łokci białego aksamitu i była obszerna i krągła wedle rozmiarów głowy, ojciec bowiem powiadał, że owe mauretańskie rogatywki, podobne do formy pasztetnika, ściągną kiedy nieszczęście na te ostrzyżone palki.

Za kitkę miał piękne niebieskie pióro, uszczknięte pelikanowi w Dzikiej Hirkanii. bardzo wdzięcznie zwisające nad prawem uchem.

Jako medalion nosił złotą blaszkę wagi sześćdziesięciu ośmiu grzywien, ozdobioną misterną emalią: na tej było przedstawione ciało ludzkie, mające dwie głowy obrócone twarzami ku sobie, cztery ręce, cztery nogi i dwa tyłki; jako powiada Pla-

<sup>72</sup>saczek — słowo urobione przez tłumacza dla oddania francuskiej *braguette*, która w dziele Rabelais'go odgrywa pierwszorzędną rolę. Jest to podłużny woreczek, jaki w średniowiecznym kroju odzienia znajdował się u pludrów na męskie części rodne. Podobnie i zbroje średniowieczne posiadały odpowiadającą temuż saczkowi osobną ochronę. Często wyraz ten użyty jest w znaczeniu rozporka.

ton, *in Symposio*, iż była przyroda ludzka w swoim mistycznym zaczątku; dokoła zaś wypisane było w jońskich literach:

Ἡ ἀγαπή οὐ ζητεῖ τὰ εἰαυτῆς<sup>73</sup>

Na szyi miał złoty łańcuch, ważący dwadzieścia pięć tysięcy sześćdziesiąt i trzy grzywnien złota, uczyniony w postaci dużych ziaren, między którymi były rozmieszczone wielkie zielone jaspisy, wycięte i rzeźbione w kształt smoków, wkoło otoczone promykami i iskierkami, jak je naszał niegdyś król Necesporu. Ten łańcuch zwiślał mu aż do wżgórka na podbrzuszu; z czego przez całe życie doznawał zbawczego działania, wiadomego greckim lekarzom.

Na rękawiczki wzięto na warsztat szesnaście skór karzełków, zasię trzy skóry wilkołaków na haftowane wypustki; uszyto mu je w tym sposobie na zlecenie senlucckich kabalistów<sup>74</sup>.

Jako pierścionie (ojciec bowiem życzył sobie, aby je nosił na znak starożytności rodu), miał na wskazicielu lewej ręki karbunkuł wielki jak strusie jajo, wdzięcznie bardzo oprawny w szczerze złoto. Na palcu pośrednim tejże ręki miał pierścion uczyniony z czterech metali, połączonych najmisterniej w świecie, tak iż stal nie szpeciła złota ani srebro nie hańbiło miedzi. Na palcu pośrednim prawicy miał pierścion uczyniony w formie spiralnej, w którym oprawny był wspaniały rubin, diament wycięty w szpic i bezcenny szmaragd phyzoński. Bowiem Hans Karwel, wielki jubiler króla Melindy, szacował je na sześćdziesiąt dziewięć milionów osiemset osiemdziesiąt cztery tysiące i osiem długowelnistych baranów<sup>75</sup>; na tyleż ocenili je i Fuggerowie<sup>76</sup> w Augsburgu.

## IX. BARWY UBIORU GARGANTUI.

Barwy Gargantui były niebieskie z białym, jak mogliście wyżej czytać; owo przez to ojciec chciał, aby rozumiano, iż jest to dlań radość niebiańska, białe bowiem oznaczało dlań radość, uciechę, rozkosz a wesele, niebieskie zaś rzeczy niebiańskie.

Zgaduję łącno, iż czytając te słowa, dworujecie sobie ze starego opoja i uważacie ten wykład kolorów za nazbyt osobliwy i niewczesny i powiadacie, że białe oznacza wiarę, a niebieskie stałość. Ale bez uniesienia, bez gniewów, bez gorączki i cholery (czas bowiem mamy nieprzezpieczny), odpowiedzcie mi, jeśli łaska. Innego gwałtu nie użyję przeciw wam ani przeciw nikomu w świecie. Powiem wam jeno jedno słóweczko prosto z butli.

O co wam chodzi? co was napadło? Kto wam powiedział, że białe oznacza wiarę, a niebieskie stałość? Jedna (powiadacie) książka, bardzo lada jaka, obnoszona przez domokrażców i roznosicieli, której godło jest *Herbarz kolorów*. Kto ją ułożył? Ktokolwiek to był, roztropnie uczynił, że jej nie podpisał. Zaiste, nie wiem, co bardziej trzeba podziwiać: jego bezczelność czy głupotę.

Jego bezczelność: która bez sensu, bez racji i bez cienia podobieństwa, waży się nam przepisywać, mocą jeno własnej powagi, co ma oznaczać jaki kolor. Toć to jest obyczaj tyranów żądać, aby ich wola zastąpiła miejsce słuszności, nie zaś uczonych i mędrców, zwykłych zaspokajając czytelnika oczywistymi racjami.

Jego głupotę: która osądziła, iż bez innych dowodów i ważkich argumentów świat będzie stosował swoje godła wedle jego przygłupich regulek. W istocie (jako powia-

<sup>73</sup>Ἡ ἀγαπή οὐ ζητεῖ τὰ εἰαυτῆς (gr.) — „Miłosierdzie nie szuka swojej korzyści” (św. Paweł. *List I do Koryntian*, Rozdz. XIII, w. 5).

<sup>74</sup>senlucy kabalisci — Mnichy z Saint-Louand koło Chinon, miejsca urodzenia Rabelais'go.

<sup>75</sup>długowelniste barany — Moneta z czasów św. Ludwika, tak nazywana dla wybitego na niej Baranka Bożego, z napisem: *Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, miserere nobis!*

<sup>76</sup>Fuggerowie — jeden z najpotężniejszych domów bankowych owego czasu.

da przysłowie: na zadku cierpiącego biegunkę zawždy łajna pod dostatkiem), znalazł paru głupców z czasu króla Ćwoczka, którzy uwierzyli tym gryzmołom i wedle nich wykroili swoje sentencje a porzekadła, wedle nich okulbaczyli muły<sup>77</sup>, przebrali paziów, poszatkowali swoje pludry, zahaftowali rękawiczki, oblamowali łóżka, wymalowali godła, poskładali piosenki i (co gorsza jest) naczynili potajemnie kłamstwa i szpetnych figlów między godnymi matronami.

W podobnych bałamuctwach ugrzęzły także i one dworskie fanfarony, dłubi-słówki, którzy, chcąc w swoim godle nazwać żądanie, malują *rząd* koński, *kata* za katusze, kwiatek *ancholii* za melancholię, *wołu* za wołanie. Które to homonimie są tak niezdarne, głupie, tak grubaśne a barbarzyńskie, iż należałoby przywiązać lisi ogon do kołnierza i nalepić maskę z krowiego łajna każdemu, kto by chciał jeszcze używać ich we Francji po odrodzeniu prawych sztuk i nauk.

Z takich samych racji (jeśli racjami godzi się je nazwać, nie błazeństwem), mógłbym dać wymalować prosię *nadziejane*, żeby oznaczyć tym *nadzieję*, zęby za *zgrzyotę*, próżny nocnik a obok łajno, niby że *próżno* mnie *łajać*, a ta *noc* będzie moją *nike*. Dno moich pludrów nazwałbym świątynią bździnów, rozporek budką szyldwacha, zamiast *przypadek* malowałbym psi zadek itd.

Cale inaczej poczynali sobie niegdyś mędrzy w Egipcie, kiedy pisywali literami zwanymi u nich hieroglyphicznymi: których nikt nie rozumiał, kto nie rozumiał, a każdy rozumiał, kto rozumiał własności, przymioty i naturę rzeczy przez nie wyobrażonych. O których Horus Apollon<sup>78</sup> ułożył po grecku dwie księgi, zasię Polyfil w *Snach miłości* jeszcze dokładniej je wyłożył. We Francji znajdziecie ułamek tegoż w godle pana Admirala, niegdy noszonym przez Oktawiana Augusta.<sup>79</sup>

Ale dość na teraz; już nigdy moja łódka nie zepuści się między te odmęty i zdradzieckie mielizny. Wracam zawinąć do portu, z którego wypłynął. Wždy mam nadzieję rozpisać się kiedy o tym obszerniej i dowieść, tak przez racje filozoficzne jak i przez powagi uznane i potwierdzone od całej starożytności, ile w przyrodzie jest kolorów i jakie, i co może każdy kolor oznaczać. Tęgo dokonam, jeśli Bóg zchowa w zdrowiu moją formę na czapkę<sup>80</sup>, to znaczy kotliczek do parowania wina, jako powiadała moja babka.

## X. O TYM, CO OZNACZA KOLOR BIAŁY I NIEBIESKI.

Zatem białe oznacza radość, pociechę i wesele; i nie bez słuszności to oznacza, jeno ze słusznego prawa a tytułu. Co możecie sprawdzić, jeśli wybiwszy sobie ćwieki z głowy, zechcecie posłuchać tego, co oto zamierzam wywieść.

Arystoteles powiada, iż, przyjąwszy dwie rzeczy przeciwne w swej istocie, jako zło i dobro, cnotę i występek, rozkosz i cierpienie, wesele i żalobę i tak dalej, jeżeli się je sparzy w ten sposób, aby przeciwieństwo jednego rodzaju odpowiadało ściśle przeciwieństwu drugiego, pewnym jest, iż drugie przeciwieństwo zgodzi się z drugą pozostałością. Przykład: cnota i występek to są przeciwieństwa: tak samo złe i dobre. Owo, jeśli jedno z przeciwieństw pierwszego rodzaju odpowiada jednemu z drugiego, jako *cnota i dobre* (pewnym bowiem jest, iż cnota jest dobra) tak samo będzie i z dwoma pozostałymi, które są *występek i złe*, występki bowiem jest zły.

<sup>77</sup>wedle nich okulbaczyli muły — Obyczaj współczesny kazał nawet rząd mułów zdobić wedle kolorów swojej damy.

<sup>78</sup>Horus Apollon — Horapolon, gramatyk, który żył w Aleksandrii za czasu Teodozjusza Wielkiego.

<sup>79</sup>we Francji znajdziecie ułamek tegoż w godle pana Admirala niegdy noszonym przez Oktawiana Augusta — Godło: *Festina lente*. Którego admirała Rabelais miał na myśli, nie jest pewne.

<sup>80</sup>forma na czapkę (...) kotliczek do parowania wina — Synonimy na oznaczenie głowy.



Zrozumiawszy oną regułę, weźcie te dwa przeciwieństwa, wesele i smutek, a potem te dwa, białe i czarne: są bowiem przeciwne sobie fizycznie. Jeśli zatem tak jest, iż czarne oznacza smutek, słusznie tedy białe oznaczać będzie wesele.

I nie jest to znaczenie ustanowione rozkazaniem ludzkim, jeno przyjęte za zgodą całego świata, co filozofowie nazywają *ius gentium*, prawo powszechne, ważne dla wszelkiej krainy.

Toć wiadomo wam dosyć, iż wszystkie ludy, wszystkie narody (wyłączam dawnych Syrakuzanów i niektórych Argiwów, którzy mieli rozum na bakier), wszystkie języki, chcąc na zewnątrz okazać smutek, noszą odzienie czarne i wszelka żałoba objawia się kolorem czarnym. Ta zgoda powszechna nie przyszła pewnie bez tego, iżby natura nie dała k'temu jakowejś racji i argumentu: które każdy snadnie może zrozumieć sam z siebie, bez niczyjej nauki; co nazywamy prawem naturalnym.

Za taką samą wskazówką natury kolorem białym cały świat wyraża radość, wesele, szczęście, uciechę a lubość.

W dawnych czasach Trakowie i Kreteńczycy oznaczali dni wielce szczęśliwe i radosne kamieniami białymi, żalosne i nieszczęśliwe czarnymi.

Czyż noc nie jest złowroga, smutna a melankoliczna? Jest czarna i ciemna z braku jasności. Jasność czyż nie rozwesela całej przyrody? Jest biała więcej niż co bądź we świecie. Czego aby dowieść, mógłbym was odesłać do księgi Wawrzyńca Walla<sup>81</sup> przeciw Bartolowi; wdy świadectwo ewangeliczne może was zadowoli. U *Math.*, XVII, powiedziano jest, iż, przy przemienieniu naszego Zbawiciela *vestimenta eius facta sunt alba sicut lux*: szaty jego stały się białe jako światło. Przez którą to świetlaną białość chciał objawić swoim trzem apostołom obraz a postać wiekuistych radości, od jasności bowiem rozweselają się dusze wszystkich ludzkich istot. Jako macie o tym rzezenie staruszki, która nie miała zębów w paszczęce, a jeszcze powiadała: *Bona lux*<sup>82</sup>. A Tobiasz, cap. V, po utracie wzroku, gdy Rafael go pozdrowił, odpowiedział: „Jakąż radość mógłbym mieć ja, który nie oglądam światłości niebios?”. W takim kolorze objawiali aniołowie radość całego świata ze zmartwychpowstania Zbawiciela, *Joan*, XX; takż przy Jego wniebowstąpieniu. *Act.* I. W podobne odzienie przybranych ujrzał Św. Jan Ewangelista, *Apoc.* IV i VII, wiernych w niebiańskim i błogosławione Hieruzalem.

Czytajcie starożytne historie, tak greckie jak rzymskie; znajdziecie tam, iż miasto Alba (pierwszego patrona Rzymu) i zbudowane, i nazwane zostało wskutek znalezienia na onym miejscu białej maciory.

Znajdziecie takż, iż gdy po zwycięstwie nad nieprzyjacielem uchwalono, komu aby wszedł do Rzymu jako tryumfator, wjeżdżał na wozie zaprzężonym w białe konie. Toż samo ten, który wjeżdżał w mniejszym tryumfie; żadnym bowiem znakiem ani kolorem nie mogła być pewniej wyrażona radość z ich przybycia, niżli białością.

Znajdziecie, iż Perykles, hetman ateński, nakazał, aby ta część rycerzy, która wyciągnie losem białe ziarno bobu, spędziła cały dzień na zabawie, uciechach a wypożyczynku; druga zaś część miała walczyć. Tysiąc innych przykładów i ustępów mógłbym przytoczyć; ale nie chwila po temu.

Przy pomocy tego zrozumienia będziecie mogli rozwiązać zagadkę, którą Aleksander Afrodyzjczyk ogłosił za nieodgadnioną: czemu lew, który samym swoim głosem a rykiem przeraża wszystkie zwierzęta, lęka się jedynie i ma w poważaniu białego koguta? Bowiem (jako powiada Proklus<sup>83</sup>, *lib. de Sacrificio et Magia*) obecność władzy słońca, które jest organem i źródłem wszelkiej ziemskiej i syderalnej

<sup>81</sup> *Wawrzyńiec Walla* (1407–1457) — słynny humanista.

<sup>82</sup> *Bona lux* — „Dobre światło”. Zaczepnięte z głośnej *Pochwały szalenstwa* Erazma.

<sup>83</sup> *Proklus* — Perypatetyk z II stulecia, komentator Arystotelesa.

jasności, bardziej jest uosobiona i zawarta w kogucie białym, tak dla tej barwy, jak dla jego przymiotów i specyficznego rodzaju, niż we lwie. Powiada dalej, iż pod lwią formą okazywały się nierzadko diabły, które za pojawieniem się białego koguta wnet znikają.

Oto przyczyna, dlaczego *Galii* (to znaczy Francuzi, tak nazwani, ponieważ z przyrodzenia biali są jak mleko, które Grecy nazywają γάλα<sup>84</sup>) chętnie noszą białe pióra na czapkach. Z natury bowiem są weseli, niewinni, wdzięczni i mili w obcowaniu i jako godło i herb mają kwiat bardziej biały niżli który inny: lilię.

Jeśli spytacie, w jaki sposób natura przywiodła nas na to, aby przez biały kolor rozumieć radość i wesele, odpowiem, iż taka jest analogia i proporcja. Zewnętrznie bowiem biały kolor rozrywa i cieszy oczy, działając znamienicie rozwalniająco na istotę wzroczną, wedle mniemania Arystotelesa w jego *Problemach*. Owo doświadczycie tego łatwo, idąc przez góry pokryte śniegiem, tak iż uskarżacie się, że nie możecie dobrze patrzeć, jako pisze Ksenofon iż zdarzyło się jego ludziom, i jako Galen wywodzi obszernie, *libro X, de Usu partium*. Tak samo serce, wskutek wybornego wesela, rozprzestrzenia się wewnętrznie i doznaje oczywistego rozrzedzenia istoty życiodajnej, które może być tak silne, iż serce zostaje jakoby naruszone w swojej stałości i co za tym idzie życie może być porażone wskutek takiego nadmiernego wesela, jako powiada Galen, *lib. XII, Method. lib. V de Locis affectis, et lib. II de Symptomaton causis*. A że się to trafiało w ubiegłych czasach, świadczą o tym Markus Tuliusz, *lib. I Question. Tuscul.*, Weriusz, Arystoteles, Tytus Liwiusz, po bitwie pod Kannami; Pliniusz, *lib. VII, cap. XXXII i LIII*; A. Gellius, *lib. III, XV* i inne; jakoż Diagoras Rodyjczyk, Chilon, Sofokles, Dionizus tyran Sycylii, Filipides, Filemon, Polykrata, Filistion, M. Juventi i inni, którzy pomarli z radości. I, jako powiada Awicenna<sup>85</sup>, *in II canone i lib. de Viribus cordis* o szafranie, że tak rozwesela serce, aż pozbawia je życia, jeśli go użyć w nadmiernej dozie, a to wskutek zbytniego rozluźnienia i rozdęcia jego komory. O czym zobaczcie Aleks. Afrodyzyjczyka, *lib. primo Problematum, cap. XIX*. I nie pożałujecie. Widzę wszelako, iż głębiej zabrąłem w tę materię, niż zamierzałem z początku. Zwijam tedy żagle, odkładając resztę do osobnej książeczki. I powiem w jednym słowie, iż niebieskie oznacza z pewnością niebo i rzeczy niebiańskie, dla tego samego symbolu przez który białe oznacza radość i wesele.

## XI. MŁODE LATA GARGANTUI<sup>86</sup>.

Od trzech do pięciu lat żywiono i chowano Gargantuę za rozkazaniem jego ojca tak, jak każe obyczaj i spędzał czas podobnie jak inne dzieci w tych stronach, to znaczy: na picciu, jedzeniu i spaniu; na jedzeniu, spaniu i picciu; na spaniu, picciu i jedzeniu.

Jak dzień długi paćkał się we własnych bździnach, babrał sobie nos, drapał się po twarzy, zdzierał obcasy u trzewików, ziewał aż mu muchy do gęby wpadały, i uganiał chętnie za motylami zamieszkującymi państwo jego ojca. Zlewał się po trzewikach, fajdał po koszuli, ucierał nos w rękawy, ślinał się do zupy, pchał się, gdzie nie trzeba, czerpał wodę pantoflem i tarł się brzuchem o koszyk. Ostrzył zęby na sabotach, ręce umywał w polewce, czesał się kubkiem do picia, siadał między dwa krzesła zadkiem na ziemi, przykrywał się mokrym, workiem, popijał jedząc zupę, wyjadał zakalec z chleba, gryzł śmiejąc się, śmiał się gryząc, spluwał raz po raz do niecek, popuszczał od tłustości, szczał pod słońce, bździał pod wiatr, chował się przed deszczem pod

<sup>84</sup>γάλα (gr.) — czytaj: gala.

<sup>85</sup>Awicenna (908–1036) — słynny arabski lekarz i filozof.

<sup>86</sup>*Młode lata Gargantui* — Wielu komentatorów chce widzieć w tym i w następnym rozdziale satyrę na współczesne wychowanie dzieci monarszych, polegające głównie na jedzeniu, picciu i spaniu. Ta długa litania przysłów przekreślonych na wspak była tradycyjną igraszką średniowieczną.

rynę, kuł żelazo, kiedy wystygło, myślał o niebieskich migdałach, łowił ryby przed niewodem, mówił hop zanim przeskoczył, mur przebijał głową, drapał się, gdzie go nie swędziało, budował domy na piasku, zaglądał w kuchni do garnków, łaskotał się, aby się pobudzić do śmiechu, podkuwał żabom nogi, sypał wróblom soli na pośladek, opasywał się siekierą, podpierał się workiem, studnie stawiał na piecu, wodę czerpał przetakiem, ryby łowił widłami, sarny strzelał makiem, psuł papier, bazgrał po pergaminie, rachował się bez gospodarza, chwycił parę srok za ogon, szukał wiatru po świecie, darowanemu koniowi zaglądał w zęby, pierdział wyżej niż dziura w zadku. Czekał aż mu pieczone gołąbki wpadną same do gąbki, troskał się o zeszłoroczny śnieg, szukał dziur na całym. Małe psiaki z ojcowskiej sfory jadały z jego miski, on sam jadał z nimi razem. Gryzł je w uszy, one drapały go po nosie, on im dmuchał do zadka, one lizały go po gębie.

I wiecie jeszcze co, braciaszki? Niechże was choroba ściśnie! Owóż ten mały hultaj dobierał się do swoich nianiek, obmacywał je z przodu i z tyłu, taka była z niego zmyślna sztuka; i już zaczynał ćwiczyć swój saczek z rozporkiem, który piastunki ozdabiały mu co dnia nadobnymi wianuszkami, wstążkami, kwiatami, frędzelkami; i bezustannie obracały go dla zabawy w rękach niby czopek apteczny. Potem pękały od śmiechu, kiedy podnosił uszy do góry, jakoby zabawa przypadła mu do smaku. Jedna nazywała go swoim koreczkiem, druga swoim świderkiem, inna swoją gałązką koralu, inna szpuncikiem, patyczkiem, grajcarem, sprężynką, żądełkiem, wisiorkiem; inna mówiła: moje słodczyce twarde, mój stojaczek, moja kielbaska ciepłutka, moja kusiunia słodka. — To moje — powiadała jedna. — Nie, to moje — mówiła druga. — A dla mnie — rzekła inna — nic się nie zostanie? Na mą duszę, to wolę mu go uciąć. — Jak to uciąć! — mówiła druga — krzywdę byś mu pani uczyniła; od kiedyż to się dzieciom obcina? Toćby został panem Bezogońskim. I aby się mógł bawić jako inne pędraki w tych stronach, umocowały mu tam zgrabny wiatraczek, sporządzony ze skrzydeł wietrznego młyna w Mirbalu.

Syn, Mężczyzna

## XII. O MISTERNYCH KONIKACH GARGANTUI.

Aby go zawczasu wychować na dzielnego jeźdźca, sporządzono mu z drzewa pięknego, dużego konika, który wedle jego rozkazu parzał, skakał, spinał się, woltyżował i tańczył; chodził stępem, trapa, półkłusa, kłusa, krokiem szkockim, hiszpańskim, trawersem. I na rozkaz swego pana odmieniał sierść, jako mnisi dalmatykę wedle dnia świętecznego: gniadą, tarantowatą, cisawą, srokatą, karą, dropiatą, myszatą, jelenią, krowią, jabłkowitzą, siwą, białą.

On sam z wielkiego pniaka sporządził sobie konia do polowania; drugiego ze stępora na co dzień; zasię z wielkiego dębu zrobił sobie muła wraz z czaprakiem do pokoju. Jeszcze miał z dziesięć czy dwanaście sztuk na przeprzążkę, a siedem pocztowych; i wszystkie układał spać przy sobie.

Jednego dnia przybył na zamek ojcowski huczno i dworno imć pan Chlebowór, a w tymże samym dniu zjechali doń książę Obzora i hrabia Moczywiatr. Na mą duszę, mieszkanie okazało się nieco przyciasne dla tylego luda, zwłaszcza stajnie; zaczęli marszałek dworu i kwatermistrz pana Chlebowora, chcąc się wywieść, czy gdzie indziej w obejściu nie ma jakiej próżnej stajni, zwrócili się do młodego pacholęcia Gargantui, pytając poufnie, gdzie by były stajnie szlachetnych koni, jako iż dziecko łatwo wszystko wypaple.

Powiódł ich tedy przez wielkie schody zamkowe, przechodząc z drugiej sali do wielkiej galerii, przez którą weszli do wielkiej wieży; zasię gdy znów im przyszło drapać się na schody, rzekł kwatermistrz do marszałka:

— Ten chłopak chce nas wystrychnąć na błaznów; toć nigdy stajni nie budują na strychu.

— Źle to miarkujecie — odparł marszałek — znam zamki w Lyonie, w Banacie, Szynionie i indziej, gdzie stajnie mieszczą się na szczycie domu: jakoż może być, iż z tyłu jest jakowys dojazd. Ale zaraz się upewnimy.

Zaczem zwrócił się do Gargantui:

— Mój kochasiu, dokądże ty nas prowadzisz?

— Do stajni, rzekł, gdzie są moje wierzchowe konie. Tuj, tuj będziemy na miejscu; jeszcze tylko parę schodków.

I przeprowadziwszy ich jeszcze przez jedną wielką salę, zawiódł ich do swojej komnatki, otworzył drzwi i rzekł:

— Otóż i stajnia, o którą pytacie: oto mój dzianecik, oto mój traber, mój chłandonek, mój węgier — po czym pchając im w ręce wielki stępor dębowy, rzekł — Naści tego fryza; dostałem go z Frankfurtu, ale go wam pozwolę; dobry koniczek i roboczy co się zowie: z samczykiem jastrzębim, pół tuzinem bonońskich piesków i dwoma chartami, napolujecie sobie kuropatw i zajęcy na całą zimę.

— Święty Antoni! — rzekli do siebie tamci — oto nas na durniów wystrychnięto.

— Przywidziało się wam — odparł — aż do dziś dnia durniów tu nie widziano.

Dopieroż tamci nie wiedzieli, czy chować się w mysią dziurę ze wstydu, czy uśmieć się z dobrego figła.

Owo gdy schodzili na dół całe zasromani, spytał Gargantua:

— Czy chcecie i uzdę?

— Cóż to znów? — rzekli.

— To są — odparł — otręby do gęby i gówna do równa dla was na kaganiec.

— Ha — rzekł marszałek — a to nam zadał bobu ten urwis. O, mały hultaju, przywiódłeś nas na hak, co się zowie: jeszcze kiedy ujrzę cię papieżem.

— Spieszcie się, panie, bo d...a wam ustanie, trzymajcie plecy, bo d...a leci — rzekł malec.

— Dobrze już, dobrze — odparł kwatermistrz.

— Ale, ale — rzekł Gargantua — zgadnijcie ile ściągów jest w matczynej koszuli?

— Osiemdziesiąt — rzekł kwatermistrz.

— Trafiliście jak kulą w płot — rzekł Gargantua — jest ich *dwa naście*: naści z przodu i naści z tyłu. Widzicie, żeście źle policzyli.

— Kiedyż to? — spytał kwatermistrz.

— Wtedy — rzekł Gargantua — kiedy z waszego nosa zrobiono lewar, aby wyciągnąć wiadro g...na, a z waszego gardła lejek, aby je przelać do innego naczynia, kiszki bowiem zaciekały nieco.

— Tam do licha, zakrzyknął marszałek, ależ pyskaty! Nie chwyci się ciebie choroba, malcze, bo gębę masz wyparzoną do czysta.

Tak zeszedłszy na dół z wielkim pośpiechem, porzucili w przedsionku na ziemię grubego stępor, którym ich uraczył. Na co rzekł Gargantua:

— Cóż z was, u diaska, za mizerni jeźdźcy, kiedy sama kobyła nie chce was nosić. Gdybyście mieli jechać stąd do Mościsk, co byście woleli: jechać na gęsi, czy wieść maciorę za uzdę?

— Wolałbym się czego napić — rzekł kwatermistrz.

To mówiąc weszli do sieni, gdzie się znajdowała cała kompania, a gdy opowiedzieli swą przygodę, mało się wszystko nie rozpukło ze śmiechu.

XIII. JAK TĘGOSPUST POZNAŁ BYSTROŚĆ DOWCIPU GARGANTUI  
PO JEGO WYNALAZKU NOWEGO UTRZYJZADKA<sup>87</sup>.

Pod koniec piątego roku Tęgospust, wracając z porażki Kanaryjczyków, odwiedził swego syna Gargantuę. Ujrzawszy go, ucieszył się tak, jak mógł się ucieszyć taki ojciec, oglądając takiego syna. Zaczem całując go i ściskając, wypytywał żartobliwie o to i owo. I popił także co nieco z nim i z piastunkami, które z wielką troskliwością badał, żali go trzymając czysto i ochędożnie. Na co Gargantua odpowiedział, iż on sam zaprowadził taki porządek, iż w całym kraju nie masz schludniejszego chłopięcia.

— Jakże to? — rzekł Tęgospust.

— Wynalazłem — rzekł Gargantua — po długich i pilnych badaniach sposób obcierania sobie zadka najbardziej królewski, najbardziej pański, najwyborniejszy, najdokładniejszy, jaki kiedykolwiek widziano.

— Jakiż to? — rzekł Tęgospust.

— Wraz go wam opowiem — odparł Gargantua.

Podtarłem się raz aksamitną maseczką jednej panienki i spodobało mi się: miętkość bowiem jedwabiu sprawiała mi w stolcu bardzo lube łaskotanie.

Drugi raz czapeczką tejże panny i także było dobrze.

Innym razem chusteczką na szyję; kiedy indziej klapkami na uszy z karmazy-nowego atlasu, ale były naszywane jakimiś zas...nymi wyzłacanymi kulkami, które mi podrapały cały zadek. Niechże ogień świętego Antoniego<sup>88</sup> sparzy kiszkę stolcową złotnika, który je uczynił, i panny, która je nosiła!

To cierpienie mi przeszło, gdy się podtarł czapeczką pazia nadobnie ubraną piórami wedle szwajcarskiej mody.

Następnie wyfajdawszy się za krzakiem, znalazłem tęgiego kocura i nim się podtarłem, ale mi rozorał pazurami całe krocze.

Z czego uleczyłem się na drugi dzień, podcierając się rękawiczkami matki, pięknie woniejącymi piżmem.

Później podcierałem się szalwią, koperkiem, anyżkiem, majerankiem, różami, liśćmi łopuchu, kapusty, buraka, winnej latorośli, topolówki, werweny, sałatą i szpinakiem. Wszystko to zrobiło mi bardzo dobrze na żołądek; dalej szczyrem, rdestem, pokrzywą, żywokostem; ale dostałem od tego lombardzkiego liszaja: który wyleczyłem, podcierając się własnym saczkiem od pludrów.

Później podcierałem się prześcieradłem, koldrą, firankami, poduszką, dywanem, obrusem, serwetą, chustką do nosa, muślinem. W czym wszystkim znalazłem ot, tyleż przyjemności, co świerzbowaty, kiedy go skrobią zgrzeblem.

— Dobrze, ale — rzekł Tęgospust — powiedz, jaka podcierka zdała ci się najgodniejsza?

— Jużeśmy byli niedaleko — odparł Gargantua — i za chwilę dojdziemy do konkluzji. Podcierałem się sianem, słomą, kłakami, wełną, papierem, ale

Zła to praca i próżny wysiłek  
Chcieć papierem czysto utrzyć tyłek.

<sup>87</sup>wynalazek nowego utrzyjzadka — Bystrość uczonych komentatorów miała w tym rozdziale szerokie pole do dociekań. Jeden z nich twierdzi, iż autor ma tu na myśli samowolę Franciszka I i obchodzenie się jego z różnymi przywilejami, z których czynił użytek jak wskazano w tytule rozdziału; drugi dopatruje się w tym aluzji do licznych kochanek króla!

<sup>88</sup>Niechże ogień świętego Antoniego sparzy kiszkę stolcową złotnika — „Ogniem św. Antoniego” nazywano chorobę różę.

— A to co — rzekł Tęgospust — mój chwościku, czyś zaglądał do dzbanka, że już wierszami gadasz?

— A tak, mój królu — odparł Gargantua — gadam i składam wiersze nie pierwsze.

Posłuchajcież, panie, co powiada nasz wychód do swych gości:

Ktoś  
Jest  
Zacz,  
Coś  
Wszedł  
W s...acz,  
Złożyć swe Wielmożne Łajno,  
Słuchaj no:  
Niech zginie  
W teje godzinie,  
Niech tego zdusi powietrze,  
Kto swego zadka,  
Czysto, do gładka,  
Wczas nie podetrze.

— Chcecie jeszcze, panie ojczy?

— A juści, synalku — odparł Tęgospust.

— Ano, to jazda — rzekł Gargantua:

## RONDO

S...jąc sobie w ciepłe rano,  
Dziurę w zadku powąchałem:  
Cuchło bardziej, niż myślałem,  
I jakoś dziwnie za...ano;  
I wraz w myślach mych wołałem  
Moją donnę ubóstwianą,  
S...ąc.

Zaraz bym jej sercem całym  
Zatkał jedną dziurkę, ano.  
Ona by znów palcem białym  
Mą podtarła ufajdaną,  
S...ąc.

Owo, powiedzcież teraz, czym stracił czas na próżno. Ale, jak mi g...no miłe, co tych to sam nie złożyłem, jeno słysząc, jak je recytowała jedna stara pani, którą widzisz oto, zachowałem je w ładownicy mej pamięci.

— Wróćmy — rzekł Tęgospust — do przedmiotu.

— Jakiego — rzekł Gargantua — s...nia?

— Nie — odparł Tęgospust — podcierania zadka.

— Dobrze — rzekł Gargantua — ale czy postawicie mi baryłkę bretońskiego, jeśli was w kozi róg zapędzę w tej materii?

— Chętnie — odparł Tęgospust.

— Nie ma — rzekł Gargantua — potrzeby ucierania zadka, chyba że jest zapaskudzony. Zapaskudzony być nie może, chyba że się bejało: wprzód zatem przystoi bejać, a potem podcierać zadek.

— Hoho! — rzekł Tęgospust — ależ ty masz głowę, smarkaczu! W najbliższych dniach każę cię zrobić doktorem Sorbony, bo prze Bóg, rozum masz nad lata<sup>89</sup>. Owo prowadź dalej swój wywód utrzymujący, proszę cię o to. I, na mą brodę, miał jednej beczki, dostaniesz sześćdziesiąt baryłek i to tego dobrego bretońskiego wina, które nie rośnie w Bretanii, jeno w zacnej ziemi werońskiej.

— Podcierałem się potem — rzekł Gargantua — szlafmycą, poduszką, pantoflem, torbą myśliwską, koszykiem (o, cóż za niezycziwa podcierka!), wreszcie kapeluszem i zważcie, że kapelusze jedne bywają krótko strzyżone, drugie włochoate, inne puszyste, inne z kitajki, inne z satyny. Najlepszy ze wszystkich jest włochoaty, ponieważ bardzo dobrze eliminuje substancje kałowe.

Później podcierałem się kurą, kogutem, kurczęciem, skórą cielęcą, zającem, gołębiem, kormoranem, torbą adwokata, kapturem, czepkiem, strachem na wróble.

Ale, przechodząc do konkluzji, powiadam i utrzymuję, że nie ma takiego utrzymującego zadka jak gąska, dobrze puchem obrośnięta, byle głowę jej trzymać między nogami. I możecie temu wierzyć, na honor, doznajecie bowiem przy tym w dziurze zadecznej nieopisanych rozkoszy, tak dla delikatności onego puszkę, jak z powodu umiarkowanej ciepłoty gąski, która ciepłota snadnie udziela się kiszce stolcowej i innym wnętrznościom, aż wreszcie dochodzi do okolicy serca i mózgowicy.

I nie myślcie, iż szczęśliwość bohaterów i półbogów mieszkających w Polach Elizejskich, leży w ziele złotogłowa albo w ambrozji, albo w nektarze, jak opowiadają stare baby. Polega ona, wedle mnie, na tym, iż podcierają sobie zadki gąską. I taka jest opinia mistrza Jana ze Szkocji<sup>90</sup>.

#### XIV. JAKO GARGANTUA KSZTAŁCONY BYŁ PRZEZ PEWNEGO TEOLOGA W ALFABECIE ŁACIŃSKIM<sup>91</sup>.

Usłyszawszy te wywody, Tęgospust nie posiadał się z zachwyty, rozważając niepomierną bystrość i cudowne pojęcie syna swego Gargantui.

Zaczem rzekł do piastunek: „Filip, król Macedoński, poznał bystrość dowcipu syna Aleksandra po zręcznym sposobie, w jaki dosiadł konia. A był ów koń tak zuchwały i narowisty, iż nikt nie śmiał nań wsiąść, zrzucił bowiem z siebie wszystkich dojeżdźaczy, jednemu łamiąc kark, drugiemu nogi, innemu mózg, innemu szczękę. Przypatrując się temu w hipodromie (w którym to miejscu przeprowadzano i ujeżdżano wierzchowce), Aleksander poznał, iż wściekłość konia pochodzi jeno z tego, iż lęka się własnego cienia. Zatem dosiadłszy konia, skierował go pod słońce, tak iż cień wypadał z tyłu; i tym fortem uczynił go posłusznym swej woli. Z czego ojciec rozpoznał iście boskie pojęcie swego syna i kazał go bardzo pilnie kształcić Arystotelesowi, który był podówczas najwyżej ceniony z filozofów całej Grecji.

<sup>89</sup>Nie ma (...) potrzeby ucierania zadka (...) rozum masz nad lata — Drwiny z dialektyki scholastycznej.

<sup>90</sup>mistrz Jan ze Szkocji — Duns Scot.

<sup>91</sup>Jako Gargantua kształcony był przez pewnego teologa w alfabecie łacińskim — Satyra Rabelais'go wymierzona przeciw współczesnemu scholastycznemu wychowaniu i jego poglądy pedagogiczne stanowią rozdziały pierwszorzędnej wagi w jego dziele. W poglądach tych wyprzedza Rabelais o wiele swój wiek i wiele z jego zapatrywań (zrozumienie dla nauk przyrodniczych, wyższość nauki opartej na obserwacji i zetknięciu z życiem nad wiedzą formalną, szerokie uwzględnienie rozwoju fizycznego) dopiero w naszych czasach zaczyna znachodzić pełne uznanie.

Tak i ja wam powiadam, iż z tej jednej rozmowy, jaką tu w waszej obecności miałem z synem moim Gargantua, poznałem, że jego pojęcie pochodzi jakoby od jakiegoś bóstwa, tak mi się zda bystre, subtelne, głębokie i pogodne. I dojdzie on do najwyższych szczytów mądrości, jeżeli dostanie się w dobrą szkołę. Dlatego chcę go powierzyć jakiemu uczonemu człowiekowi, aby go kształcił wedle jego zdolności. I nic nie będę oszczędzał w tej mierze.

Jakoż w istocie przydano mu wielkiego doktora teologii, nazwiskiem mistrz Tubal Holofernes, który nauczył go tak dobrze abecadła, iż recytował je z pamięci od końca. Co zajęło mu pięć lat i trzy miesiące. Potem czytywał mu Donata<sup>92</sup>, Faceta, Theodoleta i Alanusa *in Parabilis*, na czym zeszło trzynaście lat, sześć miesięcy i dwa tygodnie.

Ale zważcie, iż równocześnie uczył go pisać alfabetem gotyckim i że sam musiał pisać wszystkie swoje księgi, sztuka bowiem drukarska nie była jeszcze w użyciu.

I nosił zazwyczaj wielki kałamarz ważyący więcej niż siedem tysięcy cetnarów, u którego schówek na pióro był tak gruby i wielki jak filary enajskie; kałamarzyk zaś wisiał na wielkich łańcuchach z żelaza, a był rozmiarów porządnej beczulki.

Potem mu czytał *de Modis significandi*<sup>93</sup> z komentarzem mistrzów Pyskatego, Nicpotem, mistrza Jana Ciolka, Stękały, Kujona i wielu innych: na czym zeszło więcej niż osiemnaście lat i jedenaście miesięcy. I umiał je tak dobrze, że na wrywki w każdym miejscu powtarzał je na wspak. I dowodził na palcach swojej matce, że *de modis significandi non erat scientia*.

Potem mu czytał *Computum*<sup>94</sup>, na czym strawił Gargantua szesnaście lat i dwa miesiące: w tym to czasie jego preceptor umarł:

W roku tysiącnym czterechsetnym szóstym<sup>95</sup>  
Z francy nabytej kędyś z wielkim gustem.

Po nim miał jeszcze drugiego starego stękałę, zwanego mistrz Pała Zakuta, który mu czytywał *Hugocja*<sup>96</sup>, Hebrarda *Grecyzmy*<sup>97</sup>, *Doktrynal*<sup>98</sup>, *Partes*<sup>99</sup>, *Quid est*<sup>100</sup>, *Supplementum*<sup>101</sup>, *Marmotreta*<sup>102</sup>, *De moribus in mensa servandis*<sup>103</sup>, Seneki *de Quatuor virtulibus cardinalibus*<sup>104</sup>; *Passavantus cum commento*<sup>105</sup>, *Dormi secure* na dni świąteczne<sup>106</sup> i parę innych z podobnej mąki; z których to dzieł stał się tak mądrym, jak był w bebecach swojej matki.

<sup>92</sup>Donat — Donatus, gramatyk z IV wieku.

<sup>93</sup>*de Modis significandi* — Książka Jana de Garlandia, dzieło barbarzyńskiej scholastyki.

<sup>94</sup>*Computum* — mały podręcznik astronomiczny do użytku laików.

<sup>95</sup>W roku (...) z wielkim gustem — Podobnej treści nagrobek ułożono po śmierci Franciszka I: *L'an mille cinqcent quarante sept, / François mourut à Rambouillet, / De la vérole qu'il avoyt.*

<sup>96</sup>*Hugocjo* — biskup Ferrary z XIII w., autor traktatu o gramatyce.

<sup>97</sup>*Grecyzmy Hebrarda* — wierszowana gramatyka grecka Ewerarda z Bethuno (1212).

<sup>98</sup>*Doktrynal* — wierszowana gramatyka łacińska dla początkujących, rozpowszechniona między XIII a XVI w. w całej Europie.

<sup>99</sup>*Partes* — *Partes orationis*, również zastarzały podręcznik.

<sup>100</sup>*Quid est* — podobnej treści dzieło w pytaniach i odpowiedziach.

<sup>101</sup>*Supplementum* — *Supplementum chronicorum* Jakuba Filipa Bergano.

<sup>102</sup>*Marmotret* — podręcznik przygotowawczy do czytania Biblii pt.: *Mammotractus sive expositio in singulis libris Bibliae*.

<sup>103</sup>*De moribus in mensa servandis* — przepisy zachowania się przy stole ułożone w formie eleganckich wierszy.

<sup>104</sup>„Seneki” *de Quatuor virtulibus cardinalibus* — traktat pióra Marcina, biskupa Montonedo (zm. 583).

<sup>105</sup>*Passavantus* — Jakub Passavent, mnich florencki, autor licznych traktatów łacińskich.

<sup>106</sup>*Dormi secure* — zbiór kazań na dni świąteczne.



## XV. JAKO GARGANTUĘ POWIERZONO INNYM PEDAGOGOM.

Owóż ojciec jego spostrzegł, iż, mimo że chłopiec kształci się bardzo pilnie i obraca cały swój czas na naukę, wszelako nic mu to nie pląży, a co gorsza jest, staje się z tego pomyłony, przygłupiasty, zatumaniony i jołopowaty. Zaczem gdy się wyzalał przed don Filipem Marejskim, wicekrólem Papełigossy<sup>107</sup>, rzekł mu tamten, iż lepiej by było chłopcu niczego się nie uczyć, niż uczyć się z takich książek pod takimi preceptorami. Bowiem ich cała nauka to jeno błazeństwo, a mądrość ich to wierutne bzdury służące do zbędkarcania dobrego i szlachetnego umysłu i zatruwające cały kwiat młodzieży.

— A na dowód, że tak jest — powiedział — przyjrzyjcież się któremukolwiek z dzisiejszej młodzieży, który kształcił się bodaj dwa lata: jeśli nie okaże się bystrzejszego dowcipu, trefniejszego rzeczenia, lepszego objęcia niż wasz syn i dorzeczniejszy w rozmowie, i obrotniejszy w świecie, ogłoście mnie na wiek wieków świniobójcą breneńskim<sup>108</sup>.

Co bardzo trafiło do przekonania Tęgospustowi i wydał rozkazy w tej mierze.

Wieczorem przy biesiadzie ówże pan Marejski wprowadził młodego pazia imieniem Eudemon, który był tak przystojnie odziany, tak wdzięcznie utrefiony, tak schludny, tak doreczny z postawy, iż raczej podobny był do jakiego małego aniołka niż do człowieka. Po czym rzekł do Tęgospusta:

— Widzicie tego dzieciucha? nie ma jeszcze szesnastu lat: owóż spróbujmy, jeśli wasza wola, jaka różnica jest między wiedzą waszych mózgowców wpiętkęgońskich z czasów króla Ćwiozka a dzisiejszą młodzieżą.

Spodobała się Tęgospustowi taka próba i skinął pazikowi ręką. Wówczas Eudemon, poprosiwszy o pozwolenie rzeczonego wicekróla, swego pana, z czapką w garści, z jasną twarzą, różową gębą, roztropnym spojrzeniem i z oczami wlepionymi w Gargantuję przystanął ze skromnością młodzieńczą i rozpoczął go chwalić i wysławiać: najpierw za jego cnotę i dobre obyczaje, po wtóre za jego wiedzę, po trzecie za dostojność rodu, po czwarte za urodę cielesną. A po piąte zachęcał go łagodnie, aby czcił swego ojca we wszelakim sposobie, za to iż ten tak bardzo troszczy się o jego wykształcenie; wreszcie prosił, aby go zechciał zatrzymać przy sobie, jako najniższego ze swoich sług. Bowiem (powiadał) nie pragnie zgoła od niebios innego daru, jeno tej łaski, aby się mógł stać użytecznym w miłych jego służbach.

Wszystko to wygłoszono z tak przystojnymi gestami, z tak wyrazistą wymową, tak dźwięcznym głosem, tak ozdobnym wysłowieniem i tak poprawną łaciną, iż raczej był w tym podobien do Grakcha, Cyclerona albo Emiliana z ubiegłych czasów, niż do młodzieńca naszego wieku. Ale Gargantua za całą odpowiedź, zaczął płakać i ryczeć jak krowa, zakrył twarz czapką i łatwiej dobyłbyś pierdniecie ze zdechłego osła, niżeli z niego jakie słowo.

Widząc to, ojciec jego wpadł w taki gniew, iż chciał zamordować mistrza Pałę. Ale ów pan Mareński powściągnął go, czyniąc mu ozdobne przedłożenia, tak iż gniew jego wreszcie się uśmierzył. Zaczem rozkazał, aby mu wypłacono pełne zasługi, napojono teologalnie<sup>109</sup> i wyprawiono do wszystkich diabłów.

— Przynajmniej — rzekł — nie będzie dzisiaj kosztował wiele swego gospodarza, gdyby przypadkiem zdechł gdzie po drodze, uchłany jak Angielczyk.

Skoro mistrz Pała ustąpił z domu, naradził się Tęgospust z wicekrólem nad wyborem nowego preceptora; jakoż ułożyli między sobą, iż obowiązki te obejmie Po-

<sup>107</sup>*Papełigossa* — kraj gdzie się dworuje z papieża.

<sup>108</sup>*ogłoście mnie (...) świniobójcą breneńskim* — Współczesne zakłęcie.

<sup>109</sup>*napoić teologalnie* — Fakultet teologiczny Sorbony za czasów Rabelais'go słynął ze swej sprawności w wysuszaniu butelek.

nokrates, bakałarz Eudemona; i że wszyscy razem udadzą się do Paryża, aby poznać, w jakich naukach kształci się ówczesna młodzież francuska.

#### XVI. O PODRÓŻY GARGANTUI DO PARYŻA, O OGROMNEJ KOBYLE<sup>110</sup>, KTÓRA GO DŹWIGAŁA I JAKO TA WYTEPIŁA WSZYSTKIE KOŃSKIE MUCHY W OKOLICY.

W tym samym czasie Fajol, czwarty król Numidów, przysłał z krainy afrykańskiej królowi Tęgospustowi największą i najrośniejszą kobyłę, jaką kiedy w świecie widziało, a także najpoczwarniejszą (jako wiecie, iż Afryka sadzi się zawsze na coś nowego): była bowiem wielka jak sześć słoni, kopyta miała rozszczepione jak koń Juliusza Cezara, uszy tak obwisłe jak u kóz langwedockich i mały róg na zadzie. Zresztą była skarogniada, nakrapiana myszaty. Ale ponad wszystko miała zwłaszcza ogon straszliwy, był bowiem w przybliżeniu tak gruby jak filar w kościele św. Marka w Lonży, przy tym graniaty, z włosiem pozakręcanym ni mniej ni więcej jako kłosie żyta.

Jeżeli dziwicie się temu, dziwcie się jeszcze więcej ogonom dzików scytyjskich, ważącym więcej niż trzydzieści funtów; także baranów syryjskich, którym trzeba (jeśli historyk nie zełgał) przyczepiać wózek do zadka, aby je dźwignąć mogły, tak są długie i ciężkie. Hej! nie macie wy takich, bracia rypały z dolin!

Tę kobyłę przywieziono przez morze na trzech okrętach i jednej brygantynie aż do Okońskiego portu w Talmondois. Skoro Tęgospust ją zoczył, rzekł:

— Ha, oto mi konik w sam raz dla syna na podróż do Paryża. Owo tedy, za wolą boską, wszystko pójdzie dobrze i synalek wyrośnie na tęgiego mądrałę.

Nazajutrz przepłukawszy gardło (jako się rozumie), ruszyli w drogę; Gargantua, preceptor jego Ponokrates ich ludzie; również był w orszaku i młody paż Eudemon. Ponieważ czas był pogodny i ciepły, wędrowali sobie wesoło gościńcem, żyjąc przy tym dostatnio i nie żałując sobie niczego; i tak zaszli wyżej Orleanu.

W owym miejscu był rozległy las, długi na trzydzieści i pięć mil a szeroki na siedemnaście, albo koło tego. Tenże las był obrzydliwie urodzajny i obfity w końskie muchy i bąki, tak iż była to prawdziwa tortura dla biednych kobył, osłów i koni. Ale kłacz Gargantui pomściła godnie wszystkie krzywdy poczynione w tym miejscu na bydłatkach swego gatunku, a to za pomocą figła, którego się nikt nie spodziewał. Skoro tylko weszli do owego lasu i bąki zaczęły się do niej dobierać, dobiła ogona z pochw i tak skutecznie jąła się nim oganiać i wywijając, aż powaliła cały las<sup>111</sup>: szast, prast, w prawo, w lewo, tu, tam, tak, wspanak, wzdłuż, wszcz, z góry, z dołu, waliła drzewa, ot, tak, jak kosiarsz kosi trawę. I od tego czasu nie było już ani lasu, ani bąków, jeno cały kraj zamienił się w szczerze pole.

Wreszcie przybyli do Paryża; w którym miejscu Gargantua wypoczął parę dni, biesiadując wesoło ze swoim orszakiem i wywiadując się, jacy by uczeni ludzie bawili naonczas w mieście i jakie wino się tu pija.

<sup>110</sup>*o ogromnej kobyle* — Starzy komentatorowie dopatrywali się w owej kobyle to księżnej d'Estampes, kochanki Franciszka I, to Diany de Poitiers, którą mąż jej, Ludwik de Brezé, dobrowolnie odstąpił królowi Henrykowi.

<sup>111</sup>*dobiła ogona (...) aż powaliła cały las* — Wedle dawnych komentatorów aluzja do wyrąbania lasów w Bauce przez panią d'Estampes: faktycznie jednak ten sam szczegół znajduje się już w dawnych *Kronikach Gargantuińskich* (patrz dodatek do tomu V), co dowodzi, jak śliskie są podobne kombinacje.

XVII. JAKO GARGANTUA OBLAŁ SWOJE POWITANIE Z PARYŻANAMI I JAKO ZABRAŁ WIELKIE DZWONY Z KOŚCIOŁA NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

W kilka dni potem, gdy się już dobrze wywciasowali, zaczął Gargantua zwiedzać miasto, gdzie wszyscy przyglądali mu się z wielkim podziwem. Paryżanie bowiem jest to naród z przyrody swojej tak głupi, gapiowaty i nicpotem, że lada kuglarz, lada kramarz wędrowny, lada muł przybrany dzwonekami, kobziarz przygrywający na placu, zgromadzi więcej ludzi niż który godny wykładacz Ewangelii. I tak natrętnie włóczyli się za nim, iż był zmuszony schronić się dla odpoczynku na wieżę kościoła Najświętszej Panny. Tam znalazłszy się i ujrzawszy naokoło siebie tyle luda, rzekł głośno:

— Zdaje się, że te ciury chcą, abym z nimi oblał moje przybycie i wkupił się do znajomości. Słusznie. Utoćz im wina; ale nie wiem, czy im przypadnie do smaku.

Zaczem, podśmiewając się, rozpiął nadobny saczek i dobywając na światło dzienne swoją ampulkę, obsikał ich tak dotkliwie, iż utopił ich dwieście sześćdziesiąt tysięcy czterysta i osiemnaście, nie licząc kobiet i małych dzieci<sup>112</sup>.

Niejaka ilość zdołała się ocalić ucieczką z onego urynnego potopu. I kiedy znaleźli się na dachach uniwersyteckich spoceni, kaszlący, plujący i bez oddechu, dopieroż jęli kłać i złorzeczyć:

— A to kara boska, a to zaraza, niechże cię piorun spali, a gównno, gównno, gównno, a żebyś konał rok a skonać nie mógł, a męko Pańska, a *das dich Gots leyden schend*, a na świętego Pafnucego, na świętego Kosmę i Damiana, a niech wszyscy diabli, niechże go lichy porwie, na mą duszę, niech go kule biją, na jądra świętych młodzianków, na świętego Hiebura apostoła, na świętą Pytę, na święte Cycuszki męczenniczki, a to nas czysto ukąpał! nie trza pary!

Od czego miasto nazwane zostało Paryżem (które przedtem zwano *Lutecja*, jako powiada Strabo, lib. IV, co znaczy po grecku Białogród, z powodu białości pośladków dam onego miasta); a jako że przy tym nowym nadaniu nazwy każdy z obecnych kłał się na świętego swojej parafii, odtąd Paryżanie (jako że jest to ludek wielce mieszanego rodu) są z natury dobrzy pyskacze i tędzy juryści, i co nieco przemądrzali: o czym powiada Joaninus de Barranco, *libro de Copiositate reverentiarum*, iż nazwani są *parrhesianie* po grecku, co znaczy „o wyparzonej gębie”.

To zdziaławszy, Gargantua obejrzał wielkie dzwony pomieszczone w onych wieżach i zagrał na nich wielce nadobnie. Podczas tej zabawy przyszło mu na myśl, że mogłyby się bardzo dobrze zdać jako dzwoneczki na szyję dla jego klaczy, którą miał zamiar odesłać ojcu z dobrym ładunkiem sera Brie i świeżutkich śledzi. Jakoż zabrał je do swej kwatery.

Skoro to spostrzeżono, w całym mieście rozpoczęła się rewolucja, ile że tam o to nietrudno: tak, iż cudzoziemskie narody dziwiają się cierpliwości królów francuskich, iż nie umieją skuteczną modą poskromić swoich Paryżan i znoszą utrapienia, które stąd nieustannie przychodzą. Ha! dałby Bóg, abym mógł poznać kuźnię, w której się kują owe szyzmy i monopole i dał o nich znać bractwom mojej parafii! Rozumie się, iż lud cały, rozszalały i przerażony, pognął prosto w stronę Sorbony, w której była (już nie jest) wyrocznia Lutecji. Tam przedstawiono sprawę i roztrząśnięto szkodę powstałą z wyniesienia dzwonów.

<sup>112</sup>obsikał ich tak dotkliwie (...) małych dzieci — Aluzja, znowuż wedle zawziętych komentatorów, rzekomo do podatków, jakimi Franciszek I obłożył Francję po wojnach włoskich, a także i do rodzowego nazwiska pani d'Estampes: *Pisseleu*.

Nagłędziwszy się dosyć *pro et contra*, zakonkludowano w *baralipton*<sup>113</sup>, iż należy wysłać najstarszą i najczcigodniejszą osobę z fakultetu teologicznego do Gargantui i przedstawić mu okropne szkody wynikłe z utraty onych dzwonów. I nie bacząc na przedkładania niektórych z Uniwersytetu, którzy skłonni byli to poselstwo powierzyć raczej retorowi niż teologowi, obrano do tej roli znamienitego mistrza Janotusa Berdysza.

#### XVIII. JAKO JANOTUS BERDYSZ ZOSTAŁ WYSŁANY W POSELSTWIE, ABY SKŁONIĆ GARGANTUĘ DO ODDANIA DZWONÓW.

Mistrz Janotus, ostrzyżony po cezaryjsku, przybrany w teologiczną krymkę, z żółdkiem dobrze opatrzonym w świeżutki opłatek prosto z pieca i wodę święconą z piwnicy, udał się do Gargantui, pędząc przed sobą trzech bedelów z czerwonymi pyskami, a wlokąc za sobą kilku mistrzów, zaspanych i brudnych, jak to ich godności przystało. U wejścia spotkał ich Ponokrates i przeraził się w duchu, widząc tę maskaradę, w rozumieniu, iż to są jakoweś poprzebierane błazny. Potem zapytał jednego z owych zaspanych mistrzów w onej bandzie, co by to było za cudactwo? Odpowiedziano mu, iż przyszli żądać oddania dzwonów.

Usłyszawszy te słowa, pobiegł Ponokrates do Gargantui z wiadomością, aby mógł sobie przygotować odpowiedź i obmyśleć zawczasu plan postępowania. Gargantua, uprzedzony o zajściu, odwołał na stronę Ponokrata, swego preceptora, Filotoma, marszałka dworu, Gymnasta koniuszego i Eudemona; i wprędce naradził się z nimi, co by należało uczynić i odpowiedzieć. Wszyscy byli zdania, aby posłów zaprowadzić do zacisznej izdebki i tam ich napoić teologalnie<sup>114</sup> po dziurki w nosie; aby zaś ten piernik nie odniósł próżnej chwały, iż na jego żądanie zwrócono dzwony, pośle się podczas libacji, po prefekta, rektora fakultetu i wikarego z parafii, którym wyda się dzwony, nim ów theologus wyjęczy się ze swą misją. Po czym w ich obecności wysłucha się jego pięknej przemowy. Tak się też stało: zaczem gdy wszyscy się zeszlizli, wprowadzono theologusa do pełnej sali. Odkrząknąwszy uroczyście, rozpoczął rzecz jak następuje.

#### XIX. PRZEMOWA, JAKĄ MISTRZ JANOTUS BERDYSZ WYGŁOSIŁ DO GARGANTUI, ABY GO SKŁONIĆ DO ODDANIA DZWONÓW<sup>115</sup>.

— Hem, hem, hem! *Mna dies*, panowie, *mna dies. Et vobis*, panowie. Bardzo byłoby ładnie, gdybyście nam oddali nasze dzwony, bardzo bowiem są nam potrzebne. Hem, hem. Thu, thu! Odrzuciliśmy w swoim czasie ładny grosik, który nam ofiarowali Londończycy z Cahors, a także i Bordończycy z Brie, którzy chcieli je kupić z przyczyny substancyjnej jakości elementarnej kompleksji zaintrofikowanej w terestryjność ich przyrody quiddytatywnej, aby extraneizować dnie zwiastujące obwódki księżycy i wichry na nasze winnice, to jest właściwie nie nasze, ale tu pobliskie. Jeżeli bowiem stracimy winko, stracimy wszystko: i rozum, i prawo.

Jeśli nam je oddacie na moje przedłożenie, zyskam na tym dziesięć koszów kiełbasy i godną parę nowych pludrów, co bardzo dobrze przygodzi się moim nogom, chyba żeby mi chybili słowa. Hej, na Boga, *Domine*, para pludrów to niezła rzecz, *et*

<sup>113</sup>*baralipton* — jedna z formułek sylogizmów scholastycznych.

<sup>114</sup>*napoić teologalnie* — Często używane u Rabelais'go wyrażenie „napoić teologalnie”, zostało w późniejszych wydaniach przez autora przez ostrożność skreślone.

<sup>115</sup>*Przemowa, jaką mistrz Janotus Berdysz wygłosił do Gargantui, aby go skłonić do oddania dzwonów* — Oracja ta, przykład elokwencji scholastycznej, ma być parodią przemowy, jaką teolog paryski, Jan Bricot, wygłosił w imieniu uniwersytetu paryskiego przy koronacji króla Franciszka.

*vir sapiens non abhorrebit eam.* Ho, ho, pary pludrów nie znajduje się na gościńcu. Wiem to dobrze po sobie. Osądźcie, *Domine*: toć już jest osiemnaście dni, jak dech z siebie wypacam przyrządzając tę piękną orację. *Reddite, quae sunt Caesaris, Caesari et quae sunt Dei, Deo. Ibi jacet lepus.* Na mą cześć, *Domine*, jeśli chcecie wieczerzać ze mną *in camera*, na rany boskie, *charitatis, nos faciemus bonum cherubin*<sup>116</sup>. *Ego occido unum porcum, et ego habet bon vino.* A dobre wino nie może gadać lichą łaciną. Owo tedy, *de parte Dei, date nobis dzwonos notros.* Ot, ofiaruję wam, w imieniu Fakultetu, egzemplarz *Sermones de Utino*, abyście *utinam* oddali nam nasze dzwony. *Vultis etiam odpustos? Per diem vos habebitis et nihil zaplacitis.*

O, panie, *dzwonos dona minor nobis.* Hej! *est bonum urbis.* Jeśli waszej klaczy jest z nimi do twarzy, tak samo jest też i naszemu Fakultetowi, *quae comparata est kobylis insipientibus et similis facia est eis, psalmo nescio quo*, wszakże dobrze mam go zapisanego w moich szpargałach; i jest *unum bonum Achilles.* Hem, hem, thu, thu! Ot, dowiodłem wam jak na dłoni, żeście powinni je oddać. *Ego sic argumentor: Omnis dzwonus dzwoniącus in dzwonico dzwoniszczando dzwonians dzwonicativo dzwoniare facit dzwoniabiliter dzwoniantes. Parisius habet dzwonos. Ergo gluc*<sup>117</sup>. He, he, he, to się nazywa mówić! To jest wyłożone *in tertio primae w darii* albo w czym innym. Na mą duszę, był czas, że byłbym przeargumentował samego diabła. Ale już mi dziś trochę osłabła mózgowica i teraz trzeba mi jeno dobrego winka, dobrego łózcza, ot tak: grzbiet do kominka, brzuch na stole, misa pełna a głęboka! Hej, *Domine*, proszę was, *in nomine Patris, et Filii et Spiritus Sancti, amen*, oddajcie dzwony: i niech Bóg was strzeże od złego i Matka Boska da zdrowie, *qui vivit et regnat per omnia secula seculorum.* Amen. Hem, thu, hem, thu, a thu!

*Verum enim vero, quando guidem, dubio procul, Edepol, quoniam, ita, certe, meus deus fidius*<sup>118</sup>, miasto bez dzwonów jest jako ślepiec bez kija, jako osieł bez podogonia i jako krowa bez dzwoneczków. Póki nam ich nie oddacie, nie przestaniemy krzyczeć za wami jako ślepiec, który postradał swój kij, ryczeć jak osieł bez podogonia i beczeć jak krowa bez dzwoneczków.

Jakiś łacinnik od siedmiu boleści, mieszkający niedaleko szpitala Bożego Ciała, rzekł raz, powołując się na autorytet Taponusa, nie, myślę się, to był Pontanus<sup>119</sup>, poeta świecki: iż pragnąłby, aby te dzwony były z pierza, serce zaś miały z lisiego ogona, ponieważ przyprowadzają go o chroniczne cierpienia bebechów w mózgu, kiedy układa swoje rymowane ody. Ale nak, nak, petetin, petetak, tik tak, trzyj zad, ogłosiliśmy go heretykiem: dla nas to jak chleb z masłem. Więcej świadek nic nie ma do zeznania. *Vabete et plaudite. Calepinus recensui*”.

## XX. JAKO TEOLOG ZABRAŁ SWOJE SUKNO I JAKO WSZCZAŁ PROCES PRZECIW SORBONISTOM.

Zaledwie theologus ukończył rzecz swoją, Ponokrates i Eudemon parsknęli śmiechem tak głośno, iż zdawało się, że na miejscu wyzioną ducha: ni mniej ni więcej jak Krassus, gdy ujrzał osła-ogiera zjadającego osty, i jako Filemon, który umarł ze śmiechu, widząc osła zjadającego figi przygotowane do obiadu. Wraz z nimi zaczął śmiać się mistrz Janotus i śmieli się na wypródkę, tak iż łzy napływały im do oczu,

<sup>116</sup>*nos faciemus bonum cherubin* (łac.) — ma oznaczać w tej barbarzyńskiej łacinie: będziemy pić póty, aż nam gęby szczerwienieją jak cherubinom.

<sup>117</sup>*gluc* — wykrzyknik stosowany wówczas w dyskusjach uniwersyteckich dla wyrażenia, że jakiś argument nic nie dowodzi.

<sup>118</sup>*Verum enim vero (...) meus deus fidius* (łac.) — Nagromadzenie wyrażań, które wszystkie mają oznaczać: zaprawdę.

<sup>119</sup>*Pontanus* (1426–1503) — poeta i filozof.

wskutek gwałtownego otrząśnięcia substancji mózgowej, z której wyciśnięte były owe łzawe wilgotności i przesączone później przez nerwy optyczne. W czym przedstawiali obraz jakoby Demokryta heraklityzującego i Heraklita demokrytyzującego.

Gdy te śmiechy wreszcie ustały, naradził się Gargantua ze swymi ludźmi, co by należało czynić. W czym Ponokrates był zdania, aby jeszcze raz napić onego tęgiego oratora, i, zważywszy iż dostarczył im rozrywki i więcej ich rozśmieszył, niżby to zdołał uczynić sam imć Klituśbajtuś, aby mu dać owe dziesięć koszów kielbasy wzmiankowane w jego uciesznej oracji, wraz z parą pludrów, trzemaset wiązkami drzewa, dwudziestoma pięcioma wiadrami wina, łóżkiem o potrójnym materacu z gęsiego puchu i bardzo obszerną i głęboką miskę, które to rzeczy mienił jako potrzebne dla swej starości.

Wszystko się stało, tak jak uradzono; z tą różnicą, iż Gargantua, obawiając się, że nie znajdzie tak rychło pludrów na jego miarę, nie wiedząc również, jakiego kroju najlepiej by się nadały onemu oratorowi: czy krojem martyngalskim, które mają jakoby most zwodzony dla zadka, aby mógł się tym dogodniej opróżniać, czy marynarskim, ażeby snadniej ulżyć nerkom, czy szwajcarskim, aby ciepłej trzymać kaldun, czy na kształt ogona dorsza, trzymające chłodno lędźwie, kazał mu dać siedem łokci czarnego sukna, a trzy barchanu na podszycie. DREW dostawili mu najemnicy; mistrzowie sztuk wyzwolonych zanieśli kielbasę wraz z miską. Mistrz Janotus chciał sam nieść sukno. Jeden z pomienionych mistrzów, zwany mistrzem Janem Bandziochem, przedstawiał mu, iż nie jest to przystojne ani godne stanu teologicznego i że lepiej, aby je oddał jednemu z nich<sup>120</sup>.

— Ha — rzekł Janotus — Bandzioszku, osiołku, nie prowadzisz konkluzji *in modo et figura*. Od czegoż mamy suppozycje *et parva logicalia*. *Pannus pro quo supponit?*

— *Confuse* — rzekł Bandzioch — *et distributive*.

— Nie pytam ciebie, ty kłapouchu — rzekł Janotus — *quomodo supponit*, ale *pro quo*: to znaczy, osłe, *pro tibiis meis*. I dlatego zaniósę ja sam, *egomet, sicut suppositum portat adpositum*.

Jakoż wyniósł je chyłkiem, jako uczynił hultaj Patelin<sup>121</sup> ze swym sukmem. Najlepsze z tego było, że stary piernik na pełnym posiedzeniu Sorbony zażądał z całą bezczelnością obiecanych pludrów i kielbasy. Ale stanowczo i wręcz odmówiono mu, ile że je otrzymał od Gargantui, wedle informacji o przebiegu sprawy. Próżno im przedkładał, iż to było *gratis*, z czystej szczodroblewości, która nie zwalnia ich bynajmniej z przyrzeczeń. Mimo wszystko, odpowiedziano mu, aby się puknął w głowę, nabrał rozumu i że więcej nie dostanie ani okruszyny.

— Rozumu? — rzekł Janotus — toć my nie używamy tutaj tej potrawy. A, zdrajcy niegodni, hultaje, nie warcicie, aby was święta ziemia nosiła. Ja was znam; nie kuśtykajcie przy kulawym. W jednych świństwach palceśmy maczali. Klnę się na śledzionę naszego Stworzyciela, iż ostrzegę króla o straszliwych szelmostwach, jakie się tutaj kuje, pod waszym skrzydełkiem i z waszą zachętą. I niech mnie trąd ogarnie, jeśli nie każe was wszystkich spalić żywcem jako łajdaków, zdrajców, heretyków i zwodzicieli, nieprzyjaciół Boga i cnoty.

Usłyszawszy te słowa, wzięli go w stan oskarżenia; on ze swej strony także ich pozwał: proces dostał się przed trybunały, gdzie po dziś dzień przemieszkują. Sorboni pały w swej zawziętości uczynili ślub, iż gęby nie umyją, mistrz Janotus ze swymi stronnikami przysięgli, że nosa nie obetrą, póki rzecz nie będzie rozstrzygnięta ostatecznym wyrokiem.

<sup>120</sup> *Mistrz Janotus (...) ze swym sukmem* — Parodia dialektyki scholastycznej.

<sup>121</sup> *Patelin* — bohater starej farsy francuskiej.

Z przyczyny tych ślubów zostali po dziś dzień brudni i zasmarkani: trybunał<sup>122</sup> bowiem nie roztrząsał jeszcze należycie wszystkich aktów. Wyrok będzie wydany w najbliższe kalendy greckie, to znaczy na święty Nigdy. Wicie bowiem, że ci panowie czynią więcej niż sama natura, i to przeciw swoim własnym artykułom wiary. Artykuły paryskie opiewają, iż Bóg sam tylko może czynić rzeczy nieskończone. Natura nie czyni nic nieśmiertelnego: zakreśla koniec i kres wszelkim rzeczom przez siebie stworzonym, jako że *omnia orta cadunt* etc.

Ale ci łykacze wiatru umieją to sprawić, iż procesy od nich zawisłe stają się nieskończone i nieśmiertelne. Którym postępowaniem wywołali i potwierdzili rzeczenie Chilona Lacedemończyka, uświęcone w Delfach: iż nędza jest towarzyszką procesów, a nędzarami ludzie prawujący się. Prędzej bowiem doczekają się godziny śmierci, niżeli dojdą swojej słuszności.

## XXI. NAUKI I OBYCZAJE GARGANTUI WEDLE DYSCYPLINY JEGO PROFESORÓW SORBONOSŁÓW.

Gdy tak pierwsze dni minęły i dzwony wróciły na swoje miejsce, obywatele Paryża, wdzięczni za tyle uprzejmości, ofiarowali się utrzymywać i żywić jego klacz, jak długo mu się spodoba, co Gargantua przyjął wdzięcznym sercem. Zaczem wysłali ją do lasu w Bierze<sup>123</sup>: rozumiem, że jej już tam nie ma.

Następnie Gargantua pragnął zabrać się ze wszystkich sił do studiowania pod kierunkiem Ponokrata. Ale ten na początek zalecił mu, aby żył wedle dawnego swego obyczaju. Pragnął się sam przekonać, przez jakie sposoby, w tak długim przeciągu czasu, nauczyciele uczynili zeń takiego głupca, jołopa i nieuka. Spędzał tedy Gargantua czas w taki sposób, iż zazwyczaj budził się między ósmą a dziewiątą godziną, czy było jasno, czy ciemno; tak zalecili mu jego kierownicy teologiczni, przytaczając rzeczenie Dawidowe: *Vanum est vobis ante lucem surgere*<sup>124</sup>.

Później przewalał się, parskał i figlował po łóżku co chwilę, aby lepiej rozweselić umysł; po czym ubierał się wedle pory roku, ale zwyczajnie nosił długą i obszerną suknię z grubej białej podbitą lisami; potem czesał się grzebieniem Adama, to jest czterema palcami i kciukiem. Preceptorzy bowiem mówili mu, że inaczej się czesać, myć i chędożyć, to oczywista strata drogiego czasu.

Potem fajdał, sikał, rzygał, krząkał, pierdział, ziewał, spluwał, kaszlał, przetykał, kichał i wycierał nos archidiakońską modą palcami; po czym śniadał, aby przepędzić wilgotność rosy i rannego powietrza: nadobne flaki zasmażane, piękne pieczonki duszone, szyneczki, combry kozłe i obfitość zupy ze świeżych jarzynek. Ponokrates przedkładał mu, iż nie powinien najadać się tak rychło po wstaniu z łóżka, zanim użyje jakowego ruchu. Gargantua odparł: — Co? jeszcze nie dosyć ruchu? Tociem się wytarzał dobrych parę razy po łóżku, nim się wzięłem do wstawania? Czyż to nie dosyć? Papież Aleksander tak samo czynił, z porady Żydowina, swego lekarza, a żył do samej śmierci na złość zazdrośnikom<sup>125</sup>. Moi pierwsi nauczyciele wzwyczaili mnie do tego, mówiąc że z obfitego śniadania przychodzi dobra pamięć; a na dowód sami pierwsi popijali co wlezie. Bardzo się przy tym dobrze czuję i tym większy mam apetyt do obiadu. I powiadał mi mistrz Tubal, który był pierwszym licencjatem Paryża, że nie ten wygrywa, który szybko biegnie, jeno ten który wyruszy zawczasu; owo też

<sup>122</sup>przysięgli, że nosa nie obetrą, póki (...) to znaczy na święty Nigdy — Ostre wycieczki przeciw ówczesnemu wymiarowi sprawiedliwości niejednokrotnie będą tematem satyry Rabelais'go.

<sup>123</sup>las w Bierze — Bière: dawna nazwa lasu Fontainebleau.

<sup>124</sup>*Vanum est vobis ante lucem surgere* (łac.) — Daremne jest wam wstawać przed światłem dziennym.

<sup>125</sup>Papież Aleksander tak samo czynił — Papież Aleksander V, który nie gardził rozkoszami stołu.

nie na tym polega zdrowie ludzkie, aby pić dużo jak kaczką, jeno aby zacząć pić wczesno: *unde versus*<sup>126</sup>:

Wstawać rano, pusta praca:  
Popić rano — to popłaca.

Tak pośniadawszy należycie, szedł do kościoła, gdzie za nim nieśli w dużym koszyku srogi brewiarz, pięknie oprawny, ważący, tak dla swej tłustości, jak dla zamków i pergaminów, mniej więcej jedenaście pudów i sześć funtów. Tam wysłuchiwał dwadzieścia sześć do trzydziestu mszy: przez ten czas przybywał jego kapelan opatulony jak dudek i z oddechem zionącym bardzo przyjemnie, a to dzięki obfitemu przepłukaniu gęby sokiem winnym. Z tym mamrotał swoje pacierze i różańce, a tak uważnie je przebierał, że ani ziarenko nie upadło na ziemię. Gdy wychodził z kościoła, przywołano mu na wózku zaprzężonym w woły jeszcze kupę różańców świętego Klaudiusza, każdy wielkości dobrej czaszki ludzkiej; zaczęł, przechadzając się po klasztornych kruzgankach i ogrodach, odmawiał ich tyle, że zapędziłby w kąć szesnastu pustelników.

Potem studiował jakieś małe półgodzinki z oczami wylupionymi na książkę; ale, jako powiada Komikus, dusza jego przebywała w kuchni<sup>127</sup>.

Napełniwszy sumiennie urywał<sup>128</sup>, zasiadał do stołu. A ponieważ był natury flegmatycznej, zaczynał posiłek od paru tuzinów szynek, wędzonych ozorów, ikry rybiej z octem, kielbas i innych przekąsek przedwinnych. Przez ten czas, czterech ludzi bez przestanku nakładało mu do gęby pełnymi łopatami musztardę; potem wysączał przerażający lyk białego wina, aby sobie ulżyć na nerki. Potem najadał się, wedle pory roku, różnych mięsów do sytości i przestawał jeść wówczas, gdy pas wrzynał mu się do brzucha. Co do picia, nie miał na to granicy ani kanonu. Powiadał bowiem, iż granica i kres picia jest wówczas, gdy u osoby pijącej podeszwy u pantofli nabrzmiewają na pół stopy.

## XXII. ZABAWY GARGANTUI<sup>129</sup>.

Potem ciężko mamrocząc pod nosem kęs pacierzy, umywał ręce w świeżym winie, wykałał zęby wieprzową nogą i rozmawiał wesoło ze swymi ludźmi. Tedy, rozciągnąwszy zielone sukno, rozkładano obfitość kart, kości, a także mnogo szachownic i warcabnic. I grywał tam:

w podaj dalej,  
w prymę,  
w „moja twoja”,  
w kupki,  
w tryumf,  
w pikardkę,  
w „sto do stu”,  
w czerwone i czarne,  
w żądelko,  
w mizerkę,

<sup>126</sup>*unde versus* (łac.) — stąd wiersz.

<sup>127</sup>*dusza jego przebywała w kuchni* — „Jamdudum animus est in patinis” (Terencjusz).

<sup>128</sup>*urywał* — nocnik.

<sup>129</sup>*Zabawy Gargantui* — I ten rozdział ma być satyrą na wychowanie Franciszka I, którego młodość wedle świadectw historii miała upłynąć wyłącznie na spaniu i zabawie. Ostatnio wydanie Rabelais'go (Abel Lefranc, 1913) podaje wyjaśnienie niemal wszystkich owych 215 gier przytoczonych w oryginale.



w „co upadło, to przepadło”,  
w sześćdziesiąt sześć,  
w trzydzieści jeden,  
w para nie para,  
w trzysta,  
w niezdare,  
w durnia,  
w latającą kartę,  
w „moja ostatnia”,  
w landsknechta,  
w rogała,  
w kto da więcej,  
w kupca,  
w mariasza,  
w wesołka,  
w zagadki,  
w „biorę jedną, bierzesz dwie”,  
w sekwens,  
w dołki,  
w wilka i owce,  
w byczka,  
w pułapki,  
w karę,  
w ronfle,  
w glika,  
w honory,  
w morę,  
w szachy,  
w marelkę,  
w krówki,  
w mydło,  
w szczęśniaka,  
w trzy kości,  
w stoliczek,  
w nik nok,  
w renetkę,  
w tryktraka,  
w barylkę,  
w cztery stoły,  
w pierwszą z brzegu,  
w kabalę,  
w lansjera,  
w warcaby,  
w babulkę,  
w *primus secundus*,  
w rączkę,  
w kluczyki,  
w ostatnie karo,  
w lebo lebo,  
w orła i reszkę,

w kunę,  
w kulki,  
w kręgielki,  
w szewca,  
w ciemno, ciemno,  
w zgaduj zgadula,  
w członko,  
w sikawkę,  
w pośladki,  
w miotłę,  
w „święty Kosmo, ja twój sługa”,  
w kominiarza,  
w zielone,  
w wielki post,  
w kuternogę,  
w dzielenie włosa,  
w wilczy ogon,  
w pierdzimką,  
w „gdzie masz lancę?”,  
w trzęsionkę,  
w szalupę,  
w muszkę,  
w „baż, baż, baranku”,  
w podobieństwa,  
w dziewięć rąk,  
w kapturek,  
w most zwodzony,  
w pytkę,  
w huśtawkę,  
w kura,  
w wyrwidęba,  
w smarki,  
w laryfary,  
w ropuchę,  
w kolano,  
w królów,  
w bilboket,  
w rzemiosła,  
w buru, buru, buks,  
w sosenkę,  
w przekleństwa,  
w orzechy,  
w mycie czepka,  
w żytko,  
w sianie owsa,  
w przepiórkę,  
w młynek,  
w *defendo*,  
w kręcinoę,  
we wściekłego psa,

w puzderko,  
w oracza,  
w zdechłego barana,  
w „właż, właż, drabinko”,  
w nadziewane prosię,  
w solony zadek,  
w gołąbki,  
w moja trzecia,  
w „dawaj sera”,  
w krzaczkę,  
w krzyżownicę,  
w kapturek,  
w dziadowską sakwę,  
w jaskółcze gniazdo,  
w „wietrzyk wieje”,  
w figę marynowaną,  
w banialukę,  
w musztardę,  
w polykanie,  
w raczka,  
w czyżyka,  
w czapkę,  
w baranią głowę,  
w skowronki,  
w szydełko,  
w łaskotki,  
w puchacza,  
w zajączka,  
w tirlitantynę,  
w świnkę,  
w sroczkę,  
w rożek,  
w gwałtu, gwałtu,  
w kto się rozśmieje,  
w szczypankę,  
w kucie osła,  
w solniczkę,  
w pętelkę,  
we wsiadanego,  
w czarnego pierta,  
w brodatego,  
w miotelkę,  
w jarmark,  
w „kumie, pożyczcie mi worka”  
w dzicze jajo,  
w diabełka,  
w Marylską figę,  
w muszkę,  
w żandarma,  
w odzieranie lisa,

w płatkę,  
w pana i panią,  
w „sprzedam owies”,  
w gaszenie węgla,  
w odpowiedzi,  
w „sędzia żywy i sędzia umarły”,  
w żelazko,  
w hultaja,  
w kamyczki,  
w garbuska,  
w świętego Znalazł,  
w trzymaj ciepło,  
w gruszę,  
w pastucha,  
w kózkę,  
w obrączkę,  
w maciorkę,  
w brzuch do brzucha,  
w pudełko,  
w różeczkę,  
w drążek,  
w „i ja także”,  
w łyska,  
w bębenek,  
w trzy nogi,  
w „leci kula leci”,  
w młynka,  
w śmierzducha,  
w łajno smażone,  
w aniołka,  
w krótkiego,  
w czaplę,  
w obracane,  
w potłucz garnki,  
w „kaś ta wlaźł”,  
w piramidkę,  
w kardynały,  
w laseczkę,  
w piruetkę,  
w piszczalkę,  
w pikietę,  
w mydło,  
w szczupaka,  
w munsztuczek,  
w zamek,  
w trzy rządki,  
w dołki,  
w chrapkę,  
w rożek,  
w kapucyna.

Zaczem skoro się dobrze nabawili, naigrali, nafiłowali i nazabijali czasu, godziło się wypić co nieco; ot, jakieś jedenaście garnców na głowę; a potem, zaraz po takim łyżku, dobrze było przylegnąć na ławeczce albo zgoła rozciągnąć się na łóżku i przespąć jakie dwie lub trzy godzinki, bez złej myśli i nie czyniąc tym krzywdy nikomu. Zbudziwszy się, Gargantua strzygł nieco uszami: wraz przynoszono mu świeżego wina i pociągał lepiej jeszcze niż wprzód. Ponokrates przedkładał mu, że to zły obyczaj pić tak zaraz po spaniu.

— Toć — odpowiedział Gargantua — to jest prawdziwe życie świątobliwych Ojców. Co do mnie, z natury mojej śpię słono i sen znaczy dla mnie tyle co dobra szynka.

Potem zabierał się co nieco do studiowania i zaczynał od ojczenaszków: aby się zaś lepiej z nimi ułatwić, wsiadał na starego muła, który służył już dziewięciu królom; owo tak mamrocząc ustami<sup>130</sup> a przykiwując sobie głową, wędrował przypatrzeć się, jak zastawiają siatkę na króliki<sup>131</sup>.

Za powrotem zaglądał do kuchni spojrzeć, co za pieczone obraca się na rożnie. I wieczerzał, jak mi Bóg miły, bardzo smaczno i chętnie zapraszał paru moczymordów z sąsiedztwa, z którymi przepijał tęgo, kosztując na przemian młodego i starszego.

Między innymi miał za domowników pana Trzypotrzy, pana Obzorę, pana Doliwę i pana Puszczaipasa<sup>132</sup>. Po wieczerzy wnoszono znowu drewniane brewiarze, to znaczy różne warcabnice albo tryktraczek, albo *raz dwa trzy*, albo wszystkie inne dla krótkości, albo też kompania szła zajrzeć na dziewczęta w okolicy i dopiero z nimi bankiety a podkurki, a kolacyjki. Po czym spał bez zająknięcia aż do ósmej rano następnego dnia.

### XXIII. JAKO PONOKRATES UJĄŁ GARGANTUA W TAKĄ DYSCYPLINĘ, IŻ ANI GODZINA W DNIU NIE SZŁA NA MARNE<sup>133</sup>.

Kiedy Ponokrates poznał oplakany sposób życia Gargantui, zamierzył inaczej pokierować jego nauką; ale w pierwszych dniach był cierpliwy, rozumiejąc, iż natura nie znosi gwałtownej odmiany bez wielkiego oporu

Pragnąc tym skuteczniej rozpocząć dzieło, poprosił znakomitego lekarza owych czasów, zwanego mistrzem Teodorem, aby ocenił, czy możliwym jest naprowadzenie Gargantui na lepszą drogę. Ten przeczyścił go kanonicznie antycyryską ciemierzycą i za pomocą tego lekarstwa uprzętnął mu z mózgu wszelkie zastarzałe błędy i szpetne nałogi. Również za pomocą tego środka Ponokrates dał mu zapomnieć wszystko, czego się nauczył pod swymi dawnymi preceptorami, jako czynił Tymoteusz<sup>134</sup> swoim uczniom, którzy uczyli się wprzód u innych muzykantów.

Aby to lepiej osiągnąć, wprowadził go w towarzystwo ludzi uczonych bawiących w mieście, aby przez emulację z nimi rósł mu dowcip i chęć kształcenia się w innym sposobie i odznaczenia się.

<sup>130</sup>wsiadał na starego muła (...) mamrocząc ustami — Rajcy parlamentu zwykli byli, jadąc na swoje posiedzenia, odmawiać różańce.

<sup>131</sup>wędrował przypatrzeć się, jak zastawiają siatkę na króliki — Polowanie na króliki należało podówczas do ulubionych rozrywek możnych panów.

<sup>132</sup>miał za domowników pana Trzypotrzy, pana Obzorę, pana Doliwę i pana Puszczaipasa — W oryginalne prawdziwe nazwiska dworzana Franciszka I.

<sup>133</sup>Jako Ponokrates ujął Gargantua w taką dyscyplinę, iż ani godzina w dniu nie szła na marne — Cały plan nowożytnego wychowania zawarty w tym rozdziale pomyślany jest przez autora zupełnie serio; przy bliższym rozpatrywaniu nie jest on tak przeciążający, jakby się to z natłoczenia szczegółów i amplifikacji stylowych na pozór zdawało. To przejście od zaniedbanego do starannego wychowania również zgodne jest z historią życia Franciszka I.

<sup>134</sup>Tymoteusz z Miletu — fletnista na dworze Aleksandra Wielkiego.

Następnie przepisał mu taki rozkład nauki, iż ani jedna godzina w dniu nie szła na marne; jeno cały czas obrócony był na studia i szacowną wiedzę. Budził się tedy Gargantua około czwartej rano. Podczas gdy go nacierano, czytano mu równocześnie jakąś stronicę Pisma świętego, głośno i wyraźnie, z wymową zastosowaną do treści; ku temu przeznaczony był młody pazik imieniem Anagnostes. Pod wpływem przedmiotu i treści tych lekcji nieraz w sercu Gargantui budziło się uczucie czci i zachwytu, potrzeba modlitwy i obcowania z dobrym Bogiem, którego majestat i cudowną sprawiedliwość poznawał z onego czytania.

Później szedł na ustęp, aby wydzielić z siebie produkty naturalnego trawienia. Tam preceptor powtarzał mu to, co wprzód czytano, wykładając najbardziej trudne i niejasne punkty. Później wracając, badali stan nieba, czy był ten sam, jaki zanotowali sobie dnia poprzedniego i w jaki znak wchodzi słońce, a w jaki księżyc na dzień niniejszy.

Następnie ubierano go, czesano, trefiono mu włosy, strojono i skrapiano pachnidłami, przez który to czas przepowiadano mu równocześnie lekcje z dnia poprzedniego. On sam wydawał je na pamięć i przystosowywał do praktycznych wydarzeń zaczerpniętych z ludzkiego życia; to trwało niekiedy do trzech godzin: ale zwyczajnie przerywali, kiedy był zupełnie ubrany. Potem przez dobre trzy godziny czytano mu głośno.

Następnie wychodzili z domu, ciągle rozprawiając o treści przeczytanych ustępów i kierowali się na plac albo na łąki i grali w piłkę, w palanta albo w inne gry, wdzięcznie ćwicząc nimi ciało, jako poprzednio ćwiczyli ducha. Zasadą gry była u nich swoboda; przerywali bowiem partię, kiedy im się spodobało, zaprzestając zwyczajnie gry wówczas, gdy się spocili albo też uczuli zmęczenie. Zaczem osuszywszy i wytarłszy się dobrze, zmieniali koszule i przechadzając się z wolna, szli zajrzeć, czy obiad gotów. I oczekując posiłku, powtarzali głośno i ozdobnie niektóre sentencje zapamiętane z lekcji.

Tymczasem zjawiał się pan apetyt i przystojnie, w pogodzie ducha, siadali do stołu. Na początku posiłku czytano jakąś ucieśzną historię ze starożytnych dziejów, póki Gargantua nie napił się wina. Wówczas, gdy im się zdało, kazali dalej czytać albo też zaczęli wesoło gwarzyć, mówiąc przez pierwsze miesiące o własnościach, przymiotach, pożytkach i naturze wszystkiego, co im podawano do stołu: chleba, wina, wody, soli, mięsiwa, ryb, owoców, ziół, korzeni, i o ich sposobie przyrządzania. W ten sposób nauczył się w krótkim czasie wszystkich odnoszących się do tego ustępów w Pliniuszu, Ateneuszu, Dioskorydesie, Juliuszu Polusie, Galenie, Porfirze, Opianie, Polibie, Heliodorze, Arystotelesie, Elianie i innych. Tak sobie rozmawiając, polecali nieraz dla większej pewności przynosić książki do stołu. I tak dobrze i wiernie zatrzymał Gargantua w pamięci omawiane materie, iż nie było w mieście lekarza, który by umiał połowę tego co on. Potem komentowali lekcje odczytane rano. Kończąc posiłek porcją konfitur z pigwy, czyścił sobie Gargantua zęby gałęzią mastyku, obmywał ręce i oczy czystą wodą źródlaną i składał podziękę Bogu jakąś nadobną kantyczką ułożoną na pochwałę mocy i dobrotliwości Bożej.

Następnie przynoszono karty, ale nie dla grania, jeno dla uczenia się tysiąca figielków i wymysłów, wszystkich opartych na zagadnieniach arytmetyki. W ten sposób nabrał zamiłowania do tej sztuki liczebnej i co dzień po obiedzie i kolacji spędzał czas równie ucieśźnie, jak wprzód go trwonił przy kościach albo kartach. I tak stał się w tym mocny, w teorii i w praktyce, iż sam Tunstal<sup>135</sup> Angielczyk, który o tej materii obszernie pisał, wyznał iż w porównaniu z Gargantuą jest w niej zaiste zupełnym niezdara.

<sup>135</sup>Tunstal (1476–1559) — sekretarz Henryka VIII, matematyk i filozof.

I nie tylko w tym nabral takiej biegłości, ale i w innych naukach matematycznych, jako też geometrii, astronomii i muzyce. Bowiem podczas godzin trawienia i przyswajania posiłku zabawiali się ćwiczeniem na różnych uciesznych instrumentach i kreśleniem geometrycznych figur; także roztrząsali pilnie kanony astronomiczne. Potem również dla zabawy śpiewali sobie melodyjnie na dany temat, na cztery albo pięć głosów. Co się tyczy instrumentów muzycznych, nauczył się grać na lutni, na szpincie, na arfie, na flecie niemieckim i o dziewięciu dziurkach, na wioli i na trombonie.

Tak spędziwszy tę godzinę i ukończywszy trawienie, opróżniał się z naturalnych wydzielin; następnie wracał do głównych studiów na trzy lub więcej godzin: tak powtarzając rzeczy przeczytane rano, jak zapuszczając się głębiej w rozpoczętą książkę albo też pisząc, kreśląc i rysując starożytne i łacińskie litery.

Następnie wychodzili ze swej kwatery, a z nimi młody szlachcic z Turynii, koniuszy imieniem Gymnastes, który kształcił Gargantuę w sztuce jazdy konnej. Zmieniwszy tedy odzienie, dosiadał bieguna albo mierzynka, albo dzianeta, albo lekkiego araba i ujeżdżał go na sto rozmaitych kroków; kazał mu wołyżować w powietrzu, skakać przez rowy, brać przeszkody, kręcić się w kółko, tak w prawo jak i w lewo. Wszelako nie łamał tam kopii, jest to bowiem największe głupstwo pod słońcem mówić: „skruszyłem dziesięć kopii w turnieju albo w bitwie”, każdy cieśla to samo by potrafił; jeno chwalebna sława jest jedną kopią skruszyć dziesięciu nieprzyjaciół. Zaczem dobrze umocowaną, tęgą i sztywną kopią wysadzał bramę, dziurawił pancerz, przewracał drzewo, nawlekał pierścień, zdierał siodło z konia albo rząd, albo rękawicę. Co wszystko czynił, uzbrojony od stóp do głowy.

Co się tyczy ozdobnej jazdy i wydziwiania różnych sztuczek na koniu, nie miał sobie równego. Linoskok z Ferrary był jeno małpą w porównaniu z nim. Szczególnie posiadał sztukę wskakiwania z jednego konia na drugiego, nie dotykając nogą ziemi (nazywał się taki koń podręczny, do zmiany); także nauczył się z każdej strony wsiadać z kopią w dłoń, bez strzemion; również bez uzdy powodować konikiem wedle upodobania. Takie rzeczy bowiem przycodzą się w rzemiośle wojennym.

Innego dnia znowu ćwiczył się w robieniu toporem, którym wywijał tak zręcznie, tak krzepko wbijał go w drzewo i tak misterne zataczał kółka, iż mógł być pasowany na skończonego rycerza i to we wszelkiej broni.

Później wywijał kopią, wycyzniał fechtę obosiecznym mieczem, koncerzem, hiszpańską szpadą, puginałem i kordelasem; w zbroi, bez zbroi, z tarczą, z przyłbicą, z naramiennikami. Chodził na jelenia, rogacza, daniela, dzika, zająca, na kuropatwy, bażanty, dropie. Grywał w wielką piłkę, umiał podbijać ją w powietrze tak nogą, jak i pięścią.

Mocował się, biegał, skakał i to nie co trzy kroki skok ani z równymi nogami, ani po niemiecku; bowiem, powiadał Gymnastes, takie skoki są bez użytku i na nic nie zdadzą się w wojnie; jeno jednym susem skakał przez fosę, wdzierał się na płot, wbiegał sześć kroków po murze i wdrapywał się w ten sposób na okno na wysokość lancy.

Pływał na głębokiej wodzie, na brzuchu, na grzbiecie, na boku, całym ciałem, samymi nogami z jedną ręką w powietrzu, w której trzymając książkę przepływał, nie zamaczawszy onej, całą rzekę Sekwanę, zarazem ciągnąc za sobą płaszcz zębami jak niegdyś Juliusz Cezar; potem jedną ręką wdrapywał się na łódkę, z której znów natychmiast rzucał się na łeb do wody; opuszczał się aż do dna, wciskał się w skały, nurzał się w odmętach i wirach. Później obracał łodzią, kierował nią, prowadził żwawo, wolno, z wodą, pod wodę, zatrzymywał ją w prądzie, sterował jedną ręką, podczas gdy

drugą wiosłował wielkim wiosłem; napinał żagiel, wdrapywał się na maszt po linach, spinał się po rejach, ustawiał busołę, obracał żagle pod wiatr, kręcił sterem.

Wyszedłszy z wody, żwawo wybiegał na górę i zbiegał z niej równie szybko, wdrapywał się na drzewa jak kot, skakał z jednego na drugie jak wiewiórka, łamał najgrubsze gałęzie jak drugi Milon; z pomocą dwóch ostrych pugińców i dwóch silnych klamer wchodził na szczyt domu jak szczur, a potem zstępował na dół tak zręcznie, iż upadek był niemożliwy. Miotał włócznią, sztabą żelazną, kamieniem, pociskiem, oszczepem, halabardą, naciągał luk, napinał najcięższą kuszę bez pokrętki, celował z rusznicy na oko, nastawiał armatę, strzelał do tarczy, do kura, z dołu do góry, z góry na dół, przodem, tyłem, bokiem jako Partowie.

Przywiązywano mu linę zwisającą z wysokiej wieży na ziemię: na tę wdrapywał się samymi rękami, potem zsuwał się tak szybko i pewnie, jakbyście nie potrafili lepiej na najgłędszej łące. Przerzucano mu wielką żerdź opartą na dwóch drzewach; na tej zawieszał się rękami i wędrował tam i z powrotem nie tykając nogami ziemi, a tak szybko, że pędem by go nie dogonił.

Aby sobie wyćwiczyć klatkę piersiową i płuca, krzyczał jak wszyscy diabli. Słyszałem jak raz wołał na Eudemona od bramy św. Wiktora do Montmartre. Starożytny Stentor w bitwie pod Troją nie miał takiego głosu. Aby mu skrzepić ścięgna, odłano mu dwa wielkie ciężary z ołowiu, każdy ważący osiem tysięcy siedemset pudów, które nazywał hantlami. Te podejmował z ziemi w każdą rękę i unosił w powietrzu nad głową; tak trzymał je, nie ruszając się przez trzy ćwierci godziny i więcej, co było dowodem siły nieporównanej.

Igrał sztabami żelaznymi na wyprzódki z największymi osiłkami i umiał jak niegdyś Milo zapierać się przy tym nogami tak silnie, że najtępszy nie zdołałby go ruszyć z miejsca. Również na podobieństwo tamtego ścisnął w dłoni jabłko granatu i przyrzekał oddać je temu, kto mu je zdoła wyjąć.

Po takich igraszkach, omywszy się, wytarłszy i przewdziawszy, wracali, wędrując sobie powoli łączką albo innym zarośniętym miejscem, oglądali drzewa i rośliny, porównując je z księgami starożytnych, którzy o nich pisali, jak Teofrast, Dioskorydes, Marinus. Pliniusz, Macer i Galen. I znosił różne ziela pełnymi garściami do domu; nad którymi miał pieczę młody paż imieniem Rizotomos<sup>136</sup>, jak również nad wszelkim narzędziem, łopatkami, rydelkami, motykami, piłkami i innymi instrumentami potrzebnymi przy herboryzowaniu.

Przybywszy do domu, podczas gdy im sposobiono wieczerzę, powtarzali parę stron z tego, co wprzód czytali, następnie zaś siadali do stołu. A zważcie, iż obiad był skromny i prosty; tyle tylko jadał, ile trzeba, aby uśmierzyć domaganie się żołądka; za to wieczerza była obfita i dostatnia. Wówczas pożywał tyle, ile mu było trzeba do utrzymania sił i odżywienia. I to jest właściwy obyczaj zalecony przez dobrą i rzetelną sztukę lekarską, mimo iż wielu niedouczonego doktorów, którzy liźnęli coś niecoś z mądrości arabskich, doradza wcale przeciwnie<sup>137</sup>.

Podczas tego posiłku ciągnęły się dalej lekcje obiadowe, póki była ochota: reszta czasu schodziła na swobodnej pogwarce, a zawsze o uczonych i pożytecznych rzeczach. Odmówiwszy modlitwy, zabawiali się chóralnym śpiewem albo onymi niewinnymi gierkami w kości, karcięta i kulki i tak spędzali czas, folgując sobie wesoło i zabawiając się niekiedy aż do godziny spoczynku; czasem znowuż chodzili szukać kompanii ludzi uczonych albo takich, którzy zwiedzali cudzoziemskie kraje.

<sup>136</sup>Rizotomos — dosł. po grecku: krający korzenie; botanik.

<sup>137</sup>wielu (...) doradza wcale przeciwnie — Arab Awicenna i jego szkoła, w przeciwstawieniu do Galena, który zalecał główny posiłek w dniu spożywać wieczorem.



Gdy noc zapadła, nim udali się na spoczynek, zachodzili jeszcze na chwilę w miejsce najbardziej odkryte w całym obejściu patrzeć na strop niebieski i tam notowali sobie komety, jeśli były jakie, figury, sytuacje, postacie, stosunki i koniunktury gwiazd.

Następnie obyczajem Pitagorejczyków streszczał w krótkości ze swoim preceptorem wszystko, co czytał, widział, poznał, uczynił i usłyszał w ciągu dnia.

Zaczem oddawali hołd Stwórcy, modląc się doń, czyniąc wyznanie wiary i sławiąc jego nieskończoną dobroć: zarazem, składając mu dzięki za całą przeszłość, polecali się jego boskiej łaskawości na przyszłość. Wreszcie udawali się na spoczynek.

#### XXIV. JAK GARGANTUA SPĘDZAŁ CZAS, KIEDY PORA BYŁA DŹDŻYSTA.

Kiedy się zdarzyło, iż dzień był dżdżysty i słotny, cały czas przed obiadem spędzano jak zwyczajnie, z tą różnicą, iż trzeba było rozpaść jasny ogienek na kominku, aby się ubezpieczyć przeciw nieżyczliwej aurze. Atoli po obiedzie, miast zwykłych ćwiczeń, zostawali w domu zażywając zdrowego ruchu, bawili się wiązowaniem siana, rąbaniem i piłowaniem drzewa i młocką w stodole. Następnie przykładali się do sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej albo też wskrzeszali z zapomnienia starożytną grę w kości, jak ją opisał Leonikus<sup>138</sup> i jak ją uprawia nasz miły druh Laskaris<sup>139</sup>.

Tak sobie grając, przypominali ustępy starożytnych autorów, w których jest jakaś wzmianka lub metafora odnosząca się do tej gry. Niekiedy znowu chodzili patrzeć, jak się obrabia metale albo leje działa; albo szli się przyglądać robocie kamieniarzy, złotników i szlifierzy drogich kamieni; albo alchemistów i bijących monetę; albo sukienników, tkaczy, szmuklerzy, zegarmistrzów, szklarzy, drukarzy, organistów, farbiarzy i innych rękodzielników. I wszędzie rozdając hojne datki, uczyli się i przyswajali sobie różne gałęzie przemysłu i rękodziela.

Chodzili też przysłuchiwać się publicznym wykładom, uroczystym aktom, widowiskom, deklamacjom, obronom biegłych adwokatów, kazaniom wykładających ewangelię.

Uczęszczał także do sal i szkół szermierki: i tam próbując się z mistrzami, doświadczał wszystkich broni i okazywał dowodnie, iż umie tyleż, albo więcej zgoła niż oni.

Miast zbierać zioła, odwiedzali wówczas sklepy drogistów, herborystów i aptekarzy i uważnie oglądali cudzoziemskie owoce, korzenie, liście, syropy, nasiona, maście, a także wywiadywali się o sposoby ich fałszerstwa. Chodzili przyglądać się kuglarzom, sztukmistrzom i szarlatanom i zważali ich gesty, sztuczki, podskoki i zachwalania: zwłaszcza owych ze Chaunys w Pikardii, którzy z natury są srodzy pyskacze i wielcy mistrze w składaniu owych misternych banialuczków.

Zasię wróciwszy na wieczerzę, posilali się skąpiej niż w inne dni i pożywali mięsiwa bardziej suche i ciągnące wilgoć, aby przeciwważyć tym sposobem wilgotne humory powietrzne, udzielające się ciału przez nieuniknione powinowactwo i aby im nie wyszedł na szkodę niedostatek zwyczajnego ruchu. Tak odbywało się wychowanie Gargantui i ten tryb życia prowadził dzień po dniu, przyswajając sobie takim ustawnym ćwiczeniem wszystko, co przystoi doskonałemu młodzieńcowi w jego latach. Które ćwiczenie, jakkolwiek zdało się z początku uciążliwe, w dalszej uprawie okazało się tak miłe, lekkie i rozkoszne, iż raczej podobne było do rozrywki jakiego króla niż do nauki uczniowskiej. Wszelako aby mu dać wypoczynek po takim wyteżonym

<sup>138</sup> Leonikus — profesor w Padwie (zm. 1531), który napisał książkę o grze w kości.

<sup>139</sup> Laskaris — bibliotekarz Franciszka I i przyjaciel autora.

napięciu umysłu, Ponocrates wybierał raz na miesiąc jakiś słoneczny i pogodny dzień i wówczas ruszali wczesnym rankiem z miasta i wędrowali albo do Gentilly, albo do Boulogne, albo do Montrouge, albo w stronę mostu Charenton, albo do Vanves, albo do Saint-Cloud.

I tam przepędzali dzień, zabawiając się tak szeroko, jak tylko można sobie wyobrazić: żartując, trefnując, przepijając gęsto; śpiewając, tańcząc, tarzając się po murawie, wyszukując gniazdeczka wróblów, chwytając przepiórki, polując na żaby i raki.

Ale chociaż taki dzień przeszedł bez książki i czytania, nie mijał wszelako bez korzyści. Bowiem na świeżej murawie powtarzali sobie na pamięć co wdzięczniejsze ustępy z *Rolnictwa* Wergila, z Hezjoda, z *Rustików* Policjana; składali ucieszne epigramy po łacinie, potem wiązali je w rondo i ballady w języku francuskim. Biesiadując, wydzielali z rozcieńczonego wina wodę (jako poucza Katon, *de Re rustica*, a także Pliniusz) za pomocą bluszczowego kubka<sup>140</sup>; znów rozcieńczali wino w naczyniu pełnym wody i ściągali je lejkiem; przelewali wodę z jednego kubka do drugiego i budowali różne machinki automatyczne, to znaczy poruszające się same z siebie.

## XXV. JAKO MIĘDZY PIEKARZAMI KOŁACZY Z LERNY A PASTERZAMI Z KRAJU GARGANTUI WSZCZĘŁY SIĘ WIELKIE SWARY, Z KTÓRYCH ZASIĘ ZRODZIŁY SIĘ DŁUGIE WOJNY<sup>141</sup>.

W onej porze — a właśnie miało się na jesienne winobranie — pasterze okoliczni strzegli winnic i pilnowali, aby szpaki nie wydziobały jagody. Owo zdarzyło się, iż piekarze lerneńscy przechodzili gościńcem, niosąc z sobą paręnaście ładunków kołaczy do miasta. Zaczem pasterze poprosili ich uprzejmie, aby im odstąpili nieco towaru, rozumie się za uczciwą zapłatą; jako bowiem wiecie, jest to iście niebiański posiłek zjeść na śniadanie nieco winnej jagody, zagryzając świeżym kołaczem; zwłaszcza gron pinejskich, muszkatek albo też owych sralek, sposobnych cierpiącym na zatkanie. Tych gdy się nieco poje, leci z człowieka ciurkiem jak z beczki i nieraz ten i ów myśląc jeno wiatrom dać folgę, popuści gruntownie pod siebie.

Ale piekarze nie tylko nie przychyłili się do ich życzenia, ale (co gorsza jest) nastąpili im silnie na honor, dając im przezwiska pysków, hultajów, psich ścierwów, wałachów, plugawców, kasztanów, kłapouchów, wałkoniów, obzorów, opojów, bęcwałów, ledwodrypów, chamów, dziadów, tanich kupców, łachmaniarzy, lizypółmisków, opasiuchów, gnojników, ciemięgów, drapichrustów, obsrajmurków, pokraków, świńskich ryjów, zakazanych mord, skurwysynów, kuternogów, pastuchów, gówniarzy i inne tym podobne obelżywe miana, dodając, że nie im to przystało zajadać tak urodne kołacze, jeno że powinni się zadowolić razowcem i plackiem owsianym.

<sup>140</sup>Jako poucza (...) Pliniusz (...) bluszczowego kubka — Pliniusz twierdzi, iż w kubku sporządzonym z drzewa bluszczowego wino oddziela się od wody.

<sup>141</sup>Jako między piekarzami kołaczy z Lernity a pasterzami z kraju Gargantui wszczęły się wielkie swary, z których zasię zrodziły się długie wojny — Można się domyślać, iż cały ustęp dotyczący wojny był szczególnie umiłowanym przedmiotem komentatorów pisarza. Jedni widzieli w królu Żółciku Karola V, wielkiego przeciwnika króla Franciszka, inni Masymiliana Sforzę, syna Ludwika Moro etc. Przypuścić wolno, iż w całej tej mikroskopijnej epopei wojennej splata się w jedno żartobliwa fantazja pisarza (wszystkie grody, miasta, warownie, to są wioski okalające miejsce urodzenia Rabelais'go) z jakimś wspomnieniem z dzieciństwa, odzwierciadlającym podobny zatarg. Na to przypuszczenie nie brak jest pozytywnych danych (Abel Lefranc). Z tego błędnego tła wyrosły ustęp ten wzbija się niejednokrotnie do wyzyna światłej i daleko idącej satyry. Wiele rysów w dalszym ciągu dzieła świadczy, iż Rabelais czuł się bardzo mocno dzieckiem Francji i na poczuciu patriotycznym (nie tak częstym w znaczeniu dzisiejszym w owych czasach) mu nie zbywało; jednakże owe okrutne wojny, w których dla błahych przyczyn, dla kaprysu monarchów hordy żołdactwa przeciągły przez kraj, paląc i rabując wszystko, a nade wszystko niszcząc tak drogie południowemu sercu winnice, nie budziły w nim zgoła entuzjazmu.

Na tę zniewagę jeden z tamtych, imieniem Kowalik, człek godny a roztropny, odparł spokojnie:

— Od kiedyż to wyrosły wam rogi, żeście się zrobili tacy bodliwi? Toć zwyczajnie dajecie nam chętnie, a dziś odmawiacie? To nie po sąsiedzku; my tak nie czynimy, kiedy przychodzicie do nas po piękną pszenicę, z której wypiekacie swoje podpłomyki i kołaczki. Toć jeszcze ponad umowę bylibyśmy wam dodali naszych winogron; ale przysięgam na to psie łajno, możecie kiedyś tego pożałować; przyjdzie koza do woza: pamiętajcież, że i my wam odmierzymy taką miarką.

Wówczas Marcik, starszy cechu piekarzy, rzekł:

— Coś ci nadto grzebień napęczniał od rana, musiałeś zećpać za dużo kukurydzy wczoraj wieczór. Chodź no tu, chodź ino, wnet tu dostaniesz kołaczy.

Zaczem Kowalik przybliżył się z całą prostodusznością, dobywając grosiwa z saskiewki i myśląc, że w istocie Marcik chce mu ustąpić kołaczy. Wtedy tamten zaciął go batem po nogach tak silnie, aż węzłki wbiły się w ciało, po czym chciał dać drapakę; ale Kowalik zaczął krzyczeć gwałtu, co miał sił, a zarazem cisnął nań wielkim sęka-czem, co go miał pod pachą i sięgnął Marcika w sklepienie czaszki po prawej stronie, nad arterią skroniową, tak iż na wpół martwy zleciał ze swej kobyły na ziemię.

Tymczasem ludzie folwarczni, którzy opodal łuskali orzechy, nadbiegli wskok z wielkimi żerdziami i jęli młócić piekarzy niby zboże na boisku. Także inni pasterze i pasterki, słysząc krzyki Kowalika, nadbiegli również z procami i pociskami i jęli ich prać kamieniami tak gęsto, jakoby zgoła grad leciał. Wreszcie dopadli ich z bliska i zabrali im z jakie cztery lub pięć tuzinów kołaczy; zapłacili wszelako zwyczajną cenę i dodali setkę orzechów i trzy kosze winnej jagody; następnie piekarze pomogli wsiąść na kobyłę Marcikowi, który był szpetnie okaleczony i skierowali się z powrotem do domu, odkazując się przy tym silnie i głośno na owych wolarzy, pastuchów i parobków.

Zaczem pasterze i pasterki sporządzili sobie biesiadę z onych smakowitych kołaczy i pięknych gron winnych i zabawiali się wesoło przy dźwiękach kobzy, natrzęsając się z nieużytych piekarzy, którym tak na złe wyszły muchy, co im wpadły dziś rano do nosa. I wybrawszy co najpiękniejsze grona, natarli nimi nogi Kowalikowi tak wdzięcznie, iż niebawem wrócił do zdrowia.

## XXVI. JAKO MIESZKAŃCY LERNY Z ROZKAZANIA SWEGO MONARCHY ŻÓŁCIKA, NAPADLI NIESPODZIANIE PASTERZY KRÓLA TĘGOSPUSTA.

Wróciwszy do LERNY, piekarze, nawet nie zjadłszy i nie napiwszy się, udali się natychmiast na kapitol i tam przed królem Żółcikiem, trzecim tego imienia, wytoczyli swoje skargi, ukazując połamane koszyki, potargane czapki, postrzępione suknie, poniszczone pieczywo, a zwłaszcza Marcika, zranionego bardzo ciężko. I powiadali, że to wszystko stało się za sprawą pasterzy i czeladzi Tęgospusta, tuż przy wielkim gościńcu, niedaleko Selii<sup>142</sup>.

Wraz Żółcik popadł w straszliwy gniew i nie dopytując się już więcej co i jak, kazał otrąbić po kraju wojnę, skrzyknąć wszelkie załogi i rezerwy, i ogłosić, że każdy pod gardłem ma się stawić na południe w ryszunku na wielkim placu pod zamkiem. Aby większą nadać moc wezwaniu, kazał bić w bębny koło miasta; sam zaś we własnej osobie, gdy mu przyrządzano obiad, pospieszył zlustrować artylerię, kazał rozwinąć wszystkie godła i sztandary, jak również naładować na wozy mnogość zapasów, tak broni i amunicji, jak też i żywności.

<sup>142</sup>Selia — *Seuille*.

Pożywając obiad wydawał rozkazy: zaczem edyktem królewskim powierzono imć panu Włochatemu awangardę złożoną z szesnastu tysięcy i czternastu strzelców oraz trzydziestu pięciu tysięcy i jedenastu ochotnika. Artylerię oddano pod rozkazy wielkiego koniuszego Kogutka; która liczyła dziewięćset czternaście wielkich sztuk spiżowych, a mianowicie armat, dubeltowych armat, bazylik, serpentyn, kolubryn, kartaczownic, falkonetów, paswolantów, spiroli i innej armaty. Tylną straż objął książę Pyta. W środkowym korpusie jechał sam król i książęta krwi.

Tak z grubsza uszykowani, nim ruszyli w drogę, wyprawili naprzód trzysta lekkiej konnicy pod wodzą rotmistrza Pędziwiatra celem zbadania okolicy i przekonania się, czy nie ma zasadzki po drodze. Ale przetrząsnąwszy wszystko należycie, znaleźli, iż w całym kraju panuje spokój i cisza bez żadnych podejrzanych zgromadzeń. Co usłyszawszy, król Żółcik pchnął co żywo naprzód wszystkie chorągwie. Zaczem bez ładu i porządku, jedni przez drugich ruszyli w pole, niszcząc i pustosząc wszystko, co spotkali w drodze, nie oszczędzając bogacza ani biedaka, chaty ni świątyni, uprowadzając z sobą woły, krowy, byki, cielęta, jałówki, owieczki, barany, kozy i kozły, kury, kapłony, kurczęta, gąski, gęsi, gąsiorzy, maciory, świny, knury, obrywając orzechy, pustosząc winnice, wydzierając szczepy z ziemi, strącając owoce z drzewa. Trudno opisać spustoszenie, jakie zostawili za sobą. I nie spotkali nikogo, kto by im stawił czoło; ale wszyscy zdawali się im na łaskę i niełaskę, błagając o nieco ludzkości, ile że zawsze byli im dobrymi i życzliwymi sąsiadami i nigdy w niczym przeciw nim nie zawinili, aby zasłużyć na tak srogie obchodzenie; i że Bóg wrychle ich pokarze. Na które przedłożenia tamci nic nie odpowiadali, jeno że ich nauczą jak smakują kołacze.

#### XXVII. JAKO PEWIEN MNICH Z SELII OCALIŁ OBEJŚCIE KLASZTORNE OD NAPAŚCI NIEPRZYJACIÓŁ.

Tak owo szli naprzód i rozpuszczali zagony, rabując i pustosząc, aż wreszcie przybyli do Selii, łupiąc mężów i niewiasty i unosząc z sobą, co w ręce popadnie: nic im nie było za ciężkie ani za gorące. Mimo iż mór srożył się w przeważnej części domów, wchodzili wszędzie, rabowali wszystko, co było wewnątrz, i żadnemu nie przygodziło się nic złego. Co jest zaprawdę dosyć osobliwe. Z księży bowiem, wikarych, kaznodziejów, medyków, chirurgów i aptekarzy, którzy chodzili nawiedzać, opatrywać, leczyć, spowiadać i gotować na śmierć chorych, wszyscy pomarli od zarazy; zasię te diabły, łupieżce a morderce, wszyscy wyszli z tego cało. Z czego to pochodzi, braciaszkowie? Pomyślcie nad tym, proszę was.

Złupiwszy tak miasto, ruszyli ze strasznym tumultem na klasztor, ale znaleźli wrota szczelnie zamknięte i zaparte: zaczem główna armia przeszła mimo, kierując się w stronę Wedeńskiego Brodu, z wyjątkiem siedmiu chorągwi pieszych, i dwustu lansjerów, którzy zostali i jęli kruszyć mury klasztorne obejścia, aby spustoszyć winnicę.

Niebożęta mnichy nie wiedziały, któremu świętemu się ofiarować. Na wszelki wypadek kazali dzwonić *ad capitulum capitulantes*<sup>143</sup>. Tam uchwalono odprawić piękną procesję wzmocnioną pięknymi modłami i litaniami *contra bosium iusidius* i nadobnymi responsami *pro pace*.

Był wówczas w klasztorze pewien mnich imieniem brat Jan Łomignat<sup>144</sup>, młody, dworny, rzeźwy, wesół, bardzo rozgarnięty, śmiały, rezolut, ryzykant, wysoki, chu-

<sup>143</sup>*capitulum capitulantes* (łac.) — Zebranie mnichów mających prawo głosu w kapitule, z wyłączeniem braciszków.

<sup>144</sup>*Jan Łomignat* — Pierwowzoru tej szczególnie przez autora umiłowanej postaci szukali komentatorowie w wielu najwybitniejszych ludziach owego wieku: wedle jednych miał to być Luter, wedle

dy, z gębą w miarę obszerną, o dostałym nosie, walny w młóceniu pacierzy, srogi ekspedytor mszów świętych i pies na wigilie; krótko mówiąc, najszczęśliwy mnich, jaki od początku mnichostwa mniszył się kiedy pomiędzy mnichami; przy tym kuty na cztery nogi we wszelkim brewiarzu.

Ten słysząc zgiełk, jaki czynili nieprzyjaciele, buszując po winnicy, wyszedł nieco zobaczyć, co się tam dzieje. Owo ujrzawszy, że łupią zbiory, które miały im służyć za całoroczny napój, wnet wraca na chór, gdzie byli zgromadzeni inni mnisi z wybałuszonymi od strachu gałami i beczący chórem: *ini, nim, pe, ne, ne, ne, ne, ne, ne, tum, ne, num, num, ini, i, mi, i, mi, i, ci, o, ne, no, o, o, ne, no, ne, no, no, no, rum, ne, num, num*. Zaczem rzekł:

— Usrać się na takie śpiewanie. Do kroćset! Czemu to nie śpiewacie: Sprzątajcie kosze, zbiory już skończone<sup>145</sup>? Niech mnie licho porwie! toć oni tam harcują po winnicy, tną i wyrwywają z korzeniem tak sumiennie, iż przez cztery lata, jak mi Bóg miły, ani liznąć co nie będzie! Na cynadry świętego Jacka! i cóż my będziemy pili niebożęta? Panie Boże Ojczy, *da mihi potum*.

Tedy rzekł przeor:

— Czego chce tutaj ten opój? Odprowadzić go do karceru, iż śmie tak mącić służbę bożą winną...

— Ależ — rzekł mnich — właśnie chodzi tu o służbę *winną* i czynmyż, aby nie była zmacona; toćże wy sami, ojczy przeorze, lubicie łyknać i to z najlepszego; i tak czyni każdy pobożny chrześcijanin. Żaden godny człowiek nie ma wstrętu do dobrego wina: oto maksyma klasztoru. Ale, jak mi Bóg miły, te śpiewy i responsy są tu zgoła nie na czasie.

Dlaczego w czas winobrania odprawiamy godzinki krótkie, zasię w adwent i w czas zimowy długie? Nieboszczyk, Panie świeć nad jego duszą, brat Gaudenty Szpuncik, prawdziwy, albo niech mnie diabli porwą, zelant naszej świętej religii, powiadał mi, pamiętam jak dziś, iż przyczyna jest ta, abyśmy w swojej porze mogli dobrze zebrać i wytłoczyć wino, w zimie zaś abyśmy je doili.

Słuchajcie, dobrzy bracia: komu smaczne winko miłe, na rany boskie, za mną! Niech mnie bowiem piorun spali, jeżeli ten, który wraz ze mną nie pospieszy na ratunek do winnicy, pokosztuje bodaj kropelczkę. Tam do diaska, toć to dobra kościelne! Ho ho! nie i jeszcze raz nie! Święty Tomasz Angielczyk<sup>146</sup> gotów był za nie życie ofiarować: gdybym zginął, nie byłże bym tak samo świętym? Wszelako nie zginę, raczej im dobrze przypiekę.

To mówiąc, zrzucił habit i chwycił za drzewce krzyża umocowanego na chórze: a było z drzewa jarzębowego, długie jak lanca, zaokrąglone w sam raz do garści, gdzie-niegdzie usiane kwiatkami lilii niemal już zatartymi. Tak wypadł, w kaftanie i hajdawerach, habit okręcił wkoło ramienia i z owym dragiem od krzyża runął nagle na nieprzyjaciół, którzy rozsypani bez ładu, bez sztandaru, bez trąby, bez bębna, buszowali po winnicy. Chorążowie bowiem i podchorążowie złożyli chorągwie i sztandary pod murem, a dobosze przedziurawili z jednej strony bębny, aby w nie zbierać jagodę; także trąby pełne były po brzegi gron muszkatu; słowem wszystko było w bezładzie.

---

innych Cezar Borgia, kardynał Odet de Châtillon, Jan du Bellay. Jeszcze raz trzeba tu powtórzyć, co zaznaczyliśmy w wielu miejscach, iż tego rodzaju wąskie i literalne „wykłady” raczej utrudniają niż ułatwiają zrozumienie ducha dzieła. Brat Jan, to przede wszystkim niezmiernie ciekawa projekcja ideału samego pisarza i tej jego dwoistości, którą podnosiliśmy we wstępie: to najbardziej energiczny, jaki może być pod słońcem, protest przeciw życiu zakonnemu, a zarazem „najszczęśliwy mnich, jaki od początku mnichostwa mniszył się kiedy pomiędzy mnichami”!

<sup>145</sup> *Sprzątajcie kosze, zbiory już skończone* — Stara piosenka ludowa: *Adieu, paniers, vendanges sont faites*.

<sup>146</sup> *Święty Tomasz Angielczyk* — Tomasz Becket, arcybiskup Canterbury (1119–1170) zamordowany przy ołtarzu z rozkazu Henryka II.

Natarł tedy na nich tak siarczyście i niespodzianie zwałił ich z nóg jak wieprze, młóćąc na prawo i lewo, wedle zasad starożytnej szermierki. Jednym rozbryzgiwał mózg, drugim łamał ręce i nogi, innym wyrwał kręgi z szyi, innym łamał krzyże, trząsał nosy, wysadzał oczy, rozwałił szczęki, wybijał zęby z paszczy, rozszczepiał łopatki, piszczele, wywałował gołenię z panewek, przetrącał barki.

Gdy który próbował się ukryć tam, gdzie wino rosło najgęściej, łoł go z góry po grzbiecie i zatłukiwał jak psa. Gdy który chciał szukać ratunku w ucieczce, łupał mu głowę na sztuki, kropiąc wzdłuż szwu ciemieniowego<sup>147</sup>. Gdy który wdrapał się na drzewo, mniemając iż tam będzie bezpieczny, nabijał go między pośladki na swój drąg niby na pal.

Gdy który z dawnych znajomych wołał nań:

— Hej, bracie Janie, kochasiu, bracie Janie, poddaję się!

— Dobrze robisz — odpowiadał — ale razem przyjdzie ci oddać duszę wszystkim diabłom.

I walił go drągiem po ciemieniu, póki pary nie wyzionął. A gdy kto był na tyle odważny, iż chciał mu wręcz stawić czoło, wówczas dopiero okazywała się siła mnicha, przebijał mu bowiem na wskrós klatkę piersiową i serce; innym zasię, jadąc przez żebra, dziurawił żołądek i umierali na miejscu; innym tak krzepko godził w pępek, iż flaki wypływały na zewnątrz; innym przez przyrodzenie dobierał się do kiszki stolcowej. Wierzajcie mi, nikt na świecie nie oglądał straszliwszego widowiska.

Jedni wzywali świętej Barbary; inni świętego Jerzego, inni świętej Niedajki, inni Najświętszej Panny z Cunault, z Loretto, z Dobrej Woli, z Lenou, z Pobrzeża. Jedni ofiarowywali się do św. Jacka, inni do śmiertelnego prześcieradła w Chambery; spaliło się wszelako w kwartał później, tak iż ani niteczki nie dało się ocalić. Jedni ślubowali św. Agapitowi, drudzy św. Janowi w Oleju; inni św. Eutropiusowi z Ksantos, św. Kosmie i Damianowi, św. Młodziankom, relikwiom św. Gduli i wielu innym pocziwym pomniejszym świętym. Jedni umierali bez gadania, drudzy gadali bez umierania, jedni umierali gadając, drudzy gadali umierając. Niektórzy krzyczeli wielkim głosem:

— Spowiedzi, spowiedzi! *Confiteor, Miserere, In manus.*

Tak wielki był krzyk tych nieszczęśników, iż przeor wraz ze wszystkimi mnichami wyszli z murów. Zaczem ujrawszy niebożątka leżące pokotem wśród winnych szczepów i pobite śmiertelnie, wyspiewali tego i owego. Zasię gdy księża zabawiali się spowiadaniem, młodszy braciszek podbiegł ku miejscu, gdzie pracował brat Jan, pytając w czym by mogli być pomocni. Na co odparł im, aby dorzynali tych, którzy leżeli na ziemi. Jakoż powiesiwszy habity na krzakach w pobliżu, zaczęli dorzynać i załatwiać się z tymi, których brat Jan już był nadpoczął. A wiecie jakim narzędziem? Małym kozikiem, jakich dziateczki w naszych stronach używają do łuskania orzechów.

Następnie, ciągle dzierząc swój drąg krzyżowy, podsunął się pod wyłom uczyniony przez nieprzyjaciół. Niektórzy braciszekowie unieśli sztandary i chorągwie do celek, aby sobie sporządzić podwiązki. Zasię gdy ci, którzy się wyspiewali, chcieli wydostać się wyłomem, mnich łamał im gnaty kijem, mówiąc:

— Ci już się wyspiewali i oczyścili; odpuszczone im jest wszystko: idą do rajku prościutko, jak sierpem rzucił, albo jak gościniec do Faj<sup>148</sup>.

Tak dzięki jego męstwu polegli wszyscy, którzy wdarli się w obejście klasztorne, w liczbie trzynastu tysięcy sześciuset dwudziestu i dwóch, nie licząc niewiast i dzieci,

<sup>147</sup>łupał mu głowę (...) wzdłuż szwu ciemieniowego — Rabelais, opisując podobne krwawe sceny, lubi roztaczać swoją wiedzę anatomiczną.

<sup>148</sup>prościutko (...) jak gościniec do Faj — gościniec do Faye szedł kręto, okrążając całą górę.

jako się zawsze rozumie. Ani sam Mogis pustelnik nie natarł tak walecznie na Saracenów (o czym wypisane jest między czynami czterech synów Aymona), jak brat Jan rzucił się na nieprzyjaciół z drągiem krzyżowym.

## XXVIII. JAKO KRÓL ŻÓŁCIK WZIAŁ SZTURMEM SKAŁĘ KLERMONCKĄ<sup>149</sup> I JAKO NIECHĘTNIE A Z ŻALEM TĘGOSPUST PODJĄŁ WOJNĘ.

Podczas gdy mnich gromił, jakeśmy to opisali, napastników, którzy się wdarli w obęście klasztoru, Żółcik z wielkim pośpiechem przeszedł ze swymi ludźmi Bród Wendeński i obiegił Skałę Klermoncką, gdzie nie napotkał żadnego oporu; że zaś już była noc, postanowił popasać w tym mieście z całą siłą zbrojną i ochłodzić nieco swą piekącą wściekłość. Nazajutrz raniem wziął szturmem szańce i zamek, obwarował je bardzo silnie i złożył tam ściągnięte zewsząd zapasy żywności, tak iżby się mógł cofnąć tam w razie potrzeby. Miejsce bowiem było warowne, tak z natury, jak też i sztuką, i z przyczyny swego położenia.

Owo zostawmy ich tam i wróćmy do dobrego Gargantui, który bawi w Paryżu, pilnie przykładając się do wysokich nauk i ćwiczeń atletycznych, oraz do starego pocziwiny Tęgospusta, jego ojca, który co dzień po wieczery wygrzewa sobie jajka przy pięknym, jasnym i dostatnim ogniu. Tam, czekając, aż się kasztany przypieką jak należy, gmyrze sobie w kominie kijem opalonym z jednego końca, rozgarniając płomień, i wraz opowiada żonie i domownikom piękne opowieści z dawnych czasów.

Jeden z pasterzy pilnujących winnicy, nazwiskiem Łupisz, stanął właśnie przed jego obliczem i opowiedział w całej osnowie wybryki i rabunki, jakich dopuszcza się Żółcik, król lerneński, na jego ziemiach i dziedzinie; jako spustoszył, zniszczył i zrabował cały kraj z wyjątkiem klasztoru selijskiego, który brat Jan Łomignat obronił z wielką swoją chwałą; teraz zaś jest ów król w Klermonckiej Skale, gdzie bardzo pilnie waruje się ze swoimi ludźmi.

— Och, och — począł stękać Tęgospust — cóż wy mi powiadacie, dobrzy ludzie? Czy ja śnię, czy też to jawa, to co mi tu donoszą? Żółcik, mój druh odwieczny, od niepamiętnych czasów, z krewieństwa i przyjaźni, przychodzi mnie oblegać? Co mu się stało? co go ukąsiło? kto mu to doradził? kto go wie? Och, och, och, och, mój Boże, mój Stworzycielu, wspomóż mnie, natchnij mnie, doradź, co mam uczynić. Zaklinam się, przysięgam tu przed Tobą, jak pragnę Twojej pomocy, Ty zresztą sam wiesz, zali kiedy zrobiłem mu jaki despekt albo krzywdę jego ludziom, albo też ukrzywdziłem go kiedy w jego dziedzinie. Toć, całkiem przeciwnie, wspomagałem go ludźmi, pieniędzmi, wpływem, radą, w każdym przypadku, gdzie mu to mogło być z korzyścią. Ze mnie więc teraz tak pohańbił, to nie może być nic innego, jak tylko sprawa złego ducha. Dobry Boże, ty znasz mą odwagę, nic bowiem nie ma tajemnego dla ciebie. Jeśli ów Żółcik przypadkiem oszalał i jeśli zesłałeś mi go tutaj dla wyleczenia jego umysłu, daj mi moc i środki, abym go, należycie poskromiwszy, wrócił pod jarzmo Twojej świętej woli.

Och, och, och, moi dobrzy ludzie, przyjaciele i słudzy wierni, trzebaż, abym was musiał kłopotać i żądać waszej pomocy? Och, och, tociem już stary; należał mi się wypoczynek i całe życie pragnąłem jeno pokoju; ale cóż! widzę dobrze, trzeba mi będzie pancierzem przyodziać mój biedny sędziwy i znużony grzbiet i drżącą dłonią ująć włócznię i koncerz, aby wspomóc i obronić biednych poddanych. Słuszność tego wymaga: z ich bowiem trudu korzystam, z ich potu żyję, ja, moje dzieci i cała rodzina. Mimo to, nie podejmę wojny, póki nie wyczerpię wszystkich innych sposobów i środków utrzymania pokoju; tak mi Panie Boże dopomóż.

<sup>149</sup>Skala Klermoncka — wioska *La Roche-Clermont*, w Turenii.

Zaczem kazał zwołać radę i przedstawił stan rzeczy. I postanowiono, iż pośle się jakiegoś roztropnego człeka do Żółcika, aby się dowiedzieć, z jakiej przyczyny tak nagle zamącił pokój i zagarnął ziemie, do których nie miał nijakiego prawa. Dalej, iż pośle się po Gargantuę i po jego ludzi, iżby strzegli kraju i bronili go w potrzebie. Rada spodobała się Tęgospustowi i rozkazał, aby tak uczyniono. Jakoż natychmiast wyprawił Baska, swego sługę, aby z największym pośpiechem podążył do Gargantui. Napisał zaś co następuje:

XXIX. TREŚĆ LISTU NAPISANEGO DO GARGANTUI PRZEZ TĘGOSPUSTA<sup>150</sup>.

Drogi synu!

Świadom zapału z jakim oddajesz się studiom, długo jeszcze nie pozwoliłbym sobie wyrwać cię z filozoficznych wywczasów, gdyby zuchwalstwo dawnych przyjaciół i sprzymierzeńców nie zamąciło spokoju moich lat sędziwych. Ale skoro tak sprawił los nieszczęsny, iż ci mnie najstrożej gnębią, w których największe pokładałem zaufanie, zmuszony jestem przyzwać cię ku obronie ludzi i dóbr, tobie mocą naturalnego prawa powierzonych. Tak bowiem, jako słabe są wojska, jeżeli nie ma w domu rozumu i dobrej rady, tak samo próżną jest nauka i rozum daremny, jeśli w sposobnym czasie nie okażą się w czynach i w działaniu.

Zamiarem mym jest nie jątrzyć, jeno uspokajać; nie nacierać, ale bronić; nie zdobywać kraje, ale strzec swoich wiernych poddanych i swoich dziedzicznych ziem, w które nieprzyjacielsko wkroczył król Żółcik bez racji i przyczyny i co dzień posuwa dalej swe szalone przedsięwzięcie wśród wybryków niepodobnych do zniesienia wolnym istotom.

Aby uśmierzyć jego zajadły gniew, uważałem za obowiązek ofiarować mu wszystko, co miałem, iż może mu być zadośćuczynieniem: wielokroć zwracałem się doń po przyjacielsku, aby dowiedzieć się w czym, przez kogo i w jaki sposób został obrażony; ale odpowiedział mi jeno zuchwałym wyzwaniem i oświadczeniem, iż zagarnął ziemie moje na podstawie słusznego i świętego prawa. Z czego poznałem, iż Bóg wiekuisty zdał go na ster jego samowoli i własnego rozumu, który może być jeno zły, jeśli nie jest ustawnie wspierany łaską Bożą; i że snadź, aby go zachować w posłuszeństwie i wrócić mu rozeznanie, Bóg mi go nasłał z tak dotkliwym dla mnie utrapieniem.

Dlatego, synu ukochany, przeczytawszy ten list, wracaj najspieszniej, jak zdołasz, aby wedle sił swoich wspomóc nie tyle mnie (co wszelako przez naturalne współczucie się godzi), ile twoich, których rozum nakazuje ci strzec i bronić. Zadania tego dokona się z możliwie najmniejszym rozlewem krwi ludzkiej. A możebne jest i to, że przez jakoweś zmyślne sposoby, sztuczki i podstępny wojenne, ocalimy wszystkie dusze i wrócimy je szczęśliwie domowym pieleszom.

Najdroższy synu, niech pokój Chrystusa, naszego Odkupiciela będzie z tobą. Pozdrów ode mnie Ponokratesa, Gymnasta i Eudemona.

Dnia dwudziestego września

Twój ojciec,

Tęgospust

<sup>150</sup>Treść listu napisanego do Gargantui przez Tęgospustę — Zwrócono na to uwagę, iż styl Rabelais'go. zazwyczaj tak żywy i swobodny, w listach i przemówieniach wchodzi w ton współcześnie panujący, staje się ciężki i uroczy. List ten należy do tych ustępów w dziele Rabelais'go, w których pisarz przemawia zupełnie serio. Przy tej sposobności możemy podnieść, iż własne listy pisarza, które się zachowały, zwrócone do różnych współczesnych osobistości, również najmniejszym słówkiem ani akcentem ani zdradzają humorysty: tak samo pisane są najzupełniej poważnie i z godnością.



XXX. JAKO ULRYCH SWĘDZIMIR WYSŁANY ZOSTAŁ W POSELSTWIE DO ŻÓŁCIKA.

Podyktowawszy i podpisawszy listy, Tęgospust rozkazał, aby Ulrych Swędzimir, referendarz skarbu, człek roztropny i zaufany, którego cnotę i dobrą radę wypróbował w rozmaitych i ważnych sprawach, ruszył do króla Żółcika i przedstawił co na radzie uchwalono. Zaczem pocziwina Swędzimir puścił się w drogę i przejechawszy bród, przepytywał u młynarza nowin o Żółciku. Powiedziano mu, iż ludzie Żółcikowi, obrabowawszy młyn do ostatniego kurczątką, do ostatniej gąski, zamknęli się w Klermonckiej Skale; wszelako nie radził Swędzimirowi posuwać się dalej, aby snadź nic popadł w zasadzkę: rozwścieczeni bowiem są do ostatnich granic. Czemu tamten łatwo uwierzył i na tę noc zatrzymał się u młynarza.

Nazajutrz rano wyruszył w towarzystwie trębacza przed bramy zamku i wezwał strażę, by go zawiodły przed króla, jako że ma z nim mówić w jego własnej sprawie.

Gdy to oznajmiono królowi, nie pozwolił zgoła, aby mu otworzono bramę, jeno sam wstąpił na szaniec i rzekł do posła:

— Cóż tam nowego? Co masz do powiedzenia?.

Zaczem poseł wypalił następującą orację:

XXXI. PRZEMÓWIENIE POSŁA SWĘDZIMIRA DO KRÓLA ŻÓŁCIKA.

— Nie masz sprawiedliwej ugruntowanej boleści dla człowieczego serca, niż kiedy ze strony, z której słusznie oczekuje dobra i życzliwości, spotka go przeciwnie pokrzywdzenie i szkoda. I nie bez przyczyny (jakkolwiek bez słuszności), wielu popadłszy w takową potrzebę, uważało tę niegodziwość za nieznośniejszą niż utratę życia i gdy ani siłą ani inną sztuką nie mogli zapobiec takowej nieprawości, sami woleli zbawić się światłości żywota.

Nie dziw zatem, iż twoja wściekła i nieprzyjacielska napaść wielce zabolęła pana mego Tęgospusta i pognębiła jego umysł. Cud byłby to zaiste, gdyby go nie poruszyły niezliczone wybryki, jakich ty i twoi ludzie dopuściliście się na jego ziemiach i poddanych; w czym nie ominięto żadnego przykładu okrucieństwa i nieludzkości. Jest to, zaiste, dla mego pana cios nader bolesny, a to z przyczyny serdecznej miłości, jaką otaczał zawsze swych poddanych, jako nikt ze śmiertelnych nie zdołałby więcej. Wszelako, wedle rozumienia ludzkiego, bardziej mu bolesnym jest, iż to ty i twoi dopuściliście się tych niesłusznych i krzywdzących uczynków, jako że od najdawniejszych czasów ty i ojcowie twoi żyliście w przyjaźni z nim i z jego przodkami; którą to przyjaźń aż do tej pory chowaliście niewzruszoną i strześliście jej jakoby świętej: tak iż nie tylko on i jego bliscy, ale barbarzyńskie narody, Połtwinowie, Bretończycy, Maurowie i inni, mieszkający gdzieś daleko na Kanaryjskich i Izabelskich wyspach, mniemali, iż łatwiej byłoby zburzyć firmament i wynieść przepaście wysoko nad chmury, niżli rozerwać wasz sojusz; i tak obawiali się go w swoich przedsięwzięciach, iż nigdy nie ośmielili się wyzywać, drażnić ani pokrzywdzić jednego z obawy przed drugim.

Więcej jeszcze. Ta święta przyjaźń tak rozślawiła się po świecie, iż mało dziś jest ludzi zamieszkałych na kontynencie i na wyspach Oceanu, których by ambicją i życzeniem nie było wkupić się do niej na warunkach, jakie sami podacie, tyleż bowiem cenią przymierze z wami, co własne ziemie i dziedziny. Tak iż jak daleko pamięć ludzka sięga, nie było książeć ani związku tak zuchwałego i tak pysznego, który by się ośmielił targnąć, już nie mówię na wasze ziemie, ale na ziemie waszych przymierzeńców. A jeśli, nie zastanowiwszy się należycie, porwali się na jakiego świeżego sojusznika, starczyło im usłyszeć imię i godło waszego przymierza, aby natychmiast

poniechali swego zamysłu. Jakież więc szaleństwo popycha cię obecnie, aby łamiąc wszelkie przymierze, znieważając przyjaźń, deprecjować prawo, rzucać się jako wróg na ziemię Tęgospusta, nie doznawszy w niczym od niego ani od jego ludu najmniejszej obrazy, krzywdy, ani zaczepki? Gdzież wiara? gdzie prawo? gdzie rozum? gdzie ludzkość? gdzie bojaźń Boża? Czy mniemasz, że te niegodziwości ukryją się mocom wiekuistym i Bogu wszechmogącemu, sprawiedliwemu Sędziemu naszych uczynków? Jeśli tak mniemasz, mylisz się: wszelkie sprawy przyjdą przed jego sąd. Byłżeby to twój los złowrogi albo też gwiazd influencje, które chcą kres położyć twej spokojnej i szczęśliwej doli? Wszystkie bowiem rzeczy mają swój kres i koniec. I kiedy doszły swego najwyższego punktu, wnet przychodzi im spaść ku dołowi: jako iż nie mogą długo utrzymać się w tym położeniu. Oto koniec tych, którzy swego szczęścia i pomyślności nie umieją miarkować powściągliwością i rozsądkiem.

Ale jeśli tak było pisano i jeśli miał przyjść koniec twego spokoju i dostatków, trzebaż, aby się to stało z zakłóceniem spokoju mego króla, który umocnił cię na twoim tronie? Jeśli twój dom miał upaść, trzebaż, aby w swojej ruinie miał się walić na pielesze tego, który go ozdobił? Ta rzecz tak przekracza granice rozumu, tak urąga zdrowemu pojęciu, iż z trudnością ludzkiemu zrozumieniu przychodzi ją ogarnąć, a cudzoziemcy nie zechcą w nią uwierzyć poty, póki pewny i niezbity skutek nie wykaże im, iż nic nie ma świętego ani szanownego dla tych, którzy wyzbyli się Boga i rozumu, aby iść za swymi przewrotnymi namiętnościami. Gdybyś był doznał jakiej krzywdy od nas w swoich ziemiach i swoich poddanych, gdybyśmy ci nie byli pomocą w twoich troskach, gdybyśmy nie wspierali twoich interesów, gdybyśmy w czym pokalali imię i cześć twoją, albo lepiej rzekąc, gdyby duch oszczerstwa, siląc się przywieść cię na pokuszenie, za pomocą podstępnych słów i zwodnych obrazów, wpoił był w twój umysł, iż popełniliśmy przeciw tobie jakąś rzecz niegodną dawnej przyjaźni<sup>151</sup>, winien byś był wprzód wywieść się o całej prawdzie, a potem u nas się upomnieć. I byłibyśmy zaiste tak uczynili wszystko po twojej woli, iż nie miałbyś przyczyn do skargi i żalu. Ale, o Boże wiekuisty, jakże ty sobie poczynasz? Czyż chciałbyś, jako przewrotny tyran, złupić i zniweczyć całe królestwo mego pana? Mniemaszli go tak niedołącznym i bezmyślnym, aby nie próbował się bronić? albo tak pozbawionym ludzi, pieniędzy, rady i sztuki wojennej, aby nie zdołał stawić czoła twoim niegodnym zakusom?

Uchodź stąd teraz, a jutro ze schyłkiem dnia masz znaleźć się w swoich ziemiach, nie czyniąc po drodze żadnych gwałtów ani tumultów. I masz zapłacić tysiąc pudów złota za szkody, któreś zrządził w ziemiach mego pana. Połowę złożysz jutro, drugą zapłacisz na najbliższe Idy majowe: tymczasem zasię jako zakładników zostawisz nam diuków Kręcipałę, Puścizada i Ścierwellę oraz książąt Świerzbipiętę i Maławeszkę.

## XXXII. JAKO TĘGOSPUST DLA OKUPIENIA POKOJU KAZAŁ ODDAĆ KOŁACZE.

Na tym umilkł dobry Swędzimir, ale Żółcik na wszystkie jego wywody odpowiedział jeno:

— Przyjdźcie po nich, przyjdźcie po nich. Mają zadki na schwał i nieleniwe. Pozwolą wam kołaczy.

Zaczem poseł wrócił do Tęgospusta, którego zastał na kolanach, z gołą głową, pochylonego w kątku komnaty i modlącego się do Boga, aby raczył uśmierzyć gniew

<sup>151</sup>gdyby duch oszczerstwa (...) rzecz niegodną dawnej przyjaźni — Trzeba zauważyć, że ów pojednawczy poseł mimo woli robi wszystko, co może, aby ambitnemu Żółcikowi uniemożliwić pojednanie.

Żółcika i przywieść go do rozumu bez potrzeby użycia siły. Kiedy ujrzał poczciwinę Swędzimira z powrotem, spytał:

— Hej, miły druhu, jakież mi nowiny przynosisz?

— Nie sposób się z nim dogadać — odparł Swędzimir — to człek zupełnie wyzuty z rozumu i opuszczony przez Boga.

— Ależ przecie — rzekł Tęgospust — kochasiu, jakąż podaje rację swego gwałtu?

— Żadnej nie podał racji — rzekł Swędzimir — jeno w gniewie burknął coś parę słów o kołaczach. Nie wiem, czy kto nie wyrządził jakiej krzywdy jego piekarzom.

— Muszę się w tym dobrze rozpatrzyć — rzekł Tęgospust — zanim powezmę jakieś postanowienie.

Zaczem nakazał śledztwo w onej sprawie; i w istocie przekonał się, iż odebrano przemocą kilka kołaczy ludziom Żółcikowym i że Marcik dostał drągiem po głowie. Okazało się wszelako, iż za wszystko zapłacono należycie i że ów Marcik pierwszy zaciął Kowalika batem po nogach; jakoż cała rada uznała, iż miał wszelkie prawo i słuszość się bronić.

Mimo to rzekł Tęgospust:

— Wobec tego, iż poszło tu jeno o kilka kołaczy, spróbuję mu dać zadośćuczynienie: nazbyt mnie bowiem mierzi rozpoczynać o to wojnę.

Zaczem wywiedział się, ile wzięto podpłomyków, a usłyszawszy, iż było tego cztery czy pięć tuzinów, kazał ich wypiec pięć fur tejże nocy. I polecił, aby jedna pełna była podpłomyków upieczonych na świeżutkim maśle, druga na pięknych żółtkach, inne zaś z szafranem, z korzeniami i te przeznaczył dla samego Marcika. Dalej jako odszkodowanie miało mu się wyliczyć siedemset tysięcy i trzy filippusy na koszta cyrulików, którzy go opatrywali; nadto otrzymać miał grzeczny folwarczek jako czystą darowiznę dla niego i spadkobierców.

Zaczem znów wysłano Swędzimira, aby wszystko to zawiózł i załagodził rzecz całą. Ten kazał po drodze naciąć wierzby i rozdał ją między cały orszak otaczających wózki, a także i między woźniców. I sam także jedną trzymał w rękach: przez co chciał dać do poznania, iż pragną jeno pokoju i przybywają paktować.

Dotarłszy pod bramy, zażądali mówić z Żółcikiem w imieniu Tęgospusta. Ale Żółcik nie chciał ich wpuścić ani też z nimi traktować i kazał im powiedzieć, że jest zajęty, ale że wszystko, co chcą, mogą powiedzieć kapitanowi Kogutkowi, który właśnie ustawia działa na murach. Zaczem rzekł mu poczciwy Swędzimir:

— Panie, pragnąc usunąć wszelki pozór do wojny i odjąć wam wymówkę zerwania dawnego sojuszu, oddajemy oto kołacze, które są przyczyną sprzeczki. Pięć tuzinów wzięli nasi ludzie i to płacąc, co należy: otóż my tak miłujemy pokój, iż oddajemy ich pięć fur, z których ta oto dla Marcika, jako najbardziej poszkodowanego. Co więcej, aby go zupełnie zaspokoić, oto niosę tu dlań siedemset tysięcy i trzy filippusy na cyrulika; prócz tego w procencie daję mu tłusty folwarczek w dobrej ziemi, w pełne i wieczyste posiadanie, jemu i spadkobiercom: oto kontrakt darowizny. I, przez Boga, żyjmy odtąd w pokoju; wracajcie w weselu do ziem swoich i ustąpcie z tego oto miejsca, do którego nie macie żadnego prawa, jak sami chyba przyznacie. I bądźmy przyjaciółmi jak dawniej.

Kogutek powtórzył wszystko Żółcikowi, a zarazem podsycił jeszcze jego zajadłość, powiadając:

— Te chamy mają grzeczного pietra, na honor! Tęgospust, poczciwy pijaczyna, musi tego popuszczać pod siebie ze strachu; ha! snadniej jemu wypróżniać butelki, niżli gotować się do wojny. Moje zdanie jest, abyśmy zatrzymali te pieniądze i kołacze, a swoją drogą obwarowali się tu najspieszniej i jechali na całego. Cóż oni nas mają za dudków, żeby cię, miłościwy panie, karmić tu swymi gniewkami? Oto masz: za

to, żeś wprzódy postępował z nimi za dobrze i nadto ich dopuszczał do poufałości, teraz ci kołki chcą ciosać na głowie. Głaszcz chama, to cię kopnie; kopnij chama, to cię pogłaszcze.

— To, to, to — wykrzyknął Żółcik — na świętego Jakuba! już oni mnie poznają; uczyn jakos powiedział.

— Co do jednej rzeczy — rzekł Kogutek — chcę was ostrzec, najjaśniejszy panie. Dość słabo jesteśmy tu zaopatrzeni w wiwendę i łatwo może naszym brzuchom zabraknąć amunicji. Gdyby Tęgospust miał nas tu oblegać, wraz bym sobie dał wyrwać wszystkie zęby, zostawiając jeno trzy; tak samo naszym ludziom; a i tymi trzema bardzo rychło zjedlibyśmy zapasy.

— Aż nadto jadła tutaj — burknął Żółcik. — Cóż to, czyśmy tu przyszli aby jeść, czy aby się bić?

— Aby się bić, pewnie, ale z brzucha czerpie się ducha i nic po ochocie, gdy pusto w żywocie.

— Za dużo gadania — rzekł Żółcik. — Zabierzcież wszystko, co przywieśli z sobą.

Zaczem wzięli pieniądze i kołacze, i woły, i podwody i odprawili ich bez słowa, jeno mówiąc, by nie podchodzili bliżej dla przyczyny, którą powie się jutro. Jakoż nic nie sprawiwszy, wrócili przed Tęgospusta i opowiedzieli wszystko: dodając, iż nie ma nadziei uzyskania pokoju bez szczerzej i siarczystej wojny.

### XXXIII. JAKO NIEKTÓRZY WODZOWIE ŻÓŁCIKA SWYMI ZBYT GORĄCYMI RADAMI WPĘDZILI GO W OSTATECZNE NIEBEZPIECZEŃSTWO<sup>152</sup>.

Zagarnawszy kołacze, książ Ścierwełło, hrabia Rębajło i hetman Łajenko stanęli przed Żółcikiem i rzekli:

— Najjaśniejszy panie, witamy dziś w tobie najwspanialszego, najwaleczniejszego monarchę, jaki żył kiedy od śmierci Aleksandra Macedona.

— Nakryjcie głowy, nakryjcie głowy — rzekł Żółcik.

— Dzięki, najjaśniejszy panie — rzekli — czynimy swoją powinność. Sposób jest taki. Zostawisz tutaj jakiego rotmistrza z niedużą garstką ludzi, aby strzegli tego grodu, który zdaje się nam dość silny, tak z natury, jak z przyczyny obwarowań uczynionych wedle twego zlecenia i planu. Całą armię podzielisz na dwie części, jako to sam rozumiesz lepiej niż ktokolwiek inny. Jedna część ruszy na Tęgospusta i jego ludzi których za pierwszym natarciem rozbije z łatwością. Tam znajdziesz pieniądze pod dostatkiem, bo ten cham sypia na złocie. Cham powiadamy, ponieważ szlachetny książę nie ma nigdy szeląga przy duszy. Ciulać grosze to sprawa chamska<sup>153</sup>.

Druga część pociągnie tymczasem ku Onizie, Santonii, Angonii i Gaskonii; zajęją Perygot, Medok i Elany. Bez oporu zajmą miasta, zamki i fortece. W Bajonie, w Świętojańsku i w Fontarabii zagarniecie wszystkie okręty i żeglując ku Galicji i Portugalii, złupicie portowe miasta aż do Lizbony, gdzie znajdziecie obfitość wszelkich zasobów należnych wam prawem zwycięzcy. Do kroćset bomb! Hiszpania się podda, boć to są same wyskrobki. Przebywasz, najjaśniejszy panie, cieśninę Sybilską

<sup>152</sup>Jako niektórzy wodzowie Żółcika swymi zbyt gorącymi radami wpędzili go w ostateczne niebezpieczeństwo — Zdumiewać się należy, jak w całym tym rozdziale najprostszymi środkami autor osiąga efekt najprzedniejszej satyry i nieodpartego wprost komizmu. W czasie wojny światowej niemiecki *Simplicissimus* zamieścił w przekładzie cały ten rozdział jako satyrę na zwycięskie pochody i plany cesarza Wilhelma.

<sup>153</sup>Ciulać grosze to sprawa chamska — Być może niewinna aluzja do wiecznych kłopotów finansowych Franciszka I.

i tam wbijasz dwa słupy, wspanialsze niż słupy Herkulesa, ku wiecznej pamięci twojego imienia. I ten przesmyk będzie zwan odtąd *Morze Żółtkowe*. Skoroście przebyli morze Żółtkowe, Rudobrody<sup>154</sup> oddaje się wam w ręce.

— Daruję go łaską — rzekł Żółcik.

— Tak — odparli — ale pod warunkiem, że się da ochrzcić. Zaczem zdobywacie królestwo Tunisu, Hippów, Algieru, Bony, Korony, ba, całą Barbarię. Po drodze zajmujecie Majorkę, Minorkę, Sycylię, Korsykę i inne wyspy Liguryjskie i Balearskie. Wykręcając na lewo, zagarniacie całą Galię Narbońską, Prowancję, Alobrogię, Genuę, Florencję, Lukę i, na miły Bóg! Rzym. Biedne papieżysko umiera już ze strachu.

— Na mą cześć — rzekł Żółcik — niech się nie spodziewa, że go będę cmokał po pantoflu.

— Mając Italię, oto macie w kieszeni Neapol, Kalabrię, Apulię i Sycylię, i Malte w dodatku. Chciałbym to widzieć, czy te fircyki, kawalerowie rodyjscy, odważą się wam czoło stawić: posikają się ze strachu!

— Wstąpiłbym chętnie do Loreto — rzekł Żółcik.

— Nie, nie — rzekli — to będzie za powrotem. Stamtąd zagarniemy Kandię, Cypr, Rodus, Cyklady i wylądujemy w Morei. Mamy ją. Hurra! niech Bóg ma w swej opiece Jerozolimę, sultan bowiem nie może się równać z twoją potęgą.

— Zatem — rzekł król — każę odbudować świątynię Salomona?

— Nie — odparli — jeszcze nie, zaczekaj trochę Wasza Miłość. Nie bądź, najjaśniejszy panie, tak nagły w swoich przedsięwzięciach. Wiesz, co powiedział Oktawian Augustus? *Festina lente*. Należy ci wprzód podbić Azję Mniejszą, Karię, Lucję, Pamfile, Cylicję, Lidię, Frygię, Myzję, Betum, Charację, Satalię, Samagarię, Kastamene, Luge, Sawastę, aż do Eufratu.

— Czy zobaczymy — spytał Żółcik — Babilon i górę Synaj?

— Nie ma potrzeby na teraz — odparli. — Czy nie dosyć kłopotu przepłynąć Morze Hirkańskie<sup>155</sup> i przejechać konno dwie Armenie i trzy Arabie?

— Jak mi Bóg miły — rzekł — gonimy coś w piętę! Cóż wy myślicie sobie, dobrzy ludzie?

— Co? — rzekli.

— A cóż my będziemy pili w tych pustyniach? Toć przecie Julian Augustus i całe jego wojsko wyginęli tam z pragnienia, jako powiadają.

— Pomyśleliśmy już o wszystkim — odparli. — Na morzu Syriackim masz wasza miłość dziewięć tysięcy czternaście wielkich okrętów, naładowanych najprzedniejszym winem; zawijają do Jaffy. Tam czeka na nie dwadzieścia dwa set tysięcy wielbłądów i szesnaście set słoń, które pojmałeś na łowach w okolicach Sigilmisu, kiedy wkraczałeś do Libii, przy czym także wpadła ci w ręce cała karawana ciągnąca do Mekki. Czyż nie starczy wam tego wina?

— Tak — rzekł Żółcik — ale widzi mi się trochę ciepło.

— Tam do kroćset — rzekli — bohater, zdobywca, pretendent i aspirant do zawojowania całego świata nie może zawsze opływać w same wygody. Bogu niech będzie chwała, żeście przybyli, ty i twoi ludzie, zdrowi i cali aż nad brzeg Tygrysu.

— Ale — rzekł — co robi tymczasem owa część naszej armii, która rozbiła tego chama Tęgospusta?

— Ho ho! też nie próżnuje — odparli — zaraz się z nimi spotkamy. Podbili ci Bretanię, Normandię, Flandrię, Heno, Brabancję, Artys, Holandię, Zelandię; prze-

<sup>154</sup>Rudobrody — albo Khair-ed-din, albo Horuk Rudobrody, założyciel afrykańskiego rozbójniczego państwa.

<sup>155</sup>Morze Hirkańskie — Morze Kaspijskie.

szli Ren po brzuchach Szwajcarów i landsknechtów i część ich zajęła Luksemburg, Lotaryngię, Szampanię, Sabaudię aż do Lyonu; w którym to miejscu spotkali się z twoją armią wracającą z podbojów morskich Morzem Śródziemnym. I zebrali się w kupę w Bohemii, złupiwszy wprzód Szwabię, Wirtembergię, Bawarię, Austrię, Morawię i Styrię. Potem ciągną sobie wesoło razem na Lubekę, Norwegię, Szwecję, Dację, Gocję, Grenlandię i Estlandię aż do morza Lodowatego. Tego dokonawszy, podbili wyspy Orkady i ujarzmili Szkocję, Anglię i Irlandię. Stamtąd żeglując przez morze piaszczyste i ziemie Sarmatów, pobili i zagarnęli Prusy, Polskę, Litwę, Rosję, Wołoszę, Transylwanię, Węgry, Bułgarię, Turcję i są w Konstantynopolu.

— Chodźmyż tedy — rzekł Żółcik — połączyć się z nimi co najprędzej, chciałbym bowiem być i cesarzem Trebizondy. A nie wytłuczemy także tych psów tureckich i mahometanów?

— A cóż byśmy innego mieli do roboty? — odparli. — I rozdasz, miłościwy panie, ziemie ich i dziedziny tym, którzy ci wiernie służyli.

— Słusznie mówicie — rzekł — co się należy, to się należy. Daję wam Kormanię, Syrię i całą Palestynę.

— Och — rzekli — najjaśniejszy panie, nie godniśmy tyle łaski, dziękujemy pokornie. Niech Bóg zsyła na waszą królewską mość same pomyslności.

Był przy tym obecny pewien stary szlachcic doświadczony we wszelakich potrzebach i prawdziwy wyjadacz obozowy, imieniem Echefron, który, słysząc te narady, rzekł:

— Bardzo się lękam, iż to całe przedsięwzięcie podobne będzie do gadki o garnku z mlekiem, z którego niejaki szewc czerpał wszelakie bogactwa w swych rojeniach; owo garnek się stłukł i nie stało mu na obiad. Gdzież wy zmierzacie z tyłu zdobyczami? Jakiż ma być koniec tylu trudów i włóczęgi?

— Taki — rzekł Żółcik — że wróciwszy do domu, wypoczniemy sobie do syta.

Zaczem rzekł Echefron:

— A jeśli przypadkiem mielibyście nigdy nie wrócić? Podróż to bowiem długa i niebezpieczna. Nie lepiejż byśmy już teraz sobie wypoczęli, zamiast puszczać się na te azardy?

— Ho, ho — rzekł Rębajło — oto mi śliczna rada; toż ułożmy się od razu na przypiecku i tam spędzajmy czas z babami nawłócząc paciorki albo przędąc jako ów Sardanapalus. Kto nie waży szyje, zysków nie zażyje, powiada Salomon.

— A kto — rzekł Echefron — nadto waży szyje, długo nie pożyje, odrzekł Salomonowi Marchołt.

— Basta — rzekł Żółcik — dość tego. Ja się boję jeno owych diabelskich legionów Tęgospusta: gdy my będziemy w Mezopotamii, gdyby im przyszła ochota napaść nas z tyłu, co wówczas?

— To fraszka — odparł Łajenko — wysyłasz wasza królewska mość poselstwo do Moskali i wystawią ci w jednej chwili czterysta pięćdziesiąt tysięcy przedniego żołnierza. O, gdybyś mnie, miłościwy panie, zrobił hetmanem, zadałbym ja im bobu z cebulą! Pędzę, lecę, rąbię, kłuję, zabijam bez pardonu.

— Na koń, na koń — krzyknął Żółcik — żwawo, skrzyknijcie chorągwie i kto mnie kocha, za mną!

#### XXXIV. JAKO GARGANTUA OPUŚCIŁ MIASTO PARYŻ, ABY RATOWAĆ SWÓJ KRAJ I JAK GYMNASTES SPOTKAŁ SIĘ Z NIEPRZYJACIÓŁMI.

O tej samej godzinie Gargantua, natychmiast po przeczytaniu listów ojcowskich, wyruszył z Paryża i człapiąc na swej wielkiej kłaczy, przebył już most Noneński. Je-

chali z nim Ponokrates, Gymnastes i Eudemon, którzy, aby mu towarzyszyć, wzięli konie pocztowe; reszta świty wracała sobie pomalutku, wioząc wszystkie jego książki i instrumenta filozoficzne. Przybywszy do Paryli, dowiedział się Gargantua od dzierżawcy z Gogów, jako Żółcik obwarował się w Skale Klermonckiej i jako wysłał kapitana Flaczka z wielką armią, iżby zagarnął Las Wedeński i Wogodreński. Wedle owej relacji, nieprzyjaciele pustosząc wszystko, doszli aż do tłoczni winnej w Bilarze; i nie do opisania wprost i trudne do wiary było, jakich gwałtów dopuszczali się w całym kraju: aż Gargantua się uląkł i nie wiedział, co rzec i co począć.

Wówczas Ponokrates doradził mu, aby się udali do pana Wogeńskiego, który był im zawsze przyjacielem i druhem, jako że od niego lepiej będą się mogli wywieść o wszystkich koniunkturach; co też uczynili i znaleźli go chętnym do udzielenia pomocy. Stało na tym, iż najpierw wyprawi się którego z ludzi, aby przepatrzył okolicę i wywieść się o siłach nieprzyjaciela, wedle czego powéźmie się dalsze plany. Gymnastes ofiarował się iść; ale postanowiono, iż lepiej będzie, gdy weźmie z sobą kogoś z tutejszych, znającego wszystkie tameczne drogi, ścieżynki i rzeki.

Zaczem pojechał on i niejaki Smaczek, masztalerz pana Wogeńskiego, i śmiało jęli przetrząsać okolicę. Tymczasem Gargantua wypoczął nieco i podkarmił się wraz ze swą świtą i kazał dać swej klaczy miarkę owsa, to jest sześćdziesiąt i trzy wiader i trzy ćwiartki.

Gymnastes i jego towarzysz myszkowali póty, aż napotkali nieprzyjaciół, którzy rozprószeni i bez porządku łupili i rabowali, co mogli; skoro tylko spostrzegli Gymnastę, ruszyli nań hurmem, aby go obedrzeć. Ale ów krzyknął:

— Panowie, jam chudy pacholek; błagam, ulitujcie się nade mną. Mam jeszcze parę talerów, toć je przepijemy razem, jest to bowiem *aurum potabile*; i tego oto mierzynka sprzedam, aby oblać nasze poznanie: zaczem przyjmijcie mnie za swego, ile że nie znajdziecie człeka, który by umiał tak godnie łapać, szpikować, piec i przyrządzać, a nawet, prze Bóg! ćwiertować i zaprawiać kurczaka, jako tu obecny wasz sługa: a za mój *proficiat* piję zdrowie całej zacnej kompanii.

Jakoż dobył bukłaczka i nie wtykając nosa, łyknął wcale uczciwie. Hultaje patrzyli nań rozdziawiając gęby na dwie piędzi i wyciągając jęzory jak charty, aż przyjdzie kolej na nich popić; ale w tej chwili przybieżał kapitan Flaczek zobaczyć, co się dzieje. Jemu oddał Gymnastes bukłak, mówiąc:

— Oto masz, kapitanie; ciągnij śmiało; pokosztowałem: odpowiedzialne winko.

— Cóż to? — rzekł Flaczek — ten hultaj sobie z nas dworuje. Ktoś zacz?

— Jestem biedny czort — rzekł Gymnastes.

— Ha — rzekł Flaczek — skoroś biedny czort, możesz iść swoją drogą, wszelki bowiem biedny czort wędruje po świecie nie płacąc cla ani myta; ale nie masz obyczaju, aby biedne czorty jeździły na tak zacnych szkapach; zaczem, mości czorcie, złaż, abym ja wziął twego mierzynka; a jeśli mnie nie uniesie, tobie siądę na kark, niebożę, abym zajechał na czorcie do stu czortów.

#### XXXV. JAKO GYMNASTES ZGRABNIE UŚMIERCIŁ KAPITANA FLACZKA I INNYCH LUDZI ŻÓŁCIKOWYCH.

Usłyszawszy te słowa, ten i ów zaczął się strachać, żegnać na wszystkie strony znakiem krzyża, mniemając, iż to jest czart przebrany. A jeden z nich, nazwany durny Jasio, kapitan wolnych strzelców, dobył różańca z rozporka i krzyknął wielkim głosem:

— *Αγίος ο ζεός*<sup>156</sup>! Jeśliś jest boże stworzenie, mów; jeśli inne, a kys!

<sup>156</sup>*Αγίος ο ζεός* (gr.) — Bóg jest święty!

Nie ruszył się z miejsca: zaczął wielu, usłyszawszy to, zaczęło się wymykać z kompanii; a Gymnastes wszystko uważał i miał na oku. Wszelako udał, iż zsiada z konia, ale kiedy go już okraczył, obrócił się zgrabnie w strzemieniu, przycisnąwszy mieczyk do boku i podlaźszy pod brzuchem końskim, podrzucił się w powietrze i stanął równymi nogami na siodle, zadkiem do łba końskiego. Po czym rzekł:

— Kuśka mi się przekręciła.

Zaczem jak stał, okręcił się na jednej nodze i obróciwszy się w lewo, siadł tak jak był na początku. Co widząc, rzekł Flaczek:

— Niechże tego hycła kule biją! Tego bym nie uzdolił.

— G...no — rzekł Gymnastes — pokpiłem ten skok; muszę poprawić.

Zaczem, obracając się w prawo, powtórzył młynka jeszcze zgrabniej i z jeszcze większym zamachem. Następnie wsparł się prawym kciukiem na łęku i podniósł się w powietrze, utrzymując całe ciało wytrzymałością onego kciuka i tak okręcił się trzy razy: za czwartym wygiął się, nie opierając nigdzie i znalazł się między uszami konia, trzymając całe ciało w powietrzu na lewym kciuku i tak uczynił młynka; następnie, uderzywszy prawą dłoń na płask w środek siodła, wziął taki rozmach, iż usiadł na zadzie jakoby damską modą.

To uczyniwszy, okrążył prawą nogą siodło i usadowił się jak do jazdy, wszelako na samym zadzie.

— Ba — rzekł — lepiej mi będzie posiąść się pomiędzy łęki.

Zaczem wspierając się na obu kciukach, wywinął się zadem nad głowę i znalazł się między łękami w statecznej posturze; następnie jednym susem uniósł się całym ciałem w powietrze, stanął równymi nogami na siodle i okręcił się więcej niż sto razy, rozkrzyżowawszy ramiona i krzycząc na całe gardło:

— Wściekam się, diabły, wściekam się, szaleję, trzymajcie mnie diabły, trzymajcie, trzymajcie.

Podczas gdy on wydziwiał takie sztuki, tamte ciury w wielkim osłupieniu, szeptały jeden do drugiego:

— Bodajś jadł psie g...no, toć to bies albo czort przebrany. *Ab hoste maligno libera nos Domine!*

I umykali drogą, obzierając się za siebie jak pies, gdy umyka ze sztuką drobiu.

Wówczas Gymnastes, widząc swą przewagę, zsiada z konia, dobywa miecza i z wielkim impetem naciera co na znamienitszych, kładąc ich pokotem, raniąc, siekąc, mordując, bez żadnego oporu z ich strony. Mniemali bowiem, że mają z diabłem do czynienia, tak z powodu owych przedziwnych sztuk, na które patrzyli oczyma, jak z odezwania Flaczka, który go zwał „biednym czortem”. Sam jeno Flaczek próbował mu podstępnie rozplatać głowę mieczem, ale dobra stal na helmie nie puściła; zasię tamten, okręciwszy się, natarł na Flaczka i gdy ów parował cios od góry, przeciął mu jednym zamachem żołądek, jelita i kawał wątroby: zaczął Flaczek padł na ziemię i padając, oddał więcej niż cztery miski zupy i duszę zamieszaną w tę zupę.

Następnie Gymnastes pomyślał o odwrocie, uważając, że niedobrze jest nadto kusić szczęście i że przystoi rycerzowi z uszanowaniem traktować pomyślną fortunę, nie trapiąc jej ani molestując. Siadłszy tedy na koń, spał go ostrogą i pognął prosto ku dziedzinie Wogeńskiej, a Smaczek za nim.

### XXXVI. JAKO GARGANTUA ZBURZYŁ ZAMEK WEDEŃSKI I JAKO PRZEBYLI BRÓD.

Wróciwszy do swoich, opowiedział Gymnastes o położeniu nieprzyjaciół i o podstępie, do którego się uciekł, znalazłszy się sam jeden przeciw całej bandzie. I twierdził,



że są tam jeno same ciury, łupieżce i rozbójniki nieświadome wszelkiej dyscypliny wojennej i że śmiało ruszywszy na nich, nietrudno będzie wyróżnić wszystkich jak bydło.

Zaczem Gargantua dosiadł swej wielkiej kobyły, na czele wyliczonego poprzednio orszaku. I napotkawszy na drodze wysoką i grubą olchę (którą pospolicie zwano drzewem św. Marcina, wierzono bowiem, iż wyrosła z kostura zasadzonego przez świętego w ziemię), rzekł:

— Otom znalazł, czego mi trzeba. To drzewo mi obstanie za pałkę i dzidę.

I wyrwał je z łatwością z ziemi, odarł z gałęzi i obrobił sobie do ręki. Tymczasem klacz oddała wodę, aby sobie ulżyć; a była tego taka obfitość, iż na siedem mil uczynił się jakoby potop i popłynęły wszystkie te siuski aż do Wedeńskiego Brodu i tak go wezbrały, iż cała gromada nieprzyjaciół potopiła się w okrutny sposób z wyjątkiem tych, którzy się wzięli na lewo ku pagórkom.

Przybywszy w okolice Wedeńskiego Lasu, wywiedział się Gargantua przez Eudemona, iż w zamku zostało jeszcze co nieco nieprzyjaciół; o czym aby się upewnić, krzyknął co miał tchu w gardle:

— Jesteście tam, czy was nie ma? Jeśli jesteście, zróbcie, aby was nie było; jeśli was nie ma, nie mam nic do powiedzenia.

Na to jakiś hultaj kanonier, który stał na blanku, posiał mu kulę armatnią i ugodził go straszliwie w prawą skroń: nie czyniąc mu wszelako większej krzywdy, niż gdyby go wyrzucił śliwką.

— A to co? — rzekł Gargantua; cóż wy nam tu ciskacie winne jagody? Drogo was będzie kosztowało to winobranie — mniemając w rzeczy, iż ta kula to była winna jagoda.

Ci, którzy byli w zamku i zabawiali się grą w kości, słysząc huk, podążyli do wież i fortów i dali doń więcej niż dziewięć tysięcy strzałów z falkonetów i garłaczy, celując w samą głowę; a tak gęsto prali doń, iż Gargantua zawołał:

— Ponokracie, przyjacielu, ciemno mi tu od tych much, podaj no mi jaką gałązkę wierzbiny, abym się opędził — mniemając na ów deszcz żelazny i pociski armatnie, że to są końskie muchy.

Ponokrates odparł, że te muchy to nie co insze, jeno pociski artyleryjskie, którymi mierzą doń z zamku. Wówczas zawinął swoim drzewem ku zamkowi i od jednego zamachu zwałił wieże i mury, i wszystko zrównał z ziemią: a tym samym pozabijał i potłukł na miazgę wszystkich, którzy byli wewnątrz.

Stamtąd udali się do mostu młyńskiego i znaleźli cały bród zawalony trupami w takiej mnogości, iż wstrzymały bieg młyna: to byli ci, którzy zginęli w potopie urynnym owej kobyły. Tam jęli medytować, jakby można przejść bród mimo tej zaporę. Ale Gymnastes rzekł:

— Jeżeli diabli przeszli, i ja przejdę.

— Diabli — rzekł Eudemon — przeszli tamtędy, aby zabrać dusze potępione.

— Na świętego Damiana — rzekł Ponokrates — zatem jasne jest, że i on przejdzie.

— Juści, juści — rzekł Gymnastes — chyba bym utknął gdzie w drodze.

I spiąwszy ostrogami konia, przejechał śmiało. Koń nie przestraszył się ani na chwilę ciał, wedle bowiem nauki Elianta, przyzwyczał go z dawna nie lękać się oręża ani trupów poległych. A dokazał tego, nie zabijając ludzi, jako Diomedes zabijał Traków, a Uliss kładł ciała nieprzyjaciół pod nogi swoich koni, jako opowiada Homer; jeno kładąc mu lalkę wypchaną do siana i każąc mu zwyczajnie przechodzić przez nią, podsypawszy po drugiej stronie owsa. Trzej inni przejechali za nim bez wypadku, z wyjątkiem Eudemona, którego koń wdepnął prawą nogą aż po kolano

w brzuch grubego i tłustego pachola, tak że nie mógł jej wydobyć; i tak miotał się w tej matni, aż Gargantua końcem kija rozbetał resztę flaków owego ciury i wypuścił je do wody, a tymczasem koń uwolnił nogę. I (czemu wielce dziwili się biegli konowałowie) za dotknięciem kiszek onego tłuszczocha wyleczył się ów koń z narośli, którą miał na nodze.

### XXXVII. JAKO GARGANTUA, CZESZĄC WŁOSY, WYCZESAŁ SIĘA KUL ARMATNICH.

Wydostawszy się z rzeki Wedy, niedługo potem zajechali do zamku Tęgospusta, który oczekiwał ich z wielkim upragnieniem. Dopieroż się jęli ścisnąć i obejmować; na świecie nie widział nikt większej uciechy. *Supplementum supplementi chronicorum* powiada, iż Gargamela umarła na miejscu z radości: co do mnie, nie wiem, jak tam z nią było i mało się troszczę o tę i o wszystkie inne. Prawdą jest za to, iż Gargantua zmieniając odzienie i przyczesując się grzebieniem (który był długi na sto łokci, a zęby miał zrobione z całkowitych kłów słonia), wygarniał za każdym razem więcej niż siedem tuzinów kulek, które zostały mu we włosach przy onym szturmie do Wedeńskiego zamku.

Widząc to Tęgospust, myślał, że to wszy i rzekł:

— Hej, miły synku, aże tu nam naniósł tych montegińskich baranków? Nie wiedziałem, żeś i w tej uczelni bywał.

Na co Ponokrates:

— Panie, nie myśl, iż oddałem go do owego zawszonego kolegium zwanego montegińskim<sup>157</sup>: toć już wolałbym go być dać między wszarzy św. Innocentego. Nazbyt dobrze poznałem okrucieństwo i ohydę, jakie panują w tej szkole: lepiej bowiem obchodzą się ze zbrodniarzami u Maurów i Tatarów, z mordcami w kaźni, nie mówię już z psami w twoim domu, niżli z biednymi osiołkami w tym kolegium. I gdybym był królem Paryża, niech mnie diabli porwą, jeślibym tam ognia nie podłożył i nie upiekł żywcem regenta i nauczycieli za to, iż cierpią, aby pod ich oczami popełniano takie barbarzyństwa.

Zaczem podnosząc jedną z kul, rzekł:

— To są kule armatnie, którymi kiedyś godzili w syna twego Gargantuę zdrajcy nieprzyjaciele, gdyśmy jechali koło Wedeńskiego Lasu. Ale dostali taką zapłatę, iż wszyscy zginęli pod zwaliskami zamku jako Filistyni wygubieni przez podstęp Samsona, albo jak owe pohańce, których przygniotła wieża Siloe, o czym stoi napisane u *Luc.* VIII. Owo jestem zdania, abyśmy nie zalegali pola, lecz zakrzętnęli się dalej koło pościgu, póki szczęście przy nas. Powiadają, iż sposobność ma wszystkie włosy na czole: skoro raz przejdzie mimo, już jej nie zatrzymasz; z tyłu głowy bowiem jest lysa, a nigdy się nie odwraca.

— Zaprawdę — rzekł Tęgospust — jeszcze nie w tej godzinie: chcę was dziś wieczór ugościć jak należy i uczcić wasze przybycie.

Tak rzekł i wraz zaczęto gotować wszystko do wieczery i upieczono ponad zwykłą liczbę szesnaście wołów, trzy jałówki, trzydzieści i dwa cielęta, sześćdziesiąt i trzy kozłatek, dziewięćdziesiąt pięć baranów, trzysta młodych prosiaczków, dwieście dwadzieścia kuropatw, siedemset bekasów, czterysta kapłonów lundeńskich i kornwal-skich, sześć tysięcy kurcząt i tyleż gołębi, sześćset kogutków, czternaście set zajęcy, trzysta i trzy dropie, tysiąc siedemset indyków. Dziczyzny nie można było naprędce zgromadzić tyle, co trzeba; znalazło się wszelako jednaście dzików, przysłanych przez

<sup>157</sup>kolegium zwane montegińskim — Kolegium w Montaigu, do którego uczęszczał w młodości Erazm i gdzie głód i batogi stanowiły główne środki wychowawcze.

turbińskiego opata i osiemnaście niedźwiedzi (dar od pana Wielogóry), do tego sto czterdzieści bażantów od pana Esara<sup>158</sup> i parę tuzinów grzywaczy, ptactwa wodnego, cyranek, kurlisów, siewek, jarząbków, kaczek dzikich, krzyków, słonek, batalionów, dubeltów, kulonów, przepiórek, derkaczy, cietrzewi, głuszców, dropi, nurków, kwiczolów, pardew, dzikich gęsi, kurek wodnych, kurek indyjskich, wiele kuskurów i mnóstwo ryb. Nie ma co gadać, jadła wszelakiego była obfitość; a przyprawili to wszystko uczciwie Sosik, Wiercimak i Warzecha, kuchmistrze króla Tęgospusta. Za się podczasowie Konewka, Dzbanuszek i Szklaneczka mieli staranie o napoje.

### XXXVIII. JAKO GARGANTUA ZJADŁ W SAŁACIE SZEŚCIU PIELGRZYMÓW.

Należy do rzeczy, abyśmy opowiedzieli, co się trafiło sześciu pielgrzymom, którzy wędrowali ze Sebastianu koło Nanty i z obawy przed nieprzyjaciółmi zaszyli się na nocleg w ogród warzywny, między zagony kapusty i sałaty. Gargantua czuł się jakiś nieswój i zażądał, czy by nie można dostać sałaty głowiastej. Owo dowiedziawszy się, iż rodzi się w tych stronach bardzo duża i piękna (bywa bowiem tak wielka jak orzech lub śliwa), poszedł sam narwać i przyniósł w dłoni, ile mu się zdało; a razem zagarnął i sześciu pielgrzymów, którzy się tak przelękli, iż nie śmieli krzyknąć ani kaszlnąć.

Gdy ich najpierw oplukiwał w zdroju, pielgrzymi rzekli półgębkiem jeden do drugiego: „Co tu robić? utopimy się tu w tej sałacie: może by krzyczeć? Ale, jeśli się odezwiemy, pozabija nas jako szpiegów”. Gdy się tak naradzali, Gargantua włożył ich wraz z sałatą w salaterkę wielką jak beczka cytyjska<sup>159</sup> i zaprawiwszy oliwą, octem i solą, zjadł wszystko, aby się nieco orzeźwić przed wieczerzą: owo potknął już pięciu pielgrzymów, szósty zaś był w salaterce ukryty pod liściem sałaty, z wyjątkiem kostura który sterczał ku górze. Ujrawszy go, Tęgospust rzekł do Gargantui:

— Zdaje mi się, że to róg ślimaka, nie jedz tego.

— Czemu? — odparł Gargantua, dobre są w tym miesiącu.

Zaczem ujawszy kostur, podniósł do ust pielgrzymia i zjadł go bardzo smacznie. Po czym lękliwy okrutny haust świeżego moszczu, czekając, aż mu przyrządzą wieczerzę.

Pielgrzymi tak spożyci wygramolili się spomiędzy zębów, jak tam który mógł, i mniemali, iż dostali się do jakiegoś więziennego lochu. Skoro Gargantua pociągnął ów srogi haust wina, omal nie potopili mu się w gębie i strumień wina uniósł ich aż prawie w otchłanie żołądka, podskakując wszelako na kosturach, jako czynią pauperki uliczne, wydrapali się na powrót aż na kraj szczęki. Ale na nieszczęście jeden, wymacując kosturem okolice, aby się przekonać, czy są w bezpiecznym miejscu, uderzył mocno w dziurę bolącego zęba i uraził chory nerw, co strasznie zabolalo Gargantue, tak iż jął krzyczeć z wściekłości i bólu. Aby sobie ulżyć w cierpieniu, kazał przynieść wykalczkę i siadłszy pod orzechem, zaczął wydłubywać imćpanów pielgrzymów.

Jednego dopadł za nogi, drugiego za ramiona, trzeciego za sakwy, innego za kaptur, innego za pas; biednego nieboraka, który go uraził kosturem, nawlókł za rozporok: tamtemu wszelako wyszło to bardzo na dobre, bo mu przekłuł wrzód francowaty, który go trapił od czasu, jak nocowali w Ancenie. Tak wydłubani pielgrzymi uciekli pędem przez trawy, a cierpienie Gargantui uśmierzyło się z wolna.

W tejsze chwili zawołał nań Eudemon, iż wieczerza gotowa.

— Poczekaj — odparł — muszę przódzy przesusiać tę moją niedolę.

<sup>158</sup>pana Wielogóry (...) pana Esara — Panowie de Grandmoud i d'Essars, dworzanie króla Franciszka I.

<sup>159</sup>beczka cytyjska — Sławna beczka, sporządzona wedle legendy przez św. Bernarda.

Zaczem oddał urynę tak obficie, iż zalała w poprzek drogę pielgrzymom, tak iż ledwo przedostali się przez tę rzekę. Po czym, wędrując dalej drogą leśną, ugrzęźli wszyscy, z wyjątkiem jednego, imieniem Mrówczyk, w paściach zastawionych na wilki. Wydostali się z nich dzięki przemyślności onego Mrówczyka, który poprzecinał wszystkie sieci i postronki. Wydostawszy się stamtąd, schronili się na noc do jakiejś chałupy koło Kudrynia.

Tam przed spoczynkiem pokrzepił ich serce dobrymi słowy jeden z nich, imieniem Męczynoga, który im wyłożył, iż ta przygoda przepowiedziana była przez Dawida w psalmie *Cum exsurgerent homines in nos, forte vivos deglutissent nos*, to znaczy: kiedy nas jedzono w sałacie z octem i solą. *Cum irasceretur furor eorum in nos forsitan aqua absorbuisset nos, kiedy pociągnął ów potężny byk. Torrentem pertransiuit anima nostra, kiedy przewędrowaliśmy przez wielką rzekę. Forsitan pertransisset anima nostra aquam intolerabilem, uryny jego, która zagroziła nam drogę. Benedictus Dominus, qui non dedit nos in captionem dentibus eorum. Anima nostra, sicut passer, erepta est de laqueo venantium, kiedyśmy wpadli w paść wilczą. Laqueus contritus est, niby przez Mrówczyka, et nos liberati sumus. Adiutorium nostrum etc.*<sup>160</sup>

### XXXIX. JAK GARGANTUA PODEJMOWAŁ MNICHA, KTÓRY ZABAWIAŁ SIĘ PRZY WIECZERZY WDZIĘCZNYMI POGWARKI.

Skoro Gargantua zasiadł u stołu i skoro pochłonięto pierwsze kęsy, Tęgospust jął opowiadać źródła i przyczyny wojny, toczącej się między nim a Żółcikiem i przyszedł w tym opowiadaniu do miejsca, jako brat Jan Łomignat okrył się chwałą, broniąc klasztornego obejścia. Tu począł wystawiać jego dzieło ponad czyny Kamilla, Scypiona, Pompejusza, Cezara i Temistoklesa. Zaczem żądał Gargantua, aby natychmiast posłano po mnicha dla wspólnego naradzenia się, co by należało uczynić. Z rozkazu króla począł go szukać marszałek i w wielkim weselu przywiódł go, wciąż dzierżąc go swój drąg krzyżowy, na mule Gargantui. Dopieroż zaczęły się pochwały, uściski, wiwaty.

— Hej, bracie Janie, mój przyjacielu; bracie Janie, mój miły krewniaku; bracie Janie to, bracie Janie owo; uściskaj mnie zuch! Sam tu, dawaj łapę! Chodź no tu, kusiuniu, niech cię wyściskam, aż ci ten kaptur zedrę.

A brat Jan śmiał się, aż szyby dźwięczały! Pod słońcem nie widziano bardziej lubego i serdecznego człowieka.

— Tu, tu — rzekł Gargantua — tu się posiądźcie przy mnie, przy tym końcu.

— Z duszy, z serca — rzekł mnich — skoro taka wasza łaska. Hej, paziu, wody: lej no, dziecko, lej no: odświeży mi wątrobę. Dawaj no jeszcze, niech gardło przepłuczę.

— *Deposita cappa* — rzekł Gymnastes — zdejmijmy ten habit.

— Oho, z wolna, panie szlachcic — rzekł mnich — jest u nas pewien paragraf *in statutis ordinis*, który by się diabelnie na to skrzywił.

— G...no — rzekł Gymnastes — us...ać się na wasze paragrafy Ten habit gniecie cię pod pachami, praśnijże go w diabły

— Mój młody przyjacielu — rzekł mnich — zostaw mi go: klnę się Bogiem, że pije mi się w nim o wiele lepiej. Utrzymuje mi ciało w ciepłe i w weselu. Gdybym go zdjął, paziowie porobiliby zeń sobie podwiązki, jako mi się raz zdarzyło w Kuleniu<sup>161</sup>; co więcej, straciłbym zupełnie apetyt. Zasię jeśli w tej sukience siędę do stołu, będę

<sup>160</sup>ta przygoda przepowiedziana była przez Dawida w psalmie (...) *Adiutorium nostrum* — Cały ten ustęp był w owych czasach niemalym zuchwalstwem za strony pisarza.

<sup>161</sup>Kulen — Coulaines, miejscowość koło Chinon. W ten sposób, dla płynności czytania, tłumacz pozwala sobie zazwyczaj polszczyć brzmienie różnych miejscowości, w ustępach tekstu, gdzie autentyczność nazwy nie odgrywa roli.

pił, przebóg, do ciebie, do twego konia, do wszystkich diabłów. Niech Bóg ma całą kompanię w świętej opiece. Jużem wprawdzie wieczerzał, ale to mi nie przeszkodzi znów z wami przekąsić: mam żołądek brukowany, pusty jak but św. Benedykta<sup>162</sup>, a zawsze otwarty jak mieszek adwokacki. Ze wszystkich ryb, z wyjątkiem lina, radzę wam wybrać skrzydełko kuropatwy albo udko mniszeczki. Czyż to nie wesola śmierć, kiedy się umiera ze sztywną kusią<sup>163</sup>? Nasz przeor bardzo lubi białe mięso z kapłona.

— W tym — rzekł Gymnastes — zgoła nie jest podobny do lisa: trzeba wam bowiem wiedzieć, iż kiedy lis chwyci kapłona, kurę, kurczę, nigdy nie je białego mięsa.

— Dlaczego? — rzekł mnich.

— Dlatego — odparł Gymnastes — że nie ma kucharza, który by mu je upiekł. A skoro mięso nie jest należycie upieczone, jest czerwone, a nie białe. Czerwoność mięsa jest znakiem, że nie jest dość wypieczone. Z wyjątkiem raków i homarów, które się kardynalizują w gotowaniu.

— Święty Antoni! — rzekł mnich — tedy nasz furtian nie może mieć głowy dobrze wypieczonej, ma bowiem gały czerwone jak królik. To udko zajęcze dobre jest dla podagryków. Ale, kiedy już o tym uradzamy, powiedzcie mi: czemu udka panięskie są zawsze chłodne?

— Tego problemu — rzekł Gargantua — nie ma ani w Arystotelesie, ani w Aleksandrze Afrodyzyjskim, ani w Plutarchu.

— Oto — rzekł mnich — dla trzech przyczyn, dla których jakieś miejsce w przyrodzony sposób utrzymuje się w chłodzie. *Primo*, ponieważ ścieka po nim woda. *Secundo*, ponieważ jest to miejsce cieniste, ciemne i osłonięte, gdzie nigdy słońce nie zagłada. A po trzecie, ponieważ jest nieustannie chłodzone przez wiatry. Hurra!

Hej tam, paziu, coś mi zaschło! Ciur, ciur, ciur. O Boże, jakiś ty łaskaw, że nam dajesz to dobre winko! Przysięgam Bogu, gdybym żył w czasach Jezusa Chrystusa, nie dałbym go Żydom pojmać na górze Oliwnej. Niech mnie wszyscy diabli porwą, jeślibym nie ponacinał tydek panom apostołom, co tak podle dali drapaka, najadłszy się na wieczerzę i tak opuścili swego mistrza w potrzebie. Taki człowiek, który zmyka, kiedy trzeba się brać do młocki, bardziej mi jest omierzły niż trucizna. Hej, hej, czemu to nie mogę być królem Francji na jakie osiemdziesiąt albo sto lat. Przebóg! już ja bym tam wykopał psa wszystkim tym, co to drapnęli pod Pawią<sup>164</sup>! Niechże ich febra ściśnie! Czemu nie skapieli tam na miejscu, niżby mieli zostawiać swego księcia w takowej opresji! Zali nie lepiej i nie zaszczytniej jest zginąć uczciwie w walce, niżli ocalić żywot haniebną ucieczką? Nie będziemy mieli gąsek tego roku. Hej tam, przyjacielu, daj no tego prosiaka. Tam do licha! Dzbanek znów próżny. *Germinavit radix Jesse*. Życie mi niemiłe, umieram z pragnienia. To winko sobie niezgorsze. Co wy tam za wino pijecie w Paryżu? Niech mnie wszyscy czarci porwą, jeślim tam nie poił w swoim klasztorze kogo wlazło i to przez pół roku. A znacie tam brata Klaudiusza, u świętego Dionizego? O, cóż za kompan! Ale patrzcie, co za giez go ukąsił: nic teraz nie robi, jeno w księgach siedzi od niepamiętnych czasów. Ja bo tam z książkami się nie wdaję. W naszym klasztorze nikt się nie bawi w naukę; to szkodzi na pęcherz. Nieboszczyk opat mawiał, że to monstrum przyrody widzieć uczonego mnicha. Tam do licha, brateńku, *magis magnos clericos non sunt magis magnos sapientes*.

Jeszczeście nigdy nie widzieli tyłu zajęcy, co ich jest u nas o tym czasie. Nie mogłem znikąd wydostać sokoła, chciałem na głowie stawał. Pan Belon przyrzekł mi

<sup>162</sup>pusty jak but św. Benedykta — Butem św. Benedykta nazywano ogromną beczkę.

<sup>163</sup>wesola śmierć, kiedy się umiera ze sztywną kusią — Wedle gadek ludowych trafia się to po śmierci ludziom, którzy za życia obcowali cieleśnie z mniszką.

<sup>164</sup>wszystkim tym, co to drapnęli pod Pawią — Aluzja do żołnierzy, którzy ratując się ucieczką, opuścili Franciszka I pod Pawią (1525), tak iż dostał się do niewoli.

srokosza, ale właśnie pisze, że dostał dychawki. Kuropatwy uszy nam oskubią w tym roku. Nie lubię siedzieć w altanie, bo mi się dłuży. Kiedy nie biegam, kiedy się nie krzątam, zarazem jakiś nieswój. Prawda, że gdy skaczą przez krzaki i płoty, zostaje na nich co nieco sierści z habitu. Znalazłem ślicznego charta; niech mnie czarci porwą, jeśli mu się jaki zajęć wymiga. Sługa prowadził go do pana Zajączka, alem mu go zagarnął. Zalim źle uczynił?

— Nie, bracie Janie — rzekł Gymnastes — nie, do stu czartów, nie!

— Więc za zdrowie tych czartów i niech żyją długo — rzekł mnich. — Święci niebiescy! i cóż by z nim począł ten kuternoga? Rany boskie, toć większą radość mu sprawi ofiarować mu jaką tęgą parkę wołów.

— Jak to — zapytał Ponokrates — wy klniecie, bracie Janie?

— To tylko tak, dla okraszy mownej — odparł mnich. — To są takie ubarwienia retoryki cyceroniańskiej.

#### XL. DLACZEGO MNICHY SĄ W OHYDZIE U CAŁEGO ŚWIATA I DLACZEGO JEDNI MAJĄ WIĘKSZE NOSY, A DRUDZY MNIEJSZE.

— Jakem chrześcijanin — rzekł Eudemon — głupieję zupełnie, patrząc, co to za przedni człowiek z tego mnicha. Toćże on nas tu wszystkich napawa radością! I czym się to dzieje, że tak pędzą precz mnichów z każdej godnej kompanii, mieniając ich mącicielami wesela: tym kształtem jako pszczoły żeną precz trutni ów od roju? *Ignavum fucos pecus*, powiada Maro, *a praesepibus arcent*.

Na co odparł Gargantua:

— Nic prawdziwszego nad to, iż habit i kaptur ściągają na siebie ohydę, przekleństwa i złorzeczenia całego świata, zupełnie tak jak wiatr, powiada Cecjasz, sprowadza chmury. Racja ostateczna tego jest, iż oni pożywają łajno całego świata, tj. grzechy, i jako takich zęcpajłajnow wypędza się ich do ich nor, to znaczy do opactw i klasztorów, które są oddzielone od politycznej kompanii jako wychodek od domu. Zasię jeżeli rozumiecie, czemu małpę w domu wszyscy wyszydzą i hańbią, zrozumiecie czemu od mnichów każdy stroni, tak od młodych, jak od starych. Małpa nie strzeże zgoła domu jako pies; nie ciągnie jarzma jako wół; nie daje ani mleka, ani wełny jako owca: nie dźwiga ciężaru jak koń. Cała jej praca to wszystko ofajdać i zniszczyć, co jest przyczyną, iż od wszystkich doznaje jeno wzgardy a batogów.

Tak samo mnich (mówię tu o owych próźniaczych mnichach) nie uprawia roli jak wieśniak; nie strzeże kraju jak wojownik; nie leczy chorób jak lekarz; nie każe ani nie naucza ludzi jako godny ewangeliczny doktor i pedagog; nie sporządza rzeczy użytecznych i potrzebnych dla powszechnego dobra jak kupiec. Dlatego też od wszystkich jest wzgardzony i wszystkim omierzły.

— Tak, ale za to — rzekł Tęgospust — modlą się do Boga za nas.

— Ani się im śni — odparł Gargantua. — Prawda jest jeno, iż utrapiają całą okolicę swoim brząkaniem we dzwony.

— Pewnie — rzekł mnich — bo też kiedy się dobrze oddzwoni mszę św. albo nieszpory, albo roraty, to już na wpół jakby się je odprawilo.

— Mamroczą wielką moc litanii i psalmów, których w ząb nie rozumieją. Klepią swoje ojczenaszki, gęsto szpikowane zdrowaškami, nie myśląc ani nie słysząc, co mówią. Owo co nazywam kpinami z Pana Boga, a nie modlitwą. Ale niech im tam Pan Bóg sekunduje, jak oni się modlą za nas, a nie z obawy stradania swoich kąsków i tłustej zupy. Wszyscy prawdziwi chrześcijanie wszelkiego stanu, na wszelkim miejscu, we wszelkich czasach, modlą się do Boga i Duch prosi i wstawia się za nich i Bóg przyjmuje łaskawie te modły. A teraz popatrzcież na naszego zacnego brata

Jana. Toć każdy rad by go mieć najdłużej w kompanii. Nie jest świętoszek, nie jest pluch; jest poczciwy, wesoły, roztropny, dobry kompan. Pracuje, nie lęka się trudu, broni uciśnionych, pokrzepia strapionych, wspomaga cierpiących, strzeże zagrody klasztornej.

— Nie tylko tyle, nie tylko tyle — rzekł mnich. — Parając się bowiem z jutrzniami i godzinkami na chórze, sporządzam tymczasem cięciwy do kuszy, poleruję tarcice i pokrętki, sporządzam sieci i paści na młode zajączki. Nigdy nie siedzę bezczynnie. Ale teraz pić, pić. Podaj no owoce. To kasztany z Estrockiego lasu. Podlać je młodym winkiem, a będziesz, bracie, pierdział jak trąba jerychońska. Jeszczeście nie dość uczcili tę beczulkę. Hej, ha! ja bo piję u każdego brodu, jak szczerzy koń pocztarski.

Tu rzekł Gymnastes:

— Bracie Janie, zdejmcie ten sopol, co wam wisi u nosa.

— Ha, ha — rzekł mnich — tożbym się już wnet utopił, kiedy mi woda dochodzi już do nosa. Nie, nie. *Quare? Quia*

Stamtąd wypływa, lecz tam nie powraca,  
Winko lać w gardziel, to wdzięczniejsza praca.

O mój przyjacielu, kto by miał buty na zimę z takiej skóry jak moje gardło, mógłby śmiało łowić ostrygi, a nigdy by nóg nie przemoczył.

— Czemu — rzekł Gargantua — brat Jan ma tak piękny nochal?

— Dlatego, że Bogu się tak podobało — odparł Tęgospust — który je nam daje takiego kształtu jak chce i jak je wyrabia w swojej boskiej mądrości jako garncarz lepi naczynie.

— Dlatego — rzekł Ponokrates — iż pierwszy zdążył na jarmark z nosami. Wybrał największy i najładniejszy.

— Wszystko furda — rzekł mnich — wedle prawdziwej filozofii monastycznej to dlatego, iż moja mamka miała miękkie cycusie; owo gdy mnie karmiła, nos włożył tam jak w masło i rósł sobie w nim i pęczniał niby ciasto w dzieży. Twarde cycki u mamki robią z dzieci płaskonosów. Ale co tam! Hurra! Zdrów! Zdrów! *Ad formani nasi cognoscitur ad te levavi*<sup>165</sup>! Dziękuję, nigdy nie jadam konfitur. Paziu, coś mokrego tutaj. *Item* pieczonych kasztanów!

#### XLI. O TYM JAKO MNICH UŚPIŁ GARGANTUĘ I O JEGO GODZINKACH I BREWIARZU.

Po skończonej wieczerzy zaraz zaczęli się naradzać i postanowiono, że około północy wyprawią się na wycieczkę, aby zbadać, czy nieprzyjaciel czuwa i czy rozstawił strażę; tymczasem prześpią się trochę, aby ociupinkę wypocząć. Ale Gargantua nie mógł spać, jeno przewracał się na wszystkie strony. Zaczem rzekł mnich: „Co do mnie, nigdy nie śpię tak dobrze, jak kiedy jestem na kazaniu, albo kiedy odmawiam pacierze. Weźmy się przeto wraz do siedmiu psalmów, a przekonamy się czy wnet nie uśniecie”. Pomysł spodobał się bardzo Gargantui; jakoż zacząwszy pierwszy psalm, w punkcie *beati quorum*<sup>166</sup> obaj chrapnęli potężnie. Ale mnich mimo to nie omieszkał zbudzić się przed północą, tak był zwyczajony do jutrzni klasztornej.

Sam się zbudziwszy, pobudził innych, śpiewając na cały głos piosenkę:

<sup>165</sup>*Ad formani nasi cognoscitur ad te levavi* (łac.) — Po kształcie nosa poznaje się... to co ku tobie podniosłem.

<sup>166</sup>*beati quorum* — *Beati quorum rentissae sunt iniquitates*.

Hej ho, Renodzie<sup>167</sup>, wstawaj, wstawaj wraz,  
Hej ho, Renodzie, już na ciebie czas.

Kiedy się wszyscy pobudzili, rzekł:

— Panowie powiadają, że ranek zaczyna się od kaszłania, a wieczera od picia. Uczynimy na odwrót i zaczniemy teraz naszą jutrznię od picia, wieczorem zaś, gdy siedziemy do wieczery, będziemy kaszleć, ile tylko wlezie na wyprzódki.

Zaczem rzekł Gargantua:

— Pić tak zaraz po wstaniu, nie jest to zgodne z przepisami medycyny. Trzeba najpierw opróżnić żołądek z flegmy i wydzielin.

— Dobrze to wymedycynowane — rzekł mnich. — Niech mnie wszyscy diabli porwą, jeśli nie tłucze się po świecie więcej starych pijaków niż starych lekarzy. Ja się tak umówiłem z moim apetytem, że zawsze kładziemy się spać razem, a za to cały dzień ma mi być w gotowości pod ręką: toteż wstaje równo ze mną. Opróżniajcie, ile chcecie, flegmę, a ja idę po moje zgrzebło.

— O jakim zgrzeble mówisz? — spytał Gargantua.

— Mój brewiarz — rzekł mnich — tak bowiem jak sokolnicy, zanim nakarmią swoje ptaki, dają im pożyć kurzą nogę, aby im oczyścić mózgownicę z flegmy i wprawić je w apetyt, tak samo ja, zażywając rano tego brewiarzyka, czyszczę sobie jak zgrzeblem całe płuco i potem gotów jestem do picia.

— Wedle jakiego obrządku — spytał Gargantua — odmawiasz te piękne godzinki?

— Wedle Fekamskiego<sup>168</sup> — rzekł mnich — trzy psalmy i trzy rozmyślenia, albo też wcale nic, jeśli kto woli. Nigdy się nie stosuję do godzin: godziny są dla człowieka, nie człowiek dla godzin. Toteż ja robię z moimi jak z rzemieniem u strzemion: wydłużam je lub skracam, kiedy mi się podoba. *Brevis oratio penetraet coelos, longa potatio evactat acyphos*. Krótka modlitwa przenika do niebios, długi łyk opróżnia dzbany. Gdzie to jest napisane?

— Na honor, nie wiem, moja kusieńko — rzekł Ponokrates, ale ciebie, mniszczyku, dalibóg bym ozłocił.

— Nawzajem, nawzajem — odparł mnich: ale *venite, apotemus*<sup>169</sup>.

Zaczem przyniesiono obfitość wędliny i ceber smacznej jarzynowej zupy i mnich popił wedle ochoty. Część kompanii została przy nim, inni się porozchodzili. Następnie każdy zaczął się zbroić i gotować do drogi. I nałożyli mnichowi pancerz, wbrew jego woli, nie chciał bowiem innego rynsztunku niż swój habit na brzuchu i drewnce krzyżowe w pięści. Wszelako póty nastawali, aż ustroili od stóp do głowy i posadzili na pięknego rumaka, ze srogim mieczem u boku. Wraz z nim jechał Gargantua, Ponokrates, Gymnastes, Eudemon i dwudziesta pięć co najcięższych z orszaku Tęgospusta, wszyscy znamienicie uzbrojeni, z dzidą w dłoni, konie mając pod sobą niczym św. Jerzy, a każdy wiózł z tyłu na siodle dobrego strzelca.

<sup>167</sup>*Renaud* — ulubiona bohaterska postać francuskiej legendy.

<sup>168</sup>*wedle Fekamskiego* — Fecamp, opactwo wslawione później wyrobem likierów, wówczas było przysłowiowym dla gnuśności i opieszałości mnichów.

<sup>169</sup>*venite, apotemus* (łac.) — Parodia brewiarza: *veniter adoremus*.



XLII. JAKO MNICH DODAWAŁ DUCHA KOMPANOM I JAKO ZAWISNĄŁ NA DRZEWIE.

Otóż i jadą dzielni rycerze na azardy losu, bacznie wypatrując i rozważając, jaką taktykę obrać im należy i czego się trzeba będzie strzec, kiedy nadejdzie dzień walnej i straszliwej bitwy. A mnich dodawał im odwagi, mówiąc:

— Nie troskajcie się, dziecieczki, ani się nie bójcie, już ja was poprowadzę pewnie. Bóg i św. Benedykt niech was mają w swej pieczy! Gdybym miał tyle siły co ochoty, do kroćset bomb! oskubałbym ich z pierza jak kaczki. Niczego się nie boję prócz armaty. Znam ja wszelako niejaką modlitewkę, której mi użyczył pomocnik zakrystiana w klasztorze, a która zabezpiecza człowieka od wszelkiej broni palnej. Ale mnie na nic się nie przyda, bo nie wierzę w nią ani tycio. To pewna, że moim drągiem od krzyża naszatkuje co nieco kapusty. Na Boga, który z was by stchórzył, niech mnie wszyscy diabli porwą, jeśli zeń nie zrobię mnicha w swoje miejsce i nie zakutam go w mój habit: a jest w nim zaszyty talizman od tchórzostwa.

Słyszeliście może o charcie pana Merla, który nic nie był wart w polu? Przywiązano mu kawał habitu do szyi; rany boskie! żaden zając ani lis mu się już nie wymknął. Co więcej, gonił się ze wszystkimi sukami w okolicy, pierwiej zaś był zgoła nicpotem, *et de frigidis et maleficiatis*<sup>170</sup>.

Tak rozprawiając obficie, mnich, skierowawszy się ku zaroślom, podjechał pod orzech i nawłókl się przyłbicą na przygrubszą gałązkę. Mimo to silnie spiął konia ostrogami (a koń był bardzo łechczywy), tak iż bydłatko dało susa naprzód, mnich zasię, chcąc odczepić przyłbicę, puścił cugle i rękami zawisł na gałęzi, podczas gdy koń umknął się spod niego. W ten sposób mnich zadyndał na orzechu, krzycząc na pomoc i na ratunek i klnąc towarzyszy od zdrajców.

Pierwszy spostrzegł go Eudemon i przywołując Gargantuę, rzekł: „Chodźcie, panie, zobaczycie wiszącego Absalona”. Gargantua, podjechawszy, spojrział na mnicha uwieszonego w ten sposób i rzekł: — Źleś trafił, porównując go do Absalona; Absalon zawisnął za włosy, mnich zaś, ogolona palka, zadyndał za uszy. — Ratujcież mnie — zawołał mnich — na wszystkich diabłów! W sam raz jest pora na gawędy! Podobniście do owych kaznodziei dekretalistów, co to uczą, że, ktokolwiek ujrzy swego bliźniego w niebezpieczeństwie śmierci, winien pod grozą potrójnej ekskomuniki, wprzódziej wzywać go, aby się wypowiedział i wrócił do stanu łaski, niżeli mu dopomóc.

„Kiedy ujrzę takiego mądralę, że wpadł w rzekę i woda leje mu się do uszu, miast spieszyć na pomoc i podać mu rękę, wypalę mu piękne i długie kazanie *de contemptu mundi et fuga seculi*<sup>171</sup>; a kiedy już całkiem przestanie zipać, wtedy go pójdę wyłowić. — Nie ruszaj się, mój robaczku — rzekł Gymnastes — pójdę cię odczepić, bo zacny jest z ciebie monachus.

*Monachus in claustro*  
*Non valet ova duo;*  
*Sed, quando est extra,*  
*Bene valet triginta*<sup>172</sup>.

<sup>170</sup>*et de frigidis et maleficiatis* (łac.) — Pod tym tytułem traktuje IV księga *Dekretaliów* o niezdolnych do małżeńskiej powinności lub czarami urzeczonych w tym kierunku osobach.

<sup>171</sup>*de contemptu mundi et fuga seculi* (łac.) — O wzgardzie świata i ucieczce od niego.

<sup>172</sup>*Monachus (...) triginta* (łac.) — W klasztorze mnich nie wart jest dwóch jajek, ale kiedy zeń wyjdzie, wart jest więcej niż trzydzieści.

— Widziałem więcej niż pięćset wisielców; ale jeszcze nie widziałem żadnego, który by wdzięczniej sobie dyndał; gdybym ja tak ładnie potrafił, chciałbym dyndać całe życie. — Prędkoż — rzekł mnich — skończysz to kazanie? Pomóżże mi, przez Boga, skoro przez biesa nie chcesz. Na habit, który noszę, pożałujesz jeszcze tego, *tempore et loco prelibatis*<sup>173</sup>.

Wówczas zsiadł Gymnastes z konia i wdrapawszy się na orzech, podniósł mnicha jedną ręką pod pachy, a drugą odczepił z gałęzi i tak opuścił go na ziemię, a sam się spuścił za nim. Mnich, dostawszy się na ziemię, rozdział się z pancerza i cisnął jedną sztukę po drugiej het w pole; po czym, podjąwszy swoje krzyżowe drzewce, siadł z powrotem na konia, którego Eudemon zdołał przytrzymać w ucieczce, i tak ruszyli dalej wesoło, ciągle trzymając się zarośli.

#### XLIII. JAKO PODJAZD KRÓLA ŻÓŁCIKA NATKNAŁ SIĘ NA GARGANTUĘ I JAKO MNICH ZABIŁ KAPITANA PUKAWKĘ, A POTEM WPADŁ W RĘCE NIEPRZYJACIÓŁ.

Skoro król Żółcik dowiedział się od tych, którzy umknęli z drogi, iż Flaczek został wypaproszony, wpadł w straszny gniew, na wieść iż diabły rzuciły się na jego ludzi. Zaczem jął radzić ze swą radą przez całą noc; przy czym rotmistrze Pospieszaj i Kogutek przedkładali mu, iż potęga jego jest tak wielka, że może wyzwąć bodaj wszystkich diabłów z piekła, gdyby przyszli. W które diabły Żółcik zgoła nie wierzył, toteż nie dbał zbytnio o te strachy.

Mimo to dla przetrząśnięcia okolicy, wysłał pod dowództwem hrabiego Pukawki podjazd złożony z sześciuset konnych lekkiego znaku. Wszyscy zostali skropieni należycie wodą święconą i dostali jako oznakę stuły zamiast szarfy, aby od wszelkiego wypadku, gdyby spotkali diabłów, tak mocą działania wody gregoriańskiej<sup>174</sup>, jak i tej stuły, mogli ich odpędzić i zmusić do uciezki. Ci zapuścili się aż do Wogionu i Maladery, ale nigdzie nie spotkali żywego ducha; zaczęli nawrócić i wracając górą, znaleźli w szalacie pasterskim pięciu pielgrzymów. Tych związawszy i potłumiwszy, uprowadzili z sobą jako szpiegów, nie zważając na ich krzyki, prośby i przedkładania. Kiedy spuszczały się ku Selii, usłyszał ich Gargantua i rzekł do swoich:

— Hej, druhy, napatoczyliśmy się na nich, ale jest tego więcej niż dziesięć razy tyle co nas: będziemy li tentować?

— A cóż, u diabła — rzekł mnich — mielibyśmy innego do roboty? Cóż to, wy szacujecie ludzi wedle liczby, a nie wedle tęgości i odwagi? — Po czym zakrzyknął: — Nastąpmyż na nich, do kroćset diabłów, nastąpmyż.

Co słysząc, wrogowie myśleli na pewno, iż to są szczerze diabły; zaczęli uciekać na leb na szyję, z wyjątkiem Pukawki, który złożył się kopią w pól końskiego ucha i ugodził z całej siły mnicha w samą pierś: ale żelazo, natknąwszy się na srogi habit, zgięło się tak, jak gdybyś lojówką uderzył o kowadło. Zaczem mnich zamachnąwszy się swoim drzewcem, wyrzwał go po karku, między hełmem a pancerzem, tak siarczyście, iż go ze szczeniem ogłuszył; aż omdlały zwał się z konia.

Mnich ujrzawszy stułę, która tamtemu służyła za szarfę, rzekł do Gargantui:

— Toć to są jeno księżyki, to znaczy ledwie pól ćwiarteczki mnicha, ale, na św. Ambrożego, ze mnie jest cały mnich i natłukę wam ich jak much packą.

Zaczem w wielkim galopie popędził przed się i młócił ich jak żyto, waląc na prawo i lewo. Wtedy Gymnastes pytał Gargantui, czy trzeba ich ścigać. Na co rzekł Gargantua:

<sup>173</sup>*tempore et loco prelibatis* (łac.) — W odpowiednim czasie i miejscu.

<sup>174</sup>*woda gregoriańska* — woda święcona, od imienia Grzegorza Wielkiego, który ją wprowadził.

— Niech Bóg broni. Wedle bowiem prawdziwej mądrości wojennej, nigdy nie trzeba doprowadzać nieprzyjaciela do ostatecznej rozpacz; jako że w takowej opresji mnożą mu się siły w dziesięćkroć i budzi się męstwo, które było już zemdlone i podupadłe. I nie masz skuteczniejszego środka ratunku dla ludzi złamanych i rozbitych niż zwątpić o wszelkim ocaleniu. Siła wiktorii wydarli tak zwyciężeni z rąk zwycięzców, kiedy tamci nie zadowolili się w miarę, ale zapragnęli wszystko wyniszczyć do nogi i wytepić całkowicie nieprzyjaciół, aby nawet poseł kłęski nie ocalał. Otwierajcie zawsze nieprzyjaciółom wszystkie bramy i drogi i raczej zbudujcie im most ze srebra, aby ich precz wyprawić.

— Tak, ale — rzekł Gymnastes — oni dzierżą tego mnicha.

— Dzierżą mnicha? — rzekł Gargantua. — Na mą cześć, to im nie wyjdzie na dobre. Tedy, aby być przygotowanym na wszelki wypadek, nie cofajmy się stąd jeszcze, ale zaczekajmy spokojnie. Zdaje mi się bowiem, że już przeznałem strategię nieprzyjaciół, iż los nimi powoduje, a nie rozum.

Zaczem przystanęli w cieniu orzechów, a tymczasem mnich goił, nacierając na oślepię, nikomu nie dając pardonu, aż wreszcie napotkał rycerza, który miał za sobą na zadzie jednego z biednych pielgrzymów. Owo gdy i tego chciał przeloić, wykrzyknął pielgrzym:

— Ach, mości przeorze, drogi księżę przeorze, wielebny księżę przeorze, darujcie mnie zdrowiem, błagam was.

Które słowa usłyszawszy, nieprzyjaciele obejrzeni się wstecz i zmiarkowawszy, iż to jeno jeden mnich tak im napędził strachu, natarli nań tłukąc kijami jak w bęben; ale on nic nie czuł, nawet kiedy go tłukli po kapicy, taką miał twardą skórę. Potem dali go pod straż dwóm lucznikom; sami zaś, gdy odwróciwszy front, nie ujrzeli przed sobą nikogo, mniemali, iż Gargantua wraz ze swym orszakiem dał drapaka. Zaczem pognali co żywo z powrotem ku laskowi, aby dogonić tamtych; i zostawili mnicha samego pod strażą owych luczników. Gargantua usłyszał hałas i rżenie koni i rzekł do swoich:

— Towarzysze, słyszę tętent nieprzyjaciół i widzę już, jak lecą całą hurmą: cofnijmy się nieco i wytrzymajmy ich w zwartym szeregu; w ten sposób zdołamy ich przyjąć na ich zgubę, a naszą cześć.

#### XLIV. JAKO MNICH POZBYŁ SIĘ SWOICH STRAŻNIKÓW I JAKO PODJAZD ŻÓŁCIKOWY ROZGROMIONO.

Mnich widząc, jak pognali w nieładzie, wywnioskował, iż postanowili napaść na Gargantuę i jego ludzi i zasumował się srodze, że nie może przyjść swoim z pomocą. Następnie zbadał spod oka zachowanie się strażników, którzy byliby chętnie pognali za wojskiem, aby tam złupić co nieco i ustawnie spoglądali ku dolinie, kędy tamci się oddalali. Zaczem dalej prowadząc sylogizm, rzekł w duchu: „Ci ludzie źle są ćwiczeni w sztuce wojennej, ani bowiem nie żądali ode mnie parolu, ani nie odpasali mi miecza”.

W jednej chwili dobył też onego mieczyka i ciał nim tego, który mu strażował po prawej ręce, przecinając mu całkowicie żyły i tętnice na szyi, a z nimi gardziel aż do kręgosłupa: potem zasię, wyciągając oręż, obnażył mu szpik pacierzowy między drugim a trzecim kręgiem; od którego ciosu lucznik upadł nieżywy. Wówczas mnich, skręcając konia, pognął na drugiego, który widząc, iż kompan poległ, mnich zaś pędzi ku niemu, jął krzyczeć wielkim głosem:

— Ha, panie pryjorze, poddaję się, panie pryjorze, złoty panie pryjorze!

A mnich krzyczał tak samo:

— Panie posteriorze, drogi panie posteriorze, dostaniesz po swoich posteriorach.

— Och — wołał łucznik — panie pryjorze, złociutki panie pryjorze, niech ci Bóg błogosławi i zrobi cię opatem!

— Na ten kaptur, który noszę — odparł mnich — ja cię tu zaraz zrobię kardynałem. To wy będziecie brać na okup duchowną osobę? Dostaniesz czerwony kapelus z mojej ręki.

A łucznik jeno krzyczał:

— Panie pryjorze, mój złoty panie pryjorze. przyszły panie opacie, panie kardynale, panie wszystko! Ha, ha, ha, ha, panie pryjorze, złoty pryjoreńku, zdaję ci się na łaskę.

— A ja cię zdaję — odparł mnich — na łaskę wszystkim diabłom.

Po czym od jednego zamachu rozwałił mu głowę, przecinając czaszkę wzdłuż kości skalistej i zdzierając obie kości ciemieniowe i szew sagitalny z wielką częścią kości potylicznej; co czyniąc, przekrajał mu obie półkule mózgu i otworzył głęboko dwie tylne komory mózgowia, czaszka zaś obwisła mu na ramionach, trzymając się z tyłu na błonie okostnej, jakoby biret doktorski, czarny z wierzchu, a wewnątrz czerwony. I upadł martwy na ziemię.

Uczyniwszy to, mnich spał konia i ruszył drogą, kędy pognali nieprzyjaciele, którzy natknęli się na Gargantue i jego towarzyszy: ale bardzo zmalala ich liczba z przyczyny straszliwej rzezi, jakiej dokonał Gargantua swoim drzewem, a także Gymnastes, Eudemon, Ponokrates i inni. Zaczęli tedy cofać się w pośpiechu, wielce przerażeni i osłupiali tak, jak gdyby ujrzeli śmierć we własnej istocie i osobie przed oczami. I jako zdarza się widzieć osła, gdy mu się przypnie do zadka bąk Junony, albo też mucha weźmie się ciąć go złośliwie, a on biega tam i sam bez drogi i bez celu, zrzucając na ziemię ładunek, rwąc cugle i wędzidła, bez tchu i wypoczynku, patrzący zaś nie wie, co się z nim dzieje, nie widać bowiem nic na oko: tak samo pomykali owi ludzie jakoby oszaleli, nie wiedząc, czemu uciekają; tak ich gnał jeno sam przestraszony paniczny, który wdarł się do ich duszy. Mnich widząc, iż jedyną ich myślą jest drapanie co najżywiej, zsiadł z konia i wstąpił na wielką skałę, która była tuż przy drodze i stamtąd swoim srogim mieczem grzmocił uciekających z wielkim rozmachem, nie oszczędzając ani ich, ani siebie. Tyle ich nabił i powalił na ziemię, iż miecz rozpekł się na dwoje.

Zaczem pomyślał w duchu, że dość ich już namordował i nazabijał i że reszcie trzeba dać uciec, aby zanieśli swoim te nowiny. Chwycił wszelako w garść topór jednego z tych, którzy leżeli pobici, i wylazł z powrotem na skałę, zabawiając się widokiem wrogów uciekających i potykających się o leżące trupy: jeno wszystkim kazał porzucać włócznie, miecze, kopie i muszkiety, a tym, którzy wieźli związanych pielgrzymów, kazał zsiąść z koni i oddał ich konie owym pielgrzymom, zatrzymując ich przy sobie, równie jak kapitana Kogutka, którego pojmał do niewoli.

#### XLV. JAKO MNICH PRZYWIÓDŁ ZE SOBĄ PIELGRZYMÓW I JAKO TĘGOSPUST RZEKŁ IM ROZTROPNE SŁOWO

Po tej potyczce Gargantua cofnął się ze swymi ludźmi (z wyjątkiem mnicha) i o świcie udali się do Tęgospusta, który klęcząc w łóżku, modlił się do Boga za ich ocalenie i zwycięstwo. Ujrzawszy wszystkich zdrowych i całych, uściskał ich z całego serca i zaraz pytał o mnicha. Ale Gargantua odpowiedział, iż z pewnością nieprzyjaciele dostali go w ręce.

— Nie na dobre im to wyjdzie — rzekł Tęgospust.

Jakoż i w rzeczy tak było.

Następnie kazał zastawić bardzo obfite śniadanie, iżby skrzepili się z drogi. Skoro wszystko było przyrządzone, zawołano Gargantue; ale tak był stroskany tym, iż micha nigdzie nie było widać, iż nie chciał jeść ani pić. Wtem nagle, zjawia się mnich i od samej bramy krzyczy:

— Wina, wina świeżego dawajcie, Gymnastes, druhu najmilejszy, wina!

Wybiegł Gymnastes i ujrzał, że to brat Jan prowadzi pięciu pielgrzymów i Kogutka jako jeńca: zaczął Gargantua wyszedł naprzeciw i powitali go wszyscy z duszy i zawiedli przed Tęgospusta, który jął rozpytywać o całą przygodę. Mnich opowiedział wszystko: jak go pojмали i jak się uwolnił z rąk strażników, i o rzeźbie, jaką uczynił na drodze, i jako odnalazł pielgrzymów, i przyprowadził rotmistrza Kogutka.

Następnie siedli w wielkim weselu do uczyty. Tymczasem Tęgospust wypytywał pielgrzymów, z jakiego by kraju byli, skąd przybywają i dokąd idą. Męczynoga odpowiedział za wszystkich:

— Panie, ja jestem z Kolanka w Bery, ten jest z Palii, ten tu jest z Omaju, ten z Argii, a ten z Wilbrenia. Idziemy z Sebastianu koło Nanty i tak sobie pomalutku wracamy do domu.

— Dobrze to — rzekł Tęgospust — ale czego żeście szukali w onym Sebastianie?

— Szliśmy — rzekł — ofiarować się temu świętemu od morowej zarazy.

— O wy, biedne niebożątka — rzekł Tęgospust — to wy myślicie, że zaraza przychodzi za sprawą świętego Sebastiana?

— Zaprawdę tak — rzekł Męczynoga — nasi kaznodzieje tak uczą.

— Co? — rzekł Tęgospust — ci fałszywi prorocy głoszą wam takie brednie? Także to oni bluźnią sprawiedliwym i świętym u Boga, iż czynią ich podobnymi diabłom, którzy jeno zło sięją między ludźmi, jako Homer pisze o Apollonie, iż zażegł mór między Greki i jako poeci przedstawiają liczne Wejowy<sup>175</sup> i bożki złośliwe? Tak ci kazał w Synaju jakiś ocmijludek w kapturze, iż święty Antoni wpędza zgorzel w kości; święta Eutropa zsyła puchlinę wodną, św. Gildas szaleństwo, święta Genowefa podagrę. Ale ja go tak przykładnie pokarałem za to, chocia mnie nazywał heretykiem, że od tego czasu żaden taki prorok nie ważył się wstąpić na moje ziemie. I dziw mi, że wasz król pozwala, aby głoszone w jego kraju takie ohydy. Bardziej bowiem takich szalbierzy należy karać niż tych, którzy by sztuką swej magii albo inną jaką chytrością ściągęli morowe powietrze do kraju. Mór zabija jeno ciała, ale takowi szalbierze zatruwają dusze.

Gdy król mówił te słowa, wszedł swobodnie mnich i zapytał:

— Skądżeście są, niebożęta?

— Z Kolanka — odparli.

— O! — rzekł mnich — jakże się tam miewa opat Transzelion, zacne pijaczysko? A mnichy, jakże im się tam dzieje? Tam do licha! oni tam obracają tęgo wasze żony, podczas gdy wy sobie wędrujecie po Rzymach i Krymach.

— Hm, hm — rzekł Męczynoga — już ja tam nie mam strachu o moją: kto ją zobaczy w dzień, nie będzie kręcił karku, aby ją odwiedzić w nocy.

— Ba! — rzekł mnich — to mi nie lada bezpieczeństwo! Mogłaby być brzydka jak Prozerpina, a Bogu dzięki, nie zbędzie jej na trzęsionce, póki jeden bodaj mnich siedzi w okolicy: dobry robotnik obrabia sumiennie każdą sztukę jednako, lepsza czy gorsza. Niech mnie franca dopadnie, jeśli ich nie zastaniecie wszystkich w ciąży za powrotem; toć już sam cień dzwonnicy starczy, aby zapłodnić kobietę.

— To jest — rzekł Gargantua — jak z tą wodą Nilu w Egipcie, jeśli mamy wierzyć Strabonowi i Pliniuszowi, księga VII, rozdz. III.

<sup>175</sup> *Wejowis* — bóstwo zła czczone u Rzymian z obawy przed jego potęgą.

Zaczem rzekł Tęgospust:

— Idźcież tedy, dobrzy ludzie, w imię Stworzyciela, który niechaj wam będzie wiernym przewodnikiem. A na przyszłość nie bądźcie tak skorzy do owych próżniaczych i daremnych podróży. Troszczcie się o rodzinę, pracujcie każdy wedle swego rzemiosła, wychowujcie dzieci i żyjcie tak, jako was uczy dobry apostoł, św. Paweł. Co gdy będziecie czynić, będzie z wami opieka Boga, świętych i aniołów, i żaden mór ani inna klęska nie uczyni wam nic złego.

Następnie zawiódł ich Gargantua, aby pokrzepili się w czeladnej, ale pielgrzymi wzdychali jeno i rzekli:

— O jakiż szczęśliwy kraj, który ma za pana takiego człowieka! Bardziej wracamy zbudowani i pouczeni słowami, które rzekł do nas, niż wszelkimi kazaniami, jakie kiedykolwiek słyszeliśmy w naszym mieście.

— Toć jest — rzekł Gargantua — co powiada Platon, ks. V, de Repub., iż wówczas państwa będą szczęśliwe, kiedy królowie będą filozofować, albo też filozofowie rządzić.

Następnie kazał im napełnić sakwy jabłem, a bukłaki winem i każdemu też dał konia, aby mieli ulgę na resztę drogi i parę obolów na życie.

#### XLVI. JAK TĘGOSPUST LUDZKO SIĘ OBSZEDŁ Z POJMANYM ROTMISTRZEM KOGUTKIEM.

Przyprowadzono Kogutka przed oblicze Tęgospusta, który go zaczął wypytywać o zamiary i plany Żółcikowe i do czego by zdązał przez one gwałty i rozboje. Na co tamten odpowiedział, iż celem i zamiarem króla jest podbić cały kraj, o ile tylko zdoła, a to dla zniewagi, jakiej doznali jego piekarze.

— Zaprawdę na zbyt wiele się porwał — rzekł Tęgospust — kto wiele zagarnia, niełatwo zdzierży w dłoni. Już minęły te czasy, gdy się tak zdobywało królestwa z krzywdą swego brata chrześcijanina: takie naśladownictwo dawnych Herkulesów, Aleksandrów, Hannibalów, Scypionów, Cezarów i innych przeciwne jest nauce Ewangeli, która rozkazuje, aby każdy strzegł, czuwał, rządził i gospodarzył swoją ziemią i krajem, a nie by jako wróg napadał cudze. I to, co niegdyś Saraceni i barbarzyńcy nazywali bohaterstwem, my dziś nazywamy rozbójnictwem a niecnotą. Lepiej byłby uczynił, siedząc w swojej dziedzinie i rządząc nią jak prawy monarcha, niż żeby naruszał moją, pustosząc ją jak nieprzyjaciel: przez dobre rządy byłby jego dom wznosił się w górę, zaś przez tę napaść będzie zniszczony. Idź teraz, w imię Boga, opamiętaj się sam i królowi swemu przedstaw jako pozostaje w błędzie i nigdy mu nie dawaj rad twe własne dobro mających jeno na celu; wraz bowiem z pospolitą rzeczą i własną korzyść każdego przepada i ginie. Co do twego okupu, darowuję ci go ze wszystkim i każę, aby ci również oddano broń i konia; tak należy sobie poczynąć między sąsiadami i dawnymi przyjaciółmi, ile że ta nasza zwada nie jest właściwie wojną. Jako Platon w księdze V *de Rep.* żądał, aby nie wojnę nazywano jeno buntem, kiedy Grecy podnosili oręż jedni przeciw drugim. Co gdyby nieszczęściem jakim miało się trafić, zaleca, aby poczynano sobie z wielkim umiarkowaniem. Jeśli wy nazywacie to wojną, to jeno powierzchownie, nie wchodzi ona bowiem do wewnętrznej głębi serc naszych. Żaden z nas nie doznał zniewagi w czci swojej i chodzi jedynie, wszystko zważywszy, o to, aby naprawić jakieś przewinienie, popełnione przez naszych ludzi; rozumiem waszych i naszych. Które gdy doszło do waszej wiadomości, raczej przystało wam było puścić je mimo uszu, osoby bowiem, między którymi rzecz się działa, raczej są wzgardy niż uważania godne; a mimo to okazałem się gotowy zapokoić ich pretensje i żale. Bóg będzie sprawiedliwym sędzią naszej zwady; i błagam

go, aby raczej śmiercią wydarł mnie z tego życia i mienie moje spustoszył w mych oczach, niż żebyśmy ja albo moi mieli go w czymkolwiek obrazić.

Tak rzekłszy, przywołał mnicha i w obliczu wszystkich spytał:

— Bracie Janie, mój przyjacielu, czy to ty pojmałeś tu obecnego kapitana Kogutka?

— Panie — rzekł mnich — jest tu przytomny, ma lata i rozeznanie: wolę tedy, abyś to poznał z jego świadectwa niż z mojego słowa.

Zaczem rzekł Kogutek:

— Panie, w istocie to on pojmał mnie w niewolę i otwarcie wyznaję się być jego jeńcem.

— Czyś z nim umówił okup? — spytał Tęgospust mnicha.

— Nie — rzekł mnich — o takie rzeczy się nie troskam.

— Ile — rzekł Tęgospust — żądasz za jego wolność?

— Nic, nic — odparł mnich — nie o to mi chodzi.

Zaczem kazał Tęgospust, aby w obecności Kogutka wyliczono mnichowi sześćdziesiąt i dwa tysiące funtów za jego zdobycz. Co też uczyniono, podczas gdy czeladź narządziła posiłek dla Kogutka; po czym spytał go Tęgospust, czy woli zostać przy nim, czy też pragnie raczej wrócić do swego króla. Kogutek odpowiedział, iż uczyni tak, jak mu sam poradzi.

— Zatem — rzekł Tęgospust — wracaj do króla i Bóg niech będzie z wami!

Następnie ofiarował mu piękną szablę wieńskiego hartu wraz ze złotą pochwą ozdobioną piękną złotniczą robotą i łańcuch złoty, ważący siedemset dwa tysiące uncji, ozdobiony drogimi kamieniami, szacowany na sto sześćdziesiąt tysięcy dukatów; ponadto dał mu dziesięć tysięcy talarów jako gościniec. Po tych ceremoniach Kogutek dosiadł konia. I dla pewności dodał mu Gargantua trzydziestu jeźdźców i dwudziestu sześciu łuczników pod wodzą Gymnasta, aby go doprowadzili aż do bram Klermonckiej Skały, jeżeli będzie trzeba. Gdy odjechał, mnich oddał Tęgospustowi sześćdziesiąt i dwa tysiące funtów, które był otrzymał, mówiąc:

— Panie, nie pora ci teraz czynić takowe dary. Zaczekaj z tym końca wojny, nic bowiem nie wiadomo, co może się jeszcze przygodzić. A wojna prowadzona bez dobrego zapasu pieniędzy zawsze cierpi na zadyszkę. Nerwem bitew są pieniądze.

— Dobrze więc — rzekł Tęgospust — gdy skończymy sprawę, uczczę cię godną nagrodą, jako i wszystkich, którzy mi wiernie służyli.

#### XLVII. JAKO TĘGOSPUST ZWOŁUJE SWOJE LEGIONY I JAKO KOGUTEK ZABIŁ KREWKOSZA, PO CZYM SAM ZOSTAŁ ZGŁADZONY Z ROZKAZU ŻÓŁCIKA.

W tym samym czasie mieszkańcy Peszy, Starego Targu, Jakubowego Grodu, Trenny, Paryli, Pobrzeża, Skał Pawelskich, Wobretonu, Pantaląku, Bremontu, Kleńskiego Mostu, Krawanu, Wyżniej Góry, Brodu, Wilmery, Hujmu, Segrenia, Hisu, San Luanta, Pansy, Kudrenia, Weroni, Kulinia, Szosy, Warenni, Burgilu, Bukarskiej Wyspy, Królowa, Narsów, Kandy, Monsoru i innych miejsc okolicznych<sup>176</sup> wyprawili do Tęgospusta poselstwa, aby oznajmić, iż wiadome im są nieprawości, jakich dopuścił się względem króla Żółcik, i że wedle łączącego ich przymierza ofiarują mu wszystkie swe zasoby tak w ludziach, jak w pieniądzach i innych potrzebach wojennych. Pieniądze przysłane mu ze wszystkich stron na mocy paktów wynosiły sto trzydzieści cztery miliony, dwa i pół złotych talarów.

<sup>176</sup>mieszkańcy Peszy (...) Monsoru i innych miejsc okolicznych — Wszystko miejscowości w prowincjach Turenii, Anjou i Poitou.

Ludzi zebrano się piętnaście tysięcy rycerstwa, trzydzieści i dwa tysiące lekkokonných, osiemdziesiąt dziewięć tysięcy pieszych muszkietników, sto czterdzieści tysięcy wolontariuszy, jednaście tysięcy dwieście armat, kartaczownic, bazylik i falkonetów; czterdzieści siedem tysięcy pionierów: wszystko opłacone i zaopatrzone w wiwendę na sześć miesięcy i cztery dni. Tej ofiary Gargantua ani nie odrzucił, ani nie przyjął ze wszystkim. Ale wielce im dziękując, rzekł, iż poprowadzi tę wojnę taką sztuką, że nie będzie potrzeby narażać tylu godnych ludzi. Posłał jedynie te pułki, które trzymał zwyczajnie w swoich fortcach w Dewinierze, w Szawinie, w Grafocie i w Kwinke- niu, razem dwa tysiące pięćset rycerstwa, sześćdziesiąt sześć tysięcy pieszych, dwa- dziesiąt i sześć tysięcy muszkietników, dwieście dużych sztuk armaty, dwadzieścia i dwa tysiące pionierów i sześć tysięcy lekkokonných; wszystko podzielone na od- działy, z tak dobrze dobranymi kwatermistrzami, wiwandierami, marszałkami, zbroj- mistrzami i innymi ludźmi niezbędnymi w wojnie, tak dobrze wyćwiczone w sztuce wojennej, tak świetnie uzbrojone, tak dobrze znające komendę i tak jej posłuszne, tak szybkie w pojmowaniu i wykonywaniu rozkazów swoich kapitanów, tak wyćwi- czone w bieganiu, tak silne w natarciu, roztropne w zasadzce, iż raczej byli podobni do harmonii organów i mechanizmu zegara niżeli do armii lub załogi wojennej<sup>177</sup>.

Przybywszy do Klermonckiej Skały, Kogutek stanął natychmiast przed oblicze Żółcika i opowiedział mu obszernie wszystko, co zdziałał i widział. W końcu radził w przekonywujących słowach, aby zawarto pokój z Tęgospustem, którego poznał jako najzacniejszego człowieka pod słońcem; dodał jeszcze, iż nie ma racji ani słusz- ności trapić tak swoich sąsiadów, od których zawsze doświadczyli jeno samego dobra. A główne jest (powiadał), iż nie może się to przedsięwzięcie zakończyć inaczej jeno z wielką szkodą i nieszczęściem. Potęga bowiem Żółcika nie jest taka, iżby Tęgospust nie mógł z łatwością się z nią uporać. Jeszcze nie skończył mówić, kiedy ozwał się w głos Krewkosz:

— Ha, biedny zaiste monarcha, który ma takie sługi, tak łatwo dające się prze- kupić wrogowi, jako to znać po kapitanie Kogutku: widzę bowiem, iż męstwo jego tak się odmieniło, że najchętniej przyłączyłby się do nieprzyjaciół, aby przeciw nam walczyć, i byłby nas niechybnie zdradził, gdyby tylko chcieli go zatrzymać: ale tak samo jak cnota u wszystkich, przyjaciół jak nieprzyjaciół, znajdzie cześć i uznanie, tak samo niegodziwość wnet wszędzie przejrzą i poznają. I chociaż nawet wrogo- wie posługują się nią dla swojej korzyści, zawsze wszelako mają takowe niegodziwce i zdrajce w omierzeniu i wzgardzie.

Na te słowa Kogutek nie mógł się wstrzymać, ale dobył szpady i przeszył Krewko- sza nieco powyżej lewej brodawki przez pierś, z czego natychmiast umarł. I dobywając miecz z martwego ciała, rzekł dumnie:

— Tak niechaj zginie każdy, kto wierne sługi poda w podejrzenie.

Ale Żółcik wpadł w straszny gniew i patrząc na nagi miecz i na pochwę, rzekł:

— Na toż ci dano ten rapier, abys tu, w mojej obecności, zabijał zdradziecko mego poczciwego Krewkosza?

Jakoż rozkazał straży, aby go porąbała w sztuki: co uczynili natychmiast i tak okrutnie, iż cała podłoga spłynęła krwią. Potem kazał godnie pogrześć ciało Krew- kosza, a Kogutka cisnąć z murów do fosy.

Wieść o tej sromocie rozeszła się po całym wojsku: zaczęli wielu poczęło szemrać przeciw Żółcikowi, tak iż kapitan Pazdur rzekł do króla:

— Panie, nie wiem, jaki obrót przybierze ta wyprawa. Twój ludzisko zdają mi się nieco ostygli w zapale. Uważają, że jesteśmy lichy zaopatrzeni w wiwendę i grubo

<sup>177</sup>do armii lub załogi wojennej — Za czasów Rabelais'go istniały już najemne oddziały zawodowego wojska.



przetrzebieni po tych kilku nieszczęśliwych potyczkach. Co gorsze, nieprzyjaciółom twoim przybywają coraz to świeże posiłki. Skoro nas tu raz obiegną, nie widzę, jak byśmy się zdołali wymigać od ostatecznej zguby.

— Gówno — rzekł Żółcik — gówno: a ty podobny jesteś do tych meluńskich węgorzy, co to piszczą, nim się je zacznie obdzierać ze skóry<sup>178</sup>. Niech no tu tylko przyjdą.

#### XLVIII. JAKO GARGANTUA OBIEGŁ ŻÓŁCIKA W SKALE KLERMONCKIEJ I JAKO WYTRACIŁ ARMIEJ TEGOŻ ŻÓŁCIKA.

Gargantua objął całkowite dowództwo nad armią: ojciec jego pozostał w obronnym miejscu. Zagrzawszy wymownymi słowy swoje wojska, przyrzekł wielkie nagrody tym, którzy odznaczą się w boju. Niebawem weszli do Wedeńskiego Brodu i przy pomocy galarów i pontonów z łatwością go przebyli. Następnie rozpatrzywszy się w położeniu miasta zbudowanego w miejscu stromym i obronnym, postanowił rozważyć przez noc, co by należało uczynić. Ale Gymnastes rzekł:

— Panie, taka jest natura i obyczaj Francuzów, że warci są coś jeno przy pierwszym natarciu. Wówczas gorsi są od diabłów. Ale jeśli dać im zalec pole, wnet robią się mięksi niż kobiety. Jestem zdania, abyś, skoro tylko ludzie odsapną i pożywią się, natychmiast nie mieszkając, kazał trąbić do szturmu.

Ta rada trafiła do przekonania księcia. Zaczem wyprowadził całe wojsko w pole, a rezerwy ustawił pod wzgórzem. Mnich wziął ze sobą sześć chorągwi piechoty i dwieście rycerstwa i z wielkim pośpiechem i czujnością przeszedł przez błota i wydrapał się ponad Pój aż do ludeńskiego gościńca. Tymczasem szturm trwał w całej pełni: ludzie Żółcikowi nie wiedzieli, czy lepiej im będzie wyjść poza mury, czy przyjąć wroga z murów, czy strzec miasta, nie ruszając się. Wreszcie Żółcik wypadł z murów z gromadką przybocznego rycerstwa; tu przyjął go uczciwie potężny ogień armatni i grad kul lecących ku zbocz, z którego cofnęli się Gargantuiści w dolinę, aby lepsze otworzyć pole armatniemu ogniewi. Pozostali w mieście bronili się, jak mogli, ale ich pociski przechodziły górą, nie czyniąc nijakiej szkody. Niektórzy z gromady, oszczędzeni od kuli armatniej, natarli śmiało na naszych ludzi, ale niewiele wskórali: ci bowiem przyjęli ich w porządnym ordynku i powalili o ziemię. Widząc to, chcieli się cofnąć, ale tymczasem mnich zajął im tyły: zaczął jęli uciekać w popłochu, bez ładu i porządku. Niektórzy chcieli puścić się za nimi, ale mnich ich zatrzymał, lękając się, by nasi, goniąc za uciekającymi, nie pomieszali szyków i aby załoga z miasta wówczas na nich nie natarła. Następnie po chwili oczekiwania, gdy nikogo nie było widać zbliżającego się, wysłał do Gargantui księcia Frontysa z zachętą, aby posunął się naprzód i zajął lewą połąć wzgórza, tak by Żółcik nie mógł się wyniknąć tamtą stroną. Co Gargantua skwapliwie wykonał i posłał cztery pułki z kompanii Sebesty; ale ledwie dotarli na szczyt, spotkali się nos w nos z Żółcikiem i garstką niedobitków.

Zaczem natarli krzepko, bardzo wszelako rażeni od kul i pocisków, które leciały na nich z fortu. Co widząc, Gargantua z całą siłą pospieszył im na pomoc i artyleria jego zaczęła walić ku tej stronie murów, tak iż wszystkie siły całego miasta musiały tam gnać na pomoc. Mnich, widząc iż ta strona, którą on oblega, pozbawiona jest obrony i załogi, ruszył ostro na fortecę: jakoż wdarł się na mury, on i garść jego ludzi, mniemając, iż większy postrach wzniesą, niespodzianie wpadłszy w wir walki, niż gdyby natarli otwarcie. Mimo to zaczął z podniesieniem wrzasku, póki wszyscy

<sup>178</sup>podobny (...) do meluńskich węgorzy, co to piszczą, nim się je zacznie obdzierać ze skóry — Francuskie przysłowie na określenie kogoś, kto podnosi lament, zanim dozna szkody.

jego ludzie nie znaleźli się na murach z wyjątkiem dwustu rycerstwa, których zostawił od wypadku na dole.

Wówczas uczynił straszliwy krzyk i jego ludzie także; i bez oporu zabili strażników tej bramy, i otworzyli ją swemu rycerstwu, a potem jawnie już pognali ku bramie wschodniej, gdzie wrzała bitwa. I z tyłu porazili całą siłą nieprzyjaciół.

Oblężeni, widząc iż Gargantuiści na całej linii opanowali miasto, zdali się mni-chowi na łaskę i niełaskę. Mnich kazał im złożyć wszelki oręż i pałki i wszystkich pomieścić i zamknąć w kościołach, usunąwszy stamtąd wszelkie drzewce od krzyżów i ustawivszy strażę przy bramach. Następnie otworzywszy wschodnią bramę, pospieszył na pomoc Gargantui. Zaś Żółcik myślał, że to odsiecz idzie z miasta i ośmielony tym, podsunął się bliżej, aż dopiero Gargantua zakrzyknął:

— Bracie Janie, bywaj, bracie Janie!

Dopiero poznał Żółcik i jego ludzie, że wszystko przepadło i rozpierzchli się na wszystkie strony. Gargantua ścigał ich aż blisko do Wogodry, rąbiąc i siekąc, następnie zaś kazał trąbić odwrót.

#### XLIX. O TYM JAKO ŻÓŁCIK UCIEKAJĄC POPADŁ W ROZMAITE NIESZCZĘŚCIA I O TYM, CO POCZĄŁ GARGANTUA PO BITWIE

W tym rozpaczliwym położeniu Żółcik począł uciekać w stronę Bucheru, ale na rywierskim gościńcu koń potknął mu się i upadł; czym wzburzony w pierwszym napadzie gniewu przeszył go mieczem. Nie widząc wkoło nikogo, kto by mu użył konia, chciał wziąć osła, pasącego się wpodłe sąsiedniego młyna; ale młynarze stłukli go kijami i odarli z ubrania i dali mu jeno lichą kapotę na okrycie ciała. Tak puścił się w drogę nieszczęsny choleryk; owo gdy się przeprawiał przez wodę koło Portui i opowiadał o swoich nieszczęściach, przepowiedziała mu stara znachorka, że odzyszcze królestwo, kiedy ptaszki banialuki wrócą z ciepłych krajów: co się z nim później stało, nie wiadomo. Wszelako powiadano mi, że żyje obecnie jako biedny wyrobnik w Lyonie i został taki sam choleryk jak wprzód. I zawsze wywiaduje się u podróżnych o ptaszki banialuki, wierząc niemylnie wedle prorocstwa starej, że za ich przybyciem odzyska królestwo.

Rozpędzwszy nieprzyjaciół, Gargantua najpierw uczynił przegląd swoich ludzi i przekonał się, iż niewielu ich zginęło w bitwie; mianowicie garść pieszych z kompanii kapitana Tolmera, i Ponokrates, któremu strzał muszkietu zabłąkał się pod kaftan. Następnie kazał w mieście zgotować posiłek dla każdej kompanii i zlecił skarbnikom, aby wszelkie jadło płacono gotowymi pieniędzmi i aby nie czyniono żadnej szkody w mieście, zważywszy, iż było jego własne; po posiłku zaś polecił zgromadzić ludzi przed zamkiem i wyliczyć im żołd za pół roku. Tak też się stało; następnie kazał zgromadzić na tym placu wszystkich niedobitków z armii Żółcika, do których w obecności swoich książąt i hetmanów tak przemówił:

#### L. PRZEMÓWIENIE GARGANTUI DO ZWYCIĘŻONYCH.

— Nasi ojcowie, przodkowie i naddziady zawsze, jak daleko ludzka pamięć sięga, byli tego rozumienia i obyczaju, iż po wygranej kampanii jako pamiętny znak tryumfów i wiktorii chętniej wznosili trofea i pomniki w sercach zwyciężonych, okazując im łaskawość, niżby mieli wznosić pomniki architektury na ziemiach przez się zdobytych. Więcej bowiem cenili sobie żywą pamięć u ludzi nabytą własną wspaniałomyślnością niż nieme napisy luków, kolumn i piramid podległe zębowi czasu i ludzkiej złośliwości.

Snadnie możecie pamiętać, z jaką łagodnością obeszl się z Bretonami po bitwie pod Św. Obinem Kormeńskim<sup>179</sup> i po zburzeniu Partynia<sup>180</sup>. Słyszeliście, a słysząc podziwialiście wspaniałomyślność, jaką okazali barbarzyńcom hiszpańskim, którzy złupili, spustoszyli i poniszczyli wybrzeża morskie Olony i Talmondu. Aż pod strop niebieski były pochwały i radosne okrzyki, wznoszone przez was i ojców waszych, gdy Alfarbal, król Kanary, nienasycony zdobyczami, najechał wściekle krainę Onysu, łupiąc piracką modą wszystkie wyspy Armorykańskie i nadbrzeżne okolice. Wówczas w otwartej bitwie morskiej został zwyciężony i pojmany przez mego ojca, któremu niechaj Bóg będzie pomocą i ostoją. Ale cóż? W okolicznościach, w których inni króle i cesarze, ba, ci, którzy każą się nazywać bardzo katolickimi, byliby się z nim najsrożej obeszl, wtrącili do ciężkiego więzienia i nałożyli niezmierne okupy<sup>181</sup>, on obszedł się z nim uprzejmie, przyjacielsko, dał mu mieszkanie we własnym pałacu i z niebywałą wielkodusznością odesłał go ze swym gładem, obładowanego darami, obdarzonego łaską i wszelakim świadectwem przyjaźni.

Cóż tedy się stało? Ów, wróciwszy do swoich ziem, zgromadził wszystkich książąt i stany swego królestwa, przedstawił im ludzkość, jakiej od nas doznał i prosił, aby to wzięli pod rozwagę: aby świat cały, jak znalazł w nas przykład wdzięcznej poczciwości, tak znowuż w nich oglądał wzór poczciwej wdzięczności. I postanowiono za powszechną zgodą, iż ofiarują nam wszystkie swoje ziemie, dziedziny i całe królestwo, abyśmy sobie z nim poczęli wedle swego rozumienia. Alfarbal we własnej osobie pospieszył natychmiast z powrotem, wiodąc dziewięć tysięcy trzydzieści osiem wielkich ładownych okrętów i wioząc na nich nie tylko skarby swego domu i rodu królewskiego, ale prawie całego kraju. Gdy bowiem miał wsiadać na statek, aby rozwinąć żagle na wiatr północno-wschodni, wszyscy tłumnie znosili mu na pokład złoto, srebro, pierścienie, klejnoty, korzenie i wonności, także papugi, pelikany, orangie, piżmowce, jeżozwierze i żyrafy. Nie było syna zacnej matki, który by nie złożył na ów okręt, co miał najbogatszego i najosobliwszego.

Przybywszy na miejsce, chciał ucałować nogi mego ojca; ów nie pozwolił na to, jako na niegodne monarchów, jeno uściśli się serdecznie; następnie przedłożył swoje dary; nie przyjęto ich, ile że były nazbyt bogate i liczne; oddał za niewolnika i dobrowolnego jeńca siebie i swoje potomstwo: i tego nie przyzwolono, jako iż zdało się niesłuszne. Ofiarował się mocą uchwały stanów ustąpić nam swoje ziemie i królestwo, przedkładając układ i akty podpisane, opatrzone pieczęciami i zatwierdzone przez wszystkich, którzy mieli moc po temu: uchylono to w zupełności, a kontrakty wrzucono do ognia. Skończyło się na tym, iż mój ojciec zaczął płakać z rozczulenia i lać obfite łzy, widząc ową prostoduszność i otwarte serce Kanaryjczyków i za pomocą wybornych słów a uczonych sentencji, starał się umniejszyć wagę łaskawości, jaką im wyświadczył, mówiąc, iż nie uczynił nic, co by było warte bodaj źdźbła słomy, i że jeśli okazał im nieco poczciwości, uczynił jeno to, co się godziło. Ale tym bardziej Alfarbal obstawał przy swoim.

Na czymże się skończyło? Na tym, iż miast okupu, za który w najlepszym razie mogliśmy byli żądać dwadzieścia razy po sto tysięcy talarów, zatrzymując jako zakładników jego starszych synów, oni uczynili się sami naszymi wieczystymi lennikami i zobowiązali się składać nam co rok za dwa miliony złota najlepszej dwudziestoczołkaratowej próby; jakoż w pierwszym roku wypłacili nam tyleż, w drugim

<sup>179</sup>bitwa pod Św. Obinem Kormeńskim — Bitwa pod Saint Aulbin (1488) między Karolem VIII a Ludwikiem XII (wówczas księciem Orleanu), który dostał się do niewoli.

<sup>180</sup>po zburzeniu Partynia — Oblężenie Parthenay przez Karola VIII (1486).

<sup>181</sup>byliby (...) nałożyli niezmierne okupy — Aluzja do dwóch ton złota, którymi Franciszek I musiał wykupić się z niewoli hiszpańskiej.

z własnej woli dwadzieścia trzy razy po sto tysięcy, w trzecim dwadzieścia sześć razy, w czwartym trzy miliony i tak ciągle wznagali tę sumę z własnej ochoty, iż trzeba było zakazać im, aby już nic nam nie przynosili. Taka jest przyroda wdzięczności. Czas bowiem, który wszystkie rzeczy osłabia i zmniejsza, wznaga i mnoży dobrodziejstwa: jako iż dobra usługa dobrowolnie wyświadczona godnemu jej człowiekowi rośnie nieustannie przez szlachetne wspomnienie i pamięć o tym. Nie chcąc tedy zgoła okazać się niegodnym spadkobiercą wielkoduszności moich ojców, przebaczam wam oto i odpuszczam, i wracam zupełną swobodę, jaką cieszyliście się poprzednio.

Co więcej, każdemu was będzie wyliczony u bram tego miasta żołd za trzy miesiące, abyście mogli dostać się z powrotem do swoich domów i rodzin; a odprowadzi was bezpiecznie sześciuset rycerstwa i osiem tysięcy pieszych pod wodzą mego koniuszego Aleksandra, iżbyście nie doznali jakiej obrazy od chłopów. Bóg niech będzie z wami. Żałuję z serca, że nie ma tu Żółcika. Byłbym mu dowodnie okazał, iż bez mej woli, bez mej chęci przysporzenia sobie dostatku lub chwały rozpoczęła się ta wojna. Ale skoro gdzieś się stracił i nie wiadomo nikomu, gdzie i jak zniknął, chcę, by jego królestwo zachowane było w całości dla jego syna, który, ponieważ jest obecnie zbyt niedorosły (nie ma bowiem jeszcze pięciu lat), będzie wychowywał się i kształcił pod wodzą i opieką najstarszych książąt i uczonych mężów. A ponieważ królestwo tak wyniszczone, z łatwością by upadło, gdyby nie nałożyć hamulca chciwości i samolubstwu namiestników, nakazuję i orzekam, iż Ponokrates ma być ustanowiony ponad te wszystkie rządce, z władzą po temu przyznaną; i ma przebywać przy dziecięciu aż do czasu, gdy je uzna zdatnym do samodzielnych rządów i panowania.

Uważam, iż zbyt miękkość i słabość w przebaczeniu złoczyńcom jest dla nich bodźcem, aby tym łacniej źle czynili, wierząc, iż wszystko ujdzie im na sucho. Wiadomo nam, iż Mojżesz, najłagodniejszy człowiek, jaki był kiedy na ziemi, srodze pokarał zuchwalce i buntowniki w ludzie Izraela. Wiadomo nam, iż Juliusz Cezar, wspaniałomyślny cesarz, o którym Cyceron powiada, iż cenił swą potęgę jeno o tyle, o ile dawała mu prawo świadczenia bezgranicznej łaski, i on wszelako w niektórych okazjach surowo karał sprawców rebelii.

Idąc za tymi przykładami, żądam: abyście, nim odejdziecie, wydali mi najpierw tego gagatka Marcika, którego niedorzeczna zawziętość była źródłem i pierwszą przyczyną wojny: następnie towarzyszy jego piekarzy, którzy nie postarali się napędzić mu na poczekaniu rozumu do głowy; wreszcie wszystkich doradców, hetmanów, oficyerów i domowników Żółcika, którzy go podjudzali, jątrzyli albo mu doradzali, aby wyszedł z granic swego państwa i nas tu niepokoił.

## LI. JAKO ZWYCIĘZCY GARGANTUIŚCI ZOSTALI NAGRODZENI PO BITWIE

Skoro Gargantua przemówił w te słowa, wydano mu przywódców przezeń żądanych, z wyjątkiem Rębajły, Łajenka i Ścierwełły, którzy uciekli na sześć godzin przed bitwą; jeden aż do Wzgórza Legeńskiego, nigdzie nie popasając, drugi aż do doliny Wyru, trzeci zaś pomknął aż do Logreny, nie obejrzawszy się za siebie i nie zacerpnawszy tchu po drodze; i z wyjątkiem dwu piekarzy, którzy polegli w tym gorącym dniu. Gargantua za całą karę skazał ich jeno na służbę przy prasie w swojej drukarni, którą niedawno założył. Następnie kazał uczciwie pogrześć poległych w dolinie Orzechowej i w polu Wędzibabim. Zranionych kazał opatrzyć i pielęgnować w królewskim szpitalu. Następnie rozpatrzył szkody, jakich doznało miasto i mieszkańcy i kazał im wszystko wrócić wedle ich szacunku i zeznań. I kazał tam zbudować warowny zamek zaopatrzonego w strażę i czaty, aby na przyszłość lepiej mógł się bronić przeciw

nagłym napadom. Odjeżdżając, podziękował uprzejmie wszystkim wiarusom swoich legii, które brały udział w tej potrzebie i odesłał je na leże zimowe do fortec i garnizonów, z wyjątkiem niektórych z dziesiątej legii, której dzielność osobliwą w ciągu tego dnia zauważył i prócz kapitanów oddziałów, których zabrał ze sobą przed oblicze Tęgospusta.

Skoro przybyli i zjawili mu się przed oczy, pocziwina wpadł w taką radość, iż niepodobna by jej opisać. Wraz wydał festyn, jak mógł najbardziej wspaniały, huczny a rozkoszny, jakiego nie widziano od czasów króla Assura. Gdy wstawano od stołu, rozdał między gości całe naczynie, jakie przed którym stało, a ważyło ono razem osiemnaście razy po sto tysięcy i czternaście funtów złota; a były tam wielkie wazy misternie rzeźbione, nadobne puchary, srogie misy, filiżanki, kubki, roztruchany, świeczniki, koszyki, tace, garnuszki i inne naczynie, całe z litego złota, prócz drogich kamieni, emaliów i roboty złotniczej, co wszystko wedle powszechnego uznania przenosiło jeszcze cenę wartości złota. Następnie kazał wyliczyć ze swej szkatuły każdemu dwanaście set tysięcy talarów w gotowiźnie. Nadto każdemu darował w wieczyste posiadanie (chybaby zmarł bez spadkobierców) zamki i ziemie okoliczne, wedle tego, co komu przypadło do smaku. Ponokratesowi dał Skalę Klermoncką, Gymnastowi Kudry, Eudemonowi Monpensir, Tolmerowi Rywę, Ithybolowi Monsar, Akamasowi Kaudię, Chironaktowi Warenę, Sebeście Grawotę, Aleksandrowi Kwinkedź, Sofronowi Ligurę i podobnie inne włości.

## LII. JAKO GARGANTUA DAŁ ZBUDOWAĆ DLA MNICHA KLASZTOR TELEMSKI<sup>182</sup>.

Pozostawało jedynie znaleźć zaopatrzenie dla mnicha. Gargantua chciał go uczynić opatem w Selii, ale odmówił. Chciał mu dać opactwo Burgilskie albo świętego Florianiana, które by z dwojga lepiej mu się udało, albo też oba, jeśliby pragnął. Ale mnich dał stanowczą odpowiedź, iż nie chce żadnego przełożenia ani władzy nad mnichami.

— Jakżebym bowiem — rzekł — mógł władać nad innymi, ja, który nad sobą władać nie umiem? Jeśli mniemacie, iż zdałem się i na przyszłość mógłbym się na coś zdać w waszych usługach, pozwólcie mi założyć klasztor wedle mego rozumienia.

Ta prośba spodobała się Gargantui i przeznaczył na to całe swe dobra Telemy wzdłuż rzeki Loary, dwie mile od wielkiego Lasu Porteńskiego. Zaczem prosił brat Jan Gargantuę, aby ustanowił dlań regułę wręcz przeciwną wszystkim innym.

— Przede wszystkim tedy — rzekł Gargantua — nie będzie trzeba opasywać go murem, wszystkie bowiem inne klasztory są tego obmurowane.

— Słusznie — rzekł mnich — gdzie są dokoła mury, tam jest srogie mruczenie: mur, mur i zawiści, i bunty tajone.

Dalej, zważywszy, że w niektórych klasztorach po świecie jest obyczaj, iż jeśli wnijdzie tam niewiasta (rozumiem uczciwa i skromna), wraz oczyszcza się miejsce, w które stąpiła, tutaj ustanowiono, iż gdyby przypadkiem zajrzeli tam mnich albo mniszka, oczyści się starannie ślady po ich stopach. I ponieważ w zwykłych zakonach

Czas

<sup>182</sup>klasztor telemski — Opactwo Theleme i jego koncepcja stanowi niezmiernie ciekawy przyczynek do psychicznego wizerunku pisarza. W nim występuje najdosadniej fakt, zaznaczany już mimochodem, do jakiego stopnia kilkanaście lat pobytu w klasztorze wycisnęło na umysłowości i charakterze Rabelais'go niezatarte piętno. Kreśląc wedle swojej niczym nieskrępowanej fantazji ów raj na ziemi, tworzy Rabelais nie co innego wszelako, jeno klasztor: a pojęcie życia, na pozór tak odmienne, w istocie swojej więcej może wykazuje wspólności niż różnic między tymi tak sprzecznymi regułami. Modelu owego platońskiego klasztoru szukają komentatorowie w zamku Saint-Maur-des-Fosses należącym do kardynała du Bellay.

wszystko jest wymierzone, wyliczone i uregulowane wedle godzin, uchwalono, iż tam nie będzie zegara ani żadnej klepsydry, jeno wszystkiego dopełniać się będzie wedle potrzeby a sposobności.

— Bowiem — powiadał Gargantua — nie masz pod słońcem większej straty czasu niż liczyć godziny. Cóż stąd dobrego się zyskuje? toć czyste szaleństwo jest kierować się wedle bicia dzwonów, a nie wedle wskazówek zdrowego sensu i pojęcia.

Toż samo ponieważ w owym czasie, o ile oddawano do klasztoru kobiety, to jeno te, które były ślepe, kulawe, garbate, szpetne, kalekie, obłąkane, głupawe, niezdarne i skażone: a tak samo i z mężczyzn jeno cherlawych, niewydarzonych, przygłupich i zakąły domu („Słusznie — wtrącił mnich — skoro białogłowa nie jest ani piękna ani dobra, do czegoż się zda? „Do klasztoru” — odparł Gargantua. „Pewnie — rzekł mnich — i do cerowania gaci”), ustanowiono, iż będzie się tam przyjmować jeno ładne, kształtowne i urodne z natury, jak i mężczyzn przystojnych, kształtnych i dobrze wydarzonych.

*Item*, ponieważ do klasztoru żeńskiego nie wchodzi mężczyźni, chyba potajemnie i ukradkiem, uchwalono, iż niewiasty będą się tam mogły pojawiać jeno w towarzystwie mężczyzn, a mężczyźni w kompanii niewiast.

*Item*, ponieważ tak mężczyźni, jak kobiety, raz przyjęci do wszelkiego zakonu, po roku próby zmuszeni są i zniewoleni wytrwać tam całe swoje życie, postanowiono tutaj, iż zarówno mężczyznom jak i kobietom przyjętym do telemskiego klasztoru będzie wolno opuścić go, kiedy się im spodoba, otwarcie i bez przeszkód.

*Item*, ponieważ zwyczajnie zakonnicy składają trzy śluby, to jest czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, postanowiono, iż tam każdemu będzie wolno uczciwie żenić się i pojąć żonę; dalej, iż każdy ma się mieć dostatnio i żyć we swobodzie. Co się tyczy przepisanego wieku, to kobiety mogły być tam przyjmowane od dziesięciu do piętnastu lat, mężczyźni od dwunastu do osiemnastu.

### LIII. JAKIM KSZTAŁTEM WZNIESIONO I UPOSAŻONO KLASZTOR TELEMITÓW<sup>183</sup>.

Na wybudowanie i urządzenie klasztoru kazał Gargantua natychmiast przeznaczyć dwadzieścia siedem setek tysięcy osiemset trzydzieści jeden baranów o długiej wełnie; prócz tego na każdy rok aż do czasu, gdy wszystko będzie ukończone, wydzielili z dochodów państwa szesnaście set sześćdziesiąt i dziewięć tysięcy bitych talarów i tyleż srebrnych guldenów. Na założenie i utrzymanie tegoż darował na wieczność dwadzieścia trzy set sześćdziesiąt i dziewięć tysięcy pięćset czternaście dukatów z Matką Boską jako wieczystą rentę wolną od podatków i płatną corocznie u furty klasztoru. I na to wystawił ważne cyrografy. Budynek był w kształcie sześciokątnym, zbudowany w taki sposób, iż w każdym rogu wznosiła się okrągła wieża mająca sześćdziesiąt kroków średnicy. I wszystkie były jednakiej szerokości i wymiarów. Rzeka Loara opływała klasztor od strony północy; nad brzegiem wznosiła się jedna z wież zwana Arktyczną. Dalej ku wschodowi była druga nazwana Kalar, następna Anatolska, następna Mezembryna, jeszcze dalsza Hesperia, ostatnia zaś Kryera. Jedna wieża od drugiej była w odległości trzystu dwunastu kroków. Budowla wznosiła się na sześć pięter, jeżeli liczyć piwnice za jedno. Drugie było wysklepione na kształt pokrywy koszyka; całość ozdobiona tynkiem flandryjskim z wdzięcznymi stiukami. Dach pokryty był cienkim łupkiem, spajany oliwem w kształt małych figurek i zwierzątek bardzo foremnie uczynionych i połączanych; rynny zaś występowały poza

<sup>183</sup>*Jakim kształtem wzniesiono i uposażono klasztor telemitów* — W opisie budowli mieszczącej klasztor znać epokę, w której król Franciszek wznosił swe wspaniałe zamki.

mury nad oknami i były malowane złotem i lazurem, gdzie kończył się wielkimi ściekami wiodącymi aż do rzeki. Owa budowla była sto razy wspanialsza niżli zamek Boniwedzki, niż Szambordzki albo Szantylski; było w niej bowiem dziewięć tysięcy trzysta trzydzieści dwa pokoje, każdy opatrzone przedpokojem, alkierzem, gotownią i kaplicą i wychodzący na wielką salę. Wewnątrz każdej wieży znajdowały się kręcone schody; stopnie ich były częścią z porfiru, częścią z numidyjskiego kamienia, częścią z cętkowanego marmuru, długie na dwadzieścia i dwie stopy wysokie na trzy cale, i było ich po dwanaście między kondygnacjami. Na każdej kondygnacji znajdowały się dwa piękne sklepienie okna starożytnego kształtu, przepuszczające światło; i przez nie wchodziło się do sieni, jasno oświetlonej, tejże samej szerokości, i tak wstępowało się aż do samego stropu i tam schody kończyły się obszernym pawilonem.

Przez tę sien wchodziło się z każdej strony do wielkiej sali, z sal zaś do pokoi.

Od wieży Arktycznej aż do Kriery ciągnęły się piękne duże biblioteki greckie, łacińskie, hebrajskie, francuskie, tokańskie i hiszpańskie, rozmieszczone po różnych piętrach, wedle języków. W środku znajdowały się cudowne schody, do których dojście było zewnątrz gmachu przez arkadę szeroką na sześć sążni. Te były zbudowane tak obszernie i proporcjonalnie, iż sześciu rycerzy z kopią wspartą na udzie mogło równocześnie wstąpić aż na sam wierzch budynku.

Od wieży Anatolskiej do Mezembryny ciągnęły się piękne, obszerne galerie, całe pokryte malowidłami dawnych bohaterskich czynów, historii i opisów. W środku były drzwi i schody podobne do tych, które znajdowały się od strony rzeki. Nad tą bramą było napisane wielkimi antycznymi literami co następuje:

#### LIV. NAPIS UMIESZCZONY NA WIELKIEJ BRAMIE TELEMY.

Wara od wrót tych, cudaki, bigoty,  
Mamuty stare, hołysze nadęte,  
Tumany, głąby, ciemniejsze niż Goty  
I Ostrogoty, pokraki wyklęte,  
Franty, świętoszki, zakutane wszarze,  
Dziady plugawe, żarłoki, opoje,  
Pały opuchłe, okpiświaty wraże,  
Śpieszcie gdzie indziej nieść szalbierstwa swoje

Szalbierstw waszych gnój  
Łan by zniszczył mój  
Cuchnącą bronią;  
Zatrulby wonią  
Pieśni moich źrój  
Szalbierstw waszych gnój.

Wara od drzwi tych, papierowe grzyby,  
Trabanty, woźne, pijawki narodu,  
Oficyjanty, faryzeje, skryby,  
Sędzie poczciwe, co z swego zawodu  
Jak psy kąsacie na śmierć dobrych ludzi;  
Ot, szubienica to wasza zapłata,  
Tam idźcie szczerkać: tu niech się nie trudzi  
Wasz pysk bezecny brata szczerkać na brata.

Zdradziecki spór  
I aktów wór  
Tu nie popłaca;  
Daremna praca:  
Nie zna ten dwór  
Co zradny spór.

Wara od drzwi tych, obrzydłe lichwiarze,  
Kutwy mizerne, podle dusigrosze,  
Wy, liczykropy, oszusty, wekslarze,  
Gryzipaznokcie, wy żyły, twardosze;  
Ludzkiego szpiku zawsze wam za mało  
Idźcież gdzie indziej, niosąc wór na grzbiecie,  
Gnieść biednych ludzi hultajstw mocą całą,  
Aż was morowa zaraza wygniecie!

Nieludzkie pyski,  
Chciwe na zyski,  
Precz, precz mi stąd:  
Tutaj wasz trąd  
Jest mi za bliski,  
Obmierzłe pyski.

Precz mi od wrót tych, wy, zatęchłe pały,  
Wy zazdrośniki, nudziarze, mantyki,  
Wy, co toczycie rozjuszzone gały,  
Awanturniki, rabiaty, klótniki;  
Wy rozpustniki, wy, przymiotne draby,  
Świerzbem okryte i stoczone trądem,  
Gdzie indziej bieście stręczyć swe powaby,  
Czoła okryte hańbą i nierządem.

Mir, zdrowie, cześć,  
Kto chce nam nieść.  
Powitan będzie;  
Społem niech siędzie,  
Kto chce nam nieść  
Mir, zdrowie, cześć.

Wejdźcie w te wrota i witajcie w gości  
Wszyscy szlachetni i dworni rycerze;  
Otoć przybytek dostatku, godności,  
Szczęsny, kto sobie za dom go obierze;  
Wielcy i mali, byle zacni, prawi,  
Witam was, druhy, wnijdźcie w te komnaty;  
Weseli, rażni, ucieszni i żwawi,  
Słowem, przezacne i lube kamraty.

Lube kompanie,  
Przezacne pany,  
Gdy macie wolę



Dzielić tę dolę,  
Wnijdźcie w te ściany,  
Lube kompany.

Wnijdźcie w te wrota, wy, co Pańskie Słowo  
Głosicie śmiało wbrew szemraniu ludzi;  
Niech za tarcz służy wam schronienie owo  
Przeciw wrogowi, co próżno się trzudi  
Zatruwać fałszem serca Prawdy dzieci;  
Wejdźcie: tu wiary głębokiej ognisko,  
Stąd niechaj postrach i grom na tych leci,  
Co z rzeczy świętych chcą czynić igrzysko.

Święte orędzie  
Tutaj nie będzie  
Podane w wzgardę:  
Niezmiennie, harde,  
Trwać tutaj będzie  
Święte orędzie.

Wejdźcie w te wrota wy, panie dostojne,  
Bezpieczne siądźcie u naszych ołtarzy;  
Piękności ziemskiej kwiaty bogobojne  
Z wdzięczną i słodką powagą na twarzy;  
Oto jest miejsce honoru i cześci  
Pan możny, co nam otworzył te wrota,  
Chciał je przybytkiem mieć i płci niewieściej  
I ku jej służbom hojnie sypnął złota.

Myśl jego śmiała  
Ten skarb nam dała,  
By z tego złota  
Luba ochota  
Wiecznie tryskała,  
Myśl takież śmiała.

#### LV. JAK WYGLĄDAŁO MIESZKANIE TELEMITÓW<sup>184</sup>

W środku dziedzińca wznosiła się wspaniała fontanna z pięknego alabastru. Na szczycie trzy Gracje z rogami obfitości; z tych tryskała woda przez wymiona, usta, uszy, oczy i inne otwory ciała. Wnętrze mieszkania położone nad tym dziedzińcem wznosiło się na wielkich jaspisowych i porfirowych filarach, w piękne łuki antyczne. Wewnątrz mieściły się piękne, obszerne i długie galerie ozdobione malowidłami, rogami jeleni, jednorożców i hipopotamów, kłami słońców i innymi godnymi widzenia rzeczami. Pomieszczenie dla niewiast ciągnęło się od wieży Arktyki aż do bramy Mezembryskiej. Mężczyźni zajmowali resztę. Aby damy miały rozrywkę, znajdowały się przed ich mieszkaniem, między dwiema wieżami, szranki, hipodrom, teatr, pływalnie

<sup>184</sup>*Jak wyglądało mieszkanie telemitów* — Godne uwagi jest, iż Rabelais, poza tym chętny do opiewania soczystych biesiad, kreśląc plan swego klasztoru zupełnie zapomina w nim o istnieniu kuchni.

z cudnymi łazienkami o trzech piętrach, dostatnio zaopatrzone we wszystkie uciechy i z wodą zaprawną mirtem.

Wzdłuż rzeki ciągnęły się piękne i rozkoszne ogrody. W pośrodku wdzięczny labirynt. Między dwiema innymi wieżami plac do przeróżnych gier w piłkę. Od strony wieży Kriery sad pełen drzew owocowych zasadzonych w kształt pięciokąta. Na końcu wielki park, obfitujący we wszelaką zwierzynę. Między pośrednimi wieżami znajdowały się strzelnice, gdzie ćwiczono się do celu z muszkietu, łuku i hakownicy. Pomieszczenie dla służby było w jednopiętrowym budynku około wieży Hesperii. Tuż obok stajnie. Naprzeciw nich sokolarnia pod kierunkiem doświadczonych hodowców, corocznie zaopatrywana przez Kandyjczyków, Wenecjan i Sarmatów we wszelkie rodzaje ptactwa, orły, gryfy, sokoły, jastrzębie, srokosze, białozory, kobuzy i inne; a tak dobrze oswojone i ulotne, iż gdy puszczono je z zamku, aby pobujały po polach, brały po drodze wszystko, co napotykały. Całe obejście myśliwskie było nieco dalej, ku parkowi.

Wszystkie komnaty, pokoje i alkierze były wybite w rozmaity sposób, zależnie od pory roku. Cała podłoga pokryta zielonym sukniem. Łóżka ubrane haftami. W każdym przedsionku znajdowało się kryształowe zwierciadło oprawne w szczerze złoto, dokoła strojone perłami; a było wielkie, iż wprost mogło przedstawić całą osobę. U wyjścia z komnat damskich znajdowali się pachnidlarze i fryzjerzy, przez których ręce przechodzili mężczyźni, kiedy szli odwiedzać panie. Ci zaopatrywali każdego rana pokoje damskie w wodę różaną, wodę anielską<sup>185</sup> i inne wonności, i każdej z dam przynosili kosztowną czarkę napełnioną aromatami.

#### LVI. JAKIE BYŁO ODZIENIE BRACI I SIÓSTR TELEMICKICH.

Zrazu po założeniu klasztoru damy ubierały się wedle swej chęci i rozumienia. Później ustanowiono z ich własnej woli następujący sposób ubrania: nosiły pludry szkarłatnego albo granatowego koloru, spadające na trzy palce niżej kolana; kraj zaś obramiony był pięknymi wycinaniami i haftami. Podwiązki były koloru naramienników i obejmowały nogę nad i pod kolanem. Trzewiki, pończochy i pantofelki z karmazynowego albo fiołkowego aksamitu, wycinane w misterne ząbki.

Na koszulę wdziewały nadobną baskijską kieckę z pięknej materii jedwabnej, na nią zaś spódnicę z tafty białej, czerwonej, cisawej, szarej etc. Na wierzch kaftan z lamy srebrnej zahaftowanej czystym złotem, ścięciem wypukło dzierganym albo (wedle tego, jak im się zdało i jaka była pogoda) z satyny, adamaszku, aksamitu; pomarańczowy, brązowy, zielony, popielaty, siwy, jasnożółty, karmazynowy, biały, złotolity, ze srebrnej lamy, z haftu, stosownie do uroczystości. Suknie były, wedle pory roku, ze złotogłowi lamowanego srebrem, z czerwonej satyny okładanej złotym haftem, z tafty niebieskiej, białej, czarnej, brązowej albo z szerszy jedwabnej, z jedwabnego kamiotu, ze srebrnej lamy, z ciągnionego złota, aksamitu albo satyny dzianej złotem w przeróżne desenie.

Niekiedy w lecie nosiły miast sukien piękne marlotki ozdobione jak powyżej albo jakieś mauretańskie opończe z aksamitu fiołkowego, dzianego złotem, na srebrnej kanetyli, albo ze złotymi sznurami, naszywanymi pięknymi perłami indyjskimi. A zawsze do tego nadobny pióropusz, odpowiedni do barwy rękawów, suto zdobiony błyszczkami ze złota. W zimie suknie z tafty kolorowanej jak powyżej, podbitej rysiem, gronostajem, kalabryjską kuną, sobolem i innym kosztownym futrem. Różańce, pierścienie, łańcuchy, sprzączki wysadzone były drogimi kamieniami, karbunkułami, rubinami, diamentami, szafirami, szmaragdami, turkusami, granatami,

<sup>185</sup>woda anielska — przyrządzona z korzonków fiołków florenckich.

agatami, beryłami, perłami. Strój głowy stosował się do pory. W zimie modą francuską. Na wiosnę hiszpańską. W lecie tokańską. Z wyjątkiem niedziel i świąt, w które stroiły się z francuska, jako że strój ten bardziej jest obyczajny i więcej przystojny godności matroniej.

Mężczyźni odziewali się wedle swojej mody: dołem pludry z etaminy, ze szkarłatnej, granatowej, białej lub czarnej szerszy; kamizelka aksamitna takichże samych albo zbliżonych kolorów; haftowane i zdobione wedle ich pomysłu. Kaftan ze złotogłowiu, ze srebrnej lamy, z aksamitu, satyny, adamaszku, z tafty w takichże samych kolorach, odpowiednio zahaftowany i ozdobiony. Przypinki jedwabne takichże kolorów; sprzączki złote pięknie emaliowane. Płaszczyk równie kosztowny jak u pań. Pas jedwabny koloru kaftana: u każdego piękna szpada przy boku; rękojeść złocona, pochwa aksamitna koloru pludrów, koniec złoty misternie wyrobiony. Na głowie białe pióra, wdzięcznie okraszone złotymi błyszczkami, obwieszane na końcu rubinami, szmaragdami etc.

Taka zaś zgodność była między mężczyznami a damami, iż każdego dnia odziani byli jednakim kształtem. I aby temu nie chybić, byli na to przeznaczeni osobni kawalerowie, aby oznajmić co rano mężczyznom, jaki ubiór damy chciały przywdziać na ten dzień. Wszystko bowiem tam się działo wedle życzenia dam<sup>186</sup>. Zasię nie myślcie, iż oni tracili wiele czasu na owo schludne odzienie i bogate stroiki: szatni chowali strój tak dobrze przysposobiony na każde rano, pokojowe zaś tak dobrze były wyćwiczone, iż w jednej chwili damy były ubrane od stóp do głowy. I aby większą jeszcze zapewnić dogodność w staraniu o owe stroje, opodal telemskiego lasu znajdowało się wielkie domostwo, długie na pół mili, jasne i dobrze urządzone: tam mieszkali złotnicy, jubilerzy, hafciarki, krawcy, szmuklerzy i tkacze i tam każdy pracował nad swym rękodziełem: a wszystko dla onych telemskich mnichów i mniszeczek. A materii dla nich dostarczał imć Namykletns, który corocznie przysyłał siedem okrętów z wysp Perłowych i Kannibalskich, naładowanych sztabami złota, surowym jedwabiem, perłami i kamieniami. Skoro zaś perły obumierały z czasem i traciły przyrodzoną białość, wówczas odnawiali je sztuką, dając je połknąć jakiemu nadobnemu kogutkowi, jak się daje sokołom czyszczące lekarstwo.

## LVII. JAK BYŁ USTANOWIONY SPOSÓB ŻYCIA TELEMITÓW.

Całe ich życie było ustanowione nie wedle praw, statutów lub reguł, jeno wedle wolnej woli i własnego uznania. Wstawali z łoża, kiedy im się zdało; pili, jedli, pracowali, spali, kiedy im przysza ochota. Nikt ich nie budził, nikt ich nie niewolił do picia ani jedzenia, ani do jakiegokolwiek innej rzeczy. Tak postanowił Garguntua. W ich regule była tylko jedna zasada:

*Czyń, co się podoba,*

albowiem ludzie wolni, zacnej przyrody, dobrze wykształceni, przestający w uczciwej kompanii, z własnej natury już czerpią podniecie i instynkt, który ich zawsze popycha do godnych uczynków, a odciąga od złego: który to instynkt nazywają honorem. Zasię gdy kto ich ujarzmi i przygniecie szpetną niewolą i musem, wówczas ową szlachetną żądzę, mocą której dążyli wprost do cnoty, obracają ku zrzuceniu i przełamaniu tego jarzma niewoli. Zawsze bowiem dążymy do rzeczy zabronionych i pragniemy tego, czego nam odmówiono.

Ta swoboda wytworzyła we wszystkich szlachetne współzawodnictwo, aby uczynić to, co jednemu mogłoby być miłe. Jeśli powiedział który lub która: „Pijmy”,

<sup>186</sup>zgodność była między mężczyznami a damami (...) wedle życzenia dam — Cały ten ustęp brzmi bardzo pocieszenie w zestawieniu z różnymi odezwaniami się brata Jana w kwestii płci pięknej.

wszyscy pili. Jeśli powiedział: „Grajmy”, wszyscy grali. Jeśli powiedział: „Wydźmy na przechadzkę w pole”, wszyscy szli. Jeśli chodziło o łowy lub wypróbowanie sokoła, wówczas damy dosiadały pięknych mierzynków, mając konia na zmianę pod ręką, na dłoni zaś, misternie przybranej rękawiczką, każda miała albo krogulca, albo kobuza, albo srokosza; a mężczyźni dzierżyli inne ptaki.

Tak wspaniale byli wykształceni, iż nie było między nimi mężczyzny ani kobiety, którzy by nie umieli czytać, pisać, śpiewać, grać na harmonijnych instrumentach, mówić pięciu lub sześciu językami i w nich układać tak pieśni, jak i oracji prozą. Nigdy nie widziano kawalerów tak dwornych, rycerskich, zręcznych pieszo i na koniu, bardziej krzepkich, zwinnych, lepiej władających wszelką bronią niż oni. Nigdy nie oglądano pań bardziej schludnych, lubych, mniej kapryśnych, zgrabniejszych do robót, do igły, do wszelkiego pocziwego i godnego dzieła niewieściego niż one. Dla tej przyczyny, kiedy przyszedł czas, iż który, albo na życzenie rodziców, albo dla innej przyczyny, chciał wyjść na świat z tego klasztoru, zabierał z sobą jedną z tych pań, tę której poświęcił służby; i wchodzili z sobą w małżeństwo. I jeżeli żyli z sobą w Telemie w pocziwości i przyjaźni, jeszcze lepiej plużyło im to w małżeństwie: i miłowali się do końca dni swoich jako pierwszego dnia po ślubie.

Nie mogę poniechać opisania wam jednej zagadki, którą przy zakładaniu fundamentów klasztoru znaleziono wyrytą na wielkiej płycie brązowej. A była jak następuje.

#### LVIII. ZAGADKA ZNALEZIONA W FUNDAMENTACH KLASZTORU TELEMITÓW<sup>187</sup>.

Biedne ludziska, swe troski ostawcie,  
Pokrzepcie serca y uszu nastawcie.  
Jeśli lza wierzyć iest nam, iż w potrzebie  
Z ruchu ciał, które wędrują po niebie  
Mocen duch ludzki doysć iest wiedzy takiej,  
By zgoła wróżyć przyszych rzeczy znaki;  
Abo ieżeli, przez boską potęgę,  
Można zaglądać w przyszych losów xięgę,  
(Iako gadaia) y przez ich koleie  
Lat odleglejszych przeznać bieg y dzieie,  
Mówię wam, którzy słuchać mię raczycie,  
Iże tey zimy ieszcze obaczycie,  
Lub wcześniew, iako, w tym tu oto kraiu,  
Przydą dziwnego ludzie obyczaiu.  
Fąfle na spokóy bliźniego zażarci,  
Którzy, w dzień iasny zaczną nayotwarciey  
Podburzać ludzi nieiednakiey miary  
Y srogie waśnie zażegną y swary.  
A kto chciał będzie im wierzyć na słowo  
(Ba, co bądź z tego wypaść by gotowo),

<sup>187</sup>*Zagadka znaleziona w fundamentach klasztoru telemitów* — Cała ta wyrocznia wzięta jest, z wyjątkiem dwóch pierwszych i dziesięciu ostatnich wierszy, z dzieł współcześnie żyjącego niejakiego Melina de Saint-Gelais, zagorzałego kalwina, który wszystkie nieszczęścia Francji przypisywał stronnictwu katolików. Proroctwo to jego wywarło później duże wrażenie, jako iż Melin de Saint-Gelais umarł w r. 1558, nie dożył przeto wybuchu wojny domowej. Przez ostrożność Rabelais dodaje ostatni ustęp prozą, mając na celu, dla zastrzeżenia się przed możliwą zaczepką, pozorne zbagatelizowanie i obrócenie w żart znaczenia całej przepowiedni.

Przyda ze sobą w niepokoie pewne  
Y przyjaciół y najbliższe krewne.  
Już syn zuchwały za grzech sobie nie ma  
Przeciwko oćcu polyskać oczyma;  
Nawiętsi nawet, w wielgości zrodzeni.  
Od swych poddanych będą uciśnieni;  
Y cześć na statku wsparta y powadze  
Straci naonczas wszelką moc y władzę:  
Ci bowiem rzeką, iż snadnym obrotem  
Każdy ma w górę iść y spadać potem.  
Y w onej rzeczy tyle będzie kłótni,  
Swaru, niezgody, tyle bałamutni,  
Że w żadnych dzieiach, by nabarziej dziwnych,  
Tyle nie naydziesz rzeczy wręcz przeciwnych.  
Wówczas nieieden dzielny człek, niechcący,  
Z młodzieńczej buty y krwi zbyt gorącej.  
Iż nazbyt szeptom ich powolnym będzie,  
Pomrze za młodu a żywota zbędzie.  
Y nikt poniechać tey pracy nie zdole,  
Jeśli raz ruszył pod tym godłem w pole,  
Aż nie napelni y niebios, y ziemi  
Gwałty y swary, y krzyki srogiemi.  
Wówczas powagi zażyie nie mniejszey  
Człowiek bezecny co y nayzacniejszy:  
Bowień za głosem wszytscy pódą oney  
Ciżby mózgowczey y nienauczoney,  
W której w opacznym y szkodnym obłędzie  
Cham co nagrubszy obran iest za sędzię.  
Obłęd to (mówię) y wiem też racyię:  
Nie bowiem wprzódziez to zło się wyżyie,  
Nie wprzódziez ziemię od się oswobodzi,  
Aż wielkie nurty w ogromney powodzi  
Wystąpią nagle y srogie szermierze  
Wśród walki woda splewi y zabierze:  
Y słusznie; bowiem upite złą chwałą  
Serce ich w walce pardonu nie dało,  
By nawet stadku bydłatek bez winy,  
Lecz owo z nerwu y kiszek gadziny  
Czynili owi nie bogom ofiarę,  
Lecz dla swych bliźnych udrękę y karę.  
Tedy pozwalam wam zgadnąć w tej mierze,  
Iaki kształt wszelka istota przybierze  
I zali pośród tych swarów y znoju  
Ta kula zazna by trochy spokoju.  
Którym nayhoyniey dary swoje lube  
Sypnęła, knować ci będą iey zgubę,  
Y w wszelki sposób umyślą bez chyby  
Odrzeć ią z swobód y zakować w dyby,  
Aż biedna z swym się obróci kłopotem  
Ieno ku temu, co tchnął ią żywotem.

A zaś, by losy te spełnić złowieszcze  
Słońce nim zgaśnie, wiele wprzódcy jeszcze  
Odejmie światło iey swego promienia  
Barziej od nocy lub czasu zaćmienia.  
Zaczem straciwszy wolności otuchy,  
A z nieba łaskę y światła okruchy  
Wnetki się przeto obróci w pustkowie.  
Wszelako zanim stanie w tej żalobie,  
Wprzód dozna ziemia czasu nieiakiiego  
Wstrząśnienia w szrubach barziej gwałtownego,  
Niżeli Etna niegdy się miotła,  
Gdy na Tytanów syna upadała;  
Ani też większa padła na świat trwoga  
Gdy się zatrzęsa Inaryna sroga  
W czas, gdy zgniwawszy się Tyfey niebożę,  
Największe góry precz pociskał w morze.  
Tak będzie w godzin mało obrócona  
W ciężką niedolę y tak doświadczona,  
Iż ten, kto zgoła dzierzył ią w swej mocy,  
Snadnie drugiego odda ią przemocy.  
Tedy czas będzie niedaleczki prawie,  
Co kres uczyni tey szpetney zabawie.  
Bowiem te wody, swoją wilgną bronią  
Wsze zapaśniki do ucieczki skłonią;  
Iednako zanim każdy wstecz popędzi,  
W powietrzu snadno uźrzeć można będzie  
Wielgi żar ognia, co prażąc je blisko  
W niwecz obróci wody y igrzysko.  
Tedy gdy iuż się krąg dzieiów odmieni.  
Wybrańcy będą radośnie skrzepieni,  
Tak dobrem wszelkim jak i manną z nieba  
Y za nagrodę w wszystko, co im trzeba  
Zapomożeni. Inni zaś z wszytkiego  
Odarci będą: z wyroku słusznego,  
Aby, gdy właśnie iuż skończą się one,  
Każdy to dostał, co mu przeznaczone.  
Tak się skończyło. Ha, w iakieyż jest chwale  
Ten, co do końca oparł się wytrwale!

Ukończywszy czytanie tej zagadki, Gargantua westchnął i rzekł do otaczających:  
— Nie od dzisiaj to ludzie wyznający wiarę ewangeliczną cierpią prześladowanie.  
Ale błogosławiony ten, który się nie zgorszy i który nigdy nie przestanie dążyć do  
celu, co go Bóg za pośrednictwem swego ukochanego syna nam naznaczył i którzy  
nie dadzą się odciągnąć cielesnym pożądlivościom.

A mnich rzekł:

— Co mniemacie w waszym rozumieniu, iż ta zagadka ma wskazywać i oznaczać?

— Co? — rzekł Gargantua — cóż, jeśli nie upadek i odbudowanie prawdy bożej.

— Na świętego Goderana — rzekł mnich — nie godzę się na ten wykład; to istny  
styl Merlina proroka: możecie podsuwać tu alegorii i znaczeń, ile wam się spodoba  
i mordować się nad tym z całym światem, ile zechcecie. Co do mnie, uważam iż nie

ma w tym innego ukrytego sensu, jeno opis gry w piłkę w wielce zagmatwanych słowach. Owi niewolący ludzi to naczelnicy partii, którzy są zazwyczaj przyjaciółmi. A skoro dwie partie się rozegra, wychodzi z gry ten, który ją prowadził, a drugi wchodzi na jego miejsce. Rozsądza rzuty starszy, który orzeka, czy piłka przeszła nad czy pod linką. Owe wody to jest pot. Struny rakiet uczynione są z kiszek baranich albo kozlich. Machina okrągła to piłka albo pelota. Po grze wypoczywa się przy jasnym ogniu i zmienia koszulę. I biesiaduje się wesoło, ale weselej ci, którzy wygrali partię. I hulaj dusza!

## KSIĘGA DRUGA

PANTAGRUEL<sup>188</sup>, KRÓL SPRAGNIONYCH<sup>189</sup> HISTORIA PRZYWRÓCONA DO SWEJ PIERWOTNEJ OSNOWY, OBEJMUJĄCA JEGO PRZERAŻLIWE DZIEŁA I UCZYNKI, UŁOŻONA PRZEZ NIEBOSZCZYKA MISTRZA ALKOFRYBASA, ABSTRAKTORA PIĄTEJ ESENCJI.

DZIESIĘCIOWIERSZ MISTRZA HUGONA SALELA<sup>190</sup> DO AUTORA TEJ KSIĄŻKI.

Jeśli, iż miesza pożytek z rozkoszą,  
Skrybę nad inne chwałą i wynoszą,  
Będziesz chwalony, ani wątpić o tem:  
Bowiem misternym dowcipu obrotem,  
W tej księdze, popod uciechą się mieści  
Tyle pożytku i głębokiej treści,  
Iż zda się, zjawił się Demokryt nowy,  
I z światem, igra uciesznymi słowy.  
Prowadź swe dzieło, a na tym padole,  
Lub w górnych sferach, siądziesz w wielkich kole.

*Niech żyją wszyscy prawi pantagrueliści*

### PRZEDMOWA AUTORA

Bardzo dostojni i waleczni rycerze, szlachetni panowie i inni, którzy chętnie bawicie się wszelaką pocziwą a ucieszną rzeczą: czytaliście niedawno, widzieli i przeznali wielkie i nieoszacowane chroniki przeraźliwego olbrzyma Gargantui<sup>191</sup> i jako prawdziwie wierne owieczki uwierzyliście we wszystko, niby w tekst Biblii albo świętej Ewangelii. Ba, nieraz przytrafiło się wam mile spędzać czas z godnymi paniami i panienkami na powtarzaniu tych uciesznych opowiadań, skoro brakło wam inszej materii: za co należy się wam wielka pochwała i wiekuista pamięć. Takie bowiem było moje pragnienie, by każdy rzucił wszystkie sprawy, nie troskał się o swoje rzemiosło, zapomniał o własnych interesach, a jeno poświęcił się w zupełności, bez roztargnienia i przeszkody tym opowieściom, póki nie będzie umiał ich na pamięć; tak iż gdyby przypadkiem miała się zatracić sztuka drukarska lub gdyby wszystkie książki zaginęły, aby i wówczas każdy mógł je sumiennie i wiernie przekazać swoim dzieciom, następcom i żyjącym pokoleniom, wprost z ręki do ręki, jakoby jakąś religijną tajemnicę. Więcej bowiem jest owocu i soku w tych błazeństwach, niż o tym mniema gromada

<sup>188</sup>*Pantagruel* — Pantagruel nie jest, jak Gargantua, popularną postacią legendy, wszelako słowo to, zanim użył go Rabelais dla swego bohatera, znane było w języku francuskim jako imię własne i jako imię pospolite. Jako imię własne oznacza diabła występującego nieraz w misteriach średniowiecznych, którego główną sztuczką jest wzbudzać pragnienie. Jako imię pospolite oznacza silny ból gardła, rodzaj gwałtownej anginy. Aluzje do obu znaczeń wielokrotnie pojawiają się w tekście *Pantagruela*.

<sup>189</sup>*król Spragnionych* — w oryginale: *dipsodów*, po grecku: spragnionych.

<sup>190</sup>*Mistrz Hugo Salel* (1493–1550) — był dworzaniem Franciszka I; przełożył na język francuski dzieśnię pierwszych pieśni *Iliady*.

<sup>191</sup>*nieoszacowane chroniki przeraźliwego olbrzyma Gargantui* — Rabelais ma na myśli nie swego *Gargantuę* (Ks. I), który powstał dopiero po pierwszej księdze *Pantagruela* (Ks. II), ale *Kroniki Gargantu-ińskie*.



zapleśniałych nudziarzy, którzy twardszą mają mózgownicę na takie figielki niżli sam imć Rakiet<sup>192</sup> z Instytutu.

Znałem siła możnych i znamienitych panów, którzy idąc na łowy na grubego zwierza, albo też mając puszczać sokoła, gdy zdarzyło się, iż zwierza nie napotkano w gąszczu albo też sokół zaczął kołować jak durny, pozwalając wymknąć się zdobyczy, byli bardzo strapieni, jak można się domyślić: tedy źródłem pokrzepienia i zapomnienia zgryzoty było im nie co insze, jeno odświeżanie sobie w pamięci nieocenionych czynów rzeczowego Gargantui.

Inni bywali po świecie (a nie są to żadne bajki), którzy będąc dotkliwie nękani bólem zębów i wydawszy całą swą majątność na doktorów bez żadnego skutku, znaleźli najsprawniejsze lekarstwo w tym, iż zawijali one kroniki w dwa czyste, dobrze ogrzane płócienna i przykładali je na bolące miejsce, synapizując je nieco proszkiem orybusu.

A co mam dopiero rzec o biednych francowatych i o podagrykach! Och, ileż razy patrzyliśmy na nich, gdy ich już dobrze wysmarowano i napojono maściami i twarz się im świeciła jako klamka w spiżarni i zęby trzęsły się jako klawisze organów albo klawicymbału, a z gardzieli toczyła się piana jako u kiernoza, którego psy opadły! Cóż wówczas czynili? oto całą ich pociechą było posłuchać czytania jakiej stroniczki onej zacnej książki. I klęli się wówczas na sto fur starych diabłów, iż srożej ulgi doznali przy owym czytaniu, gdy ich prażono w parnych szabaśnikach; zgoła jak niewiasty będące w boleściach rodzenia, kiedy im czytać żywot świętej Małgorzaty.

Czyż to nic nie znaczy? Znajdźcież mi książkę, w jakim bądź języku, jakiej bądź gałęzi i umiejętności, aby miała takie cnoty, własności i zalety, a postawię wam nieckę flaków. Nie, panowie, nie, nie ma takiej. Jest ona zgoła niemająca równej sobie, nie-dościgniona i niezrównana: podtrzymuję to twierdzenie aż do ognia *exclusive*. A ci, którzy by chcieli twierdzić rzecz przeciwną, niech będą nazwani szalbierzami, zwodzicielami, oszustami i łgarzami. Prawda, iż znajdują się niejaki tajemne przymioty w jawnych książkach wysokiego lotu, w liczbie których mieści się Orland szalony<sup>193</sup>, Robert Diabeł, Wyrwidąb i Waligóra, Wilhelm bez trwogi, Hugon z Bordeaux, Montewil, Matabron<sup>194</sup>. Ale i tych nie można równać do książki, o której mówimy. I snadnie nieomylnym doświadczeniem objawiły się światu wielkie korzyści i użyteczność płynąca z rzeczonyj kroniki Gargantuińskiej: więcej jej bowiem zbyli drukarze w dwa miesiące, niżli sprzedaje się Biblii w dziewięciu leciech<sup>195</sup>.

Tedy ja, wasz posłuszny niewolnik, pragnąc przymnożyć wam sposobów zabijania czasu, ofiaruję wam oto inną książkę tego samego chowu, jeno że nieco sprawiedliwszą i godniejszą wierzenia niż tamta. Nie sądzcie bowiem (jeśli nie chcecie popełnić świadomego błędu), iż ja mówię o niej jako Żydowie o księgach Zakonu. Nie urodziłem się pod taką planetą, i nie zdarza mi się nigdy kłamać ani twierdzić rzeczy, która by była nieprawdziwa: *agents et consentientes*, to znaczy: kto nie ma sumienia, ten nic nie ma; mówię o tym jako św. Jan w Apokalipsie, *quod nidimus testamur*. Mam bowiem mówić o straszliwych czynach i dziełach Pantagruela, którego byłem sługą i jurgieltnikiem, od czasu jak wyzwolono mnie z pazia aż do dziś, gdy za jego zezwoleniem przybyłem tu odwiedzić ojczyste strony, sławne z najpiękniejszych krów i dowiedzieć się co nieco, czy żywie jeszcze kto z mojej rodziny. Wszelako, aby

<sup>192</sup>Rakiet — Profesor na fakultecie prawnym w Poitiers.

<sup>193</sup>Orland szalony — Orland szalony ukazał się w r. 1516.

<sup>194</sup>Robert Diabeł (...) Matabron — Tytuły romansów rycerskich.

<sup>195</sup>kroniki Gargantuińskiej (...) niżli sprzedaje się Biblii w dziewięciu leciech — Jeden ze współczesnych wkłada księgarzowi w usta ten wierszyk: *Tenant ma boutique au Palais, / En moins de neuf ou dix journées / J'ai plus vendu de Rabelais, / Que de Bibles en vingt années.*

zakończyć ten prolog: tak samo jak ja oddaję się stu tysiącom batalionów starych diabłów z duszą i ciałem, z flakami i bebechami, jeźlim w tej historii zełgał bodaj jedno słowo; tak samo znów niech ogień św. Antoniego was spali, mór niech was wydusi, nosacizna, grypa niech was zeżrą, apopleksja niech was porazi, pryszczce osypią tak drobno jako sierść krowia i zaprawione żywym srebrem niechaj wam wnijdą do zadka, i niechbyście jako Sodoma i Gomora pogrążeni byli w siarce, ogniu i otchłani, jeśli nie uwierzycie pilnie we wszystko, co wam opowiem w niniejszej kronice.

## I. O POCHODZENIU I STAROŻYTNOŚCI RODU WIELKIEGO PANTAGRUELA.

Nie będzie to rzeczą próżną ani zbyteczną (ile że czasu mamy pod dostatkiem) wspomnieć wam pierwsze źródło i kolebkę, z której urodził się dobry Pantagruel. Widzę bowiem, iż wszyscy godni historiografowie tak poczynali sobie w swoich chronikach, nie tylko Grekowie, Arabowie i poganie, ale także pisarze Świętego Pisma, jak jego wielebność święty Łukasz i święty Mateusz.

Należy wam tedy zważyć, iż na początku świata (to jest dosyć dawno, więcej niż czterdzieści razy po czterdzieści nocy, licząc na sposób starożytnych druidów<sup>196</sup>), nieco później niż Abel zginął z ręki brata Kaina, ziemia napojona krwią sprawiedliwego była jednego roku

Bardzo w wszelakie żyźnie obrodzona  
Owoce, które rodzą się z jej łona,

a zwłaszcza w nieszpułki, tak iż po wsze czasy nazwano ten rok rokiem nieszpułek, były bowiem tak duże, iż trzy wypełniały już cały koszyk. W tymże roku wynalezione zostały kalendry przez greckich układaczy kalendarzy. Miesiąc marzec przypadł w poście, a połowa kwietnia w maju. W październiku, jak mi się zdaje, albo też wrześniu (abym się zaś nie omylił, tego bowiem chcę się pilnie wystrzegać), przypadł tydzień tak wysławiany w rocznikach, który nazywają tygodniem trzech czwartków: było ich w nim trzy z przyczyny nieregularnych dni przestępnych, jako iż słońce zboczyło co nieco jakoby *debitoribus* na lewo, a księżyc zbakierował ze swej drogi więcej niż na pięć sążni i wyraźnie było widać trzęsienie się firmamentu. Takóż Plejada pośrednia, zostawiając towarzyszki, skręciła ku ekwinoktowi, a gwiazda zwana Wenerą opuściła Pannę, kierując się ku Wadze: co jest rzeczą zaprawdę straszliwą i astrologowie daremnie łamią sobie głowy nad ową trudną i niezgłębianą materią. Jakoż mieliby tęgie zęby, gdyby im się ten orzech udało rozłupać.

Otóż, weźcie pod uwagę, iż cały świat chętnie pożywał one nieszpułki, były bowiem pięknej postaci i rozkoszne w smaku. Ale tak samo jak Noe, święty człowiek, któremu tyle winniśmy wdzięczności za to, iż nam zasadził winną latorośl, z której pochodzi ów nektaryczny, rozkoszny, cenny, niebiański, radosny i boski napój zwany winkiem, obłądził się pijąc go, ponieważ nie znał wielkiej jego cnoty i potęgi, tak samo mężczyźni i kobiety owego czasu zajadali z wielką lubością ten, piękny i okazały owoc: ale bardzo różne przygodziły im się stąd zdarzenia. Wszyscy bowiem doznali potem bardzo straszego wzdęcia ciała, ale nie wszyscy w tym samym miejscu. U jednych wzdymał się brzuch i stawał się wypukły niby wielka baryła; o których napisano: *Ventrem omnipotentem*, a byli to sami poczciwi ludziska i szczerze kompani. I z tego plemienia narodził się św. Bandzioch i św. Mięsopest.

<sup>196</sup>*druidzi* — Druidzi dawnych Gallów liczyli czas nie na dni, ale na noce.

Inni wzdymali się w ramionach i tak stawali się garbaci, iż nazywano ich góro-  
nościami, jako że istne góry nosili na plecach: ten rodzaj jeszcze można spotkać po  
świecie, rozmaitej płci i stanu. I z tego plemienia narodził się Ezop, którego piękne  
czyny i rzeczenia posiadacie zebrane na piśmie.

Inni pęcznieli wzdłuż, w członku, który nazywa się pracownikiem natury: tak  
iż stawał się zadziwiająco długi, wielki, tłusty, gruby, czerstwy i grzebieniasty wedle  
starożytnej mody; i posługiwali się nim jak paskiem, okręcając go pięć albo sześć razy  
koło pasa. A kiedy się zdarzyło, że był w stanie odpowiedzialnym i z rozwiniętymi  
żaglami, myślelibyście wówczas o takim człowieku, że on składa się lancą, jakoby  
wstępując w szranki. Owo tych plemię się zatraciło wedle tego, co mówią białogłowy.  
Słysząc bowiem jeno ich ustawny lament, że nie ma już owych tęgich, grubych etc.  
Znacie dalszy ciąg piosenki.

Inni pęcznieli w jądrach tak ogromnie, iż trzy napełniłyby łąco wiadro. Od tych  
pochodzą one zuchy z Lotaryngii, u których nigdy nie mieszczą się w saczku, jeno  
opadają w dół do pludrów.

Inni zasię porośli w nogi: patrząc na nich, rzekłbyś, że to żurawie albo flamingi,  
albo też ludzie chodzący na szczudłach. I nasze psujce papieru nazywają ich w gra-  
matyce *Iambus*.

Innym zasię tak wyrósł nos, iż zdawał się jakoby retorta do alembików; cały w ko-  
lorach, upstrzony w gruzelki, pomponiki, pulchny, czerwony, jakoby powleczony  
emalią, pączkujący i zahaftowany czerwonym ścięciem. Taki widzieliście u kanonika  
Pencaka i imćpana Kuternogi, medyka z Andziaru. Z którego to plemienia ludzie  
nieradzi pijali dekokty i ziółka, jeno wszyscy byli miłośnicy Bachusowego soczku.

Inni urosli w uszach i mieli tak wielkie, iż z jednego czynili sobie kaftan, pludry  
i oponczę; drugim zasię okrywali się jakoby płaszczkiem hiszpańskim. I powiadają,  
że w Burbonie jeszcze żywie to pokolenie: stąd powiadają *uszy burbońskie*.

Inni wzrastali w całym ciełe: i z tych właśnie poczęli się olbrzymi, a z nich Pan-  
tagruel.

A zaś pierwszym był Halbroth<sup>197</sup>,  
Który spłodził Sarabrotha,  
Który spłodził Faribrotha,  
Który spłodził Hurtala, srogiego zupojada, władającego w czasie potopu,  
Który spłodził Nemroda,  
Który spłodził Atlasa, ten zaś dźwignął niebo na ramionach i uchronił je od  
upadku,

Który spłodził Goliata,  
Który spłodził Morboysa,  
Który spłodził Machurę,  
Który spłodził Eryksa, wynalazcę gry w kości,  
Który spłodził Tytusa,  
Który spłodził Eriona,  
Który spłodził Polyfema,  
Który spłodził Kaka,

Ten zasię spłodził Etiona, który pierwszy nabawił się francy z tego, iż nie napił  
się w upalny dzień w lecie, jako zaświadcza Bartachin,

Który spłodził Encelada,  
Który spłodził Ceja,  
Który spłodził Typhosa,

---

<sup>197</sup>Halbroth (...) *Pantagruela, mego pana* — Imiona tych olbrzymów czerpane są z rozmaitych źródeł: z Biblii, mitologii, historii starożytnej, tradycji ludowej; niektóre wreszcie są wymysłem samego autora.

Który spłodził Aloesa,  
 Który spłodził Otysa,  
 Który spłodził Egiona,  
 Który spłodził Briareusa mającego sto rąk.  
 Który spłodził Porphyryona,  
 Który spłodził Adamastora,  
 Który spłodził Anteusza,  
 Który spłodził Agatona,  
 Który spłodził Porusa, potykającego się z Aleksandrem Wielkim,  
 Który spłodził Arantasa,  
 Który spłodził Gabbarę, pierwszego wynalazcę napicia się do sytości,  
 Który spłodził Goliata z Sekundylii,  
 Który spłodził Offota, srogiego sączyciela z baryłki,  
 Który spłodził Artachesa,  
 Który spłodził Oromedona,  
 Który spłodził Gemmagoga, wynalazcę pantofli w szpic,  
 Który spłodził Syzyfa,  
 Który spłodził Tytanów, z których rodu począł się Herkules,  
 Który spłodził Eneja, bardzo doświadczonego w zdejmowaniu z rąk pęcherzy,  
 A znów ten spłodził Osilka, który pobity został w boju przez Oliwiera, para Fran-  
 cji, kompaniona Rolandowego,  
 Ten zaś Osilek spłodził Morgana, który pierwszy ze śmiertelnych grając w kości  
 przywdział okulary,  
 Ten zaś spłodził Harmidera, o którym pisał Merlin Kokajus, ojca Ferragusowego,  
 A Ferragus spłodził Łapimuchę, który pierwszy wynalazł sztukę wędzenia ozorów  
 wołowych w kominie, wprzód bowiem solono je jak szynkę,  
 Zaś Łapimucha spłodził Boliworaksa,  
 Który zaś spłodził Longina,  
 Ten zaś spłodził Wesolka, który miał jajka z topoli, a kuśkę z jarzębiny,  
 Który spłodził Sianożreja,  
 Który spłodził Łykajwiatra,  
 Który spłodził Dmucha pierwszego wynalazcę flaszki,  
 Który spłodził Mirangota,  
 Który spłodził Galarfa,  
 Który spłodził Falurdyna,  
 Który spłodził Sortybranta z Konirubrów,  
 Który spłodził Bucharta z Moniery,  
 A zaś ten spłodził Brujera, który był pobit przez Ogiera Duńczyka, para Francji,  
 Który spłodził Mabruna,  
 Który spłodził Tęgorypa,  
 Który spłodził Hakelbaka,  
 Który spłodził Ostrorypeę,  
 Który spłodził Ostropytę,  
 Który spłodził Tęgospusta,  
 Który spłodził Gargantuę,  
 Który spłodził Pantagruela, mego pana.

Domyślam się, iż czytając ten ustęp, zdjęci jesteście bardzo słuszną wątpliwością.  
 I pytacie, jak to możliwe, zważywszy, iż za czasu potopu wszyscy ludzie zginęli z wy-  
 jatkami Noego i siedmiu osób, będących z nim w arce, w liczbie których nie mieści  
 się wszelako ów Hurlal? Kwestia dobrze postawiona, ani słowa, i bardzo rzucająca

się w oczy; ale odpowiedź też was zadowoli, albo też klepki musielibyście mieć bardzo kiepsko umocowane. A ponieważ nie żyłem w onym czasie, abym sam mógł to wam rozjaśnić wedle chęci, przytoczę wam autorytet uczonych Masoreckich, szperaczy i wykładowcy świętych ksiąg hebrajskich, którzy twierdzą, iż w istocie ów Hortal nie znajdował się w arce Noego (jakoż i nie byłby mógł do niej wleźć, będąc zbyt rozrosły), ale siedział na niej okrakiem, jedna noga po jednej, druga po drugiej stronie, jak dzieci na drewnianych konikach i jako wielki byk Berneński, którego zabito w Maryniane, jeździł na wielkiej armacie niby na kobyle: urodne było to bydłatko i wesołe, ani słowa. I w ten sposób on, po Bogu, ocalił oną arkę od zagłady, wiosłował z niej bowiem nogami i piętą obracał, gdzie mu się zdało, jako się czyni sterem na okręcie. Ci, którzy byli wewnątrz, posyłali mu żywność przez komin, i to obficie, jako ludzie znajomi dobra, które im świadczył. I niekiedy parlamentowali z sobą, jako czyniła Ikaromenippa z Jowiszem, wedle świadectwa Lucjana. Zrozumielście jak należy? Zaczem gołnjicie spory łyk bez wody. A jeśli nie wierzycie, sami sobie przypiszcie następstwa.

## II. O URODZENIU BARDZO STRASZLIWEGO PANTAGRUELA.

Gargantua, mając czterysta, cztery razy po dwadzieścia, czterdzieści i cztery lat, spłodził syna Pantagruela z żony nazwanej Babedek, córki króla Amaurotów<sup>198</sup> w *Utopii*, która zmarła w połogu: dziecko bowiem było tak straszliwie wielkie i ciężkie, iż nie mogło przyjść na świat nie zadławiwszy przy tym matki. Zasię jeśli chcecie zrozumieć całkowicie przyczynę i rację jego imienia, nadanego mu na chrzcie świętym, musicie wiedzieć, że w owym roku była susza<sup>199</sup> tak wielka w całej krainie afrykańskiej, iż minęło trzydzieści sześć miesięcy, trzy tygodnie, cztery dni, trzynaście godzin i nieco więcej bez deszczu, w skwarze słonecznym tak gwałtownym, iż ziemia była odeń jak spieczona.

Nawet za czasów Eliasza nie był glob bardziej rozgrzany niż wówczas. Nie ujrzałeś drzewa na ziemi, które by porosło liściem albo kwiatem; trawy pożółkły, rzeki wyschnięte, źródła zatamowane; biedne ryby opuszczone od własnego żywiołu błąkały się z wrzaskiem okropnym po ziemi, ptaki spadały z powietrza dla braku rosy, wilki, lisy, dziki, danielę, zające, króliki, łasice, kuny, borsuki i inne zwierzęta znajdowano po polach zdechłe z otwartą gębą.

Ale wprost litość brała patrzeć na ludzi: widziałeś ich wywieszających języki jak charty po sześciogodzinnej gonitwie. Wielu rzucało się do studzien, inni włązili krowom do brzuchów, aby znaleźć bodaj trochę cienia: których nazywa Homer Alibantami.

Cała okolica była jak oszalała; żalność brała patrzeć na wysiłki, jakie czynili ludzie, aby się ocalić od tej strasznej plagi. Z wielkim trudem przychodziło bronić wody święconej po kościołach, aby się do niej nie dobrano; ale wydano tak surowe nakazy z dekretu panów kardynałów i Świętego Ojca, iż nikt nie ważył się więcej niż raz palce w niej umoczyć.

Mimo to, kiedy kto wchodził do kościoła, widzieliście po dwudziestu onych biednych spragnionych, tłoczących się z tyłu z otwartą paszczą, aby liznąć bodaj kropelkę, jako ów zły bogacz, iżby nic się z niej nie straciło. O jakże szczęśliwy i błogosławiony był w onym roku ten, który posiadał chłodną i dobrze zaopatrzoną piwniczkę!

<sup>198</sup>*Amauros* — po grecku ciemny, nieznany. *Utopia* kraj imaginacyjny, stworzony przez Tomasza Morusa w jego *Utopii*, która ukazała się po raz pierwszy w r. 1516. W książce Morusa miasto Amaurotów jest stolicą kraju.

<sup>199</sup>*w owym roku była susza* — Wspomnienie straszliwej suszy, która na kilka lat przedtem gnębiła Francję.

Filozof<sup>200</sup>, zastanawiając się nad kwestią, dlaczego woda morska jest słona, opowiada, iż w czasie, gdy Febus oddał wodze świetlistego wozu synowi swemu Faetonowi, ów Faeton, źle wykształcony w sztuce, nie umiejąc się trzymać linii eliptycznej między dwoma tropikami słonecznej sfery, zboczył z drogi i tak przybliżył się do ziemi, iż wyniszczył suszą wszystkie okolice leżące wpodłe, spalił żarem wielką część nieba, którą filozofowie nazywają *via lactea*, a Bajbajowie drogą świętego Jacka, mimo iż wielu co najznamienitszych poetów powiada, że to jest okolica, na którą padło mleko Junony, gdy karmiła Herkulesa. Zaczem ziemia tak bardzo się rozgrzała, iż pot wielki na nią wystąpił, z czego wypociła całe morze, które przez to jest słone: wszelki bowiem pot jest słony. Czego prawdę łatwo poznacie, jeśli zechcecie posmakować swego własnego albo też potu francowatych, kiedy ich zawijają w derki: jak wam bardziej do smaku.

Podobny wypadek zdarzył się w pomienionym roku: jednego dnia, w piątek, kiedy wszyscy jęli się modłów i uczynili piękną procesję z obfitością litanii i nadobnych kazań, błagając Boga wszechmogącego by zechciał wejrzeć na nich w takowym utrapieniu okiem łagodności, naraz ujrzeli wyraźnie, jako z ziemi występują wielkie krople wody, na kształt pocącej się obficie ludzkiej istoty. I biedny lud zaczął się radować jak gdyby z czego pomyślnego, niektórzy bowiem mówili, iż nie ma w powietrzu ani kropli wilgoci, z której by można się spodziewać deszczu, i że ziemia stara się zaradzić temu niedostatkowi. Inni uczeni ludzie powiadali, iż to jest deszcz antypodów, jako Seneka powiada o tym w czwartej księdze *Questionum naturalium*, mówiąc o pochodzeniu i źródłach rzeki Nilu; ale zawiedli się. Kiedy bowiem po ukończeniu procesji każdy chciał zebrać nieco tej rosy i napić się pełnym haustem, okazało się, iż jest to jeno solanka, gorsza i bardziej słona niż woda morska.

I ponieważ tego samego dnia urodził się Pantagruel, ojciec dał mu to imię: *Panta* bowiem po grecku znaczy tyle co *wszystko*, *Gruel* zaś w języku arabskim znaczy tyle co *spragniony*; chcąc tym samym wskazać, iż w dniu jego urodzenia wszystek świat był nader spragniony; i widząc jasno, jakoby duchem proroczym, iż któregoś dnia będzie on monarchą spragnionych: objawiło mu się to bowiem w tejże samej godzinie innym bardziej wyraźnym znakiem. Kiedy matka jego Badebek go rodziła i niewiasty położne czekały, aby go odebrać, wyszło najpierw z jej brzucha sześćdziesięciu i ośmiu mulników, każdy wiodący za uzdę muła objuczonego solą; po nich zaś dziewięć dromaderów, obładowanych szynkami i wędzonymi ozorami, siedem wielbłądów obładowanych wędzonką, potem dwadzieścia i pięć worków porów, czosnku, cebuli i trybulki. Co wielce przeraziło niewiasty położne, ale niektóre rzekły:

— Otoć potężny zapasik; bo też i popijało się w ostatnich czasach leniwo, nie tak jak przystało bożemu stworzeniu. Dobry znak: to są załączki.

Owo kiedy tak gwarzyły i uradzały między sobą, nagle wyłonił się z żywota matki Pantagruel, obrośnięty jak niedźwiedź; zaczem jedna z nich rzekła, jakoby w proroczym natchnieniu:

— Przyszedł na świat cały kosmaty, co jest znak, iż dokaże tu niemałych rzeczy; i jeśli będzie żył, z pewnością się uchowa.

### III. O ŻAŁOBIE GARGANTUI PO ŚMIERCI ŻONY BADEBEKI.

Kto, myślicie, zdumiał się i osłupiał, kiedy Pantagruel przyszedł na świat? Zaiste Gargantua, jego ojciec: widząc bowiem z jednej strony żonę Badebek nieszczęśliwie zmarłą, a z drugiej syna Pantagruela żywo urodzonego, tak pięknego i okazałego, nie wiedział zgoła, co rzec i czynić. I największą troskę mu to sprawiało, iż nie wiedział,

<sup>200</sup>filozof — Empedokles.

żali ma płakać z żaloby po żonie, czy śmiać się z radości z urodzenia syna. Z jednej i drugiej strony nasuwały mu się argumenty sofistyczne i dławiły go srodze, stawiał je bowiem bardzo biegle *in modo et figura*, ale nie umiał ich rozwiązać. I dlatego płątał się jak mysz w pułapce albo jako kania pojmana w sieci.

— Mam li płakać? — mówił do siebie — tak; a dlaczego? Żona moja, zacna, kochana, umarła; ona, która była najbardziej taka, najbardziej owaka na ziemi. Nigdy już jej nie ujrzę, nigdy nie znajdę takiej samej: to strata dla mnie wprost nieopisana! O mój Boże! cóż ci uczynilem, abys mnie tak karał? Czemuś nie zesłał śmierci na mnie pierwej niż na nią? Życ bez niej to jeno męka dla mnie. Och, Badebek, moja gołąbko, moja kochanko, moja mała p...siu (miała wszelako swoje trzy morgi i dwa sążnie), moja lubko, mój rozporku, mój papuciu, mój pantofelku, nigdy cię już nie ujrzę. Och, biedny Pantagruelu, straciłeś najlepszą matkę, słodką żywicielkę, swą panią najukochańszą. Ha, podstępna śmierci, tak żeś mi jest złośliwa, tak żeś okrutna, iż wydzierasz mi tę, która godna była nieśmiertelności.

To mówiąc, ryczał od płaczu jak wół; ale znów poczynał się nagle chichotać jak cielę, wspomniawszy swego Pantagruelka.

— Och, ty, mój mały synaczku, kusiuniu ty moja, pierdziątko ty moje, jaki żeś ty cacany! Ileż winien jestem Bogu, iż mi dał tak ładne dziecię, takie wesołe, śmiejące, urodziwe. Ho, ho, ho, ho, jakże się cieszę! Pijmy! hej, hej! rzućmy w kął melancholiję: dawaj tu sam najlepszego, popłucz szklanice, zaściel obrus, wygoń te psy, dmuchnij na ogień, zapal świece, zamknij drzwi, zaprawiaj polewkę, przepędź tych dziadów, daj im co w łapę, zabierz tę moją suknię, niech się oblekę w kaftan, aby godniej podjąć sąsiadki.

Ale, gdy tak wołał, usłyszał litanie i rekwije księży, którzy odprowadzali żonę do grobu; zacem niechał swej radosnej paplaniny i wraz myślą zwracał się gdzie indziej, mówiąc:

— Boże wszechmogący, mam li się długo smuć? To mnie przygnębia, nie jestem już młody, przychodzi starość, pogoda jest niepewna; mógłbym się jakiej febry nabawić: doprawdy, w głowie mi się mąci. Słowo szlachcica<sup>201</sup>, toć lepiej mniej płakać, a za to pić w dwójnasób. Żona mi umarła; ha, cóż, przez Boga (*da jurandi*), nie wskreszę jej z martwych swoimi szlochami; jest jej dobrze, jest co najmniej w raj, jeżeli nie lepiej jeszcze; modli się do Boga za nas, jest szczęśliwa, nie troszczy się już o nasze nędze i niedole. Taka kolej świata, Boże błogosław tym co pozostali! Trzeba mi pomyśleć, aby znaleźć sobie jaką drugą.

— Ale ot, co wam trzeba uczynić — rzekł do niewiast położnych (gdzież one siedzą? dobrzy ludziska, nie mogą was dojrzeć) — idźcież na jej pogrzeb, a przez ten czas ja będę kołysał mego syna, bardzo mi bowiem coś sucho w gardle i lękam się, abym nie zachorzał; ale napijcie się przedtem dobry lyczek: tylko wam to na zdrowie wyjdzie; na mą cześć, możecie mi wierzyć.

Zacem niewiasty posłuszne wezwaniu udały się na pogrzeb i nabożeństwo, biedny zaś Gargantua został w pałacu. I przez ten czas ułożył nadpis, by go wyryto na grobie żony, a brzmiał jak następuje:

Niestety zmarła zacna Badebeka;  
W bólach rodzenia Czas ją dopadł szparki;  
Twarz miała lubą, śnieżniejszą od mleka,  
Hiszpańską kibić, a żywot Szwajcarki.  
Iżby Bóg grzechy jej odpuścił snadnie  
Zaślijmy modły do stóp jego tronu:

<sup>201</sup> słowo szlachcica — *Foi de gentilhomme*, ulubione zakłęcie Franciszka I.

Tu leży ciało, co żyło przykładnie,  
A zmarło w roku i dniu swego zgonu<sup>202</sup>.

#### IV. O DZIECIŃSTWIE PANTAGRUELA.

Można wyczytać u dawnych historiografów i poetów, iż wiele istot ludzkich przyszło na ten świat w bardzo osobliwe sposoby, które wymieniać trwałoby zbyt długo: czytajcie siódmą księgę Pliniusza, jeśli macie czas wolny i ochotę. Ale nie słyszeliście nigdy o niczym tak cudownym jak urodzenie Pantagruela: to było wprost trudne do uwierzenia, w jaki sposób on wzrastał w ciało i w moc w krótkim przeciągu czasu. Furda przy tym Herkules, który dzieckiem w kolebce zabił dwa węże; wiadomo, iż to były węże bardzo drobne i wychudzone. Ale Pantagruel, będąc w kolebce, dokazał o wiele straszliwszych cudów. Nie będę tu rozpowiadał, jak przy każdym posiłku potrafił wydoić mleko z czterech tysięcy sześciuset krów; jak, aby sporządzić ryńienkę do warzenia zupki zatrudniono wszystkich kotlarzy z Sajmuru w Andegawii, z Bożogrodu w Normandii i z Bramontu w Lotaryngii; i podawano mu oną zupkę w wielkiej kadzi, która jest jeszcze teraz w Burz, w poddle pałacu; ale zęby mu już tak urosły i stężały, że ułamał z tej kadzi bardzo spory kawałek, jak snadnie można oglądać.

Pewnego dnia wczesnym rankiem, gdy chciano mu dać possać jakąś krówkę (innej bowiem mamki nigdy nie posiadał, jak mówi historia), dobył jedno ramię z powijków, którymi był umocowany w kołysce, chwycił oną krowę za nogę nad pęcina i wyżarł jej oba wymiona wraz z połową brzucha, wątrobą i nerkami. I byłby ją zjadł całą, gdyby nie to, że straszliwie ryczała, jakoby wilki kąsały ją za nogi; na który ryk wszyscy domowi się zbiegli i wydobyli oną krowę z rąk Pantagruela, przy czym wszelako cała noga została mu w garści, tak mocno ją ścisnął, obgryzając bardzo smacznie kształtem kielbaski. A kiedy mu chciano odebrać kość, połknął ją w jednej chwili, jakoby kormoran małeńką rybkę; po czym zaczął gaworzyć: „Niam, niam, niam” (nie umiał bowiem jeszcze dobrze mówić), chcąc przez to wyrazić, iż bardzo mu smakowało i że najchętniej powtórzyłby porcję. Co widząc, piastunki związały go wielkimi linami, takimi jak te, które wyrabiają w Taniach dla holowania soli do Lyonu; albo jak są liny wielkiego francuskiego okrętu, który stoi w porcie Graskim w Normandii. Ale któregoś dnia, gdy wielki niedźwiedź chowany w ojcowskim zamku umknął się z łańcucha i przyszedł go lizać po twarzy (piastunki bowiem nie wytarły mu gębusi jak należy), potargał te liny tak łatwo jak Samson wyzwolił się z rąk Filistynów, i chwyciwszy mospana niedźwiedzia, rozdarł go na sztuki jak kurczątko i połknął na jeden kąsek ze skórą i kośćmi. Zaczem Gargantua lękając się, by sobie czym kiedy nie zaszkodził, kazał sporządzić cztery grube żelazne łańcuchy, aby go związać; także kazał uczynić z żelaznego pręta dobrze przypasowane łuki u kołyski. Jeden z tych łańcuchów znajduje się w Roszeli i rozpinają go na wieczór między dwiema wieżami portowymi. Drugi jest w Lyonie, trzeci w Angierze, a czwarty porwali raz diabli, aby związać Lucypera, który się strasznie szamotoł w onym czasie z przyczyny kolki trapiącej go bardzo dotkliwie, jako że zjadł duszę adwokata w potrawce na śniadanie. Zaczem możecie wierzyć temu, co powiada Mikołaj de Lyra o ustępie psalmisty, gdzie jest napisano: *Et Og regem Basan*<sup>203</sup>; jako że ów Og, będąc jeszcze małym, był tak silny i zażywny, iż trzeba go było łańcuchami wiązać w kołysce. W ten sposób

<sup>202</sup> *Tu leży ciało (...) dniu swego zgonu* — Popularny koncept francuski uwieczniony w piosence o panu de la Palisse.

<sup>203</sup> *Mikołaj de Lyra* (ok. 1270–1349) — nawrócony Żyd, franciszkanin, autor popularnego komentarza Biblii; o *ustępie psalmisty* dotyczy: Ps. 135, 20 [przypis zweryfikowany i poprawiony przez Red. WL].



leżał sobie Pantagruel spokojnie i cicho: nie mógł bowiem tak łatwo stargać onych łańcuchów, tym więcej iż kołyska była zbyt ciasna, aby wziąć rozmach z ramienia.

Ale nadszedł dzień wielkiego święta i stary Gargantua wydał wspaniałą ucztę dla wszystkich książąt swego dworu. Otóż, jak się zdaje, oficyjerowie dworscy byli tak zajęci przy obsłudze tego festynu, iż nikt nie zatroszczył się o biednego Pantagruela. Cóż tedy czyni? Słuchajcie, dobrzy ludzie, co uczynił. Najpierw próbował zerwać łańcuchy rękami; ale nie dało się, były bowiem zbyt silne; zaczęł więc bić nogami tak mocno, iż wyłupał przodek kołyski, mimo iż był uczyniony z belki grubej, a wielkiej na siedem łokci kwadratowych; a skoro raz już wystawił giczały na zewnątrz, zaczął się grzebać, jak umiał, aż wreszcie stanął równymi nogami na ziemi. Wówczas unosząc na grzbiecie kołyskę, do której był przymocowany, podniósł się z wielką siłą jako żółw drapiący się po murze; patrząc nań myślałbyś, że to wielki statek o pięćset tonach, postawiony prosto na jednym końcu.

W ten sposób wszedł do sali, w której ucztowano, i to tak śmiało, iż przeraziło się całe zgromadzenie; ale jako że miał spętane ręce i ramiona, nie mógł nic sobie wziąć do jedzenia, jeno nachylał się z wielkim trudem, aby wprost głębią chwycić jakiś kęs. Co widząc, ojciec zrozumiał jasno, że musiano go nie nakarmić; i kazał za radą książąt i obecnych panów, rozwinąć go z tych łańcuchów, a także ponieważ lekarze Gargantui orzekli, że jeżeli będzie się go tak trzymać w kołysce, będzie całe życie cierpiał na kamienie. Tak go rozpętawszy, posadzono przy stole i podkarmiono należycie, on zaś wyrznąwszy w złości pięścią w kołyskę, rozwalił ją jednym uderzeniem na więcej niż pięćset tysięcy kawałków, jakoby dając jawny znak, że nigdy do niej nie wróci.

## V. O CZYNACH SZLACHETNEGO PANTAGRUELA W JEGO LATACH MŁODZIEŃCZYCH.

Tak rósł Pantagruel z dnia na dzień i rozwijał się w oczach niemal, co sprawiało kochającemu ojcu wielką radość. I kazał mu zrobić, jeszcze gdy był dzieckiem, małą kuszę, aby sobie strzelał do praszków. Która słynie obecnie jako wielka kusza w Szanteli<sup>204</sup>.

Następnie posłał go do szkoły, aby się uczył i spędził w niej pożytecznie młode lata. Jakoż przybył do Połturu na studia i skorzystał tam niemało: ale widząc, iż niekiedy uczniowie nie wiedzą, co począć z wolnym czasem, powziął dla nich współczucie. I jednego dnia z wielkiej skały, którą zowią Paslurdyną, ujął głaz, mający mniej więcej dwanaście sążni w obwodzie, a gruby na czternaście stóp i umieścił go wygodnie na czterech słupach w szczerym polu: aby ci szkolarze, kiedy nie będą mieli nic do roboty, mogli się dla zabawy wdrapywać na ów kamień i ucztować tam z wielką obfitością flaszek, szynki i pasztetów i wyskrobywać na nim imiona nożykami. I na pamiątkę tego nikogo nie przepuszczą przez matrykuły uniwersytetu w Połtirze, kto się nie napije z kabalistycznego źródła w Krusteli, nie przejdzie przez Paslurdynę<sup>205</sup> i nie wdrapie się na ów kamień.

Następnie czytając piękne kroniki przodków, znalazł, iż Godfred z Luzynianu<sup>206</sup>, zwany Gotfredem o Wielkim Zębie, dziadek stryjecznego szwagra starszej siostry ciotki zięcia wuja pasierbicy jego macochy, pogrzebion był w Maiży: zaczęł więc jednego dnia puścić się w drogę, aby odwiedzić tego zacnego człowieka. Wyszedłszy z Połturu z kilkoma kompanami, przeszli przez Legież, odwiedzając szlachetnego opata Arde-

<sup>204</sup>*Szantela* — Chantelles, miasteczko w Bourbonnais.

<sup>205</sup>*Paslurdyna* — Skała koło Poitiers; obyczaj studencki żądał, aby każdy nowicjusz przeczolgał się przez dziurę w tejże.

<sup>206</sup>*Godfred z Luzynianu* — Pół historyczna, pół mityczna osobistość, założyciel domu Lusignan w Poitou, w X wieku.

liona<sup>207</sup>, dalej Luzynian, Sancę, Celę, Kołomzę, Fonteń Grabski, gdzie pokłonili się uczonemu doktorowi Tyrakowi<sup>208</sup>; stamtąd zaś przybyli do Maiży, gdzie Pantagruel odwiedził grobowiec Godfreda o Wielkim Zębie. Przy czym przestraszył się nieco, ujrawszy jego wizerunek, wyobrażono go tam bowiem jakoby człowieka oszalałego, z na wpół dobytym wielkim mieczem. I spytał o przyczynę tego. Kanonicy tameczni rzekli mu, iż nie ma innej przyczyny, jak tylko że *pictoribus atque poetis* etc.; to znaczy, że malarze i poeci mają wolność malowania wedle upodobania, co im się zechce. Ale nie zadowolili się ich odpowiedzią i rzekli:

— Nie może być tak wymalowany bez kozery. I coś podejrzewam, iż śmierć jego była z jakowąś krzywdą, o którą domaga się pomsty od rodziny. Muszę się o tym bliżej wywiedzieć i uczynię, co będzie należało.

Następnie obrócił się nie z powrotem do Poitiru, ale chciał odwiedzić inne uniwersytety francuskie: zaczem minawszy Roszele, wsiadł na statek i zawinął do Bordeaux, w którym miejscu niewiele ujrzał ciekawego, chyba majtków grających w kiczki na wybrzeżu. Stamtąd poszedł do Tuluzy, gdzie nauczył się bardzo dobrze tańcować i władać mieczem obiema rękami, jako jest obyczaj u uczniów tej uczelni: ale nie zabawił długo w tym miejscu, widząc iż tam palą żywcem regentów<sup>209</sup> jak wędzone śledzie: ku czemu rzekł:

— Niechże mnie Bóg broni, abym miał umrzeć taką śmiercią; dość mnie już dręczą pragnienie bez tego, żeby mnie więcej przypiekano.

Potem zaszedł do Montpellier, gdzie znalazł bardzo dobre wina i wesołą kompanię; myślał się tam zabrać do studiowania medycyny, ale rozważył, iż stan to jest zbyt żałosny i melancholiczny i że medyków czuć jest lewatywą jak diabli. Chciał także studiować prawo, ale widząc, iż cały wydział prawny składa się z dwóch starych pierdziuchów i jednego liżysmarka, zabrał się z tego miasta. I w drodze minął most gwardzki i nimski amfiteatr<sup>210</sup> w niespełna trzy godziny, co zda się być uczynkiem raczej nadziejskim niż ludzkim; i przybył do Awinionu, gdzie trzy dni nie minęło, jak już się wdał w amory: niewiasty bowiem łącno tam parzą dobrych ludzi w przyrodzonej wannie, jako że jest to ziemia papieska<sup>211</sup>.

Co widząc, pedagog jego, zwany Epistemon, wyciągnął go stamtąd i zawiódł do Walencji w Delfinacie; ale poznał, że nie ma tam wielkiej korzyści i że ciury miejskie grzmocą tam szkolarzy, czym bardzo się rozsierdził. Owo jednej pięknej niedzieli, gdy całe miasto wyległo na tańce, jeden ze szkolarzy chciał tańczyć, w czym przeszkodziły mu one miejskie gbury; co widząc Pantagruel przepędził ich statecznie aż nad brzeg Rodanu i chciał wszystkich potopić; ale zagrzebali się w ziemi jak krety na dobre pół mili pod Rodanem. Można jeszcze widzieć rów, jaki wyorali. Następnie zabrał się stamtąd i trzema krokami i jednym susem przybył do Angieru, gdzie mu się bardzo spodobało; byłby tam został jakiś czas, gdyby go nie wyгнаło z miasta morowe powietrze.

Tak przybył wreszcie do Burż, gdzie studiował bardzo długo i wiele skorzystał na fakultecie prawnym. I powiadał niekiedy, iż księgi prawnicze zdały mu się jako piękna suknia ze złota, nad wyraz wspaniała i kosztowna, ale zahaftowana łajnem: „Bowiem — powiadał — na świecie nie ma książek tak pięknych, ozdobnych, wytwornych

<sup>207</sup> *opat Ardelion* — Opat w Fontenay-le-Comte, koło Poitiers

<sup>208</sup> *Tyrak* — *Tiraquellus*, uczony prawnik i radca parlamentu, wierny druh Rabelais'go.

<sup>209</sup> *tam palą żywcem regentów* — Aluzje do palenia protestantów za Franciszka I.

<sup>210</sup> *most gwardzki i nimski amfiteatr* — Słynne pomniki z czasów rzymskich.

<sup>211</sup> *niewiasty bowiem łącno tam parzą dobrych ludzi w przyrodzonej wannie, jako że jest to ziemia papieska* — Mnichy i księża, od których roilo się w Awinionie, pozwalali kurtyzanom za opłatą umiarkowanej taryfy na bardzo swobodne wykonywanie swego rzemiosła.

jako są testy Pandektów; ale ich zahaftowanie, to znaczy glossy Akursjusza<sup>212</sup>, są tak plugawe, bezecne i zawszone, że jest to sam brud i ohyda”.

Wyszedłszy z Burż, przybył do Orleanu. Tam zastał mnóstwo szkolarzy, tęgich chłopaków, którzy bardzo godnie oblali jego przybycie; w krótkim czasie nauczył się w ich kompanii grać w palanta tak dobrze, iż mógł uchodzić za mistrza. Studenci bowiem tameczni ćwiczą się nie na żarty, i nie raz, i nie dwa prowadzili go na błonia z piłką i rakieta. Co do tego zaś, aby sobie głowę łamać nad nauką, tego się pilnie wystrzegał z obawy, aby sobie nie popsuć oczu. Zwłaszcza, że nawet któryś z bakalarzy powiadał w swoich wykładach, iż nie ma nic szkodliwszego dla wzroku niż choroba oczu. I jednego dnia, kiedy promowano na magistra praw znajomego mu studenta, który nauki niewiele więcej miał od swego muła, ale za to umiał bardzo dobrze tańczyć i grać w piłkę, ułożył herb i godło licencjatów tego uniwersytetu, mówiąc:

W saczku piłeczka,  
W dłoni pałeczka,  
W pięcie poleczka,  
Pandekty w bermycy niedaleko głowy,  
Ot i licencjat gotowy.

## VI. JAKO PANTAGRUEL SPOTKAŁ LIMUZYŃCZYKA, KTÓRY KALECZYŁ JĘZYK OJCZYSTY<sup>213</sup>.

Jednego dnia, nie pomnę kiedy, po wieczery, Pantagruel wraz z towarzyszami wyszedł na przechadzkę bramą, która prowadzi do Paryża. Tam spotkał po drodze zgrabnego studenta, wędrującego gościńcem; zaczęli wymieniwszy ukłon, spytał:

— Przyjacielu, skąd wędrujesz o tej godzinie?

Szkolarz odpowiedział:

— Z dostojnej, glorioznej i sławnej akademii, którą nominują Lutecją.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał Pantagruel jednego ze swoich ludzi.

— To znaczy: z Paryża — odparł tamten.

— Zatem przybywasz z Paryża — rzekł Pantagruel — i na czymże wy tam spędzacie czas, panowie studenci, w onym Paryżu?

Student odparł:

— Nawigujemy po Sekwanie o dilukulu i krepuskulu; ambulujemy po kompitach i kwadryniach metropolii<sup>214</sup>; esercytujemy się w werbocynacji łatyńskiej i jako wersymiliczne amorabundy kaptujemy sobie benewolencję omnijudycznego, omniformnego i omnigennego seksu feminalnego. W niektóre *diecula* inspektujemy lu-

Słowo

<sup>212</sup>Akursjusz z Florencji (zm. 1260) — glossator i wydawca już istniejących gloss do justyniańskiego i kanonicznego prawa. Wędrowki Pantagruela i jego doświadczenia uniwersyteckie są prawdopodobnie dość wiernym odbiciem lat włóczęgi samego Rabelais'go po opuszczeniu klasztoru.

<sup>213</sup>Jako Pantagruel spotkał Limuzyńczyka, który kaleczył język ojczysty — Jak zaznaczyliśmy w przedmowie, epoka, w której tworzył Rabelais, była epoką odnowienia i wzbogacenia francuskiego języka, pełnymi garściami czerpiącego z dobytku języków starożytnych. Sam Rabelais był jednym z pierwszych pracowników w tym dziele; niezliczona jest ilość terminów łacińskich i greckich, które wprowadza w piśmiennictwo francuskie. Ale to, co w roku świadomego mistrza było zbawiennym odnowieniem języka, toż samo u ciasnych i niedouczonej pedantów stawało się jego wykoślawieniem: i tę barbarzyńską robotę piętnuje właśnie Rabelais w swoim limuzyńskim szkolarzu. Niektóre ustępy tej oracji są niemal dosłownie zaczerpnięte z pism niejakiego Geofroy Tory; co daje miarę, jak dalece ta satyra Rabelais'go była na czasie. Niebawem, za Ronsarda, „uszlachetnianie” gwary ojczystej przez dodawanie słowom końcówek łacińskich i greckich, staje się powszechną modą.

<sup>214</sup>Nawigujemy (...) metropolii — „Pływamy po Sekwanie o wschodzie i zachodzie słońca; przechadzamy się po drogach krzyżowych i rozstajnych stolicy”.

panary w Ryczywole, w Zadzie Górnym, w Pludrakowie i w ekstazie wenerycznej, inkulkujemy penisy swoje do najpenireceptywniejszych recesów pudendalnych wielce amikalnych meretrykułek; później kauponizujemy w tawernach merytorycznych pod Wiechą, Papuciem, Magdalenką piękne werwecyniczne szpatułki, perforanimowane petrozylem. A jeśli azardem fortuny nastąpi rarytność albo zgoła penuria pekuniarna w naszych marsupiach i jeśli są ewakuowane z ferruginicznego metalu, opuszczamy gospodarzowi jako cechę nasze pepla i *codica* w zastaw, ekspektując tabletek mających nadejść z patrymonialnych penatów i larów.

Na co rzekł Pantagruel:

— Cóż to, u diabła, za gwara? Przez Boga, z ciebie musi być jakiś heretyk.

— *Signor, no* — rzekł szkolarz — libentissymnie bowiem, skoro tylko zailluceskuje jakiś minutulny okrawek dnia, demigruję do którego z tak nadobnie architektyzowanych templów: i tam, irrygując się lustralną wodą, mamroczę coś niecoś z jakiejś missywej prekacji naszych sakryfikulów. I submirmilując swoje prekulne horaria, eluuję i absterguję duszę z jej nokturnicznych inikwamentów. Reweruję olympikolów. Weneruję patrialnie supernalnego astripotensa. Diliguję i redamuję swoich proksymów. Strzegę dekalogicznych preskryptów i wedle fakultatywnej wirylności swojej nie disceduję od nich ani na ungwikulną latytudę. Werekundia przyznać każe, iż, jako że Mammon nie supergurgituje zgoła w moich lokulach, jestem nieco opieszwały i skąpy w supererogowaniu elemosynów egenom kwerytującym hostiatywnie swoich styptów.

— Gównno — rzekł Pantagruel — co on tu szczeka, ten błazen? Zdaje się, że on nam tu kuje jakowąś diabelską gwarę i chce nas tu urzec swymi zamawianiami.

Na co rzekł któryś z jego ludzi:

— Panie, ten mydłek chce z pewnością naśladować wysłowienie paryżan; ale tylko kaleczy łacinę, chcąc piąć wysoko jako Pindarus. Ubzdurał sobie, że jest wielkim mówcą francuskim, dlatego że nie raczy gadać tak jak wszyscy.

Na co rzekł Pantagruel:

— Prawda li to?

Szkolarz odpowiedział:

— *Signor missariuszu*, genius mój nie jest natywnie do tego zdatny, aby, jak twierdzi ów flagicjozny nebulon, ekskoriować kutykułę naszej wernakuly galickiej. Przeciwnie, wicewersalnie operacjonuję i całą siłą welów i ramów, enituję lokupletować ją latynikomną redondacją.

— Ha, jak mi Bóg miły — rzekł Pantagruel — nauczę ja cię mówić. Ale najpierw odpowiedz mi: skąd pochodzisz?!

Na co odparł szkolarz:

— Prymarne originum moich awów i atawów było indygenne w regionach le-mowicywnych, gdzie rekwieskuje korpus agiotata św. Marcjala.

— Rozumiem — rzekł Pantagruel — jesteś Limuzyńczyk za całą paradę, a chcesz się tu podawać za paryżanina. Chodź no tu, ja cię nauczę.

Zaczem chwycił go za gardło, mówiąc:

— Ty będziesz kaleczył tak bezpiecznie łacinę i mowę ojczystą? Poczekaj, ja okaleczę ciebie.

Wówczas biedny Limuzyńczyk zaczął krzyżeć:

— O Jezu, Jezusicku, panie szlachcic, o święci niebiescy, ratujcie mnie, oj, oj, panoczku, puśćcie mnie, rany boskie, panoczku, nie bijcie.

Na to rzekł Pantagruel:

— Ha, teraz mówisz swoim głosem.

I puścił go, Limuzyńczyk bowiem fajdał co miał tchu do pludrów, które były nie z pełnym siedzeniem, ale wycięte w szpic, w kształt ogona sztokfisz; zaczął rzekł Pantagruel:

— Święty Niebejjżetu, a załatwiajże się gdzie indziej, a cóż za fetor! Niechże kule biją tego limuzyńskiego śmierdziela.

I puścił go. Ale tamtemu na całe życie zostało stąd wspomnienie i często tak mu się chciało pić, iż mawiał, że to Pantagruel ściska go za gardło. I w kilka lat potem pomarł śmiercią Rolandową<sup>215</sup>, przez co moc boża okazała swą pomstę i potwierdziła, co powiada filozof, a także Auius Gellus, że należy nam mówić zwyczajnym ludzkim językiem i jako powiadał Oktawian Augustus, należy unikać wyszukanych słów z taką samą bacznością, z jaką sternicy unikają raf i skał na morzu.

## VII. JAKO PANTAGRUEL PRZYBYŁ DO PARYŻA I JAKIE PIĘKNE KSIĘGI WIDZIAŁ W KSIĘGARNI ŚW. WIKTORA.

Skoro Pantagruel nastudiował się do syta w Orleanie, postanowił odwiedzić wielki uniwersytet w Paryżu; ale nim jeszcze odjechał, doszło do jego wiedzy, iż niedaleko Orleanu, w St. Anianie, znajduje się wielki i potężny dzwon zagrzebany przeszło od dwustu czterdziestu lat; dla jego ogromu bowiem żadną sztuką nie można go było dobyć z ziemi, mimo iż zastosowano już wszystkie sposoby, które podają Vitruvius, *de Architectura*, Albertus *de Re aedificatoria*, Euklides, Theon, Archimedes, i Hero, *de Ingeniis*. Wszystko nie zdało się na nic. Zaczem chętnie przychyłając się do pokornej prośby obywateli i mieszkańców, umyślił odnieść dzwon z powrotem na dzwonnice. W istocie przybył na miejsce, gdzie się znajdował i podniósł go małym palcem tak łatwo, jak byście uczynili z dzwoneczkiem jagnięcia. A nim go wyniósł na dzwonnice, chciał nieco ubawić miasto i dzierżąc go w ręce, zaczął dzwonić po wszystkich ulicach ku wielkiej uciechu mieszkańców. Ale zdarzyło się stąd wielkie nieszczęście; gdy go tak niósł i dzwonił, wszystko szlachetne wino Orleańskie zaczęło robić w piwnicach i zepsuło się. O czym mieszkańcy dowiedzieli się dopiero następnego dnia: każdy bowiem cierpiał takie pragnienie opiewszy się tego skwaśniałego wina, iż jeno wszyscy spluwali i kaszlali od rana do wieczora, mówiąc:

— Ha, mamy Pantagruela, aż nam w gardle zasycha.

Dokazawszy tego, przybył do Paryża ze swoją świtą. I za jego przybyciem cała ludność wyległa z domów, aby go oglądać, jako to wiecie dobrze, iż ludek paryski jest niespokojnej głowy i przyglupiasty z natury. I patrzyli nań w srogim osłupieniu i nie bez wielkiej trwogi, aby nie przeniósł ratusza gdzie indziej, w jakąś krainę *a remotis*, jak jego ojciec zabrał był dzwony z kościoła Najświętszej Panny, aby je uwiesić na szyi swojej kobyły. On zaś, zabawiwszy jakiś czas w tym mieście i odprawwszy gruntowne studia we wszystkich siedmiu sztukach wyzwolonych, orzekł, iż to jest miasto, w którym lepiej żyć niżli umierać, zawszone bowiem dziady pod św. Innocentym grzeją sobie zadki kośćmi umarłych. I bardzo mu się udała wspaniała księgarnia św. Wiktora<sup>216</sup> i książki, jakie w niej znalazł, których spis tu następuje; *primo*:

*Bigua salulis.*

*Rozporkus juris.*

<sup>215</sup>Śmierć Rolandowa — Wedle podania Roland po klęsce Ronsewalskiej miał umrzeć z pragnienia.

<sup>216</sup>księgarnia św. Wiktora — W owej bibliotece opactwa św. Wiktora, której księgozbiór składa się tu z dziwolągów częścią wymyślonych, częścią przekreślonych przez Rabelais'go, częścią wreszcie może i autentycznych, autor godzi tutaj po raz pierwszy w łamigłówni wiedzy scholastycznej i jej jałową erudycję. Przytaczanie tutaj wykładu poszczególnych tytułów (o ile do dziś dnia komentatorowie zdołali je wyłożyć) wydaje się tłumaczowi zbyt cnym.

*Pantofla decretorum.*  
*Malogranatum vitiorum.*  
*Knebel teologiczny.*  
*Eopatologia kaznodziei ułożona przez Tirlupena,*  
*Słomiane jajka dla stanu rycerskiego.*  
*Blekot biskupi.*  
*Eajnalnia de małpibus et dudkis, cum commento Dorbellis.*  
*Decretum Universitatis Parisiensis super gorgiasitatem muliercularum ad placitum.*  
*Objawienie się św. Gertrudy mniszce w Poissy, będącej w boleściach rodzenia.*  
*Ars honeste pierdzandi in societate, przez mistrza Ortwina.*  
*Musztardniczka pokuty.*  
*Papucie, alias ciżemki cierpliwości.*  
*Formicarium artium.*  
*De Polewkarum usu et honestate tykandi per Silvestrem Prieratem, Jacobinum.*  
*Ogolona pałka u dworu.*  
*Koszyk notariuszów.*  
*Przybory małżeńskie.*  
*Tygielek kontemplacji.*  
*Faramuszki jurystyczne.*  
*Ostroga winna.*  
*Kolec serny.*  
*Czyścibutorium scholarium.*  
*Tartaretus, de Modo cacandi.*  
*Fanfary rzymskie.*  
*Brykot, de Differentiis pieczystarum.*  
*Rozporek dyscypliny.*  
*Pantofel pokory.*  
*Bebechy dobrego myślenia.*  
*Saganek wielkoduszności.*  
*Pogrzebacz spowiedników.*  
*Reverendi patris fratris Lubini provincialis Lapae, de Złasowanda sperka, libri tres.*  
*Pasquilli, doctoris marmorei, de Capreolis cum karczocho comedendis, tempore papali*  
*ab Ecclesia interdicto.*  
*Misterium Świętego Krzyża, odegrane w sześć osób przez kleryków szpicyfindrów.*  
*Okulary Romipetów.*  
*Maioris de Modo kiszka facienda.*  
*Kobza prałatów.*  
*Beda, de Optimitate flakorum.*  
*Skarga adwokatów przeciw zniesieniu kubanów.*  
*Kocie sadło prokuratorów.*  
*Groch ze słoniną, cum commento.*  
*Kołaczyk odpustów.*  
*Praeclarissimi juris utriusque doctoris magistri Łupisz Łapigronii, de Połatandis glos-  
sae Accursianae bzduris Repetitio enucidiluculidissima.*  
*Stratagemata wolnostrelcii, Banioleta.*  
*Franctopinus, de Re militari, cum figuris Tevoti.*  
*De usu et utilitate skórobdzierandi equos et equas, autore M. Nostro de Quebecu.*  
*Magistra Rozbratla Oślejnogi, de Musztarda post obiadum podawanda, lib. qu-  
atuordecim, apostilati per M. Łapserdaczkum.*  
*O dziesięcinie jądrowej.*

Jabolenus, *de Cosmographia purgatorii*  
*Quaestio subtilissima, utrum Chimaera, in vacuo bombinans, possit comedere secundas intentiones: et fuit debatuta per decem hebdomadas in concilio Constantiensi.*

*Żłób na siano adwokatów.*

*Psujincausta Scoti.*

*Nietoperz kardynalski.*

*De Calcaribus removendis decades undecim, per M. Alberieum de Rosata.*

*Eiusdem, de Castrametandis crinibus lib. tres.*

*Wjazd Antoniego z Lewy do Brazylji.*

*Marforii bacalarii cubantis Romae, de Kulbaczandis et czapraczandis cardinalium*  
*Mulis.*

Apologia tegoż przeciw tym, którzy twierdzą, iż muł papieski jada jeno o swoich godzinach.

*Prognosticatio quae incipit, Silvii Sianowelbiei, balata per M. N. Wpietkęgonium.*

*Bandziobii episcopi, de Emulgentiarum profectibus enneades novem, cum privilegio popali ad triennium, et postea non.*

*Siusiudusiu prawiczeństwa.*

*Łysy pośladek wdowstwa.*

*Mnisza czkawka.*

*Bawidelka ojców celestynów.*

*Sakwy kwestarskie.*

*Kłapięgba Wiatrołyków.*

*Łapka na szczury teologalna.*

*Kopyto magistrów nauk.*

*Kuchciki Olkamskie o jednej tonsurze.*

*Magistri N. Liżytalerzii, de Grabelationibus horarum canonicarum, lib. quadraginta.*

*Buzeratorium confratiarum, incerto autore.*

*Gnojoródtwo hiszpańskie superkoklikantykowane, przez Fra Inigo.*

*Zajady liżygarnków.*

*Drapakadasmus rerum Italicarum, authore magistro Rapierek.*

*R. Lullius, de Faramuchiis principum.*

*Swędzipytha kopturis, auctore M. Jacobo Hocstratem haereticometra.*

*M. Ciepłojaja, de Magistrostrandorum et magistrostratorum Bibkis, lib. octo galantissimi.*

*Końskie wiatry bullistów, kopistów, skryptorów, abrewiatorów, referendariuszy i datariuszy, skompilowane przez Regisa.*

*Almanach wiecznotrwały dla podagryków i francowatych.*

*Maneries wymiatandi kominos, per M. Ecium.*

*Postronek kramarski.*

*Słodycze życia zakonnego.*

*Klituś bajduś świętoszków.*

*Gistorija błędnych ogników.*

*Dziadostwo włóczykijów.*

*Okpijduszstwo oficjantów.*

*Subtelności zawodu kwestarza.*

*Banialukum Sorbiniformum.*

*Antipericatametanařburydamphicribationes mendicantium.*

*Tasiemiec wierszorobów.*

*Zadodmuch alchemistów.*

*Stukupuku kwestarzy, wypośrodkowane przez brata Ładujkabzę.*  
*Wędzidła religii św.*  
*Poduszka starości.*  
*Kaganiec szlachestwa.*  
*Małpie ojczenaszki.*  
*Łamignat pobożności.*  
*Dwojaczki wielkiego postu.*  
*Moździerz życia politycznego.*  
*Packa na muchy pustelników.*  
*Kapturek pokutników.*  
*Tryktraczek braci Rypalów.*  
*Gamonius, de Vita et Honestate civis rozporkorum.*  
*Liripipii Sorbonici Moralisationes, per M. Lutpoldum.*  
*Kuśkusieńku podróżników.*  
*Tereferekukulationes doctorum Coloniensium adversus Reuchlin.*  
*Portatywy biskupów potatywnych.*  
*Kastanietki dla płci niewieściej.*  
*Tylny rozporek ciężkosrajów.*  
*Pytatorium haidukorum, per M. Razporazu.*  
*Figielki duchów polnych i leśnych.*  
*Gerson, De Auferibilitate papae ab Ecclesia.*  
*O Szurujzadzie nominatów i graduatów.*  
*Jo. Ditelrodii, de terribilitate excommunicationum libellus acephalos.*  
*Ingeniositas invocandi diabolos et diabolos per M. Guingolfum.*  
*Wiekuiesty bigos braci Perpetuonów.*  
*Maureska heretyków.*  
*Hopki-szopki Gaetana.*  
*Moczymordii, doctoris cherubici, de origine Beczygodzinkarum ei Gałyprzewracan-*  
*dium Ritibus, lib. septem.*  
*Sześćdziesiąt i dziewięć brewiarzy na gęstym szmalcu.*  
*Cnota kalduniasta pięciu zakonów żebraczych.*  
*Kudlarstwo świszczypałów ekstrahowane z futrzanego papucia inkomifistybulowanego*  
*w Summie angelicznej.*  
*Skorowidz roztrząsań sumienia. Górne dmuchy prezydentów. Oślęstwo przeorów.*  
*Górne dmuchy prezydentów.*  
*Oślęstwo przeorów.*  
*Sutoris, adversus quendam qui eum vocaverat eum szubrawium, et quod szubrawii*  
*non sunt damnati ab Ecclesia*  
*Cacatorium medicorum.*  
*Pomiotło astrologiczne.*  
*Campi Mysteriorum, per S. C.*  
*Pierdziwór aptekarzy.*  
*Całujzadek chirurgów.*  
*Justinianus, de capucis tollendis.*  
*Antidotarium animae.*  
*Merlinus Coccaius, de Patria diabolorum.*

Z których to dzieł niektóre już są wydrukowane, a niektóre drukują się dopiero w pocziwym miasteczku Tubingen<sup>217</sup>.

<sup>217</sup> drukują się (...) w pocziwym miasteczku Tubingen — W Tubingen drukowało się za czasów Rabelais'go wiele heretyckich i we Francji zakazanych książek.



VIII. JAKO PANTAGRUEL, PRZEBYWAJĄC W PARYŻU, OTRZYMAŁ LIST OD OJCA SWEGO GARGANTUI, KTÓREGO TO LISTU KOPIA JEST ZAŁĄCZONA<sup>218</sup>.

Jako widzicie jasno z tego, Pantagruel studiował bardzo pilnie i porastał w rozum co niemiara, objęcie bowiem miał głębokie jak kufer o podwójnym dnie, a pamięć obszerną jako dwanaście wiader oliwy. Owo gdy tak czas przepędzał, otrzymał jednego dnia list od ojca, następującej treści:

„Najukochańszy synu! Pośród wszystkich darów, łask i przywilejów, którymi najwyższy nasz Stwórca i Bóg wszechmogący obdarzył i ozdobił naturę ludzką w jej samym poczęciu, jeden dar wydaje mi się szczególnie doskonały: mianowicie ten, mocą którego może człowiek w swym stanie śmiertelnym zdobyć sobie jakoby rodzaj nieśmiertelności i w ciągu swego przemijającego żywota utrwalić imię swe i pokolenie. To zaś dzieje się drogą potomstwa spłodzonego przez nas w prawym małżeństwie. W ten sposób przywrócono nam poniekąd to, cośmy utracili przez grzech pierwszych rodziców, o których powiedziano, iż skoro byli nieposłuszni rozkazaniu Boga, swego Stwórcy, umrą i przez tę śmierć obróci się w nicość owa wspaniała materia wypełniająca kształt człowieczy.

Otóż za pomocą tej propagacji seminalnej posiadał człowiek moc, iżby utrwalił w dzieciach to, co zamiera w rodzicach, a we wnukach to, co zamiera w dzieciach i tak kolejno aż do godziny Sądu Ostatecznego, kiedy Jezus Chrystus odda w pokój Bogu, Ojcu swemu, królestwo jego, próżne już niebezpieczeństw i zakąły grzechu. Wówczas ustanie wszelkie płodzenie i zepsucie i elementy wstrzymają się w swych nieustannych przemianach, ile że ziści się i dokona tak upragniony pokój i wszystkie rzeczy dobiegną swego celu i kresu.

Nie bez słusznej tedy i godziwej przyczyny składam dzięki Bogu, zachowawcy mojemu, iż pozwolił mi oglądać, jak moja sędziwa starość odradza się w twojej młodości. Kiedy bowiem za jego łaskawą wolą, która wszystkim rządzi i włada, dusza moja opuści to ziemskie mieszkanie, nie będę rozumiał, iż całkowicie umieram, jeno iż przechodzę z jednego miejsca w drugie; zważywszy, iż w tobie i przez ciebie pozostanę na tym świecie w swoim widzialnym obrazie, żyjąc, bawiąc się a obcując między godnymi ludźmi, a mymi przyjaciółmi, jak było moim obyczajem. Które to utrwalenie moje stało się dzięki łasce i pomocy bożej, nie bez grzechu, wyznaję to (grzeszymy bowiem wszyscy i nieustannie modlimy się do Boga, aby odpuścił nasze grzechy), ale bez zakąły.

Dlatego też, tak jak w tobie ma przetrwać obraz mojego ciała, nie można by cię uważać za stróża i skarbnika nieśmiertelności naszego imienia, gdyby tak samo nie błyszczały w tobie i przymioty duszy, i rozkosz moja z tego widoku byłaby skąpa, zważywszy, iż jeno najlichsza część mnie samego, to jest ciało, zostałaby przy życiu, najlepsza zaś, to jest dusza, przez którą imię nasze jest w błogosławieństwie u ludzi, byłaby znikczemniała i szpetna. A mówię to, nie iżbym nie pokładał ufności

Ojciec, Syn,  
Nieśmiertelność,  
Dziedzictwo, Ciało,  
Nauka

<sup>218</sup>*Pantagruel* (...) otrzymał list od ojca swego *Gargantui* — List ten, kreślony przez Rabelais'go zupełnie poważnie, charakterystyczny jest dla owego upojenia wiedzą tryskającą naraz z tylu nowych źródeł (humanizm, odkrycie nowych światów, rozwój sztuki drukarskiej), właściwego epoce odrodzenia. Plan nauk, jaki zakreśla tutaj *Gargantua* swemu synowi, widzimy w znacznej części przeprowadzony w praktyce w ks. I (jak wiadomo powstałej później niż I. część *Pantagruela*).

w twej cnocie, o której już nieraz miałem sposobność się przekonać, jeno aby tym silniej umocnić cię na tej drodze.

I to, co teraz piszę, nie tyle ma na celu skłonić cię, byś trwał w tym cnotliwym obyczajach, jeno abyś radował się, iż tak żyjesz i żyłeś dotąd, i abyś krzepił się podobną chęcią na przyszłość. Ku temu celowi może też zbawienne będzie ci mieć w pamięci, jako niczego dlań nie oszczędzałem, ale wspomagałem cię we wszystkim, jak gdybym nie miał na świecie innego dobra, niż ujrzeć cię kiedyś skończonym i doskonałym, tak w cnocie, poczciwości i bojaźni bożej, jak we wszelkiej przystojnej i godziwej wiedzy, i takim zostawić cię po mej śmierci, jako zwierciadło przedstawiające osobę jakoby moją, twego ojca. A jeśli nie tak doskonałym i niezupełnie takim, jakim bym pragnął, to z pewnością takim w twoich chęciach.

Ale mimo iż czcigodnej pamięci ojciec mój, Tęgospust, dokładał wszelkich starań, abym mógł doskonalić się we wszelakich przymiotach i politycznej wiedzy, i mimo iż żarliwość moja w tych studiach zadawała, może nawet prześcigała, jego życzenia, wszelako, jak snadnie pojmiesz, czasy ówczesne nie były tak sposobne ani tak sprzyjające naukom jak obecny i nie miałem takich wzorów ani nauczycieli, jak ty miałeś. Czasy były jeszcze ciemne i trącające oplakany wpływem Gotów, którzy wydali na zniszczenie całą piękną i dobrą literaturę. Ale za łaską boską jeszcze za mego życia nauki i wiedza odzyskały światło i godność, i doszły do takiej wyborności, iż obecnie ledwie mógłbym zasiąść w najniższej klasie z małymi uczniakami, ja, który w swym wieku męskim byłem (nie bez słuszności) uważany za najuczestniejszego męża swego czasu.

Czego nie powiadam dla próżnej chwalby (mimo iż mógłbym to godziwie uczynić, jako masz przykład w dziele Marka Tuliusza *O starości* i sentencjach Plutarcha w dziele zatytułowanym: *Jak można się chlubić bez zawści*), ale aby ci dodać bodźca do tym górnieszego dążenia.

Obecnie wszystkie nauki odżyły i wróciły do czci, języki zmartwychwstały: grecki, bez którego wstydem jest, aby ktoś się mógł mienić uczonym; hebrajski, chaldejski, łaciński. Kwitnie sztuka drukarska, tak wyborna, tak udoskonalona, którą wynaleziono swego czasu z natchnienia bożego, tak jak, przeciwnie, broń palną z podszeptu szatana. Świat pełen jest ludzi uczonych, najświetlejszych nauczycieli, najwspanialszych księgarń; i sądzę, iż ani za czasów Platona, ani Cycerona, ani Papiniana, nie było takich ułatwień w nauce jak obecnie. Niełatwo od dziś będzie znaleźć miejsce w świecie albo w towarzystwie komuś, kto nie będzie dobrze oglądony w warsztacie Minerwy. Mniemam, iż dzisiaj rozbójnicy, kaci, pastuchy i drapichruści bardziej są biegli w naukach, niż byli księża i kaznodzieje za moich czasów.

Cóż więcej? Niewiasty a dziewice zatęskniły do owej chwały i niebiańskiej manny godziwej nauki. Dość powiedzieć, iż ja, w moich latach, zniewolony byłem nauczyć się języka greckiego, którego nie potępiałem wprawdzie jak Katon, ale którego nie miałem sposobności przyswoić sobie za młodu. I chętnie rozkoszuję się czytaniem *Moralów* Plutarcha, pięknych *Dialogów* Platonowych, *Monumentów* Pauzanasza i *Starożytności* Ateneusza, oczekując godziny, w której spodoba się Bogu, memu Stwórcy, powołać mnie i kazać mi opuścić tę ziemię.

Dlatego, synu mój, upominam cię, abyś korzystając z młodości, dobrze wydoskonalił się tak w naukach, jak w cnocie. Bawisz w Paryżu, masz za preceptora Epistemoną: z których jeden przez żywą i słowną naukę, drugi chwalebny przykładami może cię pouczać. Rozumiem i pragnę, abyś najdoskonalej wyćwiczył się w językach. Najpierw w greckim, jako zaleca Kwintyliusz, następnie w łacińskim: później w hebrajskim dla czytania Pisma Św.; w chaldejskim i w arabskim również; i abyś kształtował swój styl, co się tyczy greckiego, wzorując się na Platonie; co się tyczy łaciny na Cyceronie; również życzę, abyś miał w żywej pamięci wszelką wiedzę historyczną, do czego pomoże ci kosmografia uczonych autorów. Z nauk wyzwolonych pamiętaj o geometrii, arytmetyce i muzyce: starałem się w tobie obudzić zamiłowanie do nich, kiedyś był jeszcze mały, w wieku pięciu czy sześciu lat; kształć się w nich dalej, a także zapoznaj się gruntownie z prawidłami astronomii. Zostaw na boku astrologię wróżbitów, jak również sztukę Liliusa, jako czcze złudy i mamidła. Chciałbym natomiast, abyś posiadał na pamięć piękne teksty z prawa cywilnego i umiał komentować je filozoficznie.

Pragnę również, abyś poświęcił się bardzo pilnie zgłębianiu i poznawaniu zjawisk natury; niech nie będzie morza ani rzeki, ani źródła, których ryby byłyby ci nieznane: wszystkie ptaki w powietrzu, wszystkie drzewa, krzewy i owoce w lasach, zioła na łące, wszystkie metale ukryte w łonie ziemi, kamienie całego Wschodu i Południa, nic niech ci nie będzie tajemnym i obcym.

Następnie zbadaj starannie księgi lekarzy greckich, arabskich i łacińskich, nie zaniedbując też talmudystów i kabalistów; i przy pomocy częstego badania zwłok staraj się nabyć dokładnej znajomości drugiego świata, którym jest człowiek. I przez kilka godzin dziennie wzwyczaj się zagłębiać w Księdze Świętego Pisma. Najpierw po grecku w Nowy Testament i Listy Apostołów, następnie po hebrajsku w Stary Testament. Słowem, niech widzę w tobie otchłań wiedzy; rychło bowiem, skoro dojdiesz lat dojrzałych i wzrosniesz na męża, trzeba ci będzie porzucić ten spokój i swobodę, jakich zażywałeś w swoich studiach, i zaprawiać się do rycerskiego rzemiosła i sztuki wojennej, aby bronić swego domu i wspierać naszych przyjaciół we wszystkich sprawach przeciw zakusom niegodziwców. I chcę, abyś zawczasu wypróbował też swoich postępów; ku czemu najlepszą drogą będzie ci podtrzymywać dysputy we wszelkich gałęziach wiedzy publicznie, wobec wszystkich i przeciw wszystkim, jak również nawiedzać ludzi uczonych, których pod dostatkiem znajdziesz w Paryżu i indziej.

Ale ponieważ, wedle mądrego Salomona, mądrość nie wchodzi do duszy niegodziwej i wiedza bez sumienia jest jeno ostatnią zagubą duszy, należy ci wielbić, miłować i lękać się Boga, i w nim pokładać wszystkie myśli i wszystkie nadzieje; i trzymać się go silnie mocą wiedzy kierowanej miłością bliźniego, tak abyś nigdy nie odpadł przez pokusę grzechu. Nie otwieraj serca głosowi próżności: życie nasze przemija wrychle, ale słowo Boże trwa wiecznie. Bądź ludzki dla swoich bliźnich i kochaj ich jak siebie samego. Czcij swoich nauczycieli, unikaj towarzystwa osób, do których nie chciałbyś być podobnym, abyś snadź nie obrócił na marne łask, których Bóg ci użyzył. A kiedy uznasz, iż nabyłeś już pod dostat-

kiem wiadomości, wracaj do mnie, iżbym cię oglądał i dał ci błogosławieństwo nim umrę.

Mój synu, pókJ i łaska Stwórcy niechaj będzie z tobą, Amen.

Pisano w Utopii, siedemnastego dnia miesiąca marca.

Twój ojciec,  
*Gargantua*”.

Ujrzawszy i odczytawszy ten list, Pantagruel ożywił się świeżym zapalem i rozgorzał większą niżli wprzódę chęcią kształcenia się we wszelakiej umiętności. Owo widząc go, jak się doskonalili i zdobywa wiedzę, rzeklibyście, iż duch jego między książkami płonie jakoby płomień wśród suchego paliwa, tak był żywy i nieugaszony.

## XI. JAKO PANTAGRUEL SPOTKAŁ PANURGA<sup>219</sup>, KTÓREGO POKOCHAŁ NA CAŁE ŻYCIE

Jednego dnia Pantagruel zażywając przechadzki za miastem wpodłe opactwa Św. Antoniego i rozmawiając a filozofując ze swymi ludźmi i co niektórymi ze szkolarzy, spotkał człowieka pięknej postawy, wdzięcznie uformowanego we wszystkich proporcjach ciała, ale srodze okaleczalego po różnych miejscach i tak obszarpanego, iż można było o nim mniemać, że dopiero co wydarto go psom z gardzieli.

Skoro tylko ujrzał go Pantagruel, rzekł do otaczających:

— Widzicie tego człowieka, który idzie oto ku nam od Szarentońskiego mostu? Na honor, nędzarzem jest on tylko ze zrządzenia losu, sądząc bowiem z jego twarzy, mogę was upewnić iż natura wydała go z możnego i szlchetnego rodu; ale życie niespokojne i ciekawe przygód, doprowadziło go do takiej nędzy i upadku.

Zaczem, gdy tamten zbliżył się na wprost nich, spytał:

— Mój przyjacielu, proszę cię, chćiej zatrzymać się nieco i odpowiedz na to, o co spytam, a nie pożałujesz tego. Szczerze bym pragnął wedle swojej mocy wspomóc cię w niedoli, w jakiej się znajdujesz, żal mi cię bowiem serdecznie. Zatem, przyjacielu, powiedz, kto jesteś, skąd przybywasz? dokąd idziesz? czego szukasz? i jakie twe imię?

Zasię tamten odparł mu w języku germańskim:

— *Junker, Gott geb euch Glück und Heil zuvor. Lieber Junker, ich lass euch wissen, das da ihr mich von fragt, ist ein arm und erbarmlich Ding, und wer viel darvon zu sagen, welches euch verdrusslich zu hören und mir zu erzählen war, wiewohl die Poeten und Orators vorzeiten haben gesagt in ihren Sprüchen und Sentenzen, dass die Gedächtnis des Elends und Armut vorlangst erlitten ist an grosser Lust.*

Na co odrzekł Pantagruel:

— Przyjacielu, nie rozumiem tego szwargotu: jeśli chcesz, aby cię zrozumiano, przemów innym językiem.

Wówczas tamten odpowiedział:

— *Al barildim gotfano dech min brin alabo dordin falbroth ringuam albaras. Nin porth zadilrin almucathim milko prim el elmin entboth dal heben ensouim: kuth im al dim alkatim nim broth dechoth porth michas im endoth, pruch dal marsouimm hol moth dansrikim lupaldas in voldemoth. Nin hur diaaolth marbothim dag gousch pal frapin duch in scoth pruch galeth dal Chinon, min foultrich al conin butbathben doth dal prim<sup>220</sup>.*

— Rozumiecie co z tego? — rzekł Pantagruel do swoich.

Na co Epistemon:

— Zdaje się, że to język antypodów: diabeł by tego nie ukąsił.

<sup>219</sup>*Panurg* — od greckiego *pan* wszystko i *ergon* praca, dzieło (*factotum*). Imię to w tym znaczeniu spotyka się już u starożytnych.

<sup>220</sup>*Al barildim (...) prim* — Rzekomo po arabsku.

Zaczem rzekł Pantagruel:

— Mój kochasiu, nie wiem, czy te mury cię rozumieją, ale z nas żaden ani dudu.

Na to wędrowiec:

— *Signor mio, voi vedete per esempio che la cornamusa non suona mai s'ella non a il ventre pieno: cosi io parimente non vi saprei contare le mie fortune, se prima il tribulato ventre nona la solita refettione. Al quale e adviso che le mani et li dent habbiano perso il loro ordine naturale et del tutto annichilati*<sup>221</sup>.

Na co odpowiedział Epistemon:

— Tyleśmy mądrzy z tego, co z tamtego.

Wówczas rzekł Panurg:

— *Lord, if you be so vertuous of intelligence, as you be naturally releaved to the body, you should have pity of me: for nature hath made us equal, but fortune hath some exalted, and others deprived: nevertheless is vertue often deprived, and the vertuous men despised: for before the last end none is good*<sup>222</sup>.

— Jeszcze mniej — odpowiedział Pantagruel.

Na to znów Panurg:

— *Jona andie guaussa goussy etan beharda er remedio beharde versela ysser landa. Anbat es otoy y es nausu ey nessassust gourray proposian ordine den. Nonyssena bayta facheria gen herassy badia sadassu noura assia. Aran bondauan gualde cydassu naydassuna. Estou oussyc eg vinau soury bien er darstura eguy harm. Genicoa plasar vadu*<sup>223</sup>.

— Tuście zaszli — rzekł Eudemon — Genicoa?

Na co rzekł Karpatim:

— Niech mnie drzwi ścisną, coś mi się zdawało, że to po szkocku.

Wówczas odparł Panurg:

— *Prug frest frinst sorgdmand strochdt druds pag brlelang gravot chavygny pomardiere rusth pkalhdracg Deviniere pres Nays. Kuper kalmuch monach drupp del meupplist rincq drlud dodelb up drent loch minc ring iald vins ders cordeli bur jocst stzampenards*<sup>224</sup>.

Na co odrzekł Epistemon:

— Czy mówisz po chrześcijańsku, mój przyjacielu, czy po patelińsku? Nie, to jakiś język z krainy latarników.

Zaczem rzekł Panurg:

— *Heere, ik en spreeke anders geen taale, dan kersten taale, my dunkt nochtans al en zeg ik u niet een woord, mijnen nood verklaart ganoeg wat ik begeere: geef my uit bermbertigheit net, waar van ik gevoed mag zijn*<sup>225</sup>.

Na to odparł Pantagruel:

— Tacyśmy mądrzy jak wprzódy

Zaczem rzekł Panurg:

— *Segnor, de tanto hablar yo soy cansado, por que yo suplico a vuestra reverencia que mire a los preceptos evangelicos, para que ellos movan vuestra reverencia e lo que es de conciencia; y si ellos non bastaren para mover vuestra reverencia a piedad, yo suplico que*

<sup>221</sup>Signor (...) annichilati — Po włosku: „Panie, widzisz pan po moim przykładzie, że kobza nie zagra, jeśli ma brzuch pusty. Tak też i ja nie umiałbym panu opowiedzieć moich losów, jeśli wprzódy utrapiony bandzioch nie otrzyma sumiennego pokrzepienia. Mniema on, iż ręce i zęby straciły swoje naturalne przeznaczenie i ze wszystkim są unicestwione”.

<sup>222</sup>Lord (...) good — Po angielsku: „Panie, jeżeli tak jesteś potężny w rozumie, jak pokażny co do cielesnego wzrostu, to powinienes ulitować się nade mną, natura bowiem stworzyła nas jednako, tylko szczęście jednych wywyższa, a drugich poniża; pomimo to cnota często bywa poniżona, a cnotliwy podany na wzgardę, przed ostatecznym bowiem końcem nikt nie jest dobry.

<sup>223</sup>Jona (...) vadu — po baskijsku.

<sup>224</sup>Prug (...) stzampenards — po holendersku.

<sup>225</sup>Heere (...) zijn — po holendersku.

*mire a la piedad natural, la qual yo creo que la movera como es de razon: y con eso non digo mas*<sup>226</sup>.

Na co odparł Pantagruel:

— Dobrze już, przyjacielu, nie wątpię wcale, że umiesz dobrze mówić rozmałą gwarą; ale powiedz, o co ci chodzi, w jakimś języku, który byśmy mogli wyrozumieć.

Zaczem rzekł ów kompan:

— *Min Herre, endog ieg med ingen tunge talede, ligeson born, oc uskellige creature: Mine klaedebon, oc mit legoms magerbed udviser alligevel klarlig hvad ting mig best behof gioris, som er sandelig mad oc dricke: Hvorfor forbarme dig over mig, oc befal at gtve mig noguet, af hvilcket ieg kand styre min gioendis mage, ligerviis som man Cerbero en suppe forsetter. Saa skal du lefve laenge oc lycksalig*<sup>227</sup>.

— Zdaje mi się — rzekł Eustenes — że to Goci mówią tą gwarą. I gdyby taka była wola boża, tak samo my byśmy gadali zadkiem.

Wówczas rzekł przybysz:

— *Adoni, scholom lecha: im isbar harob hal habdeca bemeherab thithen li kikar lehem, cham cathub: laabal adonai eho nen ral*<sup>228</sup>.

Na co odparł Epistemon:

— Teraz dobrze zrozumiałem: jest to mowa hebrajska wygłoszona doskonałą retoryką.

Zaczem rzekł ów kompan:

— Despota tinyn panagathe, diati sy mi ouk artodotis? horas gar limo analisco-menon eme athlion, ke en to metaxy me ouk eleis oudamos, zetis de par emea ha ou chre. Ke homos philologi pantes homologousi tote logous te ke remata peritta hyparhin, hopote pragma afto pasi delon esti. Entha gar anankei monon logi isin, hina pragmata (hon peri amphisbetoumen) me prosporos epiphenete.<sup>229</sup>

— A to co? — rzekł Karpalin, sługa Pantagruelowy — to po grecku, wyraźnie rozumiałem. Cóż to? bywałeś w Grecji?.

Zaczem rzekł tamten:

— *Aganou dont oussyz vou denagouer algarou, nou den farou zamist vou mariston ulbrou, fousquez vou brol tam bredaguez moupregon den goul houst daguez nou croupys fost bardunoflist nou grou. Agou paston tol nalprissys hourtou los ecbatonous, prou dbouquys brol panygou den bascrou nou dous caguons goulfren goul oust troppassou*<sup>230</sup>.

— To zdaje mi się, rozumiem — rzekł Pantagruel — albo to jest język mojego kraju Utopii, albo też bardzo doń podobny z dźwięku.

I miał zacząć jakieś przemówienie, kiedy obcy rzekł:

— *Iam toties vos, per sacra, perque deos deasque omnes, obtestatus sum, ut si qua vos pietas permovet, egestatem meam solaremini, nec hilum proficio clamans et eiulans. Sinite, queso, sinite, viri impii, quo me fata vocant abire, nec ultra vanis vestris interpellationibus obtundatis memores veteris illius adagri, quo venter famelicus auriculis carere dicitur*<sup>231</sup>.

<sup>226</sup> *Segnor (...) non digo mas* — po hiszpańsku.

<sup>227</sup> *Min Herre (...) lycksalig* — po duńsku.

<sup>228</sup> *Adoni (...) nen ral* — po hebrajsku.

<sup>229</sup> *Despota (...) epiphenete* — po grecku.

<sup>230</sup> *Aganou (...) troppassou* — Galimatias, który uważano to za język węgierski, to za jakieś narzecze francuskie.

<sup>231</sup> *Iam (...) dicitur* — Po łacinie: „Już tyle razy zaklinałem was na wszystko, co święte, na wszystkich bogów i boginie; abyście, jeżeli zdolni jesteście jeszcze do uczuć litości, wsparli mnie w mojej nędzy; ale na nic nie zdały te moje skargi i wyrzekania. Pozwólcie, proszę, pozwólcie, okrutnicy, iść, dokąd mnie los mój woła i nie macie mnie dłużej waszymi czczymi zagadywaniami, pamiętni starego przysłowia, że głodny brzuch, jak powiadają, pozbawiony jest uszu”.

— Mój dobry przyjacielu — rzekł Pantagruel — czy ty nie umiesz mówić po francusku?

— Owszem, panie, bardzo dobrze — odparł przybysz — Bogu dzięki, jest to mój język ojczysty i przyrodzony; urodziłem się i wychowałem w ogrodzie Francji, to jest Turenii.

— Zatem — rzekł Pantagruel — powiedzcie nam, jak się zowiesz i skąd przybywasz: na honor bowiem, od pierwszego wejrzenia powziąłem dla cię miłość tak wielką, i jeżeli będziesz posłusznym mej chęci, nigdy nie opuścisz mego towarzystwa i będzie z nas dwóch para nierozłącznych przyjaciół, jako niegdyś Eneas i Achates.

— Panie — odparł przybysz — moje własne i prawdziwe imię jest Panurg; obecnie wracam z Turcji, gdzie mnie uprowadzono jeńcem, kiedy w nieszczęsną godzinę wybrałem się do Metelina<sup>232</sup>. I chętnie opowiedziałbym wam swoje losy, które są bardziej niezwykle niż dzieje Ulissa, ale, skoro wam się podoba zatrzymać mnie przy sobie (na co przystaję chętnie, klnąc się, iż nigdy was nie opuszczę, choćbyście nawet wybierali się do wszystkich diabłów), innym dogodniejszym czasem będziemy mieli dość sposobności, aby to sobie opowiedzieć. Na teraz bowiem czułbym bardzo pilną potrzebę odżywić się: zęby ostre, brzuch pusty, gardło suche, apetyt diabelski, wszystko po temu gotowe. Jeżeli chcecie, bym puścił w ruch to wszystko, szczerą rozkosz będzie dla was patrzeć, jak będę się zajadał; na Boga, każcie tylko.

Wówczas kazał Pantagruel, aby go zawieziono do mieszkania i przyniesiono siła żywności, co się też stało. I podjadł bardzo pilnie tego wieczora i poszedł spać z kurami jak kapłon i spał dużo do następnego dnia do obiadu, tak iż jednym susem znalazł się znowuż z łóżka przy stole<sup>233</sup>.

#### X. JAKO PANTAGRUEL SPRAWIEDLIWIE OSĄDZIŁ NIEZWYKLE ZAWIŁĄ A TRUDNĄ KONTROWERSJĘ I TAK MĄDRZE, IŻ WYROK JEGO UZNANO WSPANIALSZYM OD SĄDU SALOMONA<sup>234</sup>.

Pantagruel, dobrze pamiętny listów i napomnień ojca, zapragnął jednego dnia wypróbować swoją wiedzę. W tym celu po wszystkich rynkach i placach ogłosił tezy, w liczbie dziewięciu tysięcy siedmuset sześćdziesięciu i czterech w zakresie wszelkiej nauki, dotykając w nich najbardziej piekących wątpliwości istniejących w jakiegokolwiek gałęzi wiedzy.

Owóz najpierw na ulicy Siennej, gdzie stoją gmachy uniwersytetu, stawiał czoło wszystkim regentom, bakałarzom i oratorom i powalił wszystkich na zadki. Następnie w Sorbonie walczył gębą przeciw wszystkim teologom, przez sześć tygodni od czwartej rano do szóstej wieczorem, wyjąwszy dwie godziny przerwy na odżywienie się i pokrzepienie sił: nie broniąc wszelako owym sorbonicznym teologom odwilżać gardło i krzepić się w szyneczku, jako było ich obyczajem.

I była przy tym obecna wielka ilość dworzan, prezydentów, rajców, skarbników, bankierów, sekretarzów, adwokatów i innych, także i syndyków miejskich, i lekarzy, i kancelistów. A trzeba wam wiedzieć, że i ci zrywali się do dysputy; wszelako mimo ich sztuczki i wykręty, zapędził ich wszystkich w kozi róg i wykazał im naocznie, że są z nich wszystkich jeno ubirecone barany. Zaczem zrobił się w mieście huczek i wszędzie gadano o jego tak cudownej wiedzy, zgoła aż do pocziwych praczek, rajfurek, traktierniczek, gałganiarek i innych, które, kiedy widziały go przechodzącego

<sup>232</sup>Metelin — Mitylena. W roku 1502 odbyła się mała, nieudana zresztą, wyprawa krzyżowa przeciw Turkom,

<sup>233</sup>jednym susem znalazł się znowuż z łóżka przy stole — *saut d'allemand*, skok z łóżka do stołu.

<sup>234</sup>Jako Pantagruel (...) od sądu Salomona — Ten i następane rozdziały są świetną satyrą na ówczesne sądownictwo.

ulicą, krzyczały: „To on”; w czym znajdował przyjemność, tak samo jak Demostenes, książę oratorów greckich, lubił, gdy jaka stara zmurszała baba pokazując nań palcem mówiła: „To ten”.

Owo w tym samym czasie toczył się przed sądem proces między dwoma magnatami, z których jeden, skarżący, nazywał się imię Pocałuj, drugi zaś, oskarżony, imię Powąchaj. Spór zaś, który się między nimi toczył, był tak górny i tak zawikłany w prawie, iż cały najwyższy trybunał ani w ząb nie mógł nic zeń wyrozumieć. Zaczem z rozkazaniami króla, zgromadzono cztery największe i najtłustsze trybunały Francji, także wielką Radę i wszystkich głównych uniwersyteckich regentów nie tylko z Francji, ale z Anglii i z Włoch, jako Jazona, Filipa Dece, Petrusa de Petronibus<sup>235</sup> i wielu innych starych wyjadaczy fascykułów. Tak zgromadzeni, trwając przez przeciąg czterdziestu i sześciu tygodni, nie mogli sprawy ugryźć ani też rozeznąć się w niej należycie, aby ją w jaki bądź sposób wedle prawa osądzić: o co byli tak wściekli, iż szpetnie popuszczali w pludry ze wstydu. Jednego dnia, kiedy już wszyscy byli prze-filosubtyliodocieni na mózgu, jeden z nich, zwany Dukiet, najuczeńszy, najbardziej doświadczony i roztropny ze wszystkich, rzekł:

— Panowie, długo już paramy się tutaj, nic nie zdziaławszy, wydając jeno gro-siwo; i nie możemy znaleźć dna ani brzegu w tej materii. Przeciwnie, im dłużej ją wertujemy, tym mniej rozumiemy, co jest z wielkim wstydem i udręką sumienia; tak, iż gotowe się to skończyć z naszą wielką hańbą, bzdurzymy bowiem jeno po prostu na naszych konsultacjach. Ale oto, co wymyśliłem. Słyszeliście wszakże o onej znamienitej osobistości imieniem Pantagruel, którego uznano jako uczonego ponad miarę dzisiejszego czasu, a to na podstawie dysput, które podjął i wytrzymał przeciw wszystkim publicznie. Moje zdanie jest, byśmy go zawezwali i naradzili się z nim nad sprawą: jeżeli on sobie nie da rady, nikt tu już w świecie nie poradzi.

Na co chętnie zgodzili się wszyscy rajcy i doktorowie. Tedy nie mieszkając, posłali doń i prosili, aby zechciał ten proces należycie przedłużyć i przemachlować i przedstawić im o nim raport taki, jak mu się rzecz wyda, wedle umiejętności prawniczej; i wydali mu w ręce wszystkie akty i wory z papierzyskami, które ledwo zdołali władować na cztery srogie osły.

Ale Pantagruel im rzekł:

— Prześwietni sędziowie, żali<sup>236</sup> ci, którzy wiodą ów proces z sobą, są jeszcze przy życiu<sup>237</sup>?

Odpowiedziano, że tak.

— Po kiegoż tedy diabła — rzekł — zdadzą się te sterty papierów i szpargałów, które mi tu wtykacie? Nie lepiej usłyszeć żywym głosem przedmiot ich sporu, niż czytać te bazgroty, w których jest jeno samo tumanienie ludzi, diabelskie kruczki Cepoli i obchodzenie prawa? Jestem bowiem pewny, że wy, i wszyscy, przez których ręce przeszedł ów proces, kręciliście tam jako szewc skórą, coście mogli, pro et contra, i gdyby nawet ich spór był prosty i łatwy, zaciemnilibyście go głupimi i bezrozumnymi racjami i wszelakimi bzdurami Akursa, Balda, Bartola, de Kastrą, Imoli, Hipolita, Panorma, Bertachina, Aleksandra, Kurcjusza<sup>238</sup> i innych starych tumanów, którzy nigdy nie pojęli ani najmniejszego paragrafu z Pandektów i byli jako owe tłuste ciotki dziecięciny, nieświadome elementarnych pojęć prawa. Bowiem

<sup>235</sup>Jazon, Filip Dece, Petrus de Petronibus — Sławni prawnicy współcześni.

<sup>236</sup>żali a. zali (daw.) — czy, czyż.

<sup>237</sup>ci, którzy wiodą ów proces z sobą (...) usłyszeć żywym głosem przedmiot ich sporu — Roztropny Pantagruel na kilka wieków wyprzedził wprowadzenie procedury ustnej w sprawach cywilnych, zdobycząc ostatnich dziesiątków naszej epoki.

<sup>238</sup>Akursa (...) Kurcjusza — Słynni juryści średniowieczni.



(więcej niż pewne) nie mieli znajomości nie tylko języka greckiego ani łacińskiego, ale nawet gockiego i barbarzyńskiego. A pewną jest rzeczą, iż pierwsze prawa zostały wzięte od Greków, jako macie o tym świadectwo w Ulpianie, *l. posteriori, de Origine juris* i wszystkie prawa pełne są sentencji i słów greckich; następnie ułożone są w łacinie najwykwintniejszej i najozdobniejszej, jaka istnieje w całym łacińskim języku, nie wyjmując nawet Salustiusza ani Varona, ani Cyncerona, ani Seneki, ani Tytusa Liwiusza, ani Kwintyliana. Jakżeby tedy mogły zrozumieć tekst praw te stare tumany, które nigdy nie widziały książki pisanej porządną łaciną, jak o tym jawnie świadczy ich styl, godny raczej kominarza albo kuchty niż uczonego prawnika.

Co więcej, zważywszy, iż prawa wysnute są z moralnej i przyrodzonej filozofii, jakżeby je mogli zrozumieć te matolki, które, przebóg, mniej ćwiczyli się w filozofii niż moja oślica? Co się tyczy nauk humanistycznych i znajomości starożytności i historii, tyle są nimi strojni co ropucha piórami i tyle się nimi posługują co świnią szklanką; a wszak wiedza prawna pełna jest tych nauk i bez tego nie można jej zrozumieć, jak to im kiedyś jeszcze oczywiście wykażę na piśmie. Dlatego jeżeli chcecie, abym się rozeznał w tym procesie, najpierw rzućcie w ogień wszystkie te szpargały, a następnie każcie tym szlachcom stawić się osobiście; wysłuchawszy ich, powiem wam moje o tym rozumienie, bez wszelkiego krętactwa i obłudy.

Wielu próbowało się przeciwiać, jako to wiecie, że w każdym zgromadzeniu więcej jest głupców niż rozumnych, i że większa część przeważy zawsze lepszą, jak to powiada Tytus Liwius o Kartagińczykach. Ale ów Dukiet stanął po męsku przy swoim, twierdząc, iż dobrze rzekł Pantagruel; że te reguły, ankiety, repliki, dupliki, sprzeciwy, salwacje i inne kaduki są jeno czystym wykręcaniem prawa i przedłużaniem procesu i że niech wszyscy diabli porwą ich wszystkich razem, jeśli nie będą postępować innym sposobem, wedle filozoficznej i ewangelicznej słuszności. Ostatecznie spalono wszystkie fascykuły i wezwano obu szlachciców do stawiennictwa. Zaczem rzekł Pantagruel:

— Czy wy jesteście ci, którzy mają z sobą tak wielką zwadę?

— Tak, panie — odrzekli.

— Któryż jest stroną skarżącą?

— To ja — rzekł pan Pocałuj.

— Owo, przyjacielu, powiedzże mi punkt po punkcie swoją sprawę, wedle prawdy: a do kroćset bomb, jeśli zelżesz słowo, zdmuchnę ci tę głowę z ramion i pokażę ci, że przed sądem i wobec sędziów nie godzi się mówić co insze, jeno samą prawdę; dlatego strzeż się dodać co albo ująć. Teraz gadaj.

## XI. JAKO IMĆPANOWIE POCAŁUJ I POWĄCHAJ PRAWOWALI SIĘ PRZED PANTAGRUELEM BEZ ADWOKATÓW.

Rozpoczął tedy imć Pocałuj jak następuje:

— Panie, zatem prawdą jest; iż jedna dobra kobiecina z mego domu nosiła jaja na targ.

— Nakryj głowę, mości Pocałuj — rzekł Pantagruel.

— Unizenie dziękuję — rzekł imćpan Pocałuj. — Ale stało się, iż przechodziła między dwoma tropikami, zbliżając się ku zenitowi o sześć grajcarów i oczko, ile że Góry Rypejskie cierpiały w tym roku na wielki niedostatek giloródtwa wskutek znacznych rozruchów u banialuków, jakie wszczęły się między Plećpleciugami a Akursynami, z powodu buntu Szwajcarów, którzy się zebrali w liczbie trzech, sześciu, dziewięciu i dziesięciu, aby iść do Jemioły, w pierwszą dziurę nowego roku, kiedy się to daje zupę wołom, a klucz od węglarki dziewczętom, iżby psom podsy-

pały owsa. Przez całą noc (jak mi Boga przy skonaniu) wyprawiano jeno posłańców konnych i pieszych, aby zatrzymać okręty; krawcy bowiem chcieli sporządzić z naradzionych płam

wielką obrożę,  
Aby nią spętać Oceanńskie Morze,

które było podówczas brzemienne pełnym garnkiem kapusty, wedle opinii parobków do wiązania słomy; fizycy zaś powiadali, iż z uryny jej nie mogli poznać oczywistego znaku,

jako że dropie  
Chętnie z musztardą jadają konopie;

jeno iż panowie sędziowie wydali w znaku bemołowym rozkaz przymiotnej choroby, aby nie rzucała się na jedwabniki i przechadzała się podczas obrządków bożych: te bowiem ciury ledwo ledwo już brały się tańczyć giczalkę, wedle taktu

parami,  
z jedną w nogą w ogniu, a głową między nogami,

jako powiadał dobry Ragocina. Tak, panowie, Bóg kieruje wszystkim wedle woli i przeciw przeciwnościom przeciwnej fortuny woźnica daje prztyczka batogiem: co stało się za powrotem z Bikoki, wówczas gdy wyzwolono na licencjata mistrza Durnia z Koszałek-Opalek, doktora wszech nauk tumańskich, jako powiadają kanoniści; *Be-ati tumani, quoniam ipsi potykawerunt*. Ale dlaczego post przypada tak późno, wedle świętego Fiakra z Bryjki, jeśli nie przez to, iż

Zielone Święta  
Zawždy ma kabza dobrze popamięta,

ale

zapisano tak u góry,  
Że bywa mały deszczyk z wielkiej chmury;

zważywszy że sierżant nie po to umieścił tak wysoko białe centrum, aby woźny nie mógł sobie dookoliście oblizać palców upierzonych gęsią, i widzimy oczywiście, że każdy dobiera się do nosa, chyba że spogląda w perspektywie okularnej ku kominowi, w miejsce, gdzie wisi szyld winiarni o czterdziestu obręczach, które są potrzebne na dwadzieścia pończoch frysztu. Chyba żeby ktoś wolał wypuścić ptaka z pasztetu raczej, niżli go obnażyć z pierza, pamięć bowiem często się zatracza, gdy kto wdzieje pludry na wywrót. Ot, co jest, i żeby mnie tak na miejscu siarczyste pioruny...

Wówczas rzekł Pantagruel:

— Spokojnie, przyjacielu, spokojnie; mów pan powoli i bez irytacji. Pojmuję całą rzecz wybornie; mów tylko dalej.

— Prawda — rzekł imć Pocałuj — słusznie to powiadają, iż dobrze jest gadać z mądrym człowiekiem; jak uczy przysłowie, lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć. Otóż, szlachetny panie — ciągnął rzecz swoją Pocałuj — ta dobra niewiasta

mamrocząc swoje ojczenaszki i zdrowaśki, nie może się zasłonić fałszywą sztuczką, powołując się na moc uniwersyteckich przywilejów, chyba jeno wygrzewając się szkandelą anglikańską, przykrywając ją siódemką karową i wyciągając z niej latającą szpadkę jak najbliższej miejsca, gdzie sprzedaje się stare chorągwie, którymi posługują się malarze we Flandrii, kiedy chcą dobrze podkuć koniki polne; i dziwie się bardzo, że świat nie znosi jajek, zważywszy, że jest tak ładny czas do wylęgania.

Tutaj chciał przerwać i wtrącić coś imćpan Powąchaj, ale Pantagruel krzyknął:

— A, do kroćset furgonów beczek diabłów! Śmiesz się tu odzywać niewzywany? Ja tu pot ostatni z siebie wypieram, żeby wysłuchać procedury waszego sporu, a ty mi jeszcze będziesz łeb kotłował? Spokój, do kroć diabłów, spokój; nagadasz się do syta, skoro ten skończy. Jedź dalej — rzekł do Pocałuj — i nie spiesz się.

— Zważywszy tedy — rzekł Pocałuj —

Iż pragmatyczna sankcja  
Punkt ten zupełnie pomija,

i że papież udzielił każdemu wolności pierdzenia wedle ochoty, jeżeli barchan nie jest prądkowany, jakakolwiek nędza byłaby na świecie, byle się nie podpisywać lewą ręką i wspank, owoż, zważywszy to wszystko, tęcza świeżo oszlifowana w Mediolanie dla rozwijania z pączków jaskółek, przyzwoliła, aby ta dobra kobieta rozgniotła scyjatyki przez zaprotestowanie małych rybich ogierków, które były wówczas potrzebne do zrozumienia struktury starych butów. Mimo to Jan Ciołek, jej stryjeczny szwagier, jako że ich obie babki chodziły bejać za tę samą stodołę, doradził jej, aby nie narażała się na to, by szorować ługiem tereferekukulacyjnym nie zapaliwszy wprzód papieru: *ene, due, raba, quarter, quinque, żaba*; bowiem

*Non de ponte vadit  
Qui cum sapientia cadit;*

zważywszy, że panowie z Kamery Obrachunkowej nie zgodzili się ze wszystkim na wezwanie urzędowe fletów niemieckich, z których zostały zbudowane okulary monarchów, świeżo wydrukowane w Antwerpii. I oto, panowie, co może sprawić fałszywy raport! I zdaję się w tym na stronę przeciwną, *in sacer verbo dotis*. Bowiem pragnąc obtemperować życzeniu królewskiemu, ustroiłem się był od stóp do głowy w plaster żołądkowy, aby iść poźrzeć, jak moi winiarze porozcinali bermyce, aby lepiej grać w kręgle; czas był bowiem nieco niebezpieczny z punktu jarmarcznego, dlaczego wielu wolnych strzelców odpalono przy rewii, mimo iż kominy były dosyć wysokie wedle proporcji stropu i parchów przyjaciela Bodyszona. I dzięki temu obrodziły w tym roku muszle w całym Arteńskim kraju, co było niemałą ulgą dla panów drwali, jako że wówczas jadano bez wszystkiego świeże banialuki, rozpiąwszy brzuch na wszystkie guziki. I życzę szczerze, aby każdy miał równie piękny głos: wówczas o wiele lepiej grałoby się przez to w palanta i te małe fidrygałki, które służą do etymologizowania starych papuci, spływałyby łatwiej ku Sekwanie, na pociechę mostów młynarskich, jako niegdyś było uchwalone przez króla Kanary, a wyrok znajduje się jeszcze w tutejszym trybunale. Dlatego żądam, aby Wasza Miłość raczyła orzec i osądzić tę sprawę wedle słuszności, łącznie z kosztami, indemnizacją i procentami.

Wówczas rzekł Pantagruel:

— Mój przyjacielu, już nie masz nic do dodania?

— Nie, Wasza Miłość — odparł Pocałuj — powiedziałem już swoje *tu autem* i w niczym, na mą cześć, nie odstąpiłem od prawdy.

— Zatem — rzekł Pantagruel — teraz pan, mości Powąchaj, powiedz, co masz do powiedzenia, i streszczaj się, nie omijając wszelako niczego, co by mogło być przydatne dla rozjaśnienia sprawy.

## XII. JAKO PAN POWĄCHAJ BRONI SWEJ SPRAWY PRZED PANTAGRUELEM.

Wówczas zaczął pan Powąchaj swoją rzecz jak następuje:

— Zacny panie i wy panowie! Gdyby nieprawość ludzka była tak łatwa do poznania sądem kategoriycznym jako poznaje się muchy w mleku, świat, do stu czortów! nie byłby tak żarty od szcurów, jak jest obecnie i ocalałyby niejedne uszy, które zostały haniebnie obgryzione. Jakkolwiek bowiem wszystko, co rzekła strona przeciwna, co się tyczy słów i historii *factum*, jest na jotę prawdziwa, wszelako, panowie, za tym parawanikiem kryje się chytrość, szalbierstwo i szelmowskie kruczki wszelakiego rodzaju.

Mamż ścierpieć, aby w porze, w której spożywam spokojnie swoją zupkę, bez złego słowa i bez złej myśli, przychodził mnie ktoś nękać i mącić mi mózgownicę, pobrzękując starym żelaziwem i mówiąc:

Kto jedząc zupę, płynu nie pije,  
Skoro umrze, długo nie pożyje!

Tam do kroćset! ilużeśmy widzieli wielkich wodzów, w pełnej bitwie, wtedy kiedy rozdawano chlebuś kuksańców i lano w gardło ołowiane winko, jak bardzo radośnie się zabawiali, grając sobie na lutni, trąbiąc na zadku i czyniąc hopki na trawniku w pięknych szpiczastych trzewikach? Ale teraz świat zawałony jest bławatami z Lucestry: jeden sobie folguje, drugi chroni gębę przed mrozem zimowym. I jeśli dwór nie zrobi z tym porządku, będzie tak ciężko w tym roku zbierać kłosy w polu, że trzeba będzie pomagać sobie kubkiem. Jeśli biedna osoba idzie do łaźni, aby sobie umaścić gębę krowim łajnem albo też kupić papucie na zimę, zaś przechodzący zandarmi albo też straż miejska dostaną odwar lewatywy albo też wydzieliny kałowe stolca na swoje poletki, czy godzi się dlatego obgryzać sobie cycki i pitrasić na smalcu miseczeki drewniane? Niekiedy zdaje się nam tak, ale Bóg rozrządza inaczej; i kiedy słońce zajdzie, każde bydło jest w cieniu. Nie żądam, by mi wierzono, jeśli nie zdołam tego udowodnić dokumentnie i w biały dzień.

W roku trzydziestym i szóstym kupiłem był niemieckiego kuca, dużego i przysadzistego, o wcale ładnej wełnie, malowanego w cętki, jak mnie upewniali złotnicy; w każdym razie rejent dołożył tam swoje *et caetera*. Nie jestem ja dość uczonym na to, aby ściągać księżyc z nieba zębami; wszelako w tym garnku masła, w którym mieściły się wulkaniczne instrumenty, rozeszła się wieść, iż solona wołowina pozwala znaleźć wino o północy bez latarni, chociażby nawet było ukryte na dnie worka węglarza, okryte i przysłonięte pokrowcem z blachy, naramiennikami zaś przygotowanymi ze wszystkim, aby w nich dobrze usmażyć pieczone, to znaczy głowę baranią. I jak trafnie powiada przysłowie, że dobrze jest oglądać czarne krowy w spalonym lesie, kiedy się spoczywa ze swą ulubioną, kazałem zbadać panom prawnikom tę sprawę i ukonkludowali rezolucję we *frisesomorum*, że nie masz nic lepszego, niż kosić w lecie w piwnicy dobrze zaopatrzonej w papier i atrament, w pióra i koziki lyońskie, tego ten, tentegoten; skoro tylko bowiem zbroja poczuje wodę, zaraz rdza przeżera jej wątrobę, a potem jeno człek kręci szyją tam i sam, węsząc za smaczną drzemką po obiedzie; i oto czemu sól tak podrożała.

Panowie, nie sądźcie, iż w czasie, gdy pomieniona babina pomazała lepem siatkę na ptaki, aby snadniej wspomóc pamięć onego żandarma, i kiedy podgardlana kiszka przewędrowała przez mieszek lichwiarzy, iż nie było lepszego sposobu, aby się zabezpieczyć przed kanibalami, jak wziąć wiązkę cebuli związaną trzemaset zdrowaškami, a także nieco krezką cielęcą z najlepszego tygielka, jaki mają alchemiści, i dobrze ubić, i wyprażyć swoje pantofle kiziumiziu z pięknym rzepianym sosem i schować się po trosze w krecią dziurkę, chroniąc ciągle słońcę od szkody. I jeśli kości nie chcą wam paść inaczej, jeno ciągle pada podwójny as, grubsze terno, sekwens asowy, zapędźcie babę do łóżka, przetrząście ją sumiennie tiurlululu i popijcie, co wlezie *depiscando zabibus*, w pięknych trzewiczkach z obcasikami; to woda na młyn małych, ledwie wypierzonych gąsek, które figlują sobie przy grze w knotka, czekając, aż się wybije metal i stopi wosk dla szlifbruków. Prawda, iż cztery woły, o których mowa, miały nieco przykrótką pomięć; wszelako co się tyczy umiejętności gammy, nie lękają się ani kormorana, ani kaczki sabaudzkiej; toteż dobrzy ludziska w moich stronach pełni byli nadziei i mówili: „Te dzieci wyrosną na szczywach wygów w algoryzmie, to nam się zda na rubrykę prawną: ani gadania, uda nam się przychwycić wilka, skoro ustawimy żywoptot nad wiatrakiem”, o którym była mowa ze strony skarżącej. Ale stary diasek pozazdrościł tego i nasłał im od tyłu Niemców, którzy zaczęli doić jak sami czarci: „Her! trink! trink! das ist kotz, verlore bigott, *paupera bitka fuit*”. I dziwię się bardzo, czemu astrologowie tak się użerają ze swymi astrolabami i almukantarazami, mając kamyczki fałszowane w domu. Nie ma bowiem żadnego podobieństwa wywoływać kury słomiane gdzie indziej niż w Paryżu na Małym Moście, choćby nawet miały czuby jak dudki błotne, chyba że w istocie ma się święcić czerwony inkaust, świeżo zeszkrobany z wersalików albo z kursywy, to mi tam wszystko jedno, byle ze średniówki nie leży się robaki.

I przypuściwszy, że przy sparzeniu goniących się psów, koczury zdołałyby zatrąbić pobudkę, zanimby rejent zdał o tym relację kabalistyczną sztuką, nie wynika z tego (chyba w razie bystrzejszego orzeczenia świetnego sądu), aby sześć włók ziemi podwójnej miary dały trzy wiadra przedniego inkaustu, bez dmuchania do tygła, zważywszy, iż na pogrzebie króla Kaszola, w czasie targu, sążeń był po trzy cząte, sześć kurzych łajen plus cztery dziesiąte.

I widzimy to zazwyczaj we wszystkich zacnych domach, iż kiedy kto idzie ściągać wino, zamiata trzy razy miotłą po kominie i insynuując swoją nominacją, jeno należy napreżyć lędźwie i dmuchać w zadek, jeśli przypadkiem jest zbyt gorący, i nie pytając o więcej.

I zaraz gdy przeczytał listy,  
Oddał krowy w sposób oczywisty.

Podobny wyrok wydano w dzień św. Marcina w roku siedemnastym, na Drapi-chrusta z Hyclów Wielkich, co świetny sąd raczy łaskawie uwzględnić. Nie powiadam zaiste, aby nie można było po słuszności wywłaszczyć mocą statecznego prawa tych, którzy by pili z naczynia z wodą święconą, jako czyni się z czółenkiem tkacza, z którego robi się czopki potyliczne dla tych, którzy nie chcą okazać ustępliwości, chyba za brzęczącą monetę. *Tunc*, panowie, *quid iuris pro minoribus*? Obyczaj pospolity salickiego prawa jest bowiem taki, iż pierwszy zawalidroga, który ochwaci krowę, który uciera nos podczas muzycznego chóru, miast solfedziować podeszwy do butów, winien w czas psiego wesela sublimować penurię swego członka uszczkniętym mchem, wówczas gdy wszystko umartwia się na jutrzni o północy, aby powiedzieć sobie słówko z owym białym andegawęńskim winkiem, które lubi, bretońską modą, jednym

kopnięciem obalić z nóg adwersarza. Zaczem konkluduję jak wyżej, plus zwrot kosztów, strat i procentów.

Skoro pan Powąchaj skończył, Pantagruel rzekł do pana Pocałuj:

— Mój przyjacielu, czy chcesz co odpowiedzieć?

Na co odparł Pocałuj:

— Nie, szlachetny Panie, rzekłem bowiem jeno szczerą prawdę; ale, na Boga, chciej już położyć koniec naszej zwadzie, ile że koszta zjedzą nas do szczętu.

### XIII. JAKO PANTAGRUEL WYDAŁ WYROK W SPRAWIE MIĘDZY DWO- MA SZLACHCICAMI.

Wówczas Pantagruel wstał, zebrał wszystkich prezydentów, rajców i doktorów tam obecnych i rzekł:

— Owóż, panowie, słyszeliście tedy (*vivae vocis oraculo*) sprawę, o którą chodzi; cóż myślicie?

Na co rzekli:

— Zaprawdę słyszeliśmy, ale niech nas czarci porwą, jeśliśmy co skapowali. Dlatego też prosimy was, panie, *una voce* i błagamy usilnie, byście zechcieli wydać sentencją wedle uznania, i *ex nunc prout ex tunc*, godzimy się na nią i zatwierdzamy jednomyślnym wotum.

— Zatem, panowie, skoro taka wasza wola, uczynię to; mnie wszelako nie wydaje się ów *casus* tak trudny, jak go przedstawiacie. Toć wasz paragraf<sup>239</sup> *Catton*, prawo *Frater*, prawo *Gallus*, prawo *Quinque pedum*, prawo *Vinum*, prawo *Si dominus*, prawo *Mater*, prawo *Mulier bona*, prawo *Si quis*, prawo *Pomponius*, prawo *Fundi*, prawo *Emptor*, prawo *Praetor*, prawo *Venditor* i tyle innych, wiele zawilsze są, wedle mego pojęcia.

Tak rzekłszy, przeszedł się nieco po sali, myśląc bardzo głęboko, jak to można było poznać, stękał bowiem jak osieł, którego zbyt silnie ściągają popręgiem; i pilnie zważał, jak by każdemu wyrządzić sprawiedliwość bez faworu i krzywdy niczyjej. Następnie siadł z powrotem i rozpoczął wygłaszać wyrok następujący:

— Zważywszy, rozpatrzywszy i dobrze rozstrzygnąwszy spór między panem Pocałuj a Powąchaj, świetny trybunał orzeka, iż: mając na względzie horrypilację nietoperza odchylającego się dzielnie od letniego solsticjum, aby poiskać się o banialuki, które wariat z mokrą głową uznał z przyczyny przewrotnej weksacji lucyfugalnych nytkykoraksów, inkulkowanych w diaromejski klimat konnego krucyfiks, napinając przy tym kuszę lędźwiami, skarżyciel miał słuszną przyczynę kalfatrować barkę, ile że ta dobra kobieta nadymała jedną nogę obutą, a drugą bosą, odwzajemniając mu nisko i sztywnie w swoim sumieniu tyloma faramuszkami, ile jest włosków szczeci u osiemnastu krów i drugie tyle, aby nic nie dołgać. Podobnież uznany jest za niezawinionego w przypadku uprzywilejowanym przewinienia, którego mniemano, iż się dopuścił przez to, iż nie mógł się wybejać w pełnej szczęśliwości, wskutek decyzji pary rękawiczek upachnionych końskimi bździnami przy świecy z orzechowego łożu, jako się używa w jego stronach, porzucając postronek wraz z galką brązową, na czym kuchciki ucierpiały znacznie w jarzynach interbastowanych na wspak wpodłe sztachetów na przemian z kobyłimi dzwonekami z koronki weneckiej, które szwagier jego memorialnie nosił w koszyku ościennym, haftowanym w paszczęki trzech kozłat nadwątlonych skodyfikowaniem w czworokątnej norze, z której dobywa się wermiformną papugę i jej łachy, iż wszelako kładzie na karb pozwanego, jakoby ten

<sup>239</sup>paragraf *Catton* (...) prawo *Venditor* — Miejsca, zaczynające się od cytowanych słów, należą w prawie justyniańskim do najciemniejszych.

był lataczem szmat, serożercą i wypychaczem mumii, co nie zostało bimbamicznie uznane za prawdę, jako bardzo to dobrze wyluszczył sam pozwany, świetny sąd skazuje go tedy na trzy łokcie serwatki rozbełtanej, kondemnilowanej i klasyfikowanej, jako jest obyczaj okoliczny, płatnej pozwanemu w połowie jesieni w miesiącu maju; zasię ów pozwany zobowiązany będzie dostarczyć siana i kłaków do utkania paści gulturalnych obtarardynowanych świeżym rozchodnikiem; i zgoda między wami jak dawniej: bez zwrotu kosztów, z wiadomej przyczyny.

Po ogłoszeniu tego wyroku strony oddaliły się, obie zadowolone z wyroku, co było rzeczą omal nie do wiary. Nie zdarzyło się bowiem od czasu wielkiego potopu i nie zdarzy się do trzynastych lat jubileuszowych, aby dwie strony ubiegające się każda o uzyskanie sprzecznego wyroku, były po równi zadowolone z ostatecznego rozstrzygnięcia. Co się zaś tyczy rajców i innych doktorów przy tym obecnych, z ekstazy popadli w omdlenie trwające wyżej trzech godzin; tak wszyscy byli olśnieni i pełni podziwu dla bystrości Pantagruela więcej niż ludzkiej, którą jasno poznali w osądzeniu tak drażliwej i trudnej sprawy. I trwaliby w onym zachwyceniu pewnie jeszcze dotąd, gdyby nie to, iż przyniesiono siła octu i wody różanej, aby ich wrócić do zmysłów i do zwyczajnego rozsądku: za co Bogu niech będzie chwała!

#### XIV. JAKO PANURG OPOWIADA SWOJE CUDOWNE OCALENIE Z RĄK TURCZYNÓW.

Sąd Pantagruela niezwłocznie rozszedł się po całym kraju. Wydrukowano go w licznych egzemplarzach i wciągnięto do archiwów sądowych; tak iż wszędzie zaczęto mówić: „Salomon, który wymyślił sztuczką wrócił dziecię prawdziwej matce, nie dokonał takiego arcydzieła roztropności, jak to uczynił dobry Pantagruel: szczęście dla nas, zaprawdę, że mamy go w naszej krainie”.

Jakoż chcieli go uczynić referendarzem skarbu i prezydentem trybunału; ale on odrzucił obie szarże, dziękując uprzejmie:

— Zbyt wielka bowiem — rzekł — niewola połączona jest z tymi godnościami i bardzo niełacno mogą osiągnąć zbawienie duszy ci, którzy je sprawują, zważywszy słabość a zepsucie natury ludzkiej. I mniemam, że jeżeli wakujące fotele aniołów nie będą obsadzone ludźmi innego zatrudnienia, ani za trzydzieści siedem jubileuszów nie doczekamy się sądu ostatecznego i Kusanus<sup>240</sup> zblądni się ze swą przepowiednią. Ostrzegam was o tym zawczasu. Natomiast, jeżeli macie jaką baryłkę dobrego wina, chętnie przyjmę ją w podarku.

Co uczynili chętnie i posłali mu najlepszego, jakie było w mieście, i popił dość uczciwie. Co się tyczy Panurga, ten łyknął sobie bardzo niepohamowanie, wyschnięty bowiem był jak śledź wędzony: dlatego stąpał tak lekko jak chudy kocina. Owo gdy był właśnie w połowie wielkiego pucharu napełnionego perlistym winem, ktoś go zagadnął, mówiąc:

— Pofolgujcie trochę kumie, ciągniecie jak opętaniec.

— Ha, do kroćset czartów — odparł Panurg — już nie masz przed sobą jednego z wymoczków paryskich, co to piją nie więcej od zięby i których do każdego łyčka trzeba dopiero łaskotać po ogonie jako się czyni wróblom. O, mój druhu, gdybym ja się spinał tak dzielnie, jak dobrze łykam, pewnie już byłbym powyżej sfery księżycy razem z Empedoklesem. Ale nie wiem, co to, u diaska, ma znaczyć: to wino jest bardzo smaczne i lube; ale im więcej piję, tym bardziej mnie dręczy pragnienie. Zda-

<sup>240</sup>*Kusanus* — Mikołaj de Kuza, franciszkanin i kardynał (1401–1401), wydał dzieło, w którym oblicza datę końca świata.

je mi się, że cień miłościwego Pantagruela rodzi pragnienie, jak księżyc sprowadza katary.

Tu wszyscy zaczęli się śmiać.

Co widząc, Pantagruel rzekł:

— Cóż tam macie tak ucieśznego Panurgu?

— Panie — odparł — opowiadałem im, jako te czarty Turki są tak nieszczęśliwe, iż nie wolno im popić ani kropli wina. Gdyby nawet nie było innego zła w Alkoranie Mahometowym, dla tego samego nie poddałbym się nigdy pod jego prawo.

— Ale powiedzże mi teraz — rzekł Pantagruel — jak wydostałeś się z ich rąk.

— Jak mi Bóg miły, panie — rzekł Panurg — nie zeżnę ani słowa. Te juchy Turki nadziały mnie na rożen, całego naszpikowanego jak królika, byłem bowiem tak wyschnięty, iż inaczej mięso moje byłoby bardzo niesmaczne; następnie zaczęli mnie piec żywcem na pieczyście. Owo gdy mnie tak pitrasili, polecałem się tymczasem łasce Bożej, mając w pamięci dobrego św. Wawrzyńca, i ciągle miałem nadzieję w Bogu, iż ocali mnie z tej męczarni, co też ziściło się w sposób bardzo osobliwy. Gdy bowiem polecałem się z szczerego serca Bogu, krzyżując: „Panie Boże, dopomóż mi! Panie Boże, ocal mnie! Panie Boże, wybaw mnie z tej męczarni, którą te psy niewierne nękają mnie za to, iż chcę przestrzegać twego zakonu”, stało się, iż ów smażyciel pośpił się, za wolą Boga, albo owego poczciwego Merkura, który uspił podstępnie Argusa, mimo jego setki oczu.

Kiedym spostrzegł że mnie przestał obracać nad ogniem, patrzę, a ten chrapie. Chwytam wówczas zębami dużą głównię z tego końca, z którego nie była rozżarzona i rzucam ci ją na podolek pana kucharza, drugą zaś ciskam, co mam sił, pod łóżko polowe, które było tuż koło kominka, i gdzie leżał siennik pana smażyciela. Natychmiast ogień chwycił się słomy, ze słomy przeszedł na łóżko, z łóżka na podłogę, która była z sosnowego drzewa. Ale najlepsze było to, że ogień, który prasłem na podolek tego hycła, spalił mu całe kudły wedle przyrodzenia i dobierał się już do kuśki. Turczyn tak był zwyczajnie cuchnący, że nie uczył swądu; aż gdy mu jęło dopiekać, wówczas zerwał się przestraszony i zaczął krzyżeć z całej siły do okna: „Dal baroth! dal baroth!”, co znaczy tyle co: „Gore! gore!”. Potem podbiegł prosto ku mnie, aby mnie wrzucić do ognia i już przeciął postronki, którymi związane mi ręce, i przecinał więzy na nogach. Tymczasem pan domu, słysząc wołanie do ognia i poczuwszy dym z ulicy (gdzie się przechadzał z innymi baszami i muftimi), pognął co tchu na pomoc, aby ratować kosztowności. Skoro tylko przybył, chwycił rożen, na który byłem nadziany i zabił na miejscu kucharza; i tamten umarł natychmiast z braku wytrzymałości albo też z innego powodu, przepędził mu bowiem szpikulec nieco ponad pępkiem ku stronie prawej i przebił mu trzeci płat wątroby, po czym sztych, kierując się ku górze, przewiercił diafragmę i poprzez worek sercowy wyszedł mu ponad ramionami, między kręgami a lewą łopatką. Co do mnie, skoro wyciągnął rożen z mego ciała, padłem na ziemię pomiędzy rondle i stłukłem się co nieco padając; nie bardzo wszelako, kawałki słoniny bowiem, którymi byłem naszpikowany, złagodziły uderzenie. Następnie basza, widząc, iż stan rzeczy jest rozpaczliwy, że dom zdany jest bez ratunku na pastwę pożaru i całe jego mienie przepadło, zaczął wzywać wszystkich diabłów, wołając Grilgotha, Astarotha, Rapalusa i Gribuisa po dziewięć razy jednym tchem.

Co słysząc, doznałem okrutnego strachu; pomyślałem: owe diabły przylecą tu zaraz porwać tego opętańca; czy im aby nie przyjdzie ochota i mnie zgarnąć przy sposobności? Jestem już na poły upieczony; słoninka moja przyprawi mnie jeszcze o co złego, diabły bowiem w tym kraju łase są na słoninę, jako nam to potwierdza



autorytet Jamblika<sup>241</sup> i Murmalta<sup>242</sup> w apologii *de Bossutis et contrefactis, pro magistros nostros*. Zaczem uczynilem znak krzyża, wrzeszcząc: *Agios athanatos, ho theos*. I żaden się nie zjawił. Widząc to, plugawy basza chciał się zgładzić moim różnem i wbić go sobie w serce: w istocie przyłożył go do piersi, ale nie chciał wejść, bo nie był dość ostry: pchał niebożę co siły, ale nic nie mógł wskórać. Wówczas podszedłem ku niemu, mówiąc: „*Missore hultaio*, tracisz jeno czas na marne, nigdy nie zabijesz się w ten sposób: wybijesz sobie dziurę, z której będziesz całe życie lizał się w łapach cyrulików; ale jeżeli chcesz, ja cię tu zabiję jak się patrzy, tak że nic nie uczujesz: możesz mi wierzyć, zabiłem bowiem już dosyć ludzi i bardzo sobie to wszyscy chwalili”. „Ach, przyjacielu, proszę cię bardzo o to, a za fatygę przyjm tę sakiewkę; ot, masz: jest w niej ze sześćset serafów i nieco diamentów i rubinów czystej wody”.

— A gdzie one? — spytał Epistemon.

— Na świętego Jana Kapistrana — rzekł Panurg — muszą być daleko, jeżeli ciągle się toczą. Ba, a gdzie są śniegi zeszlorczone<sup>243</sup>? To była największa troska, jaką kłopotał się Wilon, poeta paryski.

— Mów dalej — rzekł Pantagruel — proszę cię, niech się dowiemy, jakeś urządził swego baszę.

— Słowo uczciwego człowieka — rzekł Panurg — nie kłamię ani na jotę. Owinałem go jakimś kawalkiem płaszczu, który znalazłem tam na wpół spalony, spętałem mu tęgo nogi i ręce mymi własnymi postronkami, tak iż drgnąć nie mógł, następnie przebiłem mu różnem gardziel i powiesiłem go, zaczepiwszy rożen o dwa haki, na których wisały halabardy. Później roznieciłem pod spodem piękny ogienek i upiekłem milorda jak śledzia w kominie. Następnie wzięwszy jego sakiewkę i sztylecik, który też wisiał na ścianie, uciekłem w ostrym galopie. A Bóg świadkiem, żem wydawał dokoła siebie swąd niczym spalony udziec barani! Kiedy wydostałem się na ulicę, natknąłem się na mnóstwo ludzi, którzy zbiegli się do pożaru, niosąc obfitość naczyń z wodą dla gaszenia ognia. I widząc mnie na wpół upieczonego, ulitowali się nade mną i wylali na mnie wszystką wodę i ochłodzili mnie rozkosznie, co mi bardzo ulżyło; następnie dali mi nieco żywności, ale nie mogłem jeść, dali mi bowiem do picia jeno samą wodę, wedle swego obyczaju. I nie uczynili mi nijakiej krzywdy, jeno jeden szpetny Turczynek, garbus, ukradkiem zaczął obgryzać na mnie słoninę; ale tak go zdrowo trzepnąłem po palcach sztylecikiem, iż odechciało mu się na drugi raz. Także jedna młoda Koryntianka<sup>244</sup>, która przyniosła mi garnek miralebek usmażonych tameczną modą, patrzyła żałośnie na mój biedny dzyndzynek osmalony i skurczony od ognia, dochodził mi bowiem ledwie do kolan. Ale zważcie, iż to przypieczenie wyleczyło mnie zupełnie ze scyjatyki, na którą cierpiałem od siedmiu lat; przynajmniej z tej strony, z której kucharz, usnąwszy, dał mi się przysmalić.

— Owo podczas gdy się tak zabawiali ze mną, ogień szalał w nieopisany sposób, tak iż zniszczył więcej niż dwa tysiące domów, aż wreszcie któryś spostrzegł to i krzyknął: „Na kałdun proroka! całe miasto się pali, a my się tu bawimy!”. Zaczem każdy pogonił ku swojej kałdości; co do mnie, skierowałem się ku bramie. Kiedym się wydostał na wzgórek będący w pobliżu, obracam się, niby żona Lota, i widzę całe miasto płonące jak Sodoma i Gomora, z czego byłem tak rad, żem o mało nie popuścił z uciechy; ale Bóg mnie za to pokarał.

— Jakże to? — sytał Pantagruel.

<sup>241</sup>Jamblik — platoński teozof z IV wieku; Murmellius, humanista z końca XV. w.

<sup>242</sup>Murmalt — Murmellius, humanista z końca XV w.

<sup>243</sup>gdzie są śniegi zeszlorczone — Słynny refren ballady Villona: *Mais ou sont les neiges d'antan* stał się przysłowiowym.

<sup>244</sup>Koryntianka — Korynckie hetery były sławne z wyuzdania

— Tak iż gdy patrzałem z wielką lubością na ten ogień, dworując sobie i mówiąc: „Ha, biedne pchełki, ha, biedne myszki, złą macie zimę, ogieniek na stryszku”, nagle wypadło z miasta więcej niż sześćset, ba więcej niż tysiąc trzysta i jedenaście psów, małych i dużych, które uciekały przed ogniem. Zaczem prościutko zwróciły się do mnie, czując zapach mego szelmowskiego wpół upieczonego mięsiwa i byłyby mnie pożarły w jednej chwili, gdyby mój dobry anioł nie był mnie natchnął, podsuwając mi lekarstwo bardzo skuteczne przeciw bólowi zębów.

— Z jakiejż znów przyczyny — rzekł Pantagruel — obawiałeś się bólu zębów? Czyż nie pozbyłeś się reumatyzmów?

— Tam do kroćset — odrzekł Panurg — a czy może być gorszy ból zębów, niż kiedy psi chwytają nimi czleka za łydki? Ale naraz przypominam sobie moje płatki słoniny i rzucam je pomiędzy nie. Dopieroż psy ku nim i zaczynają się gryźć między sobą, kto chwyci słoninę. Dzięki temu zostawiły mnie, a ja je zostawiam także, jak się tam gryzą wzajem. W ten sposób wymknąłem się rzeźwy i wesół i niech żyje pieczona spyrka!

## XV. JAKO PANURG PRZEDSTAWIA SPOSÓB BARDZO NOWY ZBUDOWANIA MURÓW PARYŻA.

Jednego dnia Pantagruel, pragnąc odświeżyć się po swoich studiach, wybrał się na przechadzkę za miasto. Towarzyszył mu Panurg, mając pod płaszczem nieodłączną butelkę i nieco solonej szynki: bez tego bowiem nigdzie się nie ruszał, powiadając, iż to jest jego przyboczny oręż i innej broni nie nosił. A kiedy Pantagruel chciał mu darować szpadę, odpowiedział iż uciskałaby mu śledzionę.

— Ależ — rzekł Epistemon — gdyby cię ktoś napadł, jakżebyś się obronił?

— Wierzgając butem — odparł — byle pchnięcia były zabronione.

Gdy wracali z przechadzki, Panurg przyglądał się murom Paryża i dworując sobie, rzekł do Pantagruela:

— Patrzcież mi na te piękne mury! wierę bardzo silne i bardzo sposobne na kojec dla gęsi, gdy się pierzą! Na mą brodę! na diabła się one zdadzą dla takiego miasta. Toć krowa, gdyby dobrze pierdła, obaliłaby więcej niż sześć łokci takiego muru.

— Ho, ho, przyjacielu — rzekł Pantagruel — wiesz ty, co powiedział Agesilaus, gdy go pytano, dlaczego wielki gród Lacedemoński nie jest opasany murami? Oto, pokazując na mieszkańców i obywateli, znamienicie wyćwiczonych w rzemiośle wojennym, krzepkich i dobrze uzbrojonych, rzekł: „Otoć mury miasta”, wskazując przez to, iż najlepszy mur jest z ciała i kości, i że miasta i grody nie mogłyby znaleźć pewniejszej i silniejszej ochrony niż męstwo swoich obywateli i mieszkańców. Tak i to miasto dostatecznie jest silne mnogością ludu wojennego mieszkającego wewnątrz i nie troszczy się o wzniesienie innych murów. A zresztą, choćby się je nawet chciało obmurować jak Strassburg, Orlean albo Ferrarę, nie byłoby to możebne, tak wielkie pociągałoby za sobą koszta i wydatki.

— Hm, tak; ale znów nieźle jest mieć taką kamienną maseczkę, kiedy się zdarzy jaka napaść, choćby po to, aby mieć czas się zapytać: „Hej, a z kim mam przyjemność?”. Co zaś do ogromnych kosztów, nieuniknionych, waszym zdaniem, gdyby się chciało obmurować miasto, to, jeśli panowie rajcy zechcą mi zapłacić jaki dobry dzbanek wina, nauczę ich wcale nowego sposobu wzniesienia murów tanim kosztem.

— Jakże to? — spytał Pantagruel.

— Nie mówciez tedy nikomu — rzekł Panurg — to wam zdradzę sekret. Otóż, widzę, że tryndyryndy białogłowskie tańsze są w tym kraju niżli kamienie; z nich tedy trzeba by zbudować mury, układając je wedle statecznej proporcji i architektury, kła-

dąc co największe wpród, następnie piękne dopasowując średnie, a na końcu małe. Potem należy taki murek naszpikować pięknie, niby diamentami w szpic szlifowanymi (jako jest w dużej wieży w Bourges), wszystkimi sztywnymi pugiłami, jakie mieszkają po rozporkach klasztornych. Kiż diabeł naruszyłby taki mur? Żaden metal nie byłby tak oporny na ciosy. I niech próbują walić w nie z kolubryny; ujrzelibyście, do kroćset, jak bez ustanku będą sączyć z siebie owo błogosławione nasienie szczerzej francy, drobne jako deszczyk. Hej, do stu par diabłów! I co więcej, piorun nigdy by w nie nie uderzył A dlaczego? bo wszystkie są duchowne i poświęcane. Jedną tylko widzę niedogodność.

— Ho, ho, ho, ho, ho — zaśmiał się Pantagruel. — Jakąż?

— A to, że muchy tak są łase na te smakolęki, iż rade by tam przysiadły i składały swoje plugastwa, i oto całe piękne dzieło byłoby zepsute i pokalane. Ale oto, jakby na to można zaradzić: trzeba by je pilnie opędzać pięknymi lisimi ogonami, albo też tęgimi byczymi chwostami. I w tym przedmiocie, skoro oto mamy wracać na wieczerzę, pragnę wam opowiedzieć piękny przykład, jaki podaje *Frater de cornibus, libro de Computationibus mendicantium*:

W czasie kiedy zwierzęta umiały mówić (niespełna trzy dni temu), jeden biedny lew, przechadzając się po Biewreńskim Lesie i odmawiając swoje lwie różańce, zaszedł pod drzewo, na które wdrapał się był jakiś mizerny węglarzyna, aby narąbać gałęzi. Ten, widząc lwa, rzucił nań siekiere i zranił go okrutnie w udo. Zaczem lew, kuśtykając, póty biegł i rozbijał się po lesie, szukając jakiejś pomocy, aż spotkał cieślę, który chętnie obejrzał ranę, oczyścił troskliwie i utkał mchem, polecając mu, aby dobrze oganiał ranę od much, iżby mu jej nie zapaskudziły, zanim on zdąży przynieść stosowne zioła. Zaczem lew, tak podleczony, przechadzał się po lesie, gdzie właśnie stara babuleńka oblamywała i wiązała chrusty; owa, widząc zbliżającego się lwa, padła ze strachu na wznak, w taki sposób, iż wiatr odwinął jej suknię, spódnicę i koszulę aż po ramiona. Widząc to lew, tknięty litością, przybiegł, aby zobaczyć, czy nie doznała jakiej szkody, a widząc jej tentego, rzekł: „O, biedna kobiecino, któż cię tak skaleczył?”. Wymawiając te słowa, lew spostrzegł lisa i zaczął nań wołać: „Kumie lisie, hej, hej, bywaj: potrzebnyś tutaj”. Skoro lis nadbiegł, rzekł mu lew: „Mój kumie i przyjacielu, skaleczono oto tę kobietę między nogami bardzo szpetnie i zachodzi wyraźne naruszenie spójności tkanek: patrz, co za ogromna rana od rzyci aż po sam pępek: będzie ze cztery, ba, półszоста piędzi. To cios od siekiery; zdaje mi się, że rana musi być dość stara. Zatem, aby muchy się do niej nie przypętały, wycieraj ją bardzo pilnie, proszę cię o to, zewnątrz i wewnątrz: toć masz ogon długi i piękny po temu; wycieraj serdecznie, wycieraj, a ja tymczasem pójdę po mech, aby ją utkać. Należy nam bowiem ratować i wspomagać jeden drugiego; Bóg tak nakazuje. Wycieraj pilnie, przyjacielu, wycieraj dobrze: ta rana potrzebuje, aby ją często wycierać, inaczej zdrowie na tym szwankuje. Tedy wycieraj dobrze, rybeńko, wycieraj: Bóg cię uczciwie opatrzył ogonem, masz wielki i gruby, jak należy, wycieraj tedy krzepko i nie zasypiaj sprawę. Dobry jest ten wycieracz, który statecznie wyciera wycieruchę swoją wycieraczką, aż do ostatniego wytarcia. Wycieraj, kusiuniu, mój mały dzyndzyku, ja ci nie będę przeszkadzał”.

Następnie poszedł nazrywać sporo mchu; kiedy już był dość daleko, zakrzyknął jeszcze do lisa: „Wycieraj dobrze, kumie, wycieraj, i niech ci się nie przykrzy nigdy sumiennie wycierać; na Boga, mój kmoterku, każę cię mianować Wielkim Wycieraczem Królowej Marii albo też króla Piotra Kastylskiego. Wycieraj jeno, wycieraj i nie troszcz się o resztę”. Poczciwy lis wycierał bardzo pilnie, tam i sam, zewnątrz i wewnątrz, zaś szelma stara pierdziała i bździała tymczasem, czyniąc smród jak wszyscy diabli. Biedny lis cierpiał srogie męki, nie wiedział bowiem, w którą stronę się

obrócić, aby umknąć fetoru bździn tej staruchy: owo kiedy się tak wykręcał, ujrzał, że z tyłu jest jeszcze inna szczelina, nie tak wielka jak ta, którą od much chronił, i że stamtąd idzie na niego ów tak cuchnący i plugawy wiatr. Wreszcie lew wrócił, niosąc mchu więcej niż osiemnaście wiązek i za pomocą drąga, który przyniósł, jął utykać ranę. Owo gdy już w nią wetknął szesnaście i pół wiązki, począł się dziwować: „Cóż u diaska! ależ ta rana głęboka: weszłoby do niej więcej niż dwie fury; ano cóż... skoro taka wola boska!”. I ciągle ładował dalej; ale lis go wstrzymał: „O, mój kumie lwie, mój przyjacielu, proszę cię, nie kładź tu wszystkiego mchu, schowaj go co nieco; jest tu jeszcze poniżej druga szparka, którą czuć jak sto tysięcy diabłów: już mi się w głowie maści od fetoru, taka jest cuchnąca”.

Owo tak trzeba by chronić te mury od much i trzymać najemnych wycieraczy.

Zaczem rzekł Pantagruel:

— Skądże ty wiesz, że wstydlive części kobiet są takie tanie? Toć że w tym mieście jest siła poczciwych białychgłów i czystych dziewic.

— *Et ubi je najdujemy?* — rzekł Panurg. — Powiem wam o tym nie moje mniemanie, ale pewną i nieomylną prawdę. Nie ma w tym żadnej przechwałki, iż odkąd jestem w tym mieście, a nie ma jeszcze dziesięciu dni, przejechałem ich czterysta i siedemnaście. Ale tego rana spotkałem dobrego czelczyne, który w sakwach, podobnych jako były Ezopowe, niósł dwie dziewczynki w wieku najwyżej dwóch lub trzech lat; jedną z przodu, drugą z tyłu. Poprosił mnie o jałmużnę, ale mu rzekłem że więcej mam jajek niż szelągów. Następnie spytałem: „Powiedzcież mi, kumie, czy te dziewczątka to jeszcze panienki?”. „Mój bracie, odpowiedział, już będzie dwa lata jak je obnoszę; co się tyczy tej z przodu, którą mam nieustannie przed oczami, mniemam iż jest prawiczka; wszelako i za to bym palca w ogień nie włożył. Co zaś do tej którą noszę z tyłu, nie mam żywnego pojęcia”.

— Jak mi Bóg miły — rzekł Pantagruel — luby z ciebie kompan, Panurgu; muszę cię ustroić w swoje barwy.

I kazał go ubrać pięknie, wedle ówczesnej mody: z tą odmianą, iż Panurg chciał, aby saczek u pludrów długi był na trzy stopy i czworograniasty, a nie zaokrąglony: co też wykonano sumiennie, aż radość była nań patrzeć. I powiadał często, że ludzie jeszcze nie zrozumieli korzyści i pożytku, jakie są w tym, aby nosić obszerny saczek; ale czas pouczy ich kiedyś o tym, jako iż wszelkie odkrycie zawżdy uczyniono w swoim czasie.

— Niech Bóg błogosławi — mówił — zacnemu druhowi, któremu długi saczek ocalił życie! Niech Bóg strzeże od nieszczęść tego, któremu długi saczek przysporzył za jeden dzień o sto sześćdziesiąt tysięcy i dziewięć talarów! Niech Bóg nagrodzi temu, który przez swój długi saczek ocalił całe miasto od głodowej śmierci! I, na Boga, skoro tylko będę miał nieco wolnego czasu, muszę ułożyć księgę na cześć pożytku obszernego saczka.

Jakoż w istocie ułożył piękną i grubą księgę i ozdobił ją wdzięcznymi rycinami, ale, o ile mi wiadomo, nie jest jeszcze drukowana.

## XVI. O OBYCZAJACH I SPOSOBIE ŻYCIA PANURGA<sup>245</sup>.

Panurg był średniej postawy, ani zbyt duży ani zbyt mały, miał nos nieco orlikowaty, zgrabnie wykrojony i mógł liczyć wówczas około trzydziestu pięciu lat. Smukły był

<sup>245</sup>*O obyczajach i sposobie życia Panurga* — Opis charakteru i obyczajów imię Panurga zgadza się w wielu punktach tak wiernie z osobą ulubieńca króla Henryka II, Karola de Guize, kardynała Lotaryńskiego, iż, zdaniem komentatorów, Rabelais, kreśląc swego Panurga, niewątpliwie miał tamte osobistość na myśli.

jak klinga u szpady i wcale szlachetnej postaci, jeno iż był nieco hultaj i podległy z natury chorobie, którą nazywano w onym czasie

Pieniądzy brak, cierpienie niezmiernie.

Mimo to znalazł on sześćdziesiąt i trzy sposoby, aby je sobie zawsze sprokurować na swoje potrzeby, z których to sposobów najuczciwszym i najwyczejniejszym było ściągnąć je ukradkiem z kieszeni bliźniego. Nicpoń, fałszywy gracz, opój, próżniak, dziewczkarz największy, jaki kiedykolwiek szlifował ulice Paryża,

z tym wszystkim dusza najzacniejsza w świecie<sup>246</sup>.

I nieustannie płał sztuczki szylwachom i żandarmom. Raz zebrał paru tęgich kmiotków, spoił ich pod wieczór jak braci templariuszów i potem wiódł ich pod Świętą Genowefę albo pod Kolegium Nawarskie i w chwili gdy ront miał przechodzić (co poznawał kładąc szpadę na bruk, a ucho przykładając do ziemi: kiedy słyszał, iż klinga drga, był to znak nieomylny, że ront blisko), zatem w tej chwili on i towarzysze brali wielki wóz na śmiecie i z wielkim zamachem zrzucali go z góry na dół, waląc cały biedny ront na ziemię jak wieprzów, po czym uciekali w przeciwną stronę: w niespełna bowiem dwa dni, poznał wszystkie ulice, uliczki i zakamarki Paryża jak swoją kieszeń.

Innym razem rozsypywał w miejscu, w którym ront miał przechodzić smugę prochu i w chwili gdy na nią stąpili, podpalał proch i potem bawił się jak król, patrząc na wdzięczne podskoki, w jakich uciekali, myśląc, iż chwyta im się nóg ogień św. Antoniego.

Co się zaś tyczy biednych magistrów i teologów, tych prześladował bardziej niż kogo bądź w świecie. Kiedy spotkał którego na ulicy, nie przepuścił, aby mu nie wyrządzić jakiej psoty, to wrzucając kawałek łajna do kapuzy albo przywiązując z tyłu ogon lisi lub zajęczy, albo patając inną jaką sztuczkę. Jednego dnia, kiedy kazano wszystkim teologom stawić się w Sorbonie dla roztrząsania artykułów wiary, przyrzędził marmoladę burbońską składającą się z mnóstwa czosnku, *galbanum assa foetida*, *castoreum*, łajna ciepłego jeszcze, i umaczał ją w sosie z wrzodów francowatych; i wczesnym rankiem, pomazał nią i namaścił teologalnie wszystkie kraty Sorbony, tak iż diabeł nie byłby tam wytrzymał. I wszystkie te poczciwe niebożęta rzygały tam przed całym świetnym zgromadzeniem, aż im bebechy wyłaziły gębą, i pomarło z nich od moru z dziesięciu albo dwunastu, czternastu dostało trądu, osiemnastu parchów, a więcej niż dwudziestu siedmiu francy; ale co jemu o to.

Zwyczajnie nosił pod płaszczem ukryty harap i chłostał nim bez umiarkowania spotkanych paziów, którzy nieśli wino panom, iżby się bardziej z nim śpieszyli.

I miał w kaftanie więcej niż dwadzieścia sześć kieszonek i schowków, zawsze pełnych: w jednej miał nieco żywego srebra i nożyk ostry jak igła kuśnierska, którym obcinał mieszki; w drugiej ocet, którym pryskał w oczy przechodniom; w innej osty bogato ubrane w pióra gęsie lub kapłonie, które rzucił na suknie i czapki spokojnych ludzi; i często przyprawiał im w ten sposób piękne rogi, które obnosili po całym mieście, niektórzy już całe życie. Białogłowom również przyczepiał z tyłu nad kapturkiem wisiorki o kształcie męskiego członka.

W innym znów schowku miał puszkę pełną pcheł i wszy, które pożyczal od dziadów spod kościoła i puszczał je za pomocą zgrabnego pręcika albo gęsiego pióra na

<sup>246</sup>z tym wszystkim dusza najzacniejsza w świecie — *Au demourant le meilleur fils du monde*, przysłowiowy cytat z epistoły Marota do Franciszka I.

kołnierz najwdzięczniejszych pańienek, zwłaszcza w kościele: nigdy bowiem nie wychodził na chór na górę, jeno zawsze zostawał w nawie między kobietami, tak na mszy, jak na nieszpórach albo na kazaniu.

W innej znów kieszeni miał zapas haczyków i sprzączek, którymi spinał często mężczyzn i niewiasty, gdy stali w gromadkach ściśnięci: szczególnie te, które miały suknie z jedwabnej tafty, i kiedy ruszyły się z miejsca, darły na sobie suknie ze szczętem.

W innej krzesiwo, hubkę, zapalniczki, krzemienie i wszystko, co przynależy.

W innej soczewki palące, którymi doprowadzał niekiedy do szaleństwa tego i owego i sprawiał, iż nie mógł spokojnie ustać w czasie mszy świętej w kościele.

W innej kieszonce zapas igieł i nici, za pomocą których płał tysiączne szelmostwa.

Jednego razu, gdy pewien franciszkanin miał odmawiać mszę dygnitarską w pałacu sprawiedliwości, w wielkiej sali, ofiarował się, iż pomoże mu oblec kapłańskie szaty; ale ubierając go, zeszył mu albę z suknią i koszulą, a potem, kiedy panowie referendarze i sędziowie zasiedli do słuchania mszy, wyniósł się chyłkiem. Owo kiedy powiedziano słowa *Ite missa est*, i kiedy biedny *frater* chciał rozdziać się z alby, uniósł wraz z nią i suknię, i koszulę i obnażył się aż po ramiona pokazując swój dzyndzynek całemu światu, a nie był zaiste małego kalibru. *Frater* ciągnie i ciągnie, ale coraz to więcej się odkrywa, aż wreszcie jeden z rajców rzekł:

— Cóż to, ten ojcaszek zaprosił nas tu na ofiarę, abyśmy mu zadek lizali? Niechże go polize ogień św. Antoniego!

I od tego czasu wydano edykt, iż dobre ojcaszki nie mają się rozdziewać przed oczami ludzi, jeno w zakrystii, zwłaszcza gdy są w kościele niewiasty: to by je bowiem mogło przywieść do grzechu pożądliwości.

I zastanawiali się ludzie, czemu oni *fraterkowie* mają kuśkę tak długą. Zaczem Panurg rozwiązał bardzo składnie ów problem, mówiąc:

Dlatego mają osły tak długie uszy, iż matki nie kładły im czepeczków na głowę; jako powiada *d'Alliaco* w swoich *Suppositiones*. Z podobnej przyczyny mają te poczciwe ojcaszki kuśkę tak długą, ile że nie jest zgoła zamknięta w pludrach, jeno ich dobry wisiołek rośnie swobodnie na wolności, nie ściągnięty żadną uździenicą i tak im buja sobie, i dynda aż do kolan jako różańce u niewiast. A dlatego ma i grubość odpowiednią wedle tej proporcji, iż od tego trzęsienia humory opuszczają się do tegoż członka: wedle legistów bowiem, ciągną niespokojność i ruch mają cnotę przyciągania.

*Item*, posiadał inną kieszonkę pełną śwędzącego proszku; i rad sypał go za kołnierz damom, które górniej się nosiły i sprawiał, iż musiały się drapać, obnażając się z szat przed światem; inne zaś tańcowały jako kogut na żarzących węgielkach albo kula na bębenku; inne biegly na ulicę, a on za nimi i gdy darły z siebie odzienie, okrywał je własnym płaszczem jako człowiek dwornych manier i grzeczny.

*Item*, w innej kieszonce miał fłaszeczkę pełną starej oliwy i kiedy spotkał mężczyznę albo niewiastę w pięknej nowej sukni, tłuscił im i plamił najpiękniejsze brokaty i hafty, pod pozorem że dotyka materii i dziwuje się jej urodzie:

— Otoć, nadobna pani, piękne sukno, otoć piękna satyna, piękna tafta: niechże Bóg wam daje, czego pragnie wasze szlachetne serce; toć mówią: nowa suknia, nowy galant, pomagaj panie Boże!

To mówiąc, przejeżdżał ręką po kołnierzu, tak iż szpetna plama zostawała na wiek wieków.

Wypalona ogniem prawie,

Na czci i na dobrej sławie,  
Wszystkim diabłom ku potrawie.

Wreszcie na koniec jeszcze im mówił:

— Pani, uważajcie, byście nie upadli, macie bowiem wielką i cuchnącą dziurę przed sobą.

W innej miał pełno proszku ciemierzycy; w tej kieszeni nosił cienką i nadobnie haftowaną chusteczkę, którą ściągnął jednej pięknej hafciarce, zdejmując jej z piersi wesz, którą wprzód sam puścił. I kiedy się znajdował w godnej kompanii białogłowskiej, ściągał rozmowę do bielizny i kładł im rękę na piersi, mówiąc:

— A ta robótka, czy to z Flandrii, czy z Brabancji?

I potem wyciągał swoją chustkę, mówiąc:

— Patrzcie, paniusie, patrzcie, oto sztuczka ładnie odrobiona!

I wytrząsał im ją dobrze pod nosem, tak że potem kichały cztery godziny bez wytchnienia. A on pierdził tymczasem jak dziki osieł, a damy śmiały się, mówiąc:

— Cóż to, pan pierdzi, panie Panurgu?

— Nic, nic — odpowiadał — dobieram jeno kontrapunkt do tej melodii, którą panie wygrywacie nosem.

W innej kieszonce miał szczypce, kleszcze, wytrych i inne jeszcze żelaziwo; i nie było drzwi ani szkatuły, których by nie otworzył.

W innej pełno kubeczków, którymi wyczyniał przedziwne sztuki: miał bowiem palce u ręki wyćwiczone niby Minerwa albo Arachne i z dawna parzył się kuglarstwem. I kiedy zmieniał talara albo inną sztukę, nie zdarzyło się, aby biednemu prostaczkowi nie zdmuchnął za każdym razem pięciu lub sześciu złotych, jawnie, publicznie, oczywiście bez gwałtu i uszkodzenia, w sposób najzgodliwszy w świecie.

## XVII. O TYM JAK PANURG KUPOWAŁ ODPUSTY I JAK WYDAWAŁ ZA MĄŻ STARE BABY; ORAZ O PROCESACH, JAKIE MIAŁ W PARYŻU<sup>247</sup>.

Jednego dnia zastałem Panurga nieco chmurnym i przybitym, z czego domyśliłem się, że nie ma ani denara; zacząłem rzekłem:

— Panurgu, wedle tego, co widzę z twojej fizjonomii, jesteś chory i domyślam się na jaką chorobę: cierpisz na upławy sakiewki. Ale nie kłopotz się: mam ci ja jeszcze

Sześć susów i grosik gładki,  
Co nie znały ojca, matki,

które cię nie miną, podobnie jak i franca<sup>248</sup> w swoim czasie.

Na co odpowiedział

— Usrać się na pieniądze, będę ich miał aż nadto, nie dziś, to jutro: mam bowiem kamień filozoficzny, który przyciąga do mnie pieniądze z sakiewek, podobnie jak magnes przyciąga żelazo. Ot, gadajcie lepiej, czy chcecie iść ze mną kupować odpusty.

— Na mą cześć — odparłem mu — ja tam znów nie jestem taki łakomy odpustów na tym świecie: nie wiem, jak będzie ze mną na tamtym. Zresztą, chodźmy w imię Boże, ale przeznaczam na to jednego denara, ani mniej, ani więcej.

— W takim razie — rzekł — pożyczcie mi denara na procent.

— Ech, o czym tu gadać — rzekłem. — Daję ci go z całego serca.

<sup>247</sup> O tym jak Panurg kupował odpusty — Rozdział ten jest echem wielkiej kampanii wymierzonej przez reformację przeciw handlowi odpustami prowadzonemu na ogromną skalę przez księży i mnichów.

<sup>248</sup> franca — Syfilis był w owym czasie w Europie ogromnie rozpowszechniony.

— *Grates vobis dominos* — odparł.

Poszliśmy tedy, zaczynając od św. Gerwazego i nakupiłem odpustów zaraz przy pierwszym straganie, zadowolam się bowiem byle czym w tej materii: następnie zmówiłem parę różańców i litanie do św. Brygidy. Ale Panurg kupował przy każdej tacy i bez ustanku wtykał pieniądze wszystkim przekupniom odpustów. Stamtąd poszliśmy do Panny Marii, do św. Jana, do św. Antoniego i do innych kościołów, gdzie były kramy z odpustami. Co do mnie, nie kupowałem już nic, ale on całował relikwie przy każdej tacy i wszędzie rzucał swój grosik. Kiedyśmy wreszcie byli z powrotem, zaprowadził mnie do szynku na szklaneczkę i pokazał mi dziesięć lub dwadzieścia kieszonek pełnych pieniędzy. Na co przeżegnałem się znakiem krzyża świętego, mówiąc:

— Na miły Bóg, skądże zdołałeś wytrząsnąć tyle pieniędzy w tak krótkim czasie?

Na co odparł, iż pochodzą z tacek z odpustami:

— Po prostu dając pierwszy grosz, wsunąłem go tak zręcznie, iż zdawało się, że to złotówka; zaczęłam jedną ręką wzięłam z powrotem dwadzieścia groszy albo dwadzieścia złotych, a drugą ręką kilka tuzinów: i tak we wszystkich kościołach któreśmy obeszli.

— Ależ — rzekłem — człowieku, toć w ten sposób gubisz duszę z kretesem: stajesz się opryskiem i świętokradcą!

— Hm — odparł — to wam się tak zdaje, a mnie znów zdaje się zgoła odmiennie. Kiedy bowiem zgarniam te grosze, owi przekupnie odpustów mówią mi, podsuwając relikwie do pocałowania: *Centuplum accipies*, to znaczy, abym za jednego wziął sobie sto: *accipies* bowiem rozumiane jest wedle składni Hebrajczyków, którzy używają czasu przyszłego zamiast trybu rozkazującego, jako widzicie w księdze Praw: *Dominum Deum tuum adorabis et illi soli servies; diliges proximum tuum, et sic de aliis*. Otóż, kiedy ów odpustnik mi rzekł: *Centuplum accipies*, rozumiał przez to: *Centuplum accipe*, i tak wyklada to rabin Kimy<sup>249</sup> i rabin Aben Ezra, i wszyscy massoreci: *et ibi Bartolus*. Prócz tego, papież Sykstus dał mi pięćset funtów renty zahipotekowanych na jego posiadłościach i na skarbie kościelnym za to, żem go wyleczył z wrzodu szankrowatego, który tak go nękał, iż zdawało się, że będzie chromał nań całe życie. Zatem ja tylko ściągam tę zapłatę własnymi rękami (nie mam bowiem innej drogi) z owego skarbu kościelnego. Ho, ho, przyjacielu, gdybyś ty wiedział, jakie ja sobie tłuste półcie wykrajałem z onych lubych krucjatek, to byś głębię rozdziawił. Przyniosły mi więcej niż sześć tysięcy guldenów.

— A gdzież się, u diaska, podziało to wszystko? — rzekłem — toć nie śmierdzisz ani szelągami.

— Tam poszły skąd i przyszły — odparł — zmieniły jeno pana. Trzy tysiące zużyłem na posagi: nie dla młodych dziewcząt, te bowiem aż nadto znajdują sobie mężów, ale dla starych odwiecznych bab, które już ani zęba nie miały w paszczęce. Rzekłem sobie: „Te dobre kobiecie bardzo sumiennie krzątały się czasu swej młodości i częstowały zadartym kuprem każdego, kto się nawinał, aż wreszcie nikt już nie chciał; toć, na Boga, trzeba sprawić, aby się jeszcze wytrzęsły do syta przed śmiercią”. Zatem w tym celu dałem jednej sto guldenów, drogiej sto dwadzieścia, innej trzysta: wedle tego, im która była bardziej nadpsuta, szpetna i obrzydliwa. Im bardziej bowiem były ohydne i omierzłe, tym więcej trzeba im było dać w posagu; inaczej sam diabeł nie byłby się chciał z nimi tryndolić. Zaczem z miejsca poszukałem tęgich i pleczystych chamów i sam pobłogosławiłem te małżeństwa. Ale nim pokazałem im starki, wprzód pokazałem talary, mówiąc: „Patrzcie, kumie, mogą być wasze, jeśli zechcecie poszturchać sobie parę razy”. Na to biedne pacholy zaczęły rzeć jak dzikie

<sup>249</sup>rabin Kimy — Słynny hiszpański rabin w XII wieku.



osły: zaczęłam im przyrządzić ucztę weselną, co najlepszego wina i siła korzeniów, aby moim starkom przysporzyć jurności a gorąca. W końcu pokładli się społem jak przystało: tym jeno, które byty nazbyt ohydne, szpetne i sparciałe, dałam pozakładać worki na głowę.

Niemaloby także stracił na procesy.

— I cóż ty mógł mieć za procesy? — rzekł. — Toć nie masz ziemi ani domu.

— Otóż, przyjacielu — odpowiedział — było tak: panienki z tego miasta wymyśliły, za podszeptem diabłów z piekła, kołnierze czy chustki krzyżowane wysoko pod szyją, które im tak dobrze zakrywały piersi, że nie można ich było ręką sięgnąć, zapięcie bowiem umieściły z tyłu, z przodku zaś wszystko było zamknięte; z czego biedne utęsknione i pożądlive gachy nie były ukontentowane. Otóż, jednego pięknego wtorku, przedłożyłem trybunałowi skargę, występując jako strona pozywająca przeciw rzeczonym paniom i dopominając się słusznie mi należnego znacznego odszkodowania: przedstawiając, że z taką samą racją każę sobie saczek u pludrów przyszyć z tyłu, jeżeli Wysoki Trybunał nie zrobi z tym porządku. Ostatecznie, panienki utworzyły syndykat, wypięły swoje repliki i dupliki i ustanowiły prokuracje celem obrony sprawy; ale ja nastąpiłem tak ostro, iż mocą orzeczenia trybunału nakazano, że owe wysoko krzyżowane chusty mają być zniesione, chyba że będą nieco wycięte z przodku. Ale to mnie kosztowało grubo.

Miałem też inny proces, bardzo szpetny i plugawy przeciw mistrzowi od wywożenia łąna i jego pomocnikom, iż nie ma im być wolno czytać potajemnie w nocy Beczki, Wiadra ani Kubła z sentencjami, jeno w biały dzień, w salach Sorbony<sup>250</sup>, w obliczu wszystkich teologów; przy czym skazano mnie na koszt z powodu jakiejś nieformalności w zeznaniach.

Innym razem wniosłem skargę do sądu przeciw mułom prezydentów, rajców i innych; zmierzając ku temu, iż na czas, kiedy stoją w dziedzińcu sądowym i żują wędzidła, mają im panie rajczynie poczynić piękne śliniaczki, aby śliną swoją nie walały bruku i aby paziowie mogli grywać na dziedzińcu w kości albo w durnia, nie niszcząc pludrów na kolanach. Uzyskałem przychylny wyrok, ale mnie to kosztowało. A policzcie jeszcze, ile mnie kosztują kolacyjki, które dzień po dniu wyprawiam dla paziów trybunalskich.

— A po co? — rzekł.

— Mój przyjacielu — odparł — ty widać nie wiesz, co to rozrywka na tym świecie. Co do mnie, mam ich więcej niż sam król. I gdybyś chciał się sprzymierzyć ze mną, cudów byśmy dokazali.

— Nie, nie, na świętego Gałganusa, nie chcę, ty bowiem prędzej czy później będziesz wisiał.

— A ty — rzekł — prędzej czy później będziesz gnął w ziemi: i cóż jest zaszczytniejsze, powietrze czy ziemia? Hej, gadaj, barania głowo! Pan Jezus może nie wisiał w powietrzu? Otóż, wracając do rzeczy, podczas kiedy paziuki biesiadują, strzegę ich mułów i zawsze nadetnę któremuś puślisko od strony, z której się wsiada, tak iż trzyma się ledwo na włosku. Kiedy jaka gruba baryła, ot, rajca albo inny taki, zamachnie się, aby wsiąść na grzbiet, wnet wali się na brzuch niby wieprz, na oczach całego świata, tak że śmiechu jest z tego więcej niż za sto talarów. Ja zaś śmieję się jeszcze mocniej, skoro bowiem taki wróci do domu, każe ćwiczyć imć pana pazia po tebinkach jak po bębnie; dlatego nie żal mi tego, co mnie kosztuje ta gościnność.

<sup>250</sup>czytać potajemnie w nocy Beczki, Wiadra ani Kubła z sentencjami, jeno w biały dzień, w salach Sorbony — Sens tej aluzji, jak zwykle obelżywej, do Sorbony, pozostaje dość ciemny.

Krótko mówiąc, miał on, jak rzekłem wyżej, sześćdziesiąt i trzy sposoby wynajdywania pieniędzy; ale miał za to dwieście czternaście sposobów wydawania ich, nie licząc tego, co przejadł i przepił, w czym nie miał równego sobie.

#### XVIII. JAK JEDEN WIELKI UCZONY ANGIELSKI CHCIAŁ PRZEPROWADZIĆ DYSPUTĘ PRZECIW PANTAGRUELOWI I JAKO ZOSTAŁ ZWYCIĘŻONY OD PANURGA.

W owym czasie pewien bardzo znamienity uczony, imieniem Taumastes<sup>251</sup>, słysząc rozgłos i sławę nieporównanej wiedzy Pantagruelowej, przybył z krainy Angielczyków, jedynie w tej intencji, aby ujrzeć owego Pantagruela, poznać go i doświadczyć, zali nauka jego odpowiada famie. Jakoż, przybywszy do Paryża, udał się na kwaterę tegoż Pantagruela, który mieszkał w gospodzie św. Dionizego i w tej chwili przechadzał się po ogrodzie z Panurgiem, filozofując na sposób perypatetyków. Skoro go tylko ujrzął, zadrżał Angielczyk ze strachu, widząc go tak wielkim i grubym; następnie, jak każe obyczaj, skłonił się uprzejmie i rzekł:

— Zaiste, prawdą jest, co powiada Platon, książkę filozofów, iż, gdyby obraz wiedzy i mądrości był cielesny i poznawalny oczom ludzi, cały świat stanąłby przed nim w zachwycie i podziwieniu. Bowiem jeśli jeno sam rozgłos o niej biegnący powietrzem dojdzie do uszu wyznawców jej i miłośników, zwanych filozofami, natychmiast nie daje im spać ani zażywać wczasu, jeno podnieca ich i rozpłomienia żądzą pobieżenia do onego miejsca i ujżenia osoby, w której mądrość owa umieściła swą świątynię i zamknęła swoje orędzia. Jako nam to wyraźnie jest unaocznione w królowej Sabie, która przybyła z krańców Orientu i Persjańskiego Morza, aby widzieć porządek domu wielkiego sędziego Salomona i posłyszeć jego mądrość; dalej w Anacharzysie, który ze Scytii udał się aż do Aten, aby oglądać Solona; w Pitagorze, który nawiedzał wieszczbiarzy z Memfisu; w Platonie, który odwiedził magów egipskich i Architasa z Tarentu; w Apoloniuszu Tyanejskim, który udał się aż do Gór Kaukaskich, przebył ziemie Scytów, Massagetów, Indów, przepłynął wielką rzekę Phyron aż do Brachmanów, aby oglądać Hiarchasa; potem zaś przewędrował Babilonię, Chaldeję, Medię, Asyrię, Partię, Syrię, Fenicję, Arabię, Palestynę, Aleksandrię, nawet Etiopię, aby ujrzeć Gymnosofistów. Podobny przykład mamy na Tytusie Liwiuszu, którego aby wiedzieć i usłyszeć, wielu ludzi uczonych przybyło do Rzymu z ostatnich krańców Francji i Hiszpanii.

Nie śmiem przyczyniać mojej osoby do liczby i rzędu ludzi tyle doskonałych; pragnę wszelako, aby mnie nazwano chciwym poznania i miłośnikiem, nie tylko nauk, ale i ludzi uczonych. Jakoż, w istocie, posłyszawszy wieści o twojej tak nieporównanej wiedzy, opuściłem kraj, dom i rodzinę i przybyłem aż tutaj, za nic licząc sobie długość drogi, dolegliwości morza, niebezpieczeństwo nieznanymi okolic, jedynie aby cię ujrzeć i pomówić z tobą o niektórych ustępach filozofii, geomancji i kabały, co do których mam wątpliwości i nie mogę ukoić umysłu: te jeżeli zdołasz mi rozwiązać, oddam ci się bezzwłocznie za niewolnika, siebie i całe potomstwo, nie znam bowiem innego daru, który by tutaj był dość godną nagrodą. Ułożę te punkty na piśmie i jutro obwieszczę je wszystkim ludziom uczonym w mieście, abyśmy przed nimi publicznie podjęli dysputę<sup>252</sup>.

<sup>251</sup>Taumastes — Niektórzy komentatorowie dopatrują się w Taumaście osoby Tomasza Morusa, który w owym czasie odwiedził Paryż.

<sup>252</sup>publicznie podjęli dysputę — Rozdział ten i następne stanowią satyrę ówczesnych jałowych dysput scholastycznych, jakie z wielką zaciekłością prowadzono w Sorbonie i innych kolegiach, nieraz od świtu do nocy.

Ale wprzódę muszę ci przedstawić, wedle jakiej metody pragnę, byśmy dysputowali: nie chcę dysputować *pro* i *contra*, jako zwykli czynić owi pomyleni sofisci tu i gdzie indziej. Podobnie nie chcę dysputować na sposób Akademików, za pomocą deklamacji, ani też przez liczby, jak czynił Pitagoras i jak chciał czynić Pikus Mirandola<sup>253</sup> w Rzymie. Ale chcę jeno dysputować przez same znaki, nic nie mówiąc: są to bowiem materie tak zawile, iż słowa ludzkie nie byłyby wystarczające do wyjaśnienia ich tak, jakbym pragnął. Owóż w tym celu niech Wasza Dostojność raczy się stawić w wielkiej sali Nawareńskiego Kolegium o godzinie siódmej rano.

Gdy ów skończył, Pantagruel odparł z wielką przystojnością:

— Panie, nie chciałbym skąpić nikomu ani też bronić czerpać z łask, którymi mnie Bóg obdarzył: wszystko bowiem dobro pochodzi od niego i on znajduje w tym radość, iżby się mnożyło, kiedy się przebywa w towarzystwie ludzi godnych i sposobnych do przyjęcia owej niebiańskiej manny zbożnych umiejętności. Ponieważ, jako to widzę, godzien jesteś zajmować pierwsze miejsce w ich liczbie, oświadczam ci, iż o każdej godzinie znajdziesz mnie gotowym odpowiadać na każde pytanie wedle mej znikomej możności i rozumienia. O wiele więcej mnie by przystało uczyć się od ciebie niż tobie ode mnie: tedy, jako rzekłeś, będziemy roztrząsali wspólnie twoje wątpliwości i szukali ich rozwiązania aż do dna niezgłębionej studni, w której, jak powiadał Heraklit, prawda spoczywa ukryta. I chwałę wielce sposób dysputowania, który podałeś, to jest za pomocą znaków, bez słów; w ten sposób z pewnością porozumiemy się doskonale i unikniemy owych bójek, których ci błaźni sofisci<sup>254</sup> chwytają się w dyspacie pięści, skoro się natkną na argument nie do odparcia.

Zaczem jutro nie omieszkać się stawić w miejscu i godzinie, które mi naznaczyłeś; ale proszę o jedno: aby między nami nie było żadnej sprzeczki ani starcia i abyśmy nie szukali czci i pokłasku ludzi, ale samej tylko prawdy.

Na co odpowiedział Taumastes:

— Panie, proszę Boga, aby cię zachował w swej łasce, dziękując ci zarazem, iż twa wysoka wspaniałość raczy zstąpić do mej skromnej, nikczemności. Tedy do widzenia, do jutra.

— Do widzenia — rzekł Pantagruel.

Wy, którzy czytacie niniejsze pismo, możecie sobie wyobrazić, iż nie było jeszcze na świecie ludzi bardziej wzniesionych w duchu i zatopionych w myślach niż przez tę całą noc Tamaustes i Pantagruel. Taumastes wprost powiedział odźwiernemu w oberży klunejskiej, w której stanął, iż w życiu swoim nie był tak przejęty i wzruszony jak tej nocy.

— Mam uczucie — rzekł — iż Pantagruel ścisną mnie za gardło: każcie podać co pić, proszę was, i postarajcie się, abym miał pod ręką świeżą wodę do przepłukania podniebienia.

Ze swej strony Pantagruel wzbił się w co najwyższe regiony ducha i całą noc przewracały mu się jeno po głowie

Księgi Bedy<sup>255</sup>, *de Numeris et Signis*,  
Księga Plotyna, *de Inerrabilibus*,  
Księga Proklesa, *de Magia*,  
Księgi Artemidora, *Peri Oneirokriticon*,  
I Anaksagorasa, *Peri Semion*,  
I Dinariusza, *Peri Aphaton*,

<sup>253</sup> *Picus Mirandola* (1463–1494) — słynny z encyklopedycznej wiedzy.

<sup>254</sup> *sofisci* — u Rabelais'go sorboniści. Pięści jako ostateczny argument miały w tych subtelnych kontrowersjach szerokie zastosowanie.

<sup>255</sup> *Beda* — uczonego angielskiego (672–735); *Plotyn*: neoplatonik w III w. etc., etc.

I księgi Filistiona,  
I Hipponaksa, *Peri Anekphoneton*,

i mnóstwo innych, tak aż Panurg mu powiedział:

— Panie, rzućcie już te wszystkie medytacje i idźcie spać: widzę bowiem, że umysł wasz tak jest poruszony i rozgrzany, iż możecie popaść w jaką latającą febrę z tego nadmiaru myślenia. Raczej pociągnijcie sobie jakie dwadzieścia pięć do trzydziestu tęgich łyków, idźcie do siebie i wyśpijcie się do syta; jutro zaś ja sam podejmuję się odpowiadać i dysputować przeciw panu Angielczykowi. Jeśli go nie zapędzę *ad metam non loqui*, nazwijcie mnie koronnym osłem.

— Ależ — rzekł Pantagruel — Panurgu, mój przyjacielu, toć on jest przeraźliwie uczony; jakże ty sobie z nim dasz radę?

— Bardzo prosto — odparł Panurg. — Proszę pana, nie mówmy już o tym i pozwólcie mi robić po swojemu: czy istnieje człowiek tak uczony jak diabli w piekle?

— Pewnie że nie — rzekł Pantagruel — bez jakiejś osobliwej łaski bożej.

— Otóż ja — rzekł Panurg — argumentowałem raz przeciw diablom z piekła i zapędziłem ich w kozi róg i mysią dziurę. Dlatego może pan być pewny, że co się tyczy tego pysznego Anglika, jutro posika się szczerym octem w oczach całego zgromadzenia.

Zaczem Panurg przebaraszkował całą noc, przepijając z ludźmi Pantagruela i grając o sprzączki od pludrów w *moja-twoja* i w durnia. A kiedy przysła oznaczona godzina, zawiódł swego pana Pantagruela na umówione miejsce. A możecie wierzyć na słowo, że kto tylko był żyw w całym Paryżu stawiał się tam od białego rana, myśląc: „Ów czort Pantagruel, który pokonał wszystkich sorbonipałów, będzie miał teraz za swoje. Ten Anglik bowiem to znowuż diabeł innego jeszcze kalibru! Zobaczmy, który wygra”.

W pośrodku zgromadzenia Taumastes już ich oczekiwał. I kiedy Pantagruel i Panurg weszli do sali, wszyscy ci gryzmoły, szkolarze i bakałarze jęli klaskać w ręce, jako jest ich głupawy obyczaj.

Ale Pantagruel zakrzyknął wielkim głosem, jak gdyby ktoś wystrzelił z wielkiego działa, i rzekł:

— Spokój! do stu par diabłów, spokój! Do kroćset, błazny jedne, jeśli mi tu będziecie kotłować głowę, zaraz wam poucinam wasze puste pały.

Na te słowa stanęli zdumieni jak cielaki i nie śmieli nawet kaszlnąć, jak gdyby każdy z nich połknął z piętnaście funtów pierza. I takie poczuli pragnienie na dźwięk samego tego głosu, iż powywieszali języki na pół łokcia z paszczęki, jak gdyby Pantagruel gardziele im posolił. Wówczas rozpoczął Panurg mówić, zwracając się do Angielczyka:

— Panie, żaliś tu przybył dla spornego przedysputowania twierdzeń, które ogłosiłeś, czy też dla poznania i dowiedzenia się prawdy?

Na co odparł Taumastes:

— Panie, nie inna rzecz mnie tu prowadzi, jeno szczerze pragnienie poznania i dowiedzenia się tego, co mnie nękało całe życie, nie spotkałem bowiem księgi ani człowieka, który by mnie zaspokoił w rozwiązaniu wątpliwości, które ogłosiłem. A co się tyczy dysput i sporów na słowa, nie mam zamiaru się tym parać: jest to bowiem rzecz zbyt szpetna i zostawiam ją tym błaznom sofistom, sorbonosłom, sorbonipałom, sorbonidudkom, sorboniconiom, sorbonygusom, sorbonierobom, którzy w dysputach swoich nie szukają prawdy, jeno częściej sprzeczności a zwady.

— Zatem — rzekł Panurg — gdybym ja, który jestem jeno niegodnym uczniem mego mistrza i pana, Pantagruela, zdołał cię zaspokoić i zadowolić we wszystkim i na każdym punkcie, byłoby niegodną rzeczą trudzić w tym celu mego pana: dlatego lepiej będzie, aby on był rozjemcą rozsądającym nasze argumenty; później zaś może

cię zaspokoić dodatkowo, jeśli ci się wyda, że nie uczyniłem zadość twym żarliwym pragnieniom.

— Zaiste — rzekł Taumastes — mądrze powiedziane. Zaczynaj tedy.

Owóż, zapamiętajcie sobie, iż Panurg uwiesił u swego długiego saczka nadobny chwaścik z czerwonego, białego, zielonego i niebieskiego jedwabiu, wewnątrz zaś ukrył w nim sporą i piękną pomarańczę.

#### XIX. JAKO PANURG ZAPĘDZIŁ W KOZI RÓG ANGIELCZYKA ARGUMENTUJĄCEGO NA MIGI.

Skoro wszyscy dokoła zasiedli w głębokim milczeniu, Angielczyk podniósł w górę każdą rękę z osobna, zbierając wszystkie palce razem na kształt kurzego kupra i uderzył je po czterokroć o siebie paznokciami; potem otworzył dłonie i uderzył na płask jedną o drugą, aż klasło; następnie, składając je jak wprzód, uderzył dwa razy i znów otwartą dłonią cztery razy. Następnie złożył je wyciągnięte, jedną tuż koło drugiej, jakoby żarliwie modląc się do Boga. Panurg natychmiast podniósł w górę prawą rękę, potem włożył wielki palec do dziurki od nosa z tej samej strony, trzymając pozostałe cztery palce wyciągnięte i ściśnięte w linii równoległej do końca nosa, zamykając przy tym zupełnie lewe oko i mrużąc prawe ze znacznym opuszczeniem brwi i powieki. Potem podniósł wysoko lewicę, silnie ściskając i wyciągając cztery palce, a wznosząc kciuk; i trzymał ją w kierunku ściśle odpowiadającym położeniu prawej ręki, w odstępnie dwóch i pół łokci między jedną a drugą.

Następnie w zupełnie podobny sposób, opuścił ku ziemi jedną i drugą rękę; wreszcie umieścił je w środku, jakoby celując prosto w nos Angielczyka.

— A jeśli Merkury?... — rzekł Anglik.

Panurg przerwał mu, wołając:

— Przemówiłaś, maseczko!

Wówczas Angielczyk uczynił taki znak: lewą rękę całkowicie otwartą podniósł wysoko w górę, po czym stulił w pięść cztery palce, a wyciągnięty kciuk oparł na końcu nosa. Natychmiast potem podniósł prawicę, też całkowicie rozłożoną, przytykając kciuk do miejsca, w którym zamykał się mały palec lewej, czterema zaś palcami przebierał z wolna w powietrzu. Potem na odwrót zrobił prawą to, co wprzód lewą, a lewą to, co wprzód prawą. Panurg niezmiuszony tym wcale, podniósł lewą ręką w powietrze swój potężny sacek, prawą zaś dobył zeń ułomek białego wołowego żebra i dwa kawałki drzewa jednakiego kształtu, jeden z czarnego hebanu, drugi z czerwonego mahoni i umieścił je zupełnie symetrycznie między palcami; i uderzając nimi o siebie, wydawał taki dźwięk, jaki czynią trędowaci w Bretanii kołatkami, bardziej wszelako dźwięczny i harmonijny; zarazem ściągnąwszy język w gębie, nucił wesoło, wciąż patrząc na Anglika.

Teologowie, medycy i chirurdzy mieli, iż tym sposobem przyrównuje Angielczyka do trędowatego. Rady, legiści i dekretaliści mieli, iż tym sposobem chce dowieść, iż jakowyś rodzaj szczęśliwości ziemskiej mieści się w stanie trędowatym, jako niegdyś twierdził nasz Pan. Ale Angielczyk nie przeraził się tym i podniósł obie ręce w górę, trzymał je w takiej postaci, iż trzy główne palce miał ściśnięte w pięść, kciuki wtulone między wskazujący a średni, ostatnie zaś palce były wyprężone. Tak podsunął je pod oczy Panurgowi; potem złączył je w ten sposób, iż kciuk prawy stykał się z lewym, a mały palec prawy dotykał lewego.

Na to Panurg, nie mówiąc słowa, podniósł ręce i uczynił nimi taki znak: w lewej zetknął paznokieć wskazującego palca z paznokciem kciuka, czyniąc między nimi pętlę; w prawej zaś ścisnął wszystkie w pięść, z wyjątkiem wskazującego, który wkła-

dał i poruszał tam i z powrotem między dwoma wspomnianymi palcami ręki lewej; potem wyprężył wskazujący i pośrodek ręki prawej, rozsuwając je, ile tylko mógł i kierując ku Taumastowi; potem przytknął kciuk lewy do lewego oka, wyprężając dłoń jakoby skrzydło albo płetwę i potrząsając nią bardzo wdzięcznie tam i sam; toż samo uczynił prawą dłonią, wsparłszy ją o prawe oko.

Taumastes pobladł nieco, zaczął się trząść na całym ciele i uczynił taki znak: uderzył pośrodkim palcem prawej ręki o mięsień u nasady kciuka, następnie włożył wskazujący prawy w podobne oczko lewej ręki; ale włożył go z dołu, a nie z góry, jako był uczynił Panurg.

Wówczas Panurg uderzył jedną rękę o drugą i dmuchnął w dłonie: następnie włożył znów wskaziciela prawej ręki w oczko lewej, cofając go i wsuwając kolejno: następnie wysunął podbródek, patrząc bystro na Taumasta.

Patrzący, którzy nic nie pojmowali z tych znaków, zrozumieli dobrze, iż oto, nie rzekąc słowa, pyta Taumasta: „Co chcecie przez to powiedzieć?”

Jakoż Taumastes zaczął się pocić wielkimi kroplami i wyglądał na człowieka zatopionego w głębokiej kontemplacji. Wreszcie opamiętał się i przytknął wszystkie paznokcie lewej ręki do paznokci prawej, rozchylając łukowato palce i podnosząc w tej pozycji ręce, jak mógł najwyżej.

Na to Panurg natychmiast podłożył kciuk prawej ręki pod szczękę, a równocześnie podzwaniał bardzo melodyjnie zębami, uderzając dolnymi o górne.

Taumastes podniósł się z wielkim mozolem, ale podnosząc się, pierdnął mocno, przy czym równocześnie popuścił pod siebie i poszczał się bardzo kwaśno a obficie, tak iż cuchnął jak wszyscy diabli. Obecni zaczęli sobie zatykać nosy, wciąż bowiem fajdał pod siebie w tej opresji; potem podniósł prawą rękę, układając ją w taki sposób, że zebrał końce wszystkich palców, a lewą płasko rozpostartą położył sobie na piersi.

Na co Panurg pociągnął swój olbrzymi saczek z jedwabnym chwastem i rozwinął go na półtora łokcia, i przytrzymał w powietrzu lewą ręką, prawą zaś dobył pomarańczę i podrzuciwszy ją w powietrzu siedem razy, za ósmym ukrył ją w prawej pięści, trzymając ją wysoko, całkiem nieruchomo; po czym ją potrząsał swym okazałym saczkiem, ukazując go Taumastowi.

Następnie Taumastes zaczął wydymać oba policzki, jak czynią kobziarze i dmuchać, jakoby nadymał pęcherz świński.

Na co Panurg przyłożył palec lewy do otworu w zadku, ustami zaś wciągał powietrze jak ktoś, co wysysa ostrygi albo smakuje zupę; następnie otworzył nieco gębę i uderzył się z lekka po niej płaską ręką, wydając dźwięk głośny i głęboki, jakoby wychodził z powierzchni przepony przez arterię trachealną; i powtórzył to szesnaście razy. Zasię Taumastes ciągle sapał jak gąsior. Zaczem Panurg włożył palec wskazujący prawy do ust, ściskając go bardzo silnie mięśniami wargowymi, a potem go pociągnął; i pociągając, wydawał głośny dźwięk, taki, jak czynią mali chłopcy, kiedy strzelają z bzowej fuzyjki kawałkiem rzepy; i powtórzył to dziewięć razy.

Wówczas Taumastes wykrzyknął:

— Ha, panowie, oto cała tajemnica: teraz go mam wreszcie!

Następnie, wyjąwszy pugił, który miał przy sobie, skierował go ostrzem na dół.

Na co Panurg pochwycił swój długi saczek i trzepał nim co sił o uda: potem położył obie ręce splecione na kształt grzebienia na głowie, wywieszając język, ile tylko mógł i wywracając oczami jak koza w bólach rodzenia.

— Ha! rozumiem, ale co? — rzekł Taumastes, czyniąc taki znak, iż przytknął sobie rękojeść sztyletu do piersi, na ostrzu zaś oparł płaską dłoń, wykręcając nieco palce.

Na co Panurg pochylił głowę ku lewej i przyłożył pośrodkowy palec do lewego ucha, podnosząc kciuk do góry. Potem skrzyżował ręce na piersi, kaszląc pięć razy, a przy piątym uderzając prawą nogą o ziemię; następnie podniósł lewą rękę i ściskając w pięść wszystkie palce, oparł wielki palec o czoło, uderzając się równocześnie sześć razy prawą ręką w piersi. Ale Taumastes, jakoby nierad z tego, oparł lewy kciuk o koniec nosa, zamykając resztę palców. Zaczem Panurg położył oba wskazujące po obu stronach ust, rozciągając usta, ile tylko mógł i pokazując wszystkie zęby: oboma zaś kciukami ściągnął obie powieki dość nisko, czyniąc tym, wedle rozumienia patrzących, bardzo szpetny grymas.

## XX. JAKO TAUMASTES WYSŁAWIAŁ CNOTY I WIEDZĘ PANURGA.

Zaczem podniósł się Taumastes i zdejmując czapkę z głowy, podziękował uprzejmie imię Panurgowi. Po czym rzekł głośno do zgromadzenia:

— Panowie, w tej chwili słusznie mogę powiedzieć owe słowa ewangeliczne: *et ecce plus quam Salomon hic*. Macie tu między sobą skarb nieporównany, to jest pana Pantagruela, którego sława sprowadziła mnie tutaj aż z samych krańców Anglii, iżbym się mógł z nim naradzić nad niedoścignymi zagadnieniami tak magii, alchemii, kabalistyki, geomancji, astrologii, jak filozofii, które to zagadnienia nękały z dawna mój umysł. Ale obecnie mam żal do sławy, która zda się być zazdrosna o niego, nie głosi bowiem ani tysięcznej części tego, co jest w istocie.

Widzieliście, jako jego prosty uczeń uczynił mi zadość i objawił mi więcej, niż żądałem; obficie mi nastręczył, a zarazem rozwiązał mnóstwo innych nieoszacowanych wątpliwości. W czym mogę tu przed wami oddać mu świadectwo, iż ukazał mi prawdziwą studnię i otchłanie wszechstronnej wiedzy, takiej nawet, co do której nie spodziewałem się spotkać człowieka świadomego bodaj jej pierwszych elementów: a to wszystko objawił mi w dyspucie naszej za pomocą znaków, nie rzekąc ani pół słowa. Ale w swoim czasie ułożę to wszystko na piśmie, cośmy tu omówili i uchwalili, aby nikt nie myślał, że to były błżeństwa i dam to wydrukować, iżby się każdy z tego pouczył, jak ja się pouczyłem. Zaczem możecie sądzić, co byłby dowiódł sam mistrz, jeśli już uczeń jego okazał taką zdatność; *non est* bowiem *discipulus super magistrum*. Tedy Bogu wielkiemu niechaj będzie chwała! wam zaś dziękuję pokornie za zaszczyt, jaki uczyniliście nam swoją obecnością. Niech Bóg to wam wiekuiście nagrodzi!

Podobne dzięki złożył i Pantagruel całemu zgromadzeniu, a opuszczając je, zaprosił do siebie Taumasta na obiad. Możecie sobie wyobrazić, iż popili sobie, aż guziki u brzucha trzaskały (w owym czasie bowiem zapinało się brzuchy na guziki, jako obecnie kołnierze) i dalej brząkać we flaszki, a dalej wołać na pachołków: „Sam tu, otwieraj, podawaj, nalewaj; pełno do kroćset, pełno!”. I żaden w kompanii nie wypił mniej niż dwadzieścia pięć albo zgoła trzydzieści garnców. A wiecie czemu? *Sicut terra sine aqua*, albowiem było gorąco, a po wtóre gardła mieli znacznie wysuszone.

Co się tyczy twierdzeń rozwiniętych przez Taumasta i sensu owych znaków, którymi posługiwali się w dyspucie, to chciałem je wam wyłożyć wedle ich własnej relacji; ale powiedziano mi, że Taumastes spisał o tym wielką księgę drukowaną w Londynie, w której wyjaśnia wszystko, nic nie opuszczając: dlatego też, na razie, poniecham tego.

## XXI. JAKO PANURG ROZMIŁOWAŁ SIĘ W JEDNEJ ZNAMIENTEJ DAMIE PARYSKIEJ.

Owa dysputa, którą Panurg wygrał przeciw Angielczykowi, uczyniła go głośnym w Paryżu; zaczem korzystał z tego z pożytkiem i chwałą dla swego saczka, który

kazał z wierzchu ozdobić haftami, romańską modą. I wszyscy sławili go publicznie i ułożono o nim śpiewkę, którą dzieciaki wyśpiewywały, bawiąc się na ulicy i był mile widziany w każdej kompanii niewiast i panienek; z czego stał się tak zadufany w sobie, iż zamierzył dostać się na pępuszek jednej z najznacniejszych pań w mieście.

Jakoż, poniechując mnóstwa długich prologów i wzdychań, którymi bawią się zazwyczaj owi cierpiętliwi kontemplatywnopostni miłośnikowie nietykający zgoła mięsa, rzekł jej pewnego dnia:

— Pani, byłoby bardzo pożyteczne dla całej Rzeczypospolitej, rozkoszne dla was, chlubne dla waszego potomstwa, a potrzebne dla mnie, abyśmy się skrzyżowali z sobą; możecie mi pani wierzyć, gdyż doświadczałam wam to udowodnię.

Na te słowa odrzuciła go więcej niż na sto mil, mówiąc:

— Błaźnie niegodziwy, godziż się tobie przemawiać do mnie w ten sposób? Do kogo mniemasz mówić? Idź, nie waż się pokazywać przed moje oblicze, za najmniejszym bowiem zuchwalstwem kazałabym ci poprzetrzącać ręce i nogi.

— Ba — rzekł — niewiele o to stoję, iż miałbym przetrącone ręce i nogi, bylebyśmy w zamian zaparzyli się nieco społem w przyrodzonej wannie. Oto — dodał, wskazując na swój potężny saczek — widzicie tu sumienny klarynecik, gotów wam zagrać starożytną melodię, od której by się wam ciepło zrobiło aż do szpiku. To majster zawołany i tak wam, pani, uprzątnie najmniejsze ziarenko prochu i sadyz w waszym kominie, że już nikogo po nim nie będzie trzeba wołać do wycierania.

Na co dama odrzekła:

— Precz, zuchwalcze, idź precz! Jeśli dodasz słowo, zawołam ludzi i każę cię zatłuc kijami.

— Ech, ech — rzekł — toć wy, pani, nie jesteście taka zła, jak mówicie; nie: chyba bym się gorzko musiał omylić na waszej fizjonomii: snadniej by bowiem ziemia uniosła się do nieba albo niebiosy zstąpiły do otchłani i cały porządek przyrody byłby przewrócony, niż żeby przy tak wielkiej piękności i ozdobie jak wasza mogła się mieścić by kropla żółci albo złośliwości. Powiadają wprawdzie, iż niełacno trafia się w świecie

Niewiasta w wszelkich pięknościach wyborna,  
Żeby nie była co nieco oporna;

ale to się powiada jeno o pospolitych pięknościach, wasza zaś jest tak nadziemską, tak osobliwą, tak niebiańską, iż mniemam, że natura umieściła ją w was jako wzór i przykład, aby nam dać poznać, co potrafi uczynić, kiedy zechce rozwinąć całą swą potęgę i umiejtność. To jeno sam miód, sam cukier, sama niebieska manna, to wszystko, co w was się mieści. Wam to jedynie Parys winien był przyznać złote jabłko, nie Wenerze, nie, ani Junonie, ani Minerwie: nigdy bowiem nie było tyle dostojenstwa w Junonie ani roztropności w Minerwie, ani powabu w Wenerze, ile ich jest w tobie, pani. O bogowie i boginie niebieskie! jakże szczęśliw będzie ten, któremu wyświadczyte tę wielką łaskę, aby tę oto panią mógł obłapić, uścisnąć i wyparzyć się z nią przystojnie! Na Boga, ja będę tym szczęśliwcem, widzę to dobrze, już miłuje mnie bowiem z całego serca, wiem; mnie już w kolebce przeznaczyły wróżki do tej szczęśliwości. Owo, aby nie tracić czasu, walaj bracie, dosiadać kobyłki i jazda.

Zaczem chciał ją obłapić, ale udała, iż wychyla się oknem, aby krzyczeć gwałtu na sąsiadów. Tedy ulotnił się czym prędzej Panurg i rzekł na odchodnym:

— Pani, zaczekajcie na mnie tutaj, ja sam pójdę ich sprowadzić, nie trudźcie się tak łaskawie.



I zemknął, nie frasując się zbytnio z przyczyny rekuzy, jakiej doznał, i nie psuło mu to w niczym zabawy. Nazajutrz znalazł się w kościele w porze, gdy ta pani chodziła na mszę, i przy wejściu podał jej wodę święconą, skłoniwszy się wprzód głęboko; po czym ukląkł koło niej poufale i rzekł:

— Pani ma, wiedźcie, iż taką miłością goreję ku wam, iż ani oddać uryny, ani wysrać się nie mogę. Nie wiem, co zamysławicie ze mną zrobić, ale, gdyby się trafiło jakie nieszczęście, i cóż byście mieli z tego?

— Idź — rzekła — idź precz, nie dbam o to: pozwól mi się modlić spokojnie.

— Tedy proście Boga, aby mi użyczył tego, czego wasze szlachetne serce pragnie i darujcie mi z łaski swojej ten różaniec.

— Precz — rzekła — i nie prześladowajcie mnie dłużej.

To mówiąc, chciała mu odebrać z rąk różaniec, który był z cedrowego drzewa z dużymi złotymi gąbkami, ale Panurg dobył zręcznie nożyka, uciął go bardzo gładko i zaniósł do handlarzy, rzekłszy do owej pani:

— Czy chcecie, pani, mój kozik?

— Nie, nie — rzekła.

— Wiedźcie, że w każdej okazji jest na wasze rozkazy, z duszą i ciałem, z flakami i bebeczami.

Tymczasem pani bardzo się zmarkociła o ów różaniec, zwyczajna bowiem była zawsze go mieć pod ręką w kościele, i myślała: „To jakiś postrzeleniec ten dobry gaduła; w istocie, człowiek dziwnego nabożeństwa: trzeba mi się pożegnać z moim różańcem, a co powie mąż? Pogniewa się na mnie; ale powiem mu, że jakiś rzezimieszek obciął mi go w kościele: uwierzy snadnie, widząc wstążkę wiszącą u paska”.

Po obiedzie Panurg poszedł ją odwiedzić, mając w rękawie sakwę pełną liczmanów i marek do gry i zaczął prawić.

— Kto z nas dwojga bardziej kocha, wy, pani, mnie, czy ja was?

Na co dama:

— Co się mnie tyczy, nie mam do was nienawiści, bowiem, jak to Bóg nakazuje, miłuję wszystkich ludzi.

— Dobrze — rzekł — ale czy nie jesteście przypadkiem trochę zadurzeni we mnie?

— Mówiłam wam — rzekła — mówiłam tyle razy, abyście się nie odzywali do mnie z taką mową; jeżeli ozwiecie się z tym raz jeszcze, pokażę wam, że źleście się, zaiste, wybrali z takim bezecenstwem. Uchodźcie stąd, a oddajcie mi wprzód różaniec, mąż bowiem może się mnie o niego spytać.

— Jak to — rzekł — miałbym oddać wasz różaniec? Tego, na mą duszę, nie uczynię. Ale mogę dać wam w zamian innych, ile chcecie. Czy wolicie, żeby był ze złotych kulek pięknie emaliowanych albo też pięknie nizany na łańcuszek, albo też cały lity jakoby ziarna; albo może chcecie z hebanu, albo z wielkich szmaragdów, z wielkich szlifowanych granatów, ze zdrowaškami z turkusów; albo też nadobne topazy dzielone pięknymi szafirami, albo piękne rubiny ze zdrowaškami z dwudziestoosmiokaratowych diamentów? Nie, nie, to za mało. Wiem o pięknym różańczyku z czyściutkich szmaragdów przerywanych cętkowaną ambrawą, z zapinką z perły persjańskiej, wielkiej jak pomarańcza: kosztuje jeno dwadzieścia pięć tysięcy dukatów; ten chcę wam ofiarować, właśnie bowiem jestem przy pieniądzech.

To mówiąc zadzwonił w liczman, jak gdyby to były najpiękniejsze dukaty.

— Chcecie może sztuczkę aksamitu karmazynowego z fiołkowym? dzianego atłasu? Chcecie łańcuszków, kolczyków, naszyjników, pierścionków? Jedno słowo wystarczy. Możecie iść aż do pięćdziesięciu tysięcy dukatów, to dla mnie drobnostka.

Tak mówił, a owej pani ślinka przychodziła do ust. Ale rzekła:

— Nie, dziękuję wam, nic nie chcę od was.

— Na Boga — rzekł — ale ja bym chciał coś od was i to rzeczy, która nie kosztowałaby was ani szeląga, ani też wam jej nie ubędzie. Ot, patrzcie — rzekł — ukazując jej swój długi saczek, oto poczciwy Kuba Skoczek prosi o mieszkanie.

Zaczem chciał ją obłapić. Ona poczęła krzyzczeć, wszelako niezbyt głośno. Wtedy Panurg przestał wdzięczyc się słodziutko i rzekł:

— Zatem na żaden sposób nie chcecie mi nic pofolgować<sup>256</sup>? Usrać się na was! Za dużo, wierę, byłoby dla was szczęścia i zaszczytu; ale, na Boga, sprawię to, przyrzekam wam święcie, iż psy ujeżdżać was będą!

To rzekłszy, umknął śpiesznym krokiem z obawy kijów, do których miał wrodzoną odrazę.

## XXII. JAKO PANURG WYPŁATAŁ DAMIE PARYSKIEJ SZTUKĘ, KTÓRA NIE WYSZŁA JEJ NA KORZYŚĆ.

Trzeba wam wiedzieć, iż następnego dnia przypadało wielkie święto Bożego Ciała, na które wszystkie białe głowy ubierają się, w co mają najwspanialszego. Jakoż na ten dzień pani ubrała się w piękną suknię z karmazynowego atlasu i białą aksamitną spódniczkę wielce kosztowną. W wilię tego dnia, Panurg póty się uwijał i myszkował, aż znalazł goniącą się sukę, którą związał i zaprowadził do swojej kwatery i żywił ją obficie tego dnia i całą noc. Rano ją zabił, wyjął jej to, co znają dobrze geomanci greccy, pociął na najdrobniejsze kawałeczki, ukrył je dobrze przy sobie i udał się do kościoła, gdzie owa pani miała wędrować z procesją, jak to jest w zwyczaju w dzień owego święta. Zaczem, skoro weszła, Panurg podał jej święconą wodę, kłaniając się bardzo dwornie; w chwilę zaś potem, gdy odmówiła już swoje paciorki, podszedł ku ławce i podał jej rondo wypisane w następującym kształcie:

### RONDO

Me wdzięczne chuci gdy wam, piękna pani,  
Wśród westchnień mnogich, kornie niosłem w dani.  
Wówczas wyгнаłaś mnie, karcąc surowo,  
Mimo iż nigdy by najlżejsze słowo  
Z ust mych nie padło, co żeńską cześć rani.  
Jeśli to, żeście ode mnie kochani,  
Tak przykrym, zbyć się mogliście najtaniej  
Mych hołdów, skromiąc swą stateczną mową  
Me wdzięczne chuci.

Toć was nie krzywdzę tym, że żywię dla Niej  
Lube płomienie, których nikt nie zgani,  
Kto twoją piękność ujrział, o królowo!  
I nic nie pragnę, jeno byćcie zdrowo  
Chcieli swym kuprem uczcić co najraniej  
Me wdzięczne chuci.

<sup>256</sup>Zatem na żaden sposób (...) psy ujeżdżać was będą — Pomieszenie ówczesnej rycersko-dwornej etykiety miłosnej, której oświadczyzny Panurga są parodią, z grubą brutalnością obyczajów, jaka się kryła pod cienką warstwą tego poluru, wszystko to doskonale odbija się w tym epizodzie.

I kiedy ona rozwijała papier, aby zobaczyć, co to takiego, Panurg szybko wydobyl specyfik, który miał przy sobie, nasypał go jej po rozmaitych miejscach, szczególnie w fałdy rękawów i sukni, po czym rzekł:

— Ach, pani, biedni kochankowie nie zawsze spoczywają na różach! Co się mnie tyczy, mam nadzieję, iż moje

Serdeczne bole,  
Troski, niedole,

w których pogrzyżała mnie miłość do ciebie, będą mi za coś policzone w czyścicu. Wy, pani, módlcie się bodaj za mnie do Boga, aby mi dodał wytrwania w mym nieszczęściu.

Jeszcze Panurg nie dokończył tych słów, kiedy wszystkie psy będące w kościele podbiegły do onej pani, znęcone zapachem specyfiku, którym ją obsypał; małe i duże, misterne i przygrubsze, wszystkie zbiegły się, wysuwając członki, obwąchując ją i sikając na nią: trudno sobie wyobrazić coś szpetniejszego.

Panurg przepędził je z lekka, następnie skłonił się swej damie i ukrył się w kaplicy, aby widzieć, co się dalej stanie. Zasię te paskudne psiska obszczywały jej całe ubranie, aż wreszcie wielki chart zlał się jej na głowę, inne do rękawów, inne na grzbiet; a co najmniejsze psiny siusiały jej do trzewików. Tak iż niewiasty będące w pobliżu wiele miały z tym trudu, aby ją odratować. Zaś Panurg zaczął się śmiać i rzekł do jednego z obecnych:

— Zdaje się, że ta pani mocno jest rozgrzana, albo też jakiś kundys musiał ją pokryć świeżo.

I kiedy ujrzał, jak wszystkie psy warczą naokoło niej, jako czynią dokoła goniącej się suki, wyszedł z kościoła i poszedł szukać Pantagruela. Idąc przez ulicę, gdzie tylko napotkał psa, kopał go nogą, mówiąc:

— Nie poszedłeś z kompanami na wesele? Gońże tam, do stu diabłów, goń a żywo!

Zaczem, wróciwszy do mieszkania, rzekł do Pantagruela:

— Panie, proszę was, chodźcie zobaczyć, jak wszystkie psy z okolicy zebrały się około najpiękniejszej tutejszej damy i chcą ją wyobrać.

Na co Pantagruel chętnie przystał i ujrzał to dziwowisko, które zdało mu się bardzo piękne i niezwykle.

Ale najlepszy smak był przy procesji, na której ujrzano naokoło tej pani więcej niż sześćset tysięcy i czternaście psów świadczących jej mnóstwo lubostek: i wszędzie, gdzie przechodziła, nowe psy biegly w jej ślady, obsikując w drodze miejsca, gdzie postawiła nogę. Kto żyw zatrzymywał się na to widowisko, dziwując się zachowaniu psów, które wdrapywały się jej aż na szyję i niszczyły piękne stroiki. W końcu, nie mogąc znaleźć innej rady, spróbowała ukryć się w swoim domostwie. Dopieroż psy za nią, dopieroż ona się zaczęła kryć, a służebne pękały ze śmiechu. Kiedy zaś weszła do domu i zawarła drzwi za sobą, wszystkie psy zbiegły się z pół mili wokoło i obsikały tak obficie bramę, iż kaczkę mogłyby pływać po potoku z ich uryny. I to jest ów strumień, który przepływa obecnie pod Wiktorowem i Gobelin<sup>257</sup> farbuje w nim swoje szkarłaty z przyczyny specyficznej cnoty owej psiej szczyny, jak o tym swego czasu nauczał publicznie mistrz Dorys. I tak nam panie Boże dopomóż, tęgi młyn mógłby mleć na tym strumieniu, nie tyle oczywiście, co młyn w Bazoszy wpodłe Tuluzy.

<sup>257</sup> *Gobelin* — wytwórca dywanów (od tego nazwa: *gobeliny*), posiadał farbiarnię szkarlatu nad brzegiem rzeki Bierre.

XXIII. O TYM, JAKO PANTAGRUEL OPUŚCIŁ PARYŻ, ODEBRAWSZY NOWINY, IŻ DIPSODZI ZAJECHALI KRAINĘ AMAUROTÓW, I O TYM, DLACZEGO MILE SĄ TAK MAŁE WE FRANCJI.

W niedługi czas potem Pantagruel otrzymał wieści, że ojciec jego Gargantua przeniósł się do kraju Feów przez Morgę, jako niegdyś Ozier i Artus; a zarazem że na wieść o jego nieobecności Dipsodzi wyruszyli ze swych granic, zniszczyli rozległą krainę Utopię i właśnie trzymali w oblężeniu wielkie miasto Amaurotów. Zaczem opuścił Paryż, nie żegnając się z nikim, rzecz bowiem była pilna, i przybył do Ruenu.

Otóż tak wędrując, zauważył Pantagruel, iż mile francuskie są bardzo małe w stosunku do innych krajów i spytał Panurga o przyczynę i rację tej różnicy. Ten opowiedział mu powiastkę, zamieszczoną przez *Marata Jezierskiego*, mnicha, w historii o czynach królów kanaryjskich. A była ona taka:

„Za dawnych czasów kraje nie były podzielone na mile, staje, sążnie i wiorsty, aż dopiero król Faramond<sup>258</sup> ustanowił te pomiary, a stało się to w następujący sposób. Oto znalazł w Paryżu stu bardzo urodziwych i tęgich kompanów i sto urodziwych pikardzkich dziewczek i kazał ich dobrze raczyć i karmić przez tydzień, a potem wezwał ich przed siebie: i każdemu dał jego dziewczynę, wraz ze sporą kwotą na wydatki podrózne, przekazując rozkaz, aby się rozeszli w rozmaite strony. I na wszystkich miejscach, na których wygodzi sobie który ze swą dziewczuchą, ma położyć kamień i to będzie mila. Zaczem owi kompani puścili się ochotnie w drogę i jako że byli wypoczęci i nakarmieni, folgowali sobie pod każdym drzewkiem, i oto czemu mile we Francji są tak małe.

Ale kiedy już przebyli spory kęs drogi i byli zmęczeni jak diabli i zbrakło im oliwy w ampułce, nie huścili się już tak często i zadowalali się radzi (rozumiem to o mężczyznach) jednym głupim raziczkiem na dzień. I oto skąd poszło, że mile w Bretanii, w Landach, w Niemczech i innych bardziej oddalonych krajach są tak duże. Inni przytaczają inne racje; ale ta zdaje się najpodobniejszą do prawdy”.

Na co chętnie przystał Pantagruel.

Wyjechawszy z Ruenu, przybyli do Homflery, gdzie Pantagruel wraz z Panurgiem, Epistemonem, Eustenesem i Karpalimem wsiedli na statek. Owo podczas gdy tam czekali pomyślnego wiatru i opatrywali kadłub okrętu, otrzymał Pantagruel list od jednej damy z Paryża, z którą miał porozumienie przez czas dosyć długi; list zaś miał nadpis następujący:

Najulubieńszemu z młodzieńców, najniewierniejszemu z książąt,  
P. N. T. G. R. L. W. I.

XXIV. LIST KTÓRY PRZYNIÓŚŁ PANTAGRUELOWI POSŁANIEC OD JEDNEJ DAMY Z PARYŻA I WYTŁUMACZENIE SŁÓWKA WYRYTEGO WEWNĄTRZ PIERŚCIENIA.

Skoro Pantagruel przeczytał nadpis, zdumiał się bardzo i pytając gońca o imię tej, która go posłała, otworzył list, lecz nie znalazł wewnątrz żadnego pisma, jeno sam złoty pierścień z płaskim diamentem. Wówczas zawołał Panurga i pokazał mu całą rzecz. Na co Panurg upewnił, że kartka papieru z pewnością jest zapisana, jeno taką subtelną a tajemną sztuką<sup>259</sup>, iż nie widać pisma. W tym celu przybliżył ją do ognia, aby się przekonać, czy inkaust nie jest sporządzony z soli amoniakalnej roztworzonej

<sup>258</sup>*Faramond* — pierwszy król Franków.

<sup>259</sup>*Na co Panurg (...)* czy nie jest pisany *alunem* — Bardzo zabawne drwiny z rozmaitych „nauk tajemnych”, tak rozpowszechnionych za czasów Rabelais'go.

w wodzie. Potem zamoczył papier w wodzie, aby się dowiedzieć, czy list nie był pisany sokiem z wilczego mleczu; potem przytknął go do świecy, żali nie był pisany odwarem z białej cebuli.

Następnie potarł kawałek ćwiartki oliwą z orzecha, aby zobaczyć, czy pismo nie jest kreślone ługiem figowym. Potem potarł część jego mlekiem niewiasty karmiącej pierworodną córkę, aby zobaczyć, czy nie jest pisany krwią ropuszą. Potem potarł jeden rożek popiołem z jaskółczego gniazda, aby zobaczyć, czy nie był pisany sokiem z alikabuckich jabłek. Potem potarł drugi koniec ropą z ucha, aby zobaczyć, czy nie był pisany żółcią kruka. Potem umaczał go w occie, aby zobaczyć, czy nie był pisany mlekiem z mlecza. Potem pomazał kartkę sadłem z nietoperza, aby zobaczyć, czy nie była zapisana nasieniem z wieloryba, które nazywają ambrą. Potem zanurzył list bardzo ostrożnie do naczynka ze świeżą wodą i wydobył nagle, aby się przekonać, czy nie jest pisany alunem. Zaczem widząc, iż nie da sobie rady, przywołał posłańca i spytał:

— Słuchaj no, kmotrze, zali ta pani, co cię tu posłała, nie dała ci jakiegoś patyczka<sup>260</sup>? — mniemając, iż mogłaby się w tym mieścić owa chytrość, którą podaje Aulus Gellus.

Ale posłaniec odparł:

— Nie, panie.

Tedy Panurg chciał mu ogolić włosy, aby zobaczyć, czy ta pani nie kazała wypisać rylcem na gołej głowie swego zlecenia; ale, widząc iż włosy ma długie i bujne, zaniechał tej myśli, rozważywszy, iż za tak krótki czas włosy nie mogłyby odrosnąć tak obficie.

Wówczas rzekł do Pantagruela:

— Mistrzu, zaprawdę nie wiem już, co czynić i myśleć. Aby przekonać się, czy tam co nie jest napisane, zużyłem większą część środków, podanych przez messer Franceska di Nianio, Toskańczyka, który ogłosił sposoby kreślenia niewidocznych listów, i także to, co przekazał w tym przedmiocie Zoroaster, *Peri Grammaton acriton* i Kalfuriusz Bassus, *de Litteris illegibilibus*; ale nie widzę nic i mniemam, że nic się tam nie mieści prócz pierścienia. Zobaczmyż zatem ten pierścień.

Wówczas, obejrawszy pierścień, ujrzeli wewnątrz napisane: *Lamah sabacthani*; zaczęli przywołać Epistemoną, pytając, co by to znaczyło? Na co ten odpowiedział: iż są to słowa hebrajskie, znaczące: „Czemuś mnie opuścił?”. Natychmiast wykrzyknął Panurg:

— Już rozumiem wszystko. Widzicie ten diament? toć jest fałszywy. Taki jest zatem wykład tego, co chciała wam przekazać owa pani: „Powiedz, kochanku fałszywy, czemuś mnie opuścił?”.

Który to wykład pojął Pantagruel natychmiast i przypomniał sobie, jako odjeżdżając, nie pożegnał się z ową panią. I zasmucił się i rad byłby wrócić do Paryża, aby się z nią pojednać. Ale Epistemon przywiódł mu na pamięć rozstanie Eneasza z Dydoną i rzeczenie Heraklidesa Tarentyńczyka, że kiedy okręt stoi na kotwicy, a konieczność nagli, raczej trzeba przeciąć linę co prędzej, niż tracić czas na rozwiązywanie. I że należy mu poniechać wszystkich innych myśli, jeno śpieszyć do rodzinnego miasta będącego w niebezpieczeństwie.

Jakoż w godzinę później podniósł się silny północno-zachodni wiatr; rozpiąwszy wszystkie żagle, wypłynęli na pełne morze i w niewielu dniach, minąwszy Porto Santo i Maderę, zawinęli do Wysp Kanaryjskich. Stamtąd znów ruszywszy, minęli Przylądek Biały, Senegal, Przylądek Zielony, Gambię, Sagę, Melli, Przylądek Dobrej Nadziei

<sup>260</sup>nie dała ci jakiegoś patyczka — Zapisana wstążka, którą dopiero wówczas można było odczytać, skoro się ją owinęło naokoło patyka identycznej grubości z tym, który był przy pisaniu użyty.

i zawinęli do portu w królestwie Melindy. Stamtąd ruszywszy, rozwinęli żagle na wiatr północny, przejeżdżając przez Meden, Uti, Uden, Gelazim, przez wyspy Wrózek, tuż koło królestwa Achorii; wreszcie przybyli do portu Utopii, odległego od miasta Amaurotów o trzy mile i jeszcze troszkę.

Skoro orzeźwili się nieco na lądzie, Pantagruel rzekł:

— Dzieci, miasto jest już niedaleko; zanim ruszymy dalej, dobrze byłoby naradzić się, co należy czynić, abyśmy nie byli podobni Ateńczykom, którzy nie zastanawiali się nigdy pierwej, aż dopiero po dokonanym uczynku. Czy jesteście gotowi ze mną żyć i umierać?

— Tak, panie — odparli wszyscy — możesz na nas liczyć jak na palce własnej dłoni.

— Otóż — rzekł — jest tylko jedna rzecz, która trzyma mnie w wahaniu i niepewności: a mianowicie, że nie wiem, w jakim porządku i w jakiej liczbie znajdują się nieprzyjaciele, którzy trzymają miasto w oblężeniu; gdybym to bowiem wiedział, ruszyłbym na nich bez najmniejszej obawy. Dlatego zastanówmy się razem, w jaki sposób moglibyśmy to wy badać.

Na co wszyscy razem rzekli:

— Pozwólcie nam iść na przeszpiegi i czekajcie nas tutaj: a nim wieczór zapadnie, przyniesiemy wam pewne wiadomości.

— Ja — rzekł Panurg — podejmuję się wejść do ich obozu przez sam środek straży i czatów, sięść z nimi do misy i pobawić się ich kosztem, niepoznany od nikogo; także mam zamiar przepatrzyć ich artylerię, namioty wszystkich rotmistrzów i wściubić nos we wszystko, nie budząc podejrzania: sam diabeł by mnie nie podszedł, jestem bowiem z pokolenia Zofira<sup>261</sup>.

— Ja — rzekł Epistemon — znam wszystkie sztuki wojenne i czyny dzielnych hetmanów i rycerzy ubiegłych czasów, i wszystkie chytryści i podstępny żołnierskiego rzemiosła; pójdę tedy i choćby mnie nawet odkryli i poznali, wymknę się im i wmówię im o was wszystko, co zechcę: jestem bowiem z pokolenia Sinona.

— Ja — rzekł Eustenes — przejdę wolną nogą między ich okopy, mimo wszelkie czaty i straże; przejadę im po brzuchu i połamię im ręce i nogi, choćby byli tak mocni jak sam diabeł: jako iż jestem z pokolenia Herkulesa.

— Co do mnie — rzekł Karpalim — to jeżeli ptak zdoła się tam dostać, i ja się dostanę; ciało bowiem mam tak zwinne, iż przeskoczę przez wszystkie szanice i wślizgnę się do obozu, nim zdołają mnie nawet spostrzec. I nie lękam się pocisku ani strzały, ani konia najchybszego, choćby to sam był Pegaz Perseusza albo Pakolet; każdemu umknę się zdrowy i cały. Podjemuję się iść po kłosach, po trawach, tak że nie ugną się pode mną: jako iż jestem z pokolenia Amazonki.

## XXV. JAKO PANURG, KARPALIM, EUSTENES I EPITEMON, TOWARZYSZE PANTAGRUELA, BARDZO ZMYŚLNIE PRZYPRAWILI O ZGUBĘ SZEŚĆSET SZEŚĆDZIESIĄT JAZDY.

Gdy tak mówili, ujrzeli nagle sześćset sześćdziesięciu jezdnych na dobrych i lekkich konikach, którzy bieżeli, aby zobaczyć, co za nieznaną okręt zawinął do portu, a jeśli się uda, pojmać zarazem przybyszów w niewolę. Wówczas rzekł Pantagruel:

— Dzieci, schrońcie się na okręt: widzicie, że nieprzyjaciel się zbliża; ale ja ich pobiję jak bydło, choćby ich nawet było dziesięć razy tyle: wy tymczasem oddalście się i zabawiajcie się, jak umiecie.

<sup>261</sup> *Zofir* — Przyjaciel Dariusza, który sobie obciął nos i uszy, aby przedstawić się w obozie nieprzyjaciół za zbiegłego jeńca i tym podstępem wydać królowi oblegane miasto.

Zaczem odpowiedział Panurg:

— Nie, panie, nie jest rzecz słuszna, abys ty się miał tym trudzić; przeciwnie, ty wróc na okręt i wy także, i wszyscy: sam się tu z nimi uporam. Ale nie trzeba tracić czasu, usuńcie się.

Na co inni:

— Dobrze powiedziano, panie; ty schroń się, a my pomożemy tu Panurgowi i pokażemy, cośmy warci.

Wówczas Pantagruel rzekł:

— Dobrze tedy, zgadzam się; ale w razie gdyby tamci brali górę, nie omieszkam przybyć z pomocą.

Wówczas Panurg dobył z okrętu dwie liny i przywiązał do kołowrotu na pomoście; potem położył je na ziemi i zrobił dużą pętlę i drugą mniejszą wewnątrz. Po czym rzekł do Epistemona:

— Wróc na okręt, a kiedy dam ci znak, zakręć sumiennie korbą, tak, abys pociągnął ku sobie obie liny.

Po czym rzekł do Eustenesa i Karpalima:

— Wy, dzieci, czekajcie tutaj, pokazując się jawnie nieprzyjaciółom i ustępujcie przed nimi udając, że się poddajecie; ale baczcie, byście nie wchodzili w pętlę, jeno trzymajcie się zawsze zewnątrz.

Potem wszedł na okręt, wziął dobrą garść słomy i puszkę prochu, rozsypał go wewnątrz kręgu objętego liną i trzymając lont zapalony, stanął w pobliżu. W tejże chwili przybyli w wielkim impecie jeźdźcy i śmiało natarli pod sam statek. Ale jako że brzeg w tym miejscu był stromy i śliski, przewrócili się, oni i ich konie, w liczbie czterdziestu i czterech. Co widząc inni, ruszyli im w pomoc, mniemając, iż tamtym dano odpór. Zasię Panurg rzekł:

— Panowie, zdaje mi się, że wam się zdarzyła niemiła przygoda. Chciejcie wybaczyć: to nie z naszej winy, jeno z przyczyny zdradliwości wody morskiej, która jest zawsze oślizgła. Zdajemy się wszyscy na waszą łaskę.

Toż samo rzekli jego dwaj towarzysze i Epistemon, który stał na pomoście. Równocześnie jednak Panurg oddalał się z wolna i widząc, iż wrogowie już są w pętli, towarzysze zaś usunęli się na bok, ustępując miejsca jeźdźcom, którzy tłumnie cisnęli się, aby zobaczyć statek i załogę, krzyknął nagle na Epistemona:

— Ciągnij, ciągnij!

Wówczas Epistemon zakręcił korbą i obie liny zaplątały się w nogi koniom i obalały ich bardzo łatwo na ziemię wraz z jeźdźcami. Widząc to, dobyli mieczów i chcieli przeciąć liny; ale Panurg przyłożył ogień do rozsypanej słomy i spalił ich wszystkich jak dusze potępione: ludzi i konie, tak iż żaden nie uszedł z wyjątkiem jednego, który miał pod sobą tureckiego bachmata i ratował się ucieczką; ale kiedy Karpalim go spostrzegł, pognął za nim tak zręcznie i chyżo, iż dopadł go, nim ubiegł sto kroków i wskakując na zad konia, chwycił go z tyłu i przyprowadził na statek.

Widząc ten pogrom, Pantagruel weselił się bardzo i chwalił nadzwyczajnie prze-myślność towarzyszów, i kazał ich dobrze uraczyć i nakarmić na wybrzeżu w wielkim weselu; i pili, ile wlezie, pokładwszy się brzuchami na ziemię, jeniec zaś doił wraz z nimi w wielkiej poufałości: jeno niebożatko obawiał się ciągle, czyli Pantagruel nie połknie go żywcem; co mógłby snadnie uczynić, tak miał szeroką gardziel, i tak łatwo, jak wy byście połknęli gałkę chleba, i nie więcej by mu zawadził w gębie niż ziarnko prosa w osłej paszczęce.

XXVI. JAKO PANTAGRUELOWI I JEGO TOWARZYSZOM OBMIERZŁO SOLONE MIĘSIWO I JAKO KARPALIM RUSZYŁ NA ŁOWY, ABY ZDOBYĆ ŚWIEŻĄ ZWIERZYNĘ.

Gdy tak ucztowali, Karpalim rzekł:

— Do kroćset kaduków, a czyż my nigdy wreszcie nie skosztujemy zwierzyny? To wieczne solone mięso o czkawkę mnie już przyprawia. Przyniosę wam tu zaraz udko którego z tych koni, któreśmy spalili: będzie dobrze wypieczone.

Ale gdy się już ruszał z miejsca, ujrzał na skraju lasu piękną roślą łanię, która wysunęła się z gąszczu, zaciekawiona, jak sądzę, widokiem ognia. Natychmiast pognął za nią z taką chyżością, iż zdawało się, że to leci pocisk z kuszy, i schwytał ją w jednej chwili; biegnąc zaś, po drodze chwycił rękami w powietrzu:

Cztery wielkie głuszce,  
Siedem dropiów,  
Dwadzieścia i sześć kuropatew szarych,  
Trzydzieści i dwie takichże czerwonych,  
Szesnaście bażantów,  
Dziewięć bekasów,  
Dziewiętnaście czapli,  
Trzydzieści i dwa dzikie gołębie.  
Takżę biegnąc, ubił nogami dziewięć czy dwanaście  
Zajączków,  
Tyleż królików,  
Osiemnaście chruścieli parzących się w krzakach,  
Piętnaście dzikich warchlaczków,  
Dwa borsuki,  
Trzy wielkie lisy.

Zdzieliwszy tedy łanię mieczem przez głowę, zabił ją i odnosząc ją do obozu, pozbierał po drodze zajączki, warchlaczki i chruściele. I już z daleka, jak tylko głos mógł donieść, zaczął krzyżeć: „Panurgu, hej, przyjacielu: octu, octu!”. Zaczem myślał dobry Pantagruel, iż słabo mu się zrobiło, i kazał, by mu nagotowano octu. Ale Panurg domyślił się zaraz, że musiał ubić jakiego zajączka; i w istocie, ukazał go szlachetnemu Pantagruelowi, jak niósł na grzbiecie piękną łanię, cały zaś pas miał przystrojony drobniejszą zwierzyną.

Zaczem Epistemon uczynił, ku wspomnieniu dziewięciu Muz, dziewięć nadobnych rożeneków z drzewa, modą starożytnych. Eustenes pomagał obdzierać zwierzynę. Panurg zaś ustawił dwie zbroje w taki sposób, iż służyły za ruszt; kuchcikiem ustanowili jeńca i przy ogniu, w którym smażyli się tamci rycerze, upiekli zwierzynę. A potem dopieroż zaczęło się używanie: do smaku zaprawiali ją octem i jazda na całego! Radość była patrzyć, jak się zażerali, aż się uszy trzęsły. Wówczas rzekł Pantagruel:

— Hej, miły Boże, gdyby to każdy miał ze dwie pary dzwoneczków mszalnych u podbródka, ja zaś u mego one wielkie dzwony reńskie, połtirske, turskie, albo kambreńskie, Jezusie, Mario! co byśmy za zgiełk robili ruszając zuchwami!

— Ale — rzekł Panurg — może by nie od rzeczy było pomyśleć nieco o sprawie i uradzić, jakim sposobem moglibyśmy wziąć za łeb nieprzyjaciół.

— Dobra uwaga — rzekł Pantagruel. I pytał jeńca: — Mój przyjacielu, powiedz szczerą prawdę i w niczym nie zełżyj, jeśli nie chcesz być żywcem obdarty ze skóry: ja bowiem jestem ten, który pożera małe dzieci. Powiedz nam szczegółowo rozłożenie, liczbę i siłę armii.



Na co jeniec:

— Panie, wiedz zatem całą prawdę, iż w armii znajduje się trzystu olbrzymów, uzbrojonych w ciosowe kamienie, nadprzyrodzenie ogromnych, nie tak wszelako bardzo jak ty, panie, z wyjątkiem jednego, którego mają za wodza; ten nosi imię Wilkołaka i cały jest uzbrojony w kowadła cyklopie. Prócz tego mają sto sześćdziesiąt trzy tysiące piechurów opancerzonych w skóry koboldzie, ludzi silnych i odważnych; jedenaście tysięcy czterysta rycerstwa, trzy tysiące sześćset podwójnych dział, kusz i hakownic bez liku, dziewięćdziesiąt cztery tysiące pionierów, sto pięćdziesiąt tysięcy k...ew pięknych jak boginie — („Oto coś dla mnie”, rzekł Panurg) — z tych jedne Amazonki, drugie lugdunianki, inne z Paryża, Turenii, Andegawenii, Portwenki, Normandki, Niemkinie: jest ich dość ze wszystkich krajów i wszystkich języków.

— Ale — rzekł Pantagruel — czy wasz król jest tam także?

— Tak, panie — rzekł jeniec — jest we własnej osobie i nazywamy go Anarchem, królem Dipsodów, co oznacza, jakby ktoś powiedział, ludzi spragnionych; nie widzieliście bowiem pewnie jeszcze ludzi tak spragnionych, ani pijących tak chętnie. I jego namiot jest pod strażą tych olbrzymów.

— Dość już — rzekł Pantagruel. — Hej, dzieci, gotowicie ruszyć za mną?

Na co Panurg:

— Na pohybel temu, który cię opuści! Już myślałem nad tym, w jaki sposób narzniemy ich wszystkich jak wieprze, tak że żywa noga nie ujdzie. Ale jedno mnie tylko trochę niepokoi.

— Cóż takiego? — spytał Pantagruel.

— A to — rzekł Panurg — w jaki sposób zdążę dziś popołudniu obrobić te wszystkie dziewczki, które mają z sobą:

by się nie upiekło żadnej,  
Której bym nie obrócił w sposób dość przykładowy.

— Ha, ha, ha! — huknął Pantagruel.

A Karpalim dodał:

— Do diaska starego, toć i ja przecie siaką taką nawdzieję na rożen.

— A ja — rzekł Eustenes — co? toć nie powąchałem ludzkiego mięsa od czasu, jak ruszyliśmy z Ruenu, mimo że wskazówka pokazuje u mnie ciągle dziesiątą albo dwunastą, a mam ją twardą i krzepką jak wszyscy diabli razem.

— Niech stracę — rzekł Panurg — ustąpię ci co najthustszych i najbardziej dostałych.

— Jakże to — rzekł Epistemon — wszyscy będą jechać wierzchem, a ja mam osła prowadzić za uzdę! Niech wszyscy diabli porwą! to się po mnie nie pokaże! za stosujemy prawo wojny: *qui potest capere capiat*.

— Nie, nie — rzekł Panurg. — Przywiąż osła do płotu i siadaj jak wszyscy.

A dobry Pantagruel przyśmiewał się tylko wszystkiemu, a potem rzekł:

— Powiem wam, iż robicie rachunek bez gospodarza. Boję się bardzo, że nim zapadnie noc, ujrzym was tu w takim stanie, iż nie będziecie mieli ochoty składać się przyrodzoną kopyą i że po was to będą ujeżdżać, kłując pikami a lancami.

— Basta — rzekł Epistemon. — Oddaję wam ich: możecie ich upiec lub ugotować, uwędzić lub przyprawić w pasztecie. Nie jest ich taka liczba, jaką miał Kserkses<sup>262</sup>, miał bowiem trzysta tysięcy wojowników, jeśli mamy wierzyć Herodotowi i Trogowi Pomponowi: wszelako Temistokles z małą garstką ich rozgromił.

<sup>262</sup>Kserkses — Historyk za czasów Juliusza Cezara.

— Gównu! gównu! — dodał Panurg — Mój saczek wystarczy, aby otrześć z kurzu wszystkich samców, a, na św. Stojąłę, to, co się mieści w środku, ochędoży wszystkie samiczki.

— Hajda zatem, dzieci — rzekł Pantagruel — komu w drogę, temu czas.

XXVII. JAKO PANTAGRUEL WZNIÓSŁ TROFEJ NA PAMIĄTKĘ ICH DZIELNOŚCI, PANURG ZAŚ DRUGI NA PAMIĄTKĘ ZAJĄCZKÓW, JAKO Z PIERDNIĘCIA PANTAGRUELOWEGO POCZĘLI SIĘ MAŁI CZŁOWIECZKOWIE, A Z BŹDZIN MAŁE KOBIETKI, I JAKO PANURG ZŁAMAŁ GRUBY KIJ NA DWÓCH SZKLANKACH.

— Zanim ruszymy stąd — rzekł Pantagruel — pragnę na pamiątkę czynów, którychście dokazali, wznieść w tym miejscu piękny trofej. Zaczem porwali się wszyscy i w wielkim weselu, przyspiewując wieśniacze piosenki, wzniesli wielką żerdź, na której powiesili siodło z rzędem końskim, nadkolanki, strzemiona, ostrogi, koszulkę żelazną, pancerz, topór, koncerz, rękawicę, maczugę, naramienniki, nagolenice, ryngraf, słowem cały przybór rycerski, jaki przynależy do łuku tryumfalnego albo trofeju. Następnie ku wiecznej pamięci napisał Pantagruel następujący hymn zwycięstwa:

W tym tu się miejscu męstwo objawiło  
Czterech rycerzy walecznych i męźnych,  
Co roztropności, a nie miecza siłą,  
Kształtem Fabiusza, Scypionów potężnych,  
Sześćset sześćdziesiąt rycerstwa pogłowie  
Spalili żywcem jak starego czarta;  
Bierzcie stąd przykład, laufry i królowie,  
Że chytróść więcej niżli moc jest warta.

Podczas kiedy Pantagruel spisywał te strofy, Panurg oprawił na wielki pał rogi jelenia i jego skórę i nogę prawą przednią; następnie uszy trzech zajęczków, łopatkę królika, szczęki zajęcia, skrzydła dwóch głuszców, nogi czterech dropiów, butelkę octu, róg, w którym chowali sól, rożen drewniany, beczulkę sadła, stary kociołek cały podziurawiony, rynkę od sosu, solniczkę glinianą i kubek do picia. I naśladując wiersz i trofej Pantagruelowy, napisał co następuje:

W tym tu się miejscu na tyłki zważyło  
Czterech kompanów, bibosów potężnych,  
Którzy Bachusa uczciwszy aż miło,  
Zadarli nogi do stref niebosiężnych.  
I gdy swe wzajem przepijali zdrowie,  
Ciagle dręczyła ich czkawka uparta,  
Sprawiona pieprzem i octem w połowie,  
Bo cóż zajęcza pieczeń bez nich warta?

Zaczem rzekł Pantagruel:

— Nuże, dzieci, dosyć już krzątailiśmy się koło jadła: rzadko kto widział, aby pilni biesiadnicy dokazywali godnych czynów wojennych. Nie masz cienia nad cień sztandarów, pary nad końską, a brzėku nad szczek oręza.

Na co uśmiechnął się Epistemon i rzekł:

— Nie masz cienia jako w kuchni, pary jak z garnka, a szczęku nad brzęk talerzy. Panurg dorzucił:

— Nie masz cienia jako w oponach łożnicy, pary smaczniejszej niż z łona białej głowy, a szczęku nad dzwonięcie jajkami.

Potem podniósł się z miejsca, pierdnął, podskoczył, gwizdnął i zawołał w głos radośnie: „niech nam żyje Pantagruel!”. Co widząc, Pantagruel chciał uczynić toż samo, ale od pierdnięcia, jakie wydał, ziemia zadrżała na dziewięć mil wkoło; z powietrza, które się odeń popsuło, urodziło się więcej niż pięćdziesiąt trzy tysiące małych koszlawych i pokracznych człowieczków, z bździny zaś, która mu się wypsła, poczęło się tyleż małych kobietek, przykurczonych, takich jak widuje się tu i ówdzie, które nigdy nie rosną inaczej, jeno jak krowie ogony ku dołowi albo jak rzepy limuzyńskie wszierz.

— Co to jest — rzekł Panurg — że wasze pierdnięcie jest tak płodne? Na miły Bóg, otoć piękne wypierdki męskie i ładne wybździnki niewieście; trzeba ich pożenić z sobą; napłodzą końskich much co niemiarą.

Co też uczynił Pantagruel i nazwał ich Pygmejami. I osadził ich na wyspie w pobliżu, gdzie się od tego czasu bardzo namnożyli. Ale żurawie toczą z nimi nieustanną wojnę, mimo iż bronią się im walecznie, albowiem te małe kurduple, nazywane w Szkocji stajennymi muchami, są bardzo choleryczne z natury. Racja fizyka tego jest, iż serce ich leży niedaleko łajna.

Pośród tych zabaw Panurg wziął dwie szklanki, które były pod ręką, obie jednej wielkości, napełnił je wodą po brzeg i umieścił jedną na stołku drewnianym, a drugą na drugim, w odległości pięciu stóp; po czym wziął drążek od włóczni, długi na półszóstej stopy i położył na szklankach, tak iż oba końce spoczywały właśnie na brzegu szkła. To uczyniwszy, wziął duży kół i rzekł do Pantagruela i innych:

— Panowie, zważcie, jak łatwo odniesiemy zwycięstwo nad nieprzyjaciółmi. Jak złamię ten oto drąg spoczywający na szklankach, w niczym nie uszkodziwszy ani nie strzaskawszy szklanek, ani też, co większa, nie rozlewając kropli wody, tak samo porozbijamy głowy Dipsodom, bez żadnej dla nas szkody i bez najmniejszej straty czasu i trudu. Ale, byście nie myśleli, iż w tym jest jakie czarnoksięstwo, ot — rzekł do Eustenesa — uderz tym kołem, ile masz sił, w sam środek.

Co też uczynił Eustenes i złamał gładko żerdź na kawałki, ani jednej kropli nie rozlawszy ze szklanek. Po czym rzekł Panurg:

— Potrafię ja i lepsze; ruszajmy jeno śmiało.

## XXVIII JAKO PANTAGRUEL BARDZO OSOBLIWYM SPOSOBEM ODNIÓSŁ ZWYCIĘSTWO NAD DIPSODAMI I OLBRZYMAMI.

Skoro się tak ubawili, Pantagruel przywołał więźnia i puścił go wolno, mówiąc:

— Idź do obozu swego króla i donieś mu wszystko, coś widział. Niech się gotuje ugościć mnie jutro koło południa: skoro tylko bowiem moje galery przybędą, co będzie najpóźniej jutro rano, dowiodę mu za pośrednictwem osiemnastuset tysięcy wojowników i siedmiu tysięcy olbrzymów (wszystkich większych ode mnie, którego tu widzisz), że postąpił szalenie i bezrozumnie, najeżdżając moje ziemie.

W czym Pantagruel udał, iż posiada liczną armię na morzu.

Ale jeniec odpowiedział, iż oddaje się w niewolę i nie pragnie wrócić do swoich, a raczej woli z Pantagruelem walczyć przeciw nim i prosi go na Boga, aby mu to przyzwolił.

Na co Pantagruel nie chciał się godzić; rozkazał mu jeno, aby jechał co rychlej i wypełnił jego zlecenia; i dał mu jeszcze szkatułkę pełną ostromleczu i ziarenek pieprzu

górskiego, ugotowanych we wrzącej wodzie na kompot, rozkazując zanieść to królowi i rzec mu, iż jeżeli potrafi zjeść by uncję tego bez picia, wówczas może skutecznie stawić czoło Pantagruelowi.

Zaczem jeniec błagał go, złożwszy ręce, aby w godzinie bitwy miał nad nim litość. Wówczas rzekł Pantagruel:

— Skoro wszystko należycie obwieścisz królowi, złóż całą nadzieję w Bogu, a on cię nie opuści: co do mnie bowiem, mimo iż jestem potężny, jako widzisz, i władam niezliczoną mnogością rycerstwa, nie dufam wszelako ani w moją siłę, ani w moją pomyślność; ale cała moja ufność jest w Bogu, mojej ostoji, zawsze łaskawym dla tych, którzy złożyli w nim całą myśl i nadzieję.

Wówczas jeniec prosił, aby raczył okazać się wyrozumiałym i nie żądał odeń zbyt wielkiego okupu.

Na co odparł Pantagruel, iż celem jego nie jest łupić ludzi ani też obciążać haraczem, ale bogacić ich i prowadzić do zupełnej wolności:

— Idź — powiedział — w pokoju Boga żywego i nie wdawaj się nigdy w złą kompanię, iżby ci się nie przygodziło nieszczęście.

Skoro jeniec odszedł, Pantagruel rzekł do swoich:

— Dzieci, dałem do zrozumienia temu jeńcowi, że mamy armię na morzu, a zarazem, iż nie zaczniemy szturmu aż jutro o południu; a to dlatego, aby obawiając się wielkiej mnogości przeciwnika, całą noc stracili na sposobieniu się i szanćowaniu; jednak zamiarem moim jest, abyśmy natarli na nich zaledwie pierwszy sen ich zmorzy.

Ale zostawmy oto Pantagruela i jego apostołów i mówmy o królu Anarchu i jego armii.

Skoro jeniec przybył do obozu, udał się przed króla i opowiedział mu, jako zjawił się tu wielki olbrzym, zwany Pantagruel, który rozgromił i upiekł okrutnie wszystkich sześciuset pięćdziesięciu i dziewięciu jeźdźców i że on jeden się ocalił, aby przynieść o tym wiadomość. Co więcej, olbrzym ów obarczył go poselstwem i kazał powiedzieć, iż prosi aby obiad był gotów na jutro południe, zamierza bowiem zajeść w gości o tej godzinie.

Następnie wręczył puszkę z konfiturami. Ale skoro tylko król skosztował łyżeczkę, dostał takiego pieczenia w gębie i w gardzieli, iż język cały jakoby mu się złuszczył. I ze wszystkich lekarstw, które mu podawano, jedyną ulgę znalazł w tym, aby pić bez wytchnienia: skoro tylko odjął kubek, język go piekł straszliwie. Dlaczego też lano mu bez przerwy wino do gardła za pomocą lejka. Co widząc, rotmistrze, basze i naczelnicy straży pokosztowali tych konfitur, aby się przekonać, czy w istocie tak wzniecają pragnienie; jakoż doświadczyli tegoż samego działania. I wszyscy jęli tak dobrze popijając, iż rozeszło się po całym obozie, że jeniec przybył z powrotem i że ma być nazajutrz szturm, do czego już się gotuje król i rotmistrze, i naczelnicy straży, mianowicie pijąc, ile tylko wlezie. Zaczem wszyscy w wojsku jęli przepijać do siebie, trącać się a zalewać pałę. Krótko mówiąc, pili i pili póty, aż pośpili się jak wieprze i legli bez porządku po całym obozie.

A teraz wróćmy do dobrego Pantagruela i opowiedzmy, jako się zachował w tej potrzebie.

Wyruszając z miejsca, gdzie stanął trofej, ujął maszt okrętowy do ręki niby kij pielgrzymi i włożył do bocianiego gniazda dwieście trzydzieści siedem beczek białego wina andegawskiego, tyleż i rueńskiego i przymocował do pasa szalupę pełną soli tym kształtem, jak niewiasty przypasują kobiałki. I tak puścił się w drogę z kompanionami. Kiedy byli blisko obozu nieprzyjaciół, zagadnął go Panurg:

— Panie, chcecie uczynić coś rozsądnego? Spuśćcie to winko białe z bocianiego gniazda i popijmy tu za pomyślność wyprawy.

Pantagruel zgodził się chętnie i popili tak uczciwie, iż nie została ani jedna kropla z owych dwustu trzydziestu i siedmiu baryłek, z wyjątkiem jednego skórzanego bukłaczka, który Panurg napełnił dla siebie, nazywał go bowiem swoim *Vade mecum*, i także oprócz paru baryłek co podlejszego, na ocet.

Skoro już dobrze przepłukali gardziele, Panurg dał skosztować Pantagruelowi jakichś diabelskich kordiałów, składających się z litontryponu, nephrokatastrykonu, kudyniaku kantarydyzowanego i innych specjałów moczopędnych.

Zaczem rzekł Pantagruel do Karpalima:

— Wejdz do miasta, wślizgnąwszy się jak szczur pod mury, jako to umiesz doskonale, i powiedz im, by w tejże chwili zrobili wycieczkę i natarli na nieprzyjaciół, ile tylko będą mieli mocy. Następnie weź zapaloną pochodnię, z której zażegniesz ogień we wszystkich obozowych namiotach i budynkach; potem krzycz, co możesz swoim grubym głosem, który jest przeraźliwszy niż był głos Stentora słyszany od Trojan ponad największy szczeł bitwy. To uczyniwszy, zmykaj z obozu.

— Ale, ale — rzekł Karpalim — czy nie dobrze byłoby przy sposobności pozagwaźdzać armaty?

— Nie, nie — rzekł Pantagruel — wystarczy, gdy im podpalisz wszystek proch.

Posłuszny rozkazowi Karpalim ruszył natychmiast i uczynił, jak kazał Pantagruel. I wyszły z miasta wszystkie woje, jakie tylko w nim były. Następnie zapuścił ogień między namioty a budynki i umknął, lekko przewijając się i skacząc po nieprzyjaciółach, którzy nic nie czuli, tak chrapali i spali głęboko. Przybywszy do miejsca, gdzie była ich artyleria, podrzucił ogień w zapasy prochu; ale tu popadł w niebezpieczeństwo: ogień buchnął tak gwałtowny, iż omal nie ogarnął biednego Karpalima. I gdyby nie jego cudowna chyżość, byłby się upiekł jak prosię; ale pomknął tak rączo, iż pocisk z kuszy nie biegnie z większym pośpiechem.

Kiedy już minął okopy, huknął tak straszliwym głosem, iż zdało się, że to wszyscy diabli urwali się z łańcucha. Na ten głos zbudzili się nieprzyjaciele; ale wiecie jak? tak otumanieni jak za pierwszym dzwonkiem na jutrznię, który nazywają w klasztorze potrzyj-kusia.

Tymczasem Pantagruel rozpoczął sypać sól, którą miał w szalupie; że zaś spali z gębami szeroko otwartymi, napełniał im całe gardziele, tak iż biedne niebożęta kaszlały jak stare baby, krzycząc: „Ha, Pantagruelu, Pantagruelu, ha, jakże ty nam przypiekasz gardziele!”. Wtem przyszła Pantagruelowi ochota oddać urynę z przyczyny kordiałów, którymi go uraczył Panurg i siknął na ich obóz tak potężnie i obficie, iż potopił wszystkich i był straszliwy potop na dziesięć mil wkoło. I powiada historia, że gdyby wielka kobyła jego ojca była tam obecna i gdyby się też była zlała, byłby potop jeszcze większy jako ów z czasów Deukaliona: z każdego bowiem jej oddania wody powstawała rzeka większa niż Rodan i Dunaj.

Co widząc, ci, którzy wyszli z miasta, rzekli: „Poginęli snadź wszyscy okrutną śmiercią, otoc się leje posoka”. Ale tu się pomylili, myśląc na urynę Pantagruelową, iż to jest krew nieprzyjaciół: nie było bowiem innego światła niż odbłask płonących namiotów i co nieco światłości księżycy.

Nieprzyjaciele, rozbudziwszy się zupełnie i widząc z jednej strony ogień w obozie, a z drugiej ów wylew i potop uryanny, nie wiedzieli, co myśleć i co począć. Niektórzy powiadali, iż to snadź koniec świata i Sąd Ostateczny, który ma zniszczyć wszystko ogniem; drudzy, że to bogowie morscy, Neptun, Proteusz, Tryton i inni rozgniewali się na nich: w istocie była ta woda tak słona jak morska.

Ha, któż zdoła teraz opowiedzieć, jako sobie począł Pantagruel naprzeciw trzystu olbrzymom? O moja muzo! moja Kaliope, moja Talio, natchnij mnie do tej pracy! Orzeźwij mi umysł: oto bowiem ośli most logiki, oto pułapka, oto trudność najwyższa, wyrażenia straszliwej bitwy, jaka się rozegrała.

O gdybymż bodaj miał w tej chwili pod ręką puchar wina najlepszego, jakie kiedykolwiek pili ci, którzy będą czytali tę tak werydyczną historię.

## XXIX. JAKO PANTAGRUEL ROZGROMIŁ TRZYSTU OLBRZYMÓW UZBROJONYCH W KAMIENIE CIOSOWE I WILKOŁAKA, ICH HETMANA.

Olbrzymi widząc, iż cały ich obóz jest zatopiony, wynieśli króla swego Anarcha za kolnierz, jak się tam dało, poza okopy, podobnie jak Eneasza wyniósł ojca swego Anchizesa z murów płonącej Troi. Skoro Panurg ich spostrzegł, rzekł do Pantagruela:

— Patrzcie, panie, oto ruszyły się olbrzymy, chwycicie no się swojego masztu, a tego, jak starzy uczyli. Bowiem teraz przyszła godzina pokazania, co kto potrafi. My z naszej strony nie chybimy wam z pomocą i, co do mnie, przyrzekam natłuc ich co wlezie. Ba cóż! alboć to Dawid nie ubił Goliata? Tedy ja, który pobiliłbym dwunastu takich jak Dawid, w owym bowiem czasie był to jeno mały zas...niec, nie miałbym ubić z tuzin tych drągali? A ten bęcwał Eustenes, który jest mocny jak cztery woły, także nie będzie oszczędzał pięści. Zbierz odwagę, mistrzu, natrzyj śmiało, siecz i kol bez pardonu.

Zaczem rzekł Pantagruel:

— Co się tycze odwagi, to mam jej więcej niż za pięćdziesiąt franków. Ale co? I Herkules nigdy nie ważył się puszczać przeciw dwom.

— Otoś mi pan nafajdał prościutko do nosa — rzekł Panurg — komu to porównywać się do Herkulesa? Dzięki Bogu, masz pan więcej siły w zębach, a rozumu w tyłku niż ich kiedykolwiek Herkules miał w swoim ciele i duszy. Tyle wart jest człowiek, ile się sam ceni.

Gdy tak uradzali ze sobą, oto nadchodzi Wilkołak ze wszystkimi swymi olbrzymami. Widząc Pantagruela samego, wraz nabrał odwagi i zuchwalstwa, myśląc, iż łącznie przyjdzie mu ubić pocziwinę. Zaczem rzekł do swoich towarzyszy olbrzymów:

— Wy tam, hołota, słuchajcie: klnę się na brodę proroka, że jeśli który z was spróbuje się mieszać do walki, uśmiercę go straszną śmiercią. Rozkazuję, byście mi dali walczyć samemu: zaś wy będziecie mieli uciechę przyglądając się.

Zaczem cofnęli się olbrzymi wraz ze swoim królem opodał, gdzie stały butelki, a zaś z nimi Panurg i jego towarzysze. Panurg pokrzywił się tym, którzy cierpieli na francę, i szpetnie wykręcał głęba, i przebierał palcami; i zachrypłym głosem rzekł do nich:

— Do kroćset, towarzysze, dajmyż na teraz pokój wojnie. Pozwólcież nam się tu pożywić wraz z wami, podczas gdy nasi panowie będą się tam kłócili między sobą.

Na co chętnie zgodził się król i olbrzymi i poczęli przepijać do nich.

Zaczem Panurg począł im rozpowiadać bajki Turlupina, przykłady Św. Mikołaja i powiastkę o bocianie.

Wilkołak zamierzył się na Pantagruela wielką maczugą, całą ze stali, ważącą dziewięć tysięcy siedemset cetnarów i dwie ćwierci. Była ona zrobiona z kalibańskiej stali, na końcu jej zaś znajdowało się trzynaście ostrych szpikulców, z których najmniejszy był tak wielki, jak największy dzwon kościoła Najświętszej Panny w Paryżu (może cieńszy o grubość paznokcia lub, abym nie skłamał, najwyższej o grubość ostrza noża, ale ledwo tyle, ani mniej, ani więcej); i była zaczarowana, tak iż nigdy nie mogła pęknąć, ale przeciwnie wszystko pękało, czego tylko tknęła.

Gdy tedy zbliżał się tak groźny i straszliwy, Pantagruel, wznosząc oczy ku niebu, polecił się Bogu z całego serca i uczynił ślub jak następuje:

— Panie Boże, który byłeś zawsze moim opiekunem i obrońcą, widzisz oto nieszczęście, które dybie na mnie. Nie co innego mnie tu sprowadziło, jeno ta przyrodzona gorliwość, przez ciebie włożona w serce ludzi, aby strzegli i bronili siebie, swoich żon, dzieci, kraju i rodziny w razie, jeśli nie chodzi o twoją własną sprawę, to jest wiarę: w takiej bowiem sprawie ty nie chcesz żadnego pomocnika, oprócz katolickiego wyznania wiary i posłuszeństwa twemu słowu i zabroniłeś nam wyraźnie uciekać się w tym do innego oręża i obrony. Ty bowiem jesteś wszechmogący i w swojej własnej sprawie oraz gdzie twoje dobro jest na szwank wystawione, możesz go bronić o wiele lepiej, niżby to ktokolwiek mógł pojąć swym rozumem; ty, który masz tysiące setek milionów legionów aniołów, a najmniejszy z nich może wytracić całą ludzkość i obrócić ziemię a niebo wedle ochoty, jak niegdyś okazało się jawnie na armii Sennacheryba. Zatem, jeśli raczysz w tej godzinie być mi ku pomocy (jako iż ty sam jesteś całą mą otuchą i nadzieją), ślubuję ci oto, iż po wszystkich ziemiach tak tego kraju Utopii, jako i indziej, gdzie będę miał moc i powagę, każę głosić twoją świętą Ewangelię w jej czystości, prostocie i całości; i przyrzekam wyniszczyć nadużycia zgrai obłudników i fałszywych proroków, którzy mocą ludzkich praw i wymysłów świat skazili i zatruli.

Wówczas dał się słyszeć głos z niebios mówiący: *Hoc fac et vinces*; to znaczy: „Czyń tak, a zwyciężysz”.

Następnie widząc Pantagruel, iż Wilkołak zbliża się z otwartą gębą, podszedł naprzeciw niemu śmiało i zakrzyknął, jak mógł najgłośniej: „Śmierć ci, plugawcze, śmierć ci!”, aby go przerazić, wedle obyczaju Lacedemończyków, swoim okropnym krzykiem. I rzucił nań z szalupy, którą miał u pasa, więcej niż osiemnaście baryłek i jeden garniec soli, którą napełnił mu gębę, gardziel, nos i oczy. Podrażniony tym Wilkołak wymierzył mu cios maczugą, chcąc mu roztrzaskać mózgownicę. Ale Pantagruel był zmyślny i zawsze miał głowę na karku; zaczem cofnął się lewą nogą o krok wstecz; ale nie zdołał ze wszystkim uniknąć ciosu, który spadł na szalupę zawieszoną u boku; i rozpękła się na cztery tysiące osiemdziesiąt i sześć kawałków, reszta zaś soli rozsypała się na ziemię.

Widząc to, Pantagruel krzepko rozprężył ramiona i machnąwszy jakoby siekierą, wyciął go grubym końcem masztu ponad sutkiem; ponawiając na odlew cios z lewej strony, ugodził go między szyją a kołnierzem; po czym, robiąc wypad prawą nogą, wymierzył mu sztych w same jądra cieńszym końcem masztu; przy czym rozpękło się bocianie gniazdo i wylała się zeń reszotka wina, objętości trzech czy czterech beczulek. Zaś Wilkołak myślał, iż napastnik przebił mu pęcherz, a na wino myślał, że to jego uryna tak trysła.

Nierad z tego jeszcze Pantagruel miał wznowić natarcie; ale Wilkołak, wznosząc maczugę w górę, poskoczył ku niemu i z całej siły chciał ugodzić Pantagruela. W istocie machnął tak potężnie, iż, gdyby Bóg nie był wspomógł dobrego Pantagruela, byłby go rozszczerzył od wierzchołka głowy aż do wnętrza śledziony; ale cios przeszedł mimo, dzięki zwinnemu ruchowi Pantagruela, a maczuga zaryła się na więcej niż sześćdziesiąt trzy stóp w ziemię, przez wielką skałę, z której buchnął ogień większy niż dziewięć tysięcy sześć beczek.

Widząc Pantagruel, iż wróg siłuje się z wyciąganiem maczugi, która tkwiła w ziemi pod skałą, ruszył nań pędem i chciał mu od jednego zamachu rozwalić głowę; ale, nieszczęściem dlań, maszt zawadził nieco o rękojeść maczugi Wilkołakowej, która była zaczarowana, jako rzekliśmy wprzód: wskutek tego maszt ułamał się o trzy cale nad garścią. Na to stanął ogłupiały i zakrzyknął:

— Hej, Panurgu, gdzieś jest?

Co słysząc, Panurg rzekł do króla i olbrzymów:

— Na Boga, jeszcze sobie zrobią co złego, jeśli się ich nie rozdzieli.

Ale olbrzymi byli sobie radzi jakoby na weselisku. Wówczas Karpalim chciał się zerwać, aby iść wspomóc swego pana; ale jeden z olbrzymów rzekł:

— Na Gulfarina, siostrzeńca Mahometa, jeśli się ruszysz na krok, wpakuję cię w czeluście swoich pludrów jak czopek, cierpię bowiem na zatwardzenie żywota i nie mogę się wybejać, jeno siłą i zgrzytając zębami.

Zaczem Pantagruel, pozbawiony broni, podjął koniec swego masztu, waląc nim na oślep olbrzymia; ale nie czynił mu tym większej szkody, niż gdyby ktoś wyklaskiwał bosą ręką po kowadlu. Tymczasem Wilkołak ciągnął z ziemi swą maczugę; jakoż wyciągnął i gotował się nią ugodzić Pantagruela. Ale Pantagruel, który był zwinny w ruchach, uchylał się wszystkim ciosom, aż wreszcie, widząc, iż Wilkołak godzi nań mówiąc: „Ty niegodziwco, wnet ja tu sporządzę z ciebie pasztet, nie będziesz już biednych ludzi przyprawiał o pragnienie”; wówczas Pantagruel wymierzył mu nogą tak straszny cios w sam brzuch, iż runął wstecz z zadartymi giczałami, tamten zaś ciągnął go zadkiem po kamieniach więcej niż na strzelenie z łuku. A Wilkołak krzyczał, oddając krew przez gardło: „Mahom! Mahom! Mahom!”. Na ten głos zerwały się wszystkie olbrzymy, aby mu śpieszyć z pomocą. Ale Panurg rzekł:

— Panowie, nie idźcie tam, uczciwie wam radzę: z mojego pana to wariat, wali na prawo i lewo i nie patrzy zgola, gdzie trafi. Jeszcze się dopytacie czego złego.

Ale olbrzymi nie zważali na to, widząc iż Pantagruel jest bez broni.

Skoro ujrzał, że się zbliżają, Pantagruel chwycił Wilkołaka za obie nogi i podniósł jego ciało w powietrze jak pikę, i uzbrojony nim niby młotem grzmocił po olbrzymach okutych w ciosowe kamienie, i walił ich na ziemię jako murarz rozwała mury, tak iż jeden po drugim pokładli się na ziemi. I gdy tak łamał te kamienne pancerze, powstał straszliwy huk, równy jedynie temu, jaki pamiętam, kiedy wielka wieża z masła na kościele św. Szczepana w Bourges stopiła się w słońcu. Tymczasem Panurg, a z nim Karpalim i Eustenes dorzynali leżących. Możecie zgodzić się w obrachunku, że nie wymknął się ni jeden; patrząc zaś na Pantagruela, myślelibyście, że to kosiarz, który swoją kosą (było nią ciało Wilkołaka) kosi trawę na łące (to jest olbrzymów). Ale przy tej szermierce, Wilkołak postradał głowę; mianowicie wówczas gdy Pantagruel zwał nim jednego, który zwał się Kiszkożrej, a był uzbrojony bardzo wspaniale, to jest okuty piaskowym kamieniem, którego odłamek przebił na wylot gardło Epistemonowi; zresztą bowiem większość ich była opancerzona lekko, wapniem albo łupkiem.

Wreszcie widząc, iż wszyscy już polegli, Pantagruel rzucił ciało Wilkołaka najdalej, jak mógł, ku miastu. I upadł tamten na brzuch jak żaba, na rynku własnego miasta, a padając zabił swoim ciężarem piezzonego kota, mokrą kocicę, kaczkę pierdziuszkę i gąskę na rożnie.

### XXX. JAK EPITEMON, KTÓRY MIAŁ UCIĘTĄ GŁOWĘ, OZDROWIAŁ DZIĘKI SZTUCE PANURGA I JAKIE PRZYNIÓSŁ WIEŚCI O DIABŁACH I POTĘPIEŃCACH.

Dokonawszy tego pogromu olbrzymiego, Pantagruel cofnął się w miejsce, gdzie stały gąsiory z winem i przywołał Panurga i innych. Zebrali się wkoło niego, zdrowi i cali, z wyjątkiem Eustenesa, któremu jeden z olbrzymów podrapał nieco twarz, gdy on sam go zarzynał, i Epistemona, który nie zjawił się wcale. Z czego Pantagruel popadł w taką żalność, iż chciał zabić sam siebie; ale Panurg rzekł:



— Ej, panie miły, zaczekaj jeszcze trochę, poszukamy go między zmarłymi i przekonamy się, jak rzeczy stoją.

Owo gdy go tak szukali, znaleźli go ze wszystkim niezwywego, w rękach bowiem trzymał swoją głowę ociekającą od krwi. Wówczas Eustenes zakrzyknął:

— Ha, niegodziwa śmierci, tak nam wydierać najdoskonalszego z ludzi!

Na ten głos podniósł się Pantagruel w nieopisanej boleści. I rzekł do Panurga:

— Och, przyjacielu, twoja wróżba z dwóch szklanek i drzewca była zbyt omylna! Ale Panurg rzekł:

— Dzieci, nie płaczcie próżno, jest jeszcze ciepły: wróć go wam zdrowym i całym jak wprzód.

To mówiąc, wziął głowę i trzymał ją ciepło w swoim rozporoku, aby się nie ostudziła od wiatru. Eustenes i Karpalim zanieśli ciało na miejsce, gdzie wprzód uctowali, nie w nadziei, aby kiedykolwiek mógł być uleczoney, ale iżby Pantagruel go widział. Wszelako Panurg pokrzepiał ich, mówiąc:

— Jeśli go nie uzdrowię, niechaj sam głowę stracę — (szalony istic zakład) — ostawcież te płacze i pomóżcie mi.

Zaczem oczyścił bardzo starannie szyję białym winem, tak samo głowę i przyprószył ją proszkiem dwułażna, który miał zawsze przy sobie w pudełku; potem namaścił ją miodem jakoby maścią: i złożył je dokładnie, żyłę do żyły, nerw do nerwu, kręg do kręgu, aby nie miał przekrzywionej szyi, takich bowiem ludzi śmiertelnie nienawidził. To uczyniwszy, umocował ją dookoła piętnastoma lub szesnastoma szpilkami, aby nie spadła na nowo; następnie zaś pomazał odrobiną maści, którą nazywał zmarłychwstalinową.

Natychmiast zaczął Epistemon oddychać, potem otworzył oczy, potem ziewnął, potem kichnął, a wreszcie pierdnął sobie potężnie, po gospodarsku. Zaś Panurg rzekł:

— Teraz jest już uratowany najpewniej.

I dał mu się napić szklankę białego sikoniu i przegryźć cukrowanym sucharem. W ten sposób Epistemon został cudowną sztuką ocalony, jeno chrypkę miał przez trzy tygodnie i kaszel suchy, z którego nie może się dotąd uleczyć, chyba pociągając sumiennie.

Rozpoczął im tedy opowiadać, jako to widział diabłów, rozmawiał poufale z Lucyperem i hulał sobie szeroko po piekle i Polach Elizejskich. I przekonywał wszystkich, że diabły to wcale niegorsze kompanie. Co się tyczy potępionych, to bardzo żałował, że go Panurg tak rychło wrócił do życia:

— Miałem — powiadał — osobliwą rozrywkę w przyglądaniu się im.

— Jakże to? — rzekł Pantagruel.

— Nie obchodzą się z nimi — rzekł Epistemon — tak źle, jak wy tu myślicie; jeno stan ich ulega bardzo szczególnej odmianie. Widziałem tam Aleksandra Wielkiego, jak naprawiał stare portki i w ten sposób zarabiał na życie;

Kserkses był roznosicielem musztardy;<sup>263</sup>

Romulus przekupniem soli;

Numa gwoździarzem;

Tarkwiniusz harlekinem;

Pizon pastuchem;

Sylla rybakim;

<sup>263</sup>stan ich ulega bardzo szczególnej odmianie (...) na liche i plugawe życie — Niektórzy komentatorowie dopatrywali się w tym niewinnym gładzeniu zmartwychwstałego Epistemona „krwawej satyry”, „dantejskich obrazów” etc. Istotnie trzeba dużo dobrej woli i wyobraźni, aby się tego wszystkiego dopatrzeć w błahym ustępie w rozwlekły sposób rozprowadzającym jedną i tę samą myśl, samą przez się dość chudą.

Cyrus poganiaczem krów;  
Temistokles szklarzem;  
Epaminondas przekupniem zwierciadeł;  
Brutus i Kasjusz pacholkami w mennicy;  
Demostenes hodowcą wina;  
Cyceron kominiarzem;  
Fabiusz zaklinaczem szcurów;  
Artakserkses powroźnikiem;  
Eneasz młynarzem;  
Achilles parszywcem;  
Agamemnon liżygarnkiem;  
Ulisses kosiarzem;  
Nestor domokrażcą;  
Dariusz dozorcą wychodków;  
Ankus Marcjusz smolarczykiem;  
Kamillus łataczem obuwia;  
Marcellus łuskaczem grochu;  
Druzus pomywaczem;  
Scypion Afrykański wołał po ulicach: „drożdże, drożdże świeże!”;  
Hazdrubal czyścił latarnie;  
Hannibal był kaflnarzem;  
Priam sprzedawał stare szmaty;  
Lancelot znad Jeziora obdzierał zdechłe szkapy ze skóry.

Wszyscy rycerze Okrągłego Stołu są tam biednymi urwipolciami, harującymi przy wiosłach przy przeprawie Kocytu, Flegetonu, Styksu, Acheronu i Lety, jako są przewoźnicy w Lyonie i gondolierzy w Wenecji, i muszą być na zawołanie, kiedy panom diabłom przyjdzie ochota pobaraszkować sobie na wodzie. Ale za każdy przewóz dostają jeno szcztka w nos, a wieczorem parę kawałków czerstwego chleba.

Było tam i dwunastu parów Francji, ale nie widziałem, żeby coś robili; jeno zarabiają na życie w ten sposób, iż pozwalają się bić po gębie, po karku, po tebinkach i walić pięścią między oczy.

Trajan był rybakiem żab;  
Antonin lokajem;  
Kommodus dudziarzem;  
Pertinaks strącał z drzew orzechy;  
Lukullus obracał rożen;  
Justynian kupczył fatalaszkami;  
Hektor pitrasił sosy;  
Parys był nędznym łachmaniarzem;  
Achilles wiązał słomę;  
Kambyzes był mulnikiem;  
Artakserkses pomywaczem garnków;

Neron był gęślarzem, a Zawalidroga jego pacholkiem; ale płatał mu mnóstwo psot i dawał mu jeno czerstwy chleb i skwaśniałe wino, zasię tam mu odjadał i odpijał co najlepsze;

Juliusz Cezar i Pompejusz byli posługaczami na okrętach;  
Walentyn i Orson usługiwali w łaźni piekielnej i drapali skórę kąpiącym;  
Giglan i Gowel pasali świnię;  
Gotfryd z Wielkim Zębem wyrabiał krzesiwka;  
Gotfryd z Billonu przykrawał habity;

Baldwin był kościelnym;  
 Don Pietro z Kastylii zbieraczem odpadków;  
 Morgant piwowarem;  
 Hujon z Bordeaux pobijaczem beczulek;  
 Pyrrus popychadłem kuchennym;  
 Antiochus wymiataczem kominów;  
 Romulus łataczem papuci;  
 Oktawian drapaczem papieru;  
 Nerwa odźwiernym;  
 Papież Juliusz sprzedawał kołaczki po ulicach; ale już nie miał swojej wielkiej,  
 koźlej brody;  
 Jan z Paryża napuszczał łojem buty;  
 Artus z Bretanii chędożył stare czapki;  
 Papież Bonifacy ósmy popłukiwał garnki;  
 Papież Mikołaj trzeci wydmuchiwał butelki;  
 Papież Aleksander łapał szczury;  
 Papież Sykstus smarował maścią francowatych.  
 — Jak to — spytał Pantagruel — to tam są i francowaci?  
 — Ba! i jak — rzekł Epistemon — jeszcze nigdy tylu nie widział; więcej niż  
 sto milionów. Bądźcie bowiem przekonani, że ci, co nie złapali francy na tym świecie,  
 dostaną jej na tamtym.  
 — Święci niebiescy — rzekł Panurg — to ja już się nie boję; ukąpałem się w niej  
 po samą szyję i każdy kawałeczek ciała mam ubezpieczony.  
 Ożier Duński szorował tam pancerze;  
 Król Tigranes pokrywał dachy;  
 Galienus Restauratus łowił krety;  
 Czterech synów Ammona wyrывało zęby;  
 Papież Kalikst był golarzem wstydlivych części;  
 Papież Urban urwipółciem;  
 Meluzyna była pomywaczką;  
 Matabruna praczusią;  
 Kleopatra handlarką cebuli;  
 Helena stręczycielką dziewczek;  
 Semiramis iskaczką wszów;  
 Dydona sprzedawała grzyby;  
 Pentezylea rzeźuchę;  
 Lukrecja była posługaczką szpitalną;  
 Hortensja prząśniczką;  
 Liwia grynszpaniarką.

W ten sposób ci, którzy byli wielkimi panami na tym świecie, zarabiają na tam-  
 tym na liche i plugawe życie. Przeciwnie filozofowie i owi, którzy byli na tym świecie  
 w niedostatku, tam z kolei zostają wielkimi panami. Widziałem Diogenesa, który  
 przewalał się we wspaniałościach, we wspaniałej szacie purpurowej, z berłem w pra-  
 wicy; i ciosał kolki na łbie Aleksandrowi Wielkiemu, kiedy mu nie wylatał na czas  
 pludrów; i okładał go kijem, co wlezie. Widziałem Epikteta<sup>264</sup>, przybranego wdzięcz-  
 nie francuską modą, w pięknej altance z mnóstwem urodnych dziewczuszek. I dopieroż  
 weselił się, popijał, tańczył i hulał szeroko, a wpodłe niego leżało mnóstwo pozłoci-  
 stych dukatów! Nad altanką zasię wypisane były jako godło te wiersze:

<sup>264</sup>Epiktet — znany filozof, stoik, za czasu Domicjana i Trajana.

Tańczyć, skakać i figlować,  
Popijać trunek wystają,  
Jasne dukaty rachować,  
Ot, praca na dzionek cały.

— Skoro mnie ujrzał, zaprosił mnie bardzo uprzejmie, abym się z nim napił, co przyjąłem chętnie; i pociągnęliśmy teologalnie. Podczas tego przyszedł Cyrus prosić go w imię Merkurego o jaki grosik, aby mógł sobie kupić nieco cebuli na wieczrę: „Nic z tego, nic z tego, rzekł Epiktet, ja groszy nie rozdaję. Trzymaj, nicponiu, masz oto talara, a żebyś go nie przełajdaczył”. Dopieroż Cyrus był rad z takiej gratki! Ale inni hultaje króle, które tam były, jak Aleksander, Dariusz i inni, okradli go w nocy. Widziałem Patelina, skarbnika Radamantowego, targującego kołaczyki które obnosił papież Juliusz; i pytał, po ile tuzin: „Trzy szelągi”, rzekł papież. „Chciałeś powiedzieć trzy kije”, rzekł Patelin. „Dawaj tu, obwiesiu, dawaj i biegaj po nowe”. I biedny papież musiał odejść z płaczem i kiedy stanął przed swoim panem, piekarzem, skarżył się, że mu zabrano kołacze. Wówczas piekarz wyspał mu taką porcję, że darmo by się trudził, kto by chciał z jego skóry zrobić kobzę.

Widziałem mistrza Jana Miera, który odgrywał papieża i wszystkim tym biednym królom i papieżom kazał całować sobie nogi, pusząc się jak paw, i rozdawał błogosławieństwa, mówiąc: „Kupujcie odpusty, łajdaki, kupujcie, tanio są do nabycia. Rozgrzeszam was od chleba i zupy i daję wam dyspensę od tego, byście kiedy byli coś warci”. I przywołał dwóch błaznów, Kajtusia i Trybuleta, i rzekł: „Panowie kardynałowie, sporządźcie dla nich bulle, każdemu kijem po tebinkach”. Co zostało bezzwłocznie wykonane.

Widziałem mistrza Franciszka Villona<sup>265</sup>, który spytał Kserksesa: „Po czemu porcja musztardy?”. „Po denarze”, rzekł Kserkses. Na co Villon: „Niech cię febra ściśnie, hultaju! Niewarta więcej niż grosz; cóż ty nam tu będziesz podbijał ceny żywności!”. Zaczem wyszczał mu się do faski, jak czynią musztardnicy paryscy.

Widziałem wolnego strzelca z Banoletu, który był inkwizytorem heretyków. Ten spostrzegł Wyrwidęba, jak siusiał na ścianę, na której był wymalowany ogień św. Antoniego. Oskarżył go jako heretyka i byłby go kazał spalić żywcem, gdyby nie Morgant, który za jego *proficiat* i inne drobne przywileje dał mu dziesięć beczek piwa.

— A teraz — rzekł Pantagruel — zachowaj nam te piękne opowiadki na inny raz. Jeno powiedz, jak tam sobie poczynają z lichwiarzami?

— Widziałem i tych — rzekł Epistemon — zajęci są nieustannie szukaniem zardzewiałych szpilek i starych gwoździ po rynsztokach, jako wiadomo, że te hultaje czynią i na tym świecie. Ale centnar tego żelaziwa wart tam jest ledwie kromkę chleba, a jeszcze i o to czasem trudno: dlatego biedne niebożęta nieraz więcej niż trzy tygodnie nie mają w ustach ani ździebełka i pracują dzień i noc, czekając, aż przyjdzie jarmark; ale tak już są zachłanni i przekłęci od natury, że nie baczą na ten trud i niedolę, byle z końcem roku mogli uciulać jaki liches grosik.

— Owo — rzekł Pantagruel — pofolgujmy sobie teraz trochę i pijmy, proszę was, dzieci: zarobiliście na to, aby popić bodaj cały miesiąc.

Zaczem otworzyli cały szereg gąsiorów i z zapasów obozowych zgotowali grzeczną biesiadę. Ale biedny król Anarch nie dzielił tej wesołości. Ozwał się tedy Panurg:

— Do jakiegoż rzemiosła damy tego tu obecnego, pana króla, iżby już był wyćwiczony w swej sztuce, kiedy dostanie się do wszystkich diabłów?

<sup>265</sup>Villon — Wielokrotnie z pietyzmem cytowany przez Rabelais'go wielki poeta francuski z XV w.

— Zaiste — rzekł Pantagruel — pięknie to z twojej strony, żeś o tym pomyślał: uczyni z niego, co zechcesz, daruję ci go.

— Bardzo dziękuję — rzekł Panurg — prezent nie do pogardzenia i z miłych rąk tym bardziej miły.

### XXXI. JAKO PANTAGRUEL WSZEDŁ DO MIASTA AMAUROTÓW I JAKO PANURG WYSWATAŁ KRÓLA ANARCHA I ZROBIŁ GO ROZNOSICIELEM TATARSKIEGO SOSU.

Po tym wspaniałym zwycięstwie Pantagruel posłał Karpalima do miasta Amaurotów, aby rzekł i oznajmił, iż król Anarch pojmany, a wszyscy nieprzyjaciele pobici. Gdy ta wieść się rozeszła, wyszli naprzeciw niemu wszyscy mieszkańcy, w pięknym oryndku i z wielką pompą tryumfalną. I w boskim weselu wwiedli Pantagruela do miasta, gdzie rozniecono po wszystkich placach wspaniałe fajerwerki i zastawiono po ulicach okrągłe stoły, zaopatrzone w mnóstwo jada i napoju. I tak szeroko się bawiono, iż zdawać się mogło, że wróciły na ziemię czasy Saturna.

Zasię Pantagruel, zgromadziwszy cały senat, rzekł tak:

— Panowie, kuć żelazo trzeba, póki jest gorące; dlatego też nim zaczniemy razem hulać i popuszczać pasa, pragnę, byśmy ruszyli na podbój całego królestwa Dipsodów. Tedy ci, którzy chcą iść ze mną, niech się gotują na jutro, zaraz po kubku porannym, z pierwszym bowiem brzaskiem ruszam w drogę. Nie iżbym potrzebował więcej ludzi dla pomocy w wyprawie, rozumiem bowiem, że sprawa jest już ze wszystkim dokonana; ale widzę, iż to miasto tak jest nabite od ludzi, że nie ma się gdzie obrócić na ulicy: zatem zawiodę ich jako kolonistów do ziemi Dipsodów i dam im cały kraj, który jest piękny, zdrowy, urodzajny i luby ponad inne ziemie, jako wiadome jest to wielu z was, którzyście tam już bywali. Zatem kto z was zechce ruszyć ze mną, niech będzie gotów jak powiedziałem.

Ta rada i obwieszczenie rozeszło się po mieście; i nazajutrz znalazło się na placu przed zamkiem luda osiemnaścieset pięćdziesiąt i sześć tysięcy, i jedenaście, nie licząc niewiast i małych dzieci. I tak ruszyli prosto do ziemi Dipsodów, i w tak pięknym oryndku, iż podobni byli dzieciom Izraela, kiedy wędrowali z Egiptu, aby przebyć morze Czerwone.

Ale nim będziemy towarzyszyli temu przedsięwzięciu, pragnę opowiedzieć, jak Panurg postąpił ze swym jeńcem, Anarchem. Przypomnił sobie to, co opowiadał Epistemon, jak obchodzono się z królami i możnymi tego świata na Polach Elizejskich i jako zarabiają na życie niskimi i podłymi rzemiosłami.

Dlatego jednego dnia ubrał króla w lichą płócienną katanę wystrzępioną jak kornecik albański i w piękne marynarskie pludry, bez trzewików, bowiem, jak mówił, zaszkodziłyby mu na oczy, i dodał mu zieloną czapczkę zdobną kapłonim piórem; to jest, myślę się: o ile mi się zdaje, miała dwa pióra i piękny żółty i zielony pasek; twierdząc, iż te barwy są dlań bardzo sposobne, jako że ma żółto w pludrach, a zielono w głowie.

W takim stroju przywiódł go przed Pantagruela, mówiąc:

— Znacie tego gnojka?

— Ani trochę — rzekł Pantagruel.

— To jest jegomość pan król trzy razy wypiekany. Chcę go wykierować na człowieka; te szelmy króle są jak młode wolki; nic nie umieją robić do rzeczy, jeno nękać biednych poddanych i trapić cały świat wojnami dla swej nieprawej i szpetnej uciechy. Chcę go włożyć do jakiego rzemiosła: zrobię zeń rozność tatarskiego sosu. Dalej, spróbuj no krzyknąć: „So-o-o-su, tatarskiego so-o-o-su!”

I biedny królina musiał się wydierać, co mu tchu starczyło.

— Za nisko — rzekł Panurg i pociągnął go za ucho, mówiąc — Wyciągaj no wyżej: *fa, sol, re*, Ut. Taak! Tam do licha! masz dobre gratka i naprawdę to gratka dla ciebie, że już nie jesteś królem.

A Pantagruel wszystkim się cieszył. Śmiał bowiem w istocie powiedzieć, że był to najlepszy człeczyna, jakiego kiedykolwiek z tej tu ziemskiej gliny ulepiono.

I tak wyszedł Anarch na tęgiego wykrzykiwacza tatarskiego sosu. W dwa dni potem Panurg ożenił go ze starą zapalczką latarni i sam mu wyprawił wesele, na którym była piękna barania głowa, smaczne kielbaski z musztardą i nadobne flaki z czosnkiem; tych posłał pięć szaflików Pantagruelowi, który je zjadł wszystkie, tak mu przypadły do smaku; zaś do picia był smakowity jabłecznik i tegoroczne winko. A na muzykę do tańca wynajął ślepcę, który dmuchał w dłonie wraz ze swą starą. Po obiedzie zawiódł ich do pałacu i przedstawił ich Pantagruelowi, i rzekł pokazując oblubienicę:

— Nie ma obawy, by trzeszczała.

— Czemu? — spytał Pantagruel.

— Temu, że jest dobrze nadłupana.

— Cóż to za przenośnia? — zapytał Pantagruel.

— Nie wiesz pan — rzekł Panurg — że kiedy się piecze kasztany na ogniu, to, jeśli są całe, tak trzeszczą, że coś okropnego. Otóż, aby zapobiec, by tak nie pierdziała, nadłupuje się je. Owo ta oblubienica jest dobrze nadłupana od dołu, zatem nie będzie pierdziała.

Pantagruel dał im izdebkę od podwórca i móżdziej kamienny, aby w nim tarli swoje sosy. I tam żyli przykładnie jak dobre stadło i był zeń najtęższy wykrzykiwacz sosów, jaki kiedykolwiek istniał w krainie Utopii. Ale mówiono mi później, że żona bije go nieraz na kwaśne jabłko, a biedny niezdara nie umie się obronić, taki zeń kawał gamonia.

## XXXII. JAKO PANTAGRUEL POKRYŁ JĘZYKIEM CAŁĄ ARMİĘ I CO AUTOR UJRZAŁ U NIEGO W GĘBIE.

Skoro Pantagruel z całą swą zgrają wkroczył do ziemi Dipsodów, mieszkańcy byli bardzo radzi i natychmiast mu się poddali. Jakoż z własnej woli i chęci przynieśli mu klucze wszystkich miast, przez które przejeżdżał: z wyjątkiem Almyrodów, którzy chcieli się opierać i dali odpowiedź heroldom, że się nie poddadzą, chyba pod korzystnymi warunkami.

— Co — rzekł Pantagruel — cóż oni chcą jeszcze lepszego niż dzbanek do jednej ręki, a szklankę do drugiej? Dalejże zrobić z nimi porządek! Zaczem wszyscy ustawili się w ordynku jakoby do szturm. Ale po drodze, gdy przechodzili przez wielką wieś, złapał ich ulewny deszcz; zaczęli jęli się otrząsać i ścisnąć jeden koło drugiego. Co widząc, Pantagruel kazał im powiedzieć przez rotmistrza, aby się nie lękali, widzi bowiem dobrze ponad chmurami, że to tylko mały deszczyk; zresztą niechaj się ustawią w porządku, a on ich osłoni. I ustawili się w pięknym szyku, blisko ściśnięci. Zaś Pantagruel wyciągnął język jeno do połowy i przykrył ich jak kokosz kurczęta.

Tymczasem ja, który wam tu opowiadam takie dziwne historie, ukryłem się pod liściem łopianu, który był nie mniejszy niż łuk Monstrydzkiego Mostu; ale kiedy ich ujrzałem tak osłoniętych, zbliżyłem się, aby też korzystać z tego schronienia. To mi się nie udało, zbyt wielu bowiem ich było, a, jak mówi przysłowie; nie staje sukna poza krawędź łokcia. Zaczem, jak tam umiałem, wdrapałem się nań na wierzch i wędrowałem z dobre dwie mile po jego języku, aż wreszcie wszedłem do gęby. Ale,

o bogowie i boginie! cóż tam ujrzałem? Niechże mnie Jowisz porazi swoim piorunem o trzech grotach, jeśli kłamię! Wędrowałem tak po tym wnętrzu, jako się chodzi po kościele św. Zofii w Konstantynopolu i ujrzałem skały tak wielkie jak góry Duńczyków (mniemam, iż to były jego zęby) i wielkie łąki, i srogie lasy, wielkie i potężne miasta, nie mniejsze od Lyonu albo Połturu.

Pierwszy, którego spotkał, był to dobry człeczyna, który sadził kapustę. Zaczem całe zdumiony spytałem go:

— Mój przyjacielu, cóż ty tu robisz?

— Sadzę kapustę — odrzekł.

— Jakże to? gdzie? spytałem.

— Ha, panie, nie każdy może mieć jajka tak ciężkie jak moździerz i nie wszyscy możemy być bogaczami. Zarabiam sobie, jak mogę, na życie i noszę towar sprzedawać na targ do miasta, które leży tam w tyle.

— Jezusie! — rzekłem — toć tu jest jaki nowy świat?

— Hm — rzekł — nie żaden wcale nowy; ale powiadają, że gdzieś poza tym światem jest jakiś inny nowy, gdzie mają słońce i księżyc, i pełno innych pięknych rzeczy: ale ten tu jest dawniejszy.

— Dobrze tedy, mój przyjacielu — rzekłem — a jakąż nazwę ma to miasto, gdzie nosisz na sprzedaż kapustę?

— Nazywa się Aspharaga, mieszkają w nim chrześcijanie, godni ludzie: będą ci radzi.

Po krótko namyśliłem się tam iść.

Po drodze spotkałem chłopaka, który zastawiał sieci na gołębie. Tedy spytałem:

— Mój przyjacielu, skąd wam się tu biorą te gołębie?

— Panie — odparł — przychodzą z tamtego świata.

Pomyślałem tedy, iż kiedy Pantagruel ziewał, gołębie całymi stadami wlatywały mu do gęby, biorąc ją snadź za gołębnik. Potem wszedłem do miasta, które zdało mi się piękne, warowne i okazałe, ale przy wejściu odźwierni zagadnęli mnie o paszport; czemu zdziwiłem się mocno i spytałem:

— Panowie, czy tu jest niebezpieczeństwo zarazy?

— O, panie — rzekli — umierają tu tyle, że wózki ledwie mogą nastarczyć ze zbieraniem trupów.

— Na Boga, co wy mi powiadacie! i gdzież to? Na co rzekli, iż dzieje się to w Laryngii i Faryngii, dwóch znacznych miastach, tak wielkich jak Rouen i Nantes, bogatych i wielce handlowych. Zaś przyczyną zarazy był cuchnący i skażony wyziew, który wydziela się od niedawna z czeluści; z czego pomarło od tygodnia więcej niż dwadzieścia i pięćset sześćdziesiąt tysięcy, i szesnaście osób.

Owo myślę i kalkuluję, i doszedłem, że to był cuchnący oddech, który dobył się z żołądka Pantagruelowego wówczas, gdy zjadł tyle grzanek z czosnkiem, jako rzekliśmy poprzednio.

Ruszywszy stamtąd, przeszedłem między skały (były to jego zęby) i dokazałem tyle, iż wdrapałem się na jeden i tam zobaczyłem najpiękniejszą okolicę pod słońcem, piękne place do gry w piłkę, galerie, błonia, mnogo winnic i niezliczoną ilość domków wiejskich, zbudowanych modą italską, w najrozkoszniejszych polach i ogrodach. I bawiłem tam cztery miesiące i nigdy mi się tak dobrze nie działo jak wówczas.

Następnie zeszedłem po zębach przednich, aby dojść do szczęki; ale po drodze, w wielkim lesie, który ciągnie się ku uszom, złupili mnie bandyci; następnie trafiłem schodząc na miasteczko, zapomniałem, jak je zowią, gdzie hulałem sobie suciej niż kiedykolwiek i zarobiłem nieco pieniędzy na życie. A wiecie jak? Spaniem: tam bowiem zajmują ludzi na dniówkę do spania i zarabiają tak pięć do sześciu soldów

dziennie; ci, którzy tego chrapią zarabiają półósma. I opowiedziałem tamecznym senatorom, jako mnie obłupiono w dolinie; na co rzekli, iż w istocie ludzie mieszkający poza zębami są z natury wielkie nicponie i opryszki: z czego poznałem, że jak my mamy okolice z tej i z tamtej strony gór, tak oni mają z tej i z tamtej strony zębów. Ale z tej strony jest dużo przyzwoiciej i żyje się o wiele lepiej.

I oto przyszło mi na myśl, że to jednak szczerza prawda, co powiadają, że połowa świata nie wie, jak żyje druga połowa. Nikt bowiem jeszcze nie opisał tego kraju, gdzie jest więcej niż dwadzieścia pięć zamieszkałych królestw, nie licząc miejsc pustynnych i szerokiej odnogi morskiej; napisałem też o tym wielkie dzieło zatytułowane *Historia Gardzielców*: tak ich nazwałem, ponieważ zamieszkują w gardzieli mego pana Pantagruela. Wreszcie zapragnąłem wrócić i przeszedłszy przez brodę, wskoczyłem mu na ramiona, stamtąd zaś zsunąłem się na ziemię i upadłem przed nim. Skoro mnie spostrzegł, zapytał:

— Skąd idziesz, Alkofrybasie?

Odparłem mu:

— Z pańskiej gardzieli, panie.

— I odkądże tam bawisz? — rzekł.

— Od czasu — rzekłem — kiedyście, panie, ruszali na Almirodów.

— To już więcej niż pół roku — rzekł. — I czym żyłeś? Co jadłeś? co piłeś?

Odparłem:

— Panie, to samo, co ty: z najsmaczniejszych kąsków, które przechodziły przez pańską gardziel, brałem dziesięcinę.

— Dobrze — rzekł — ale gdzieżeś bejał?

— W pańskie gardło, panie — odparłem.

— Ha, ha, miły z ciebie kompan — rzekł. — A myśmy tymczasem, z pomocą Bożą, zdobyli całe królestwo Dipsodów: daję ci kasztelanę Kapuścianą.

— Serdecznie dzięki, panie — rzekłem — więcej mi świadczysz łaski, niż ja mam zasług wobec ciebie.

### XXXIII. JAKO PANTAGRUEL ZACHOROWAŁ I W JAKI SPOSÓB PRZYSZEDŁ DO ZDROWIA.

Niedługo potem Pantagruel rozchorował się i zapadł tak na żołądek, iż nie mógł pić ani jeść; a że to jedno nieszczęście nigdy samo nie przychodzi, dostał jeszcze i kamieni moczowych, które go dręczyły nad ludzkie pojęcie. Ale lekarze krzątali się koło niego bardzo troskliwie i za pomocą mnóstwa kojących i moczopędnych leków, przegnali mu z urną jego cierpienie. A miał ją tak gorącą, że do tego czasu jeszcze nie wystygła. I znajdziecie ją we Francji po rozmaitych miejscach wedle tego, jakim łożyskiem popłynęła i nazywają się te miejsca cieplicami, jako to:

w Kodrecie,

w Limuzie,

w Daście,

w Balryku,

w Neryku,

w Burbonensie i indziej,

w Italii,

w Mongrodzie,

w Aponii,

w Santo Pietro di Padua,

w świętej Helenie,



w Kazanowa,  
w Santo Bartholomco,  
w hrabstwie Bulonii,  
w Laporecie,  
i tysiącu innych miejsc.

I dziwię się mocno wielu opętanym filozofom i lekarzom, którzy tracą czas na roztrząsanie, skąd się bierze gorącość owychże wód, czy z przyczyny boraksu, czyli siarki, czy hałunu, czy saletry, która spoczywa tam w gruncie: brednie bowiem jeno im się roją i lepiej by zrobili, gdyby poszli utrzyć sobie zadki ostem, niżby mieli trawić czas na gadaniu o tym, czego początku nie znają. Rozstrzygnięcie jest łatwe i nie trzeba dłużej szukać, jeno iż te kąpiele są ciepłe, ponieważ powstały z ciepłych szczyn dobrego Pantagruela. Owóż, aby wam krótko powiedzieć, jakim sposobem wyleczył się ze swej niemocy, pomijam tutaj, jako dla łagodnego przeczyszczenia zażył cztery beczki kolofanizowanego skamonium, sto trzydzieści osiem furgonów kasji, jedenaście tysięcy dziewięćset funtów rabarby, nie licząc innego paskudztwa. Trzeba wam wiedzieć, iż z polecenia lekarzy postanowiono uprzętnąć to, co mu dolegało na żołądku. W tym celu uczyniono szesnaście wielkich kul mosiężnych, większych niż ta, która jest w Rzymie na igle Wirgiliusza, tak urządzonych, że otwierały się w środku i zamykały na zawiasach.

Do jednej wszedł któryś z Pantagruelowych ludzi, mając z sobą latarnię i zapaloną pochodnię. I Pantagruel połknął kulę, jakoby małą pigułkę. Do pięciu innych wsiedli inni tędzy pacholkiwie, każdy z piką na ramieniu.

W trzech innych było trzech chłopów, każdy z łopatą pod pachą. Do siedmiu innych wsiadło siedmiu zamiataczy, każdy ze szczotką i koszem. I połknął wszystkie kule niby pigułki. Skoro znaleźli się w żołądku, każdy otworzył zawiasy swojej kuli i wyszli z owych chałupek, a najpierw ten, który miał latarnię; i szukali przeszło pół i mili miejsca, gdzie znajdowały się zepsute humory w strasliwej czeluści cuchnącej i zięjącej bardziej niż Mefitis, niż bagno kamaryńskie, niż cuchnąca sadzawka Sorbony, o której pisze Strabon. I gdyby nie to, iż sobie dobrze zantydutowali serce, żołądek i ten bukłaczek na wino, który nazywa się głową, byłiby się udusili i padli od tych ohydnych wyziewów. O, cóż za zapach! o, cóż za opary! tożby z tego narobił pachnidel na chusteczki dla dziewcząt paryskich! Wreszcie macając i szukając, zbliżyli się do onej materii fekalnej i zepsutych humorów. I znaleźli tam istną górę nieczystości. Wówczas pionierzy skoczyli żywo, aby ją rozkopać, inni zaś chwycili się łopaty i napełnili koszyki i gdy wszystko było dobrze wyczyszczone, każdy wrócił do swojej kuli.

Następnie Pantagruel połaskotał się w gardziel dla sprowadzenia wymiotów i z łatwością wydalil ich na zewnątrz, co dla niego było tyle, ile dla was jedno pierdnięcie. I radzi wyszli ze swoich pigulek. Przypominało mi to wyjście Greków z trojańskiego konia. I w ten sposób został uleczony i doprowadzony do rekonwalescencji. A z tych pigulek mosiężnych jedną macie w Orleanie, na dzwonnicy kościoła świętego Krzyża.

#### XXXIV. ZAKOŃCZENIE NINIEJSZEJ KSIĘGI I UNIEWINNIE NIE SIĘ AUTORA.

Tedy, panowie, usłyszeliście początek przeraźliwej historii mego mistrza i pana, Pantagruela. Tu uczynię koniec pierwszej księgi, głowa bowiem boli mnie trochę i czuję wyraźnie, że rejestry mej mózgownicy zamąciły się co nieco od wrześniowego moszczu. Będziecie mieli dokończenie tych historii na najbliższy jarmark frankfurcki i tam ujrzycie, jako Panurg pojął żonę i jak mu wyrosły rogi od pierwszego miesiąca.

ca po ślubie; jako Pantagruel znalazł kamień filozoficzny i sposób sporządzania go i zażywania; i jak przeszedł Góry Kaspijskie, jako żeglował po morzu Atlantyckim i pogromił Ramibulów i zdobył Wyspy Perlańskie; jako zaślubił córę króla hinduskiego Księdzjana<sup>266</sup>; jako walczył przeciw diabłom i spalił pięć komnat piekielnych, spustoszył do cna wielką Czarną Izbę, wrzucił Prozerpinę do ognia i wybił Lucyporowi cztery zęby i jeden róg w zadku; jako odwiedził okolice księżycy, aby poznać, czy naprawdę księżyc nie jest cały, skoro białe głowy mają trzy jego kwadry w głowie; i tysiąc innych uciesznych gawęd ze wszystkim prawdziwych. To są istne księgi francuskiej ewangelii. Dobrej nocy wam życzę, panowie. *Perdonnate mi* i nie myślcie o moich błędach więcej, niżli myślicie o własnych.

Jeśli mi powiecie: „Mistrzu, zdaje się nam, że niewiele okazujecie rozsądku, spisując nam takie baśnie i duby smalone”, odpowiem wam, że wy go okazujecie jeszcze mniej, bawiąc się przy ich czytaniu. Jeśli wszelako czytacie je dla uczciwej zabawy, jako ja w zabawie i ucieście je pisałem, wówczas i wy, i ja godniejsi jesteśmy przebaczenia niż cała zgraja świętoszków, nabożnisiów, ślimaków, obłudników, bigotów, klepiróżańców, pasibrzuchów i innych tym podobnych gadów, którzy przystroili się w maski, aby świat ołgiwać. Każą bowiem wierzyć pospólstwu, iż jeno zatopieni są w kontemplacji a nabożeństwie, w postach a umartwieniu pożądliwości cielesnych, tak iż ledwo utrzymują przy życiu swoją mizerną egzystencję, a tymczasem zgoła przeciwnie, żyją sobie bardzo tłusto, folgują sobie sam Bóg wie jak, *et curios stimulant, sed bacchanalia vivunt*<sup>267</sup>. Możecie to wyczytać wielkimi literami i z kolorowanym inicjałem na ich czerwonych facjatch i spasyłych brzuchach, chyba że kurują siarką swoje wielebne france. A za całe studia mają jeno rozczytywanie się w książkach pantagruelicznych, nie tyle aby czas przepędzić uciesznie, ile żeby komuś zaszkodzić podstępnie: to znaczy artykułując, monartykułując, tortykułując, węsząc, myszkując, miszkując, diablikulując, to jest spotwarzając. W czym podobni są owym wiejskim urwipółciom, którzy grzebią i rozdrapują łajno małych dzieci w porze wisien i czereśni, aby odszukać pestki i sprzedać je drogistom na wyrób oliwki magelańskiej.

Od tych uciekajcie, brzyździe się nimi i nienawidźcie ich, jak ja czynię: wiercie mi, iż dobrze na tym wyjdziecie. I jeśli chcecie być dobrymi pantagruelistami, to jest żyć w pokoju, radości i zdrowiu i trwać w statecznym weselu, nie ufajcie nigdy ludziom, którzy zagładają przez szparki!

---

<sup>266</sup>*Księdzjan* — Na wpół legendarny cesarz abisyński *Prestre Jehan*.

<sup>267</sup>*et curios stimulant, sed bacchanalia vivunt* (łac.) — Udają świętych, a żyją jak rozpustnicy.

---

Ten utwór nie jest chroniony prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gargantua-i-pantagruel>

Tekst opracowany na podstawie: Gargantua i Pantagruel, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Biblioteka Boy'a, Warszawa [1923]

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Tadeusz Boy-Żeleński, Marta Niedziałkowska, Aneta Rawska, Aleksandra Sekula.